

marsz

Przełożyła z angielskiego Barbara Cendrowska-Werner

i

BELLONA Warszawa

Zrealizown" pomocy finan Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Nai odowego

Tytuł oryginału The March

Ilustracja na okładce Daniel Rudnicki

Projekt okładki Michał Bernaciak

Redaktor merytoryczny Jolanta Kaszukur

MIEJSKA BIBLIOTEKA PIJFFliiSSRedaktor prowadzący

Zofia Gawryś

Redaktor techniczny Elżbieta Bryś

Korekta Ewa Grabowska

Copyright © for the Polish edition by Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 2006

Copyright © for the Polish translation by Barbara Cendrowska-Werner, Warszawa 2006

Copyright © 2005 by E. L. Doctorow Ali rights reserved

Dom Wydawniczy Bellona prowadzi sprzedaż wysyłkową swoich książek za zaliczeniem pocztowym z rabatem do 20 procent od ceny detalicznej.

Nasz adres: Dom Wydawniczy Bellona

ul. Grzybowska 77, 00-844 Warszawa

Dział Wysyłki: tel. 022 45 70 306, 022 652 27 01

fax 022 620 42 71

e-mail: biuro@bellona.pl

Internet: www.bellona.pl

www.ksiegarnia.bellona.pl

ISBN 83-11-10580-4

ś

>wiat przedstawiony w tej książce ma charakter fikcji historycznej. Prócz dobrze znanych rzeczywistych postaci, wydarzeń i miejscowości, występujących w tej opowieści, wszelkie nazwiska, bohaterowie, miejsca akcji i zdarzenia są wytworami wyobraźni autora. Jakiegokolwiek podobieństwa do obecnych wypadków, miejsc czy żyjących osób są całkowicie przypadkowe.

m

Spis treści

Część pierwsza

Georgia..... 9

Część druga

Południowa Karolina.....149

Część trzecia

Północna Karolina.....227

Podziękowania

A,

Lutor składa wyrazy głębokiej wdzięczności następującym osobom:

Dr. Danielowi F. Rosesowi, profesorowi chirurgii i onkologii Centrum Medycznego Uniwersytetu Nowojorskiego,

Josephowi T. Glattharowi, profesorowi historii Uniwersytetu Pomocnej Karoliny w Chapel Hill,

Dr. Markowi K. Siegelowi, profesorowi Wydziału Medycyny Uniwersytetu Nowojorskiego

oraz

redaktor Kate Medinie z Random House.

Część pierwsza

GEORGIA

Część pierwsza

GEORGIA

o

piątej rano walenie w drzwi i wrzaski, jej mąż, John, wyskoczył z łóżka, łapiąc za strzelbę, a Roscoe przydyrdał z oficyny, tupiąc bosymi stopami. Mattie pospiesznie naciągnęła szlafrok. Niby wiedziała, że wojna może wybuchnąć lada moment, ale serce jej waliło na myśl, że ta chwila właśnie nadeszła. Zbiegła ze schodów, by przy świetle lampy wyrzucić przez otwarte drzwi na schody portyku, na dwa konie o dymiących bokach, uniesionych łbach i oszalałych oczach. Powoził młody, przygarbiony Murzyn, nawet pośród tego rejuwachu zachowujący kamienny spokój, a kobieta, stojąca w powozie, to nie kto inny jak ciotka Letitia Pettibone ze świetnego rodu McDonough. Twarz, na której wiek wycisnął swe ślady, ściągnięta była niepokojem, włos miała w nieładzie - ta wytworna dama, szacowna wdowa, praktycznie trzęsąca całą Atlantą, stała teraz w powozie niczym złowieszcze widmo, którym okazała się w istocie. W powozie piętrzyły się bagaże i tobołki, a gdy godna matrona się podniosła, na ziemię spadło z brzękiem parę sztuk srebra: noże, widelce i srebrny kandelabr błysnęły w nikłych promykach światła, które rzucała latarnia trzymana przez Roscoe. Mattie, nadal zawiązując szlafrok, zbiegła ze schodów, myśląc bezsensownie, jak sobie później uzmysłowiła, że głupio się czuje w obliczu tej kobiety, którą, prawdę mówiąc, bardziej szanowała niż lubiła, po czym podniosła z ziemi ciężkie srebra i wcisnęła je właścicielce, jakby niegodzien był dokonać tego Roscoe ani też jej mąż, John Jameson.

12

Letitia nie chciała wysiąść z powozu. - Nie ma chwili do stracenia - rzekła. Była straszliwie przerażoną kobietą, zupełnie niezważającą na konie, co spostrzegł John i zaraz kazał przynieść wiadra pośród krzyków starej pani: uciekajcie, uciekajcie, zabierajcie, co się da i wyjedźcie; zacietrzewiała się coraz bardziej, widząc, że oni tkwią nieruchomo w miejscu i słuchają, i tylko paru robotników rolnych wypełzło pod ścianą domu, jakby pierwszy brzask pobudził ich do życia. -1 znam go - krzychała. - Bywał u mnie. Jest jednym z nas. Pali domy, w których podejmowano go obiadem, puszcza z dymem miasto, w którego klubach niegdyś wznosił toasty, o tak, to wykształcony człowiek, a przynajmniej tak nam się wydawało, choć we mnie nigdy nie budził zachwyty! Nie, nie zrobił na mnie najlepszego wrażenia, miał w sobie coś z pająka, rozmowa z nim była mdła, ubierał się niestarannie, nie dbał o wygląd, a mimo to uważałam, że mając tak niewiele przyrodzonych darów, udatnie nimi gospodaruje, zręcznie udając uczucia, których nigdy nie zaznał. Ach, żółć się we mnie burzy na myśl, że uważałam go za dobrego ojca rodziny, kochającego żonę i dzieci, a to dzikus, bez cienia litości w lodowatym sercu.

Tak się zaperzyła, że trudno było coś konkretnego z niej wyciągnąć. John nawet nie próbował, zaczął wydawać rozkazy i wbiegł z powrotem do domu. Ona, Mattie, słuchała. Histeria ciotki, tak dziwnie wyrażona w salonowych formułkach, przypominała jej o własnych sprawach. Przez chwilę uleciała jej z pamięci myśl o synach śpiących na górze.

- Nadchodzą, Mattie, maszerują. To armia wściekłych psów z tym renegatem na czele, tym wstrętnym łotrem, tym szatanem, który wypije z tobą filiżankę herbaty i skłoni się dwornie, nim wydrze ci wszystko, do ostatka.

13

Wygłosiwszy tę tyradę, ciotka opadła na siedzenia powozu i kazała ruszać. Dokąd udawała się Letitia Petti-bone, Mattie nie zdołała się dowiedzieć. I ile mieli czasu, nim spadnie na nich ten dopust boży. Nie żeby wątpiła w prawdziwość słów ciotki. Spojrzała na niebo, z wolna rozjaśniające szarość świtu.

Słyszała tylko pianie koguta i, gdy się odwróciła, zdjęta nagłym gniewem, szepty niewolników, którzy zdążyli się zgromadzić przy narożniku domu. Potem zaprzęg odjechał, powóz potoczył się zwirowanym podjazdem, a Mattie odwróciła się, podgarniając rąbek szlafroka, i gdy wchodziła po schodach, zobaczyła to nieznośne dziewczuszyko, Pearl, która, założywszy ręce, stała oparta o filar, jakby plantacja do niej należała.

Bieg wydarzeń nie zaskoczył Johna Jamesona. Już we wrześnie, gdy rozeszła się wieść, że Hood się wycofał i oddziały unii zajęły Atlantę, wziął Mattie na poważną rozmowę i powiedział jej, co trzeba zrobić. Pozwijano dywany, ze ścian zdjęto obrazy, krzesła o spiczastych nogach - wszystko, co przedstawia dla niej wartość - oznajmił - jej angielskie tkaniny, porcelanę, nawet jej rodzinną Biblię należy zapakować i przewieźć do Milledgeville. Tam dobra te załaduje się na pociąg i wyśle do Savannah, gdzie makler bawełny Johna zgodził się przechować ich dobytek w swoim składzie. - Tylko nie moje pianino - powiedziała - pianino zostaje. Zgnije tam w wilgoci. - Jak sobie życzysz - odparł John, którego żadną miarą nie można by nazwać melomanem.

Mattie chodziła jak błędna po tak ogołoconym domu. Przez pozbawione firanek okna wpadało słońce, rozświetlając podłogi, a ona czuła się, jakby jej życie pobiegło wstecz i znowu była młodą żoną w nieurządzonym dworze, z dwa razy starszym od niej mężem, który napawał ją lekkim prze-

14

rażeniem. Zastanawiała się, skąd John wiedział, że wojna dojdzie aż tutaj. Po prawdzie, nie wiedział, ale ponieważ w życiu powiodło mu się nadzwyczajnie, miał prawo uznawać się za mądrzejszego od reszty. Prezentował się impomująco: potężny mężczyzna, z szeroką klatką piersiową i bujną grzywą srebrnych włosów. - Nie dyskutuj ze mną, Mattie. Stracili ze dwadzieścia, trzydzieści tysięcy ludzi, żeby zdobyć to miasto. Wyobraź sobie, że jesteś generałem, a za prezydenta masz szaleńca. I co, siedziałabyś tak z założonymi rękami? I co dalej? Ruszyć do Augusty? Do Macon? A jak się tam dostanie, jeśli nie przez te wzgórza? I nie ma się co łudzić, że rebelianci kiwną palcem. Obym się mylił, ale jeśli nawet, to co mamy do stracenia?

W takich sprawach Mattie nie wolno było wyrazić swojego zdania. Czuła się jeszcze bardziej skołowana i nie odezwała się słowem, gdy po żniwach John sprzedał dwunastu swych najlepszych robotników. Wysłał ich handlarzowi w Columbii, w Południowej Karolinie. Gdy nadszedł umówiony dzień i władowano ich, skrępowanych, na wóz, musiała pobiec na górę i zatkać uszy, by nie słyszeć zawodzenia rodzin, dochodzącego z baraków. John powiedział tylko, że żaden jego cholerny czarnuch nie włoży munduru federalnych, Mattie ma na to jego słowo.

Ale mimo wszystkich owych ostrzeżeń i przygotowań, gdy nadeszła ta chwila, nie mogła uwierzyć, że naprawdę musi opuścić Fieldstone. Ze strachu nogi miała jak z waty. Nie wyobrażała sobie życia poza własnym domem, wśród swoich xxQCTj, w uładowym świecie Georgii, gdzie ona i jej rodzina mieli wszystko, czego wymagała jej pozycja społeczna. A choć ciotka Letitia odjechała, 7&x2ltA& ich paniką. Mimo iż John niby wszystko przewidział, biegał teraz po całej posiadłości, czerwony na twarzy, pokrzykując i wydając polecenia. Chłopcy, których zerwano z łóżek, na

15

wpół ubrani zeszli, dzierżąc strzelby w dłoniach i wybiegli przez drzwi od tyłu.

Mattie poszła do sypialni, gdzie stanęła, nie wiedząc, od czego zacząć. Słyszała własne pochlipywanie. Jakimś cudem zdołała się ubrać, zgarnęła, co się dało, z toaletki i łazienki, po czym wrzuciła wszystko do dwóch waliz. Usłyszała wystrzał i wyrzawszy przez okno od tyłu, zobaczyła, jak pod jednym z mułów uginają się nogi. Roscoe wyprowadzał drugiego ze stajni, podczas gdy jej starszy syn, John junior, przygotowywał strzelbę do strzału. Zda się, że zaledwie parę minut później, gdy słońce dopiero muskało korony drzew, powozy przytoczyły się przed dom. Gdzie mieli się pousadzać? Oba powozy wyładowane były bagażami, koszami zjedzeniem, workami cukru i mąki. Teraz poranny wietrzyk przywiał dym z płonących stosów paszy, pod które John podłożył ogień. A Mattie zdało się, że to jej własne zakopcone życie ulatuje w niebo.

Gdy Jamesonowie odjechali, Pearl stała na zwirowanym podjeździe, nadal ściskając torbę na ramię. Jaśnie pan ledwo rzucił na nią okiem, nim smagnął konie batem. Roscoe, powożący drugim powozem, przejeżdżając obok niej, nawet na nią nie spojrział, lecz tylko rzucił jej pod nogi jakiś pakuneczek, zawinęty w chustkę do nosa. Nie ruszyła się, by go podnieść. Czekwała, spokojnie i w milczeniu, aż odjadą. Czuła na nogach chłodne muśnięcie wiatru. Potem, gdy w powietrzu zawisła duchota, chociaż chwilę przedtem wydawało się, że ziemia nabierała oddechu, poranne słońce w okamgnieniu załało plantację.

I dopiero wtedy podniosła zawiniątko, które cisnął jej Roscoe. Przez płótno wymacała od razu, co to było - te same dwie złote monety, które pokazał jej, gdy była mała. Oszczędności całego jego życia. - Szczerze złoto, panien-

16

ko Pyrl - powiedział. - Przygryzie je panienka zymbami i sama panienka zobaczy, że som prawdziwe. Widzi panienka te orły? Z tym może panienka fruwać hen, hen nad ziemiom, jak te ptaki - to znaczm te orły w złocie*.

Pearl poczuła, że w gardle wzbierają jej gorące łzy. Przeszła obok dworu, oficyn, tłących się gór paszy, minęła martwe muły, baraki niewolników, którzy wśród śpiewów zbierali swoje rzeczy, i dalej ścieżką przez zagajnik, gdzie jaśnie pan pozwolił założyć cmentarz.

Tam, na podmokłej porębie, znajdowało się sześć grobów, każdy oznakowany drewnianym gontem z wydrapanym na nim nazwiskiem pochowanej osoby. Starsze groby, również jej matki, porośnięte były mchem. Pearl przykucnęła i głośno przeczytała: „Nancy Wilkins”. Mamo - rzekła -jestem wolna. Mówiłaś mi, mamo: Perełko, dziecinko, będziesz wolna. Więc oni odjechali i jestem wolna. Wolna jak nikt inny na całym świecie. Wolna, jak nie wiem co. Czy jaśnie pan chociaż spojrział na swoje rodzone dziecko?

- Akurat. Jakbym nie miała po nim oczu jak nagietki i wystających kości policzkowych i nie była podobna do niego jak dwie krople wody, bardziej niż te dwa karzelki, które zrobił z jaśnie panią żoną. Jakbym nie była jego, a skórę mam białą jak goździk.

Pearl padła na kolana i złożyła ręce. - Kochany Panie Jezu - szeptała - to dobra kobieta, zrób jej miejsce koło siebie. A mnie, twoją Perełkę, naucz, jak być wolną.

Z wolna niewolnicy, upchnąwszy cały swój dobytek w tobołki i stare sakwy, powlekli się do dworu i skryli pod rosnącymi przed frontem cyprysami. Spoglądali w niebo,

* Złota moneta amerykańska wartości 10 dolarów, z orłem na rewersie, bita w latach 1795-1933 [przyp. tłum.].

17

jakby stamtąd miały przyjść wieści o ich przyszłym losie. Ubrali się odświętnie. Było ich siedmioro dorosłych - dwaj mężczyźni - starszy Jake Early i jednooki Jubal Samuels oraz pięć kobiet, w tym stara babcia, która ledwo człapała, a ponadto troje małych dzieci. Dzieci zachowywały się niezwykle spokojnie. Trzymały się blisko i robiły bukiety z chwastów albo wciskały w ziemię okrągłe kamyczki i otoczaki.

Jake Early nie musiał nakłaniać czarnych braci, by uzbroili się w cierpliwość. Strach, który wszyscy dojrżeli w oczach uciekających jaśniepaństwa, powiedział im, że nadeszło wybawienie. Ale na niebie nie było ani jednej chmurki i w miarę, jak słońce wznosiło się coraz wyżej, rozsiedli się wygodnie, a niektórzy nawet zapadli w drzemkę, czym Jake Early wielce się trapił, gdyż żołnierze unii nie powinni zastać czarnych mieszkańców majątku na błogim lenistwie. Robotnicy folwarczni mają ich powitać w zgrabnym ordynku jako wolni ludzie.

On sam stał nieruchomo pośrodku drogi, wsparty na lasce. Nasłuchiwał. Przez długą chwilę dochodził doń tylko lekki ruch powietrza, jakby ktoś szeptał mu do ucha albo wiatr szeleścił liśćmi. Potem coś posłyszał. Ale czy rzeczywiście? Nie był to właściwie dźwięk, bardziej poczucie przemiany własnych oczekiwań. A potem jego laska niczym różdżka uniosła się ku zachodowi. Widząc to, inni też podnieśli się i wyszli spod drzew - w oddali ujrzeni dym, buchający z różnych punktów w okolicy, wpierw tu, potem tam. Lecz pośród tego wszystkiego zaszła zmiana w kolorze samego nieba, które stopniowo się rozjaśniało, w miarę jak brązowa chmura wznosiła się ku niemu z ziemi, jakby świat stanął na głowie.

I na ich oczach chmura zaczęła przybierać czerwony odcień. Sunęła ku nim, z przodu cienka jak ostrze sier-

18

pu, dalej rozszerzała się niczym bruzda, którą żłobił pług. Przeciągała po niebie na południe od nich. A dźwięku, idącego za tym obłokiem, nie słyszeli jeszcze nigdy w życiu. Nie był przerażający, jak odgłos zsyłany z nieba, jak grzmot, błyskawica czy wycie wichru, lecz coś, co czuli w stopach, rezonans, jakby ich rozum otuliła wielka chmura pyłu. A później, na skrajach tego dźwięku, łomotu tratowanej ziemi, usłyszeli wreszcie pokrzykiwania żywych ludzi. I ryk bydła. I skrzypienie kół. Ale nie widzieli nic. Bezwiednie ruszyli ku drodze, lecz nadal nic nie widzieli. Zewsząd dobiegał ich harmonijny zgiełk, wypełniając im przestrzeń nad głowami, tak jak chmura czerwonego pyłu, która przemknęła obok nich na południe, zamajając niebo; był to wielki przemarsz armii unionistów, lecz równie bezcielesnych co armia duchów.

W swym oddziale furazowym Clarke miał dwa furgony, trzy dodatkowe muły i dwudziestu konnych. Zgodnie z ogólnymi rozkazami powinien mieć pod sobą co najmniej pięćdziesięciu ludzi. Odbił kilka mil od kolumny, a natknąwszy się na plantację, postanowił szybko się z nią załatwić.

Gdy wjechali na jej teren, natychmiast dostrzegł grupkę stojących tam niewolników, lecz postanowił nie zwracać na nich najmniejszej uwagi. Potrząsnął głową. Do swych tobołków, leżących na ziemi, mieli przytroczone stare, popękane sakwy i bawełniane worki. Rozstawił strażę i zapędził ludzi do roboty. Na dziedzińcu za oficynami dymił stos paszy, wiatr roznosił czarne płaty spalenizny. Trzy muły miały roztrzaskane łby. Otrzymał rozkaz, by wszelkie akty oporu karać z należytą surowością. I jego

19

determinacja nie zmniejszyła się ani na jotę, gdy żołnierze wymaszerowali ze spichrza, niosąc na barkach worki cukru, mąki kukurydzianej i zbożowej, a także ryżu. W wędzarni półki uginały się pod garncami miodu i sorga. Z haków zwisały potcie bekonu i wędzone szynki, których jaśnie pan nie zdążył zgarnąć. Ajednaze skrzyń wypełniały słodkie ziemniaki - ze dwieście funtów jak nic.

Ludzie zwijali się ochoczo. Zarznęli maciory, ale przez któregoś gamonia kurczaki wyleciały z kojca. Zrobił się straszny rejwach, aż zleciały się murzyńskie dzieciaki. Śmiały się, chichotały i podskakiwały radośnie, gdy żołnierze wyłapywali piskliwe kury i usiłowali powiązać za nogi skrzeczące gęsi. - Wszyscy się dobrze bawią - pomyślał Clarke. - Ale wesoła wojna.

W armii Tennessee należał do nielicznych przybyszy ze wschodniego wybrzeża. Nie zachowywał się zatem tak niefrasobliwie jak inni żołnierze i, przynajmniej we własnych oczach, nie był takim prowincjuszem. Nawet młodszy oficerowie ledwo umieli pisać i czytać. Clarke, który służył w Białym Domu, przywiózł list od prezydenta do kwatery generała Shermana w Allatoona. Przybył akurat, gdy trwały najzaciętsze walki. Potem generał po prostu kazał mu zostać. Najprawdopodobniej wysłano telegram do Waszyngtonu, ale załatwiono to wszystko od niechcienia i Clarke poczuł się upokorzony, że o jego służbie zdecydowano w sposób zupełnie bezceremonialny.

Teraz gryzło go coś innego. Gdzie jest bydło? Podszedłszy do dworu od frontu, zagadnął wysokiego, siwego Murzyna, który, jak powiedział, nazywał się Jacob Early. Ear-ly wyprowadził go za baraki niewolników do lasu, obok małego cmentarzyka i dalej w dół wzgórza, gdzie ziemia zaczynała podmiękać. Za kępą bambusów zaczynało się bagno, w którym jaśnie pan kazał utopić krowy. Pięć ich stało po kłęby w trzęsawisku, pogrążając się biernie, bez skargi. Cielę prawie całkiem się już zapadło i tylko zad mu wystawał. Trzeba było kilku mężczyzn, by wyciągnąć je sznurami. Zabrało to sporo czasu. Zarznęli cielę. Krowy przywiązano do wozów, by za nimi podreptały.

Odwalili kawał roboty, ale też dawno już minęło południe. Teraz postanowili przetrząsnąć dwór i dobrze się zabawić. Choć Clarke chciał ruszać jak najrychlej, wiedział, że w tym względzie roztropniej będzie pójść ludziom na rękę. To był typowy rozkaz, który milcząco wydały szeregi. W liście do domu Clarke nie potrafił tego logicznie wytłumaczyć. W tej wielkiej ludzkiej masie, z której składała się armia, w obrębie struktury, jaką stanowi dyscyplina wojskowa, przepływały dziwaczne prądy samowoli i gwałtownej chęci zademonstrowania swych uczuć. Najlepsi oficerowie wiedzieli, kiedy przymknąć oko. Nawet generałom zdarzało się wydawać rozkazy tylko dla pucu. Wytrącało to Clarke'a z równowagi. Lubił porządek. Dyscyplinę. Chodził schludny i starannie ogolony. Mundur miał pieczołowicie wyczyszczony szczotką. Tornister spakowany przepisowo. Blok papieru zabezpieczony ceratą. Ale zaopatrzenie to ryzykowna służba, przyciągająca wolne duchy. Jego wagabundy ceniły sobie niezależność. Śmiałkowie naturalną koleją rzeczy napychali własne kab-zy, co uchodziło im

bezkarnie, gdyż ich zdobycze miały kluczowe znaczenie dla pomyślności wojska, które, zgodnie z zamysłem generała Shermana, miało wyżyć, bez najmniejszego skrępowania, z płodów ziemi.

Promienie słońca, wpadające przez świetlik, rzucały blask na deski barwy miodu, którymi wyłożona była podłoga w holu od frontu. Eleganckie kręcone schody z ozdobną balustradą prowadziły na piętro. W połowie kondygnacji ścianę rozświetlał witraż. Clarke'a, rodowi-

21

tego bostończyka, wciąż na nowo zadziwiała wspaniałość tych dworów, wzniesionych wśród pól wiejskiego Południa. Z pracy niewolników można wycisnąć oszałamiające bogactwo, toteż nie dziwota, że ci ludzie walczą do ostatniej kropli krwi.

W jadalni szeregowcy Henry i Gullison znaleźli w kredensie tacę z kryształowymi karafkami pełnymi burbona. Dołączyli do kolegów, który zgromadzili się wokół pianina w salonie, a gdy Clarke usłyszał pierwsze akordy, zaczął się zastanawiać, jakich tu się chwycić sposobów, by swych ludzi stąd wyciągnąć. Na pianinie grał szeregowy Toller. Jego pulchne dłonie przebiegały po klawiaturze z zadziwiającą biegłością. Clarke dotąd uważał, że Gruby Toller umie tylko obżerać się i chlać.

Sierżant Malone częstował cygarami ze skrzynki. Mężczyźni śpiewali:

Już przed bitwą, moja matuś, rozglądałem się na boki, gdy ujrzałem rebeliantów, zaraz wzięłem dupę w troki.

Clarke przyjął cygaro i pozwolił, by sierżant Malone podał mu ogień. Potem wszedł po schodach i w kolejnych pokojach wypatroszył tapicerkę i materace, rękojeścią szabli rozbijał szyby i lustra. Te poczynania odniosły skutek, gdyż po paru minutach na górze pojawiło się kilku ludzi, którzy siekierami rąbali sprzęty, zdierali firanki z okien i wszystko oblewali naftą.

Gdy Clarke wszedł na strych, ze zdumieniem zobaczył tam dziecko - dziewczynkę z gołymi nogami, która stała przed lustrem, owijając sobie wokół ramion piękny czerwony szal, przetykany złotymi nićmi, tak spokojna, jak-

22

by nie rujnowano domu pod nią. Dopiero gdy podniosła ku niemu oczy i odwzajemniła jego spojrzenie w lustrze, uświadomił sobie, że to biała Murzynka - biała jak biała czekolada. Z uniesioną brodą spoglądała na niego, niczym pani tego domostwa. Mogła mieć najwyżej dwanaście, trzynaście lat, była bosa, ubrana w zwykłą sukienkę do kolan, lecz zwoje szala, o dziwo, przeobrażały ją w młodą kobietę o królewskiej postawie. Zanim Clarke zdążył się odezwać, dziewczę przemknęło obok niego. Zauważył tylko gładkie białe łydki i powiewający za nią szal.

Nie było rady - musieli jakoś poupychać czarnych i ich bagaże w furgonach, wśród zrabowanych rzeczy albo koło woźniców. Dla starej babci Murzyni przyciągnęli wózek, do którego zaprzęziono kucyka. Ich radość przygnębiła Clarke'a. Nie nadawali się na żołnierzy. Byli mu kulą u nogi. Nie miał dla nich żywności ani schronienia. Z wojskiem ciągnęło teraz z tysiąc czarnych. Trzeba ich będzie odesłać, ale dokąd? Nie zostawiamy za sobą nowego, cywilnego rządu. Obracamy kraj w perzynę i ruszamy dalej. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że znowu ich pochwyca - albo przytrafi im się coś jeszcze gorszego, skoro w trop za wojskiem podążają partyzanci.

Żołnierze wrzucili pochodnie przez okna i teraz pierwsze kłęby dymu wzbity się z dachu, a jęzory ognia błyskały z desek licowych. - Palimy podstawy bytu czarnych -myślał Clarke. Ale wszyscy się radowali, gwarzyli wesoło i śmiali się. Sierżant Malone włożył cylinder dziedzica, na mundur narzucił jego żakiet. Znaleźli stare milicyjne kaszkiety, które dali dzieciom niewolników. Szeregowy Toller wbił się w suknię z falbankami i wszyscy bez wyjątku, również dwaj starzy Murzyni, palili cygara. - Chryste, kim ja dowodzę? - powiedział Clarke do nikogo w szczegól-

23

ności. Dał sygnał do wymarszu. Trzasnęły baty, potoczyły się koła, konie puszczono truchtem. Clarke kątem oka dojrzał z konia białą murzyńską dziewczynkę. Stała z boku, nie wskoczyła z innymi na wozy i teraz bosa, owinięta wspaniałym czerwonozłotym szalem, patrzyła, jak odjeżdżają. Później Clarke zastanawiał się, dlaczego myśli, że dziewczuszka wymaga specjalnego zaproszenia, nie wydała mu się śmieszna. Obrócił konia, pognął galopem z powrotem, schylił się i chwycił ją za rękę. - Jedziesz ze mną, moja panno - rzekł i po chwili już siedziała za nim na siodle, ciasno obejmując go w pasie. Nie rozumiał swych uczuć w tym momencie, poczuł tylko, że brzemień odpowiedzialności, które ponosił jako dowódca, zdjęła zeń nagle jakaś niewidzialna siła. Czuł ciepło rąk małej i ich mocny uścisk. Oparła mu policzek na ramieniu i niebawem poczuł jej łzy, przesiąkające mu przez mundur.

I tak, późnym popołudniem ciepłego jeszcze listopada, ruszyli, biali i czarni, ku kolumnie prześwieczonego słońcem kurzu, sunącej na południowy wschód po niebie Georgii-

II

Z

początku ten chłopak, Will, nie chciał nic wziąć do ust. Gdy go przyprowadzono, był chudy jak szczapa, czaszka obciągnięta skórą. Widać było tylko parę oczu na patyku, gdy kurczowo trzymając się krat, wlepił wzrok w korytarz. Arly, z celi naprzeciwko, rzekł: - Musisz jeść, chłopcze. Mają cię tu zabić, ale nie musisz ich wyręczać. Arly gadał jak najęty, żeby dodać mu otuchy. - A może nas ułaskawią? - mówił. - Musisz mieć siłę, żeby stąd wyjść na własnych nogach. Ja będę wsuwał tę przesoloną świninę z robalami i fasolę, i jeszcze wyręcę uprzejme podziękowania panu naczelnikowi, sierżantowi Baum-gartnerowi za te przysmaki, żeby doszło do końca korytarza, bo jest głuchy jak pień. A coś ty przeskrobał, Will? Czym podpadłeś, chłopie?

- Dezercja - wyszeptał chłopak. - Po prostu musiałem wrócić do domu.

- Nie wiedziałem, że za to stawiają teraz pod ścianę. Tylu chłopaków daje nogę z armii, że pewnie konfederaci postanowili załatwić cię dla przykładu. Ja to przysnąłem na warcie. Ale może być gorzej. Jak z Johnem, który trafił tu w zeszłym tygodniu za gwałt. Powiesili go, ale dlatego, że pogwałcił prawo cywilne. My jako żołnierze, którzy naruszyli regulamin wojskowy z tego czy innego paragrafu, staniemy tylko przed plutonem egzekucyjnym.

Chłopak nie uśmiechnął się, lecz wrócił na swoje wyrko i położył się z rękami pod głową.

- Ale nic się nie przejmuj - ciągnął Arly - bo generał Hood lubi, żeby jedna kompania maszerowała z przodu,

25

a druga z tyłu i żeby wszyscy stali w paradnych mundurach z rozwiniętymi flagami i żeby bić w werble, a skazaniec ma siedzieć na skraju trumny, żeby wpadł prosto do środka, gdy pluton egzekucyjny pociągnie za spust. Ale ponieważ wszystkich nieszczęsnych sukinsynów wysłano na redutę do Atlanty, w Milledgeville brakuje ludzi do sformowania plutonu egzekucyjnego. Kawątek stąd stacjonują kadeci ze szkoły wojskowej, ale mądre głowy uznały, że to nie jest robota dla takich dzieciaków. Wierysz w Boga, Willy?

- Nigdy go specjalnie nie poważałem.

- No więc ja to tak widzę. Bóg podniósł rękę, by dać nam chwilę oddechu. A może szykuje dla nas coś więcej. Mamy tyle czasu, że możemy się zastanowić, o co mu chodzi. Bóg nie bywa miłosierny bez powodu.

Ciepła pogoda pierwszych dni listopada skończyła się nagle i dwaj mężczyźni dzień i noc spędzali okutani w koce. Cele miały pojedyncze okna. Gdy padało, ściany wilgotniały, kiedy niebo się rozjaśniało i temperatura spadała, kamień pokrywał się lodem. Kraty były tak zimne, że nie dawało się ich dotknąć. Więzienie Milledgeville było zatęchłe i przejmujące chłodem jak grobowa krypta.

- Panie sierżancie, ma pan przy nogach koksiak- wrzasnął Arly. - Nie może go pan podsunąć do nas, razem ze swoją szanowną osobą, żebyśmy nie zmarzli na śmierć, zanim pan nas zastrzeli?

Strażnik się nie odezwał. Był tłuściochem, który sapał tak głośno, że słyszało się każdy jego oddech.

- Panie sierżancie - wrzasnął Arly - niebawem nadejdzie dzień, gdy otworzy pan te drzwi i uwolni nas.

Baumgartner westchnął. - Jestem za stary na front - rzekł - więc muszę tu siedzieć i pilnować różnych ciem-

26

nych typków. Taka służba. I należy mi się za to medal, bez dwóch zdań.

Wstali przed świtem, jak zwykle, zrobili parę podskoków, po czym maszerowali w miejscu, wysoko unosząc kolana, by się rozruszać. Will podejrzwał, że ćwiczy tak Arly, i sam też narzucił sobie ten reżim. Ale dziś rano, w pierwszym brzasku, zauważyli coś jeszcze prócz chłodu w kościach i obłoczków dobywających się z ich ust. Usłyszeli zgiełk podniesionych głosów i stukot kół wozów. Will podszedł do okna i stanął na palcach, by wyrzucić przez kraty. Miał stąd widok na całe zbocze wzgórza.

- Co się dzieje? - zapytał Arly.

- Powóz za powozem. Jak na defiladzie - odparł Will. - Podcinają konie.

- O Boże, więc to już!

Pośród tego harmideru do ucha Willa doszło coś z nieba - nie tyle wiatr, ile jakby parcie powietrza, jakby napierano na niebo, a ono wydawało pomruk; a może to zapach, szczególnie woń, która rozchodzi się po uderzeniu pioruna. Wyczuł ciężar nadciągającej burzy, choć gdy weszło słońce, niebo rozjaśniło się chłodnym błękitem i nie widział śladu burzowych chmur.

W więzieniu powstało jakieś zamieszanie. Do najwyższego piętra, gdzie się znajdowali, dochodziły krzyki z dołu. Aresztanci zaczęli walić cynowymi kubkami w kraty. Rozległy się gwizdki.

Wielki uśmiech wypełznął na twarz Arly'ego. Pakuj manatki, chłopcze. Opuszczamy ukochany dom.

Sierżant Baumgartner, zaalarmowany tymi hałasami, podniósł się i stanął naprzeciwko dębowych drzwi z muszkietem gotowym do strzału.

- Och, panie Baumgartner - zawołał Arly - niech pan uważa, żeby pan sobie nie zrobił krzywdy.

26

nych typków. Taka służba. I należy mi się za to medal, bez dwóch zdań.

Wstali przed świtem, jak zwykle, zrobili parę podskoków, po czym maszerowali w miejscu, wysoko unosząc kolana, by się rozruszać. Will podejrztał, że ćwiczy tak Arly, i sam też narzucił sobie ten reżim. Ale dziś rano, w pierwszym brzasku, zauważyli coś jeszcze prócz chłodu w kościach i obłoczków dobywających się z ich ust. Usłyszeli zgiełk podniesionych głosów i stukot kół wozów. Will podszedł do okna i stanął na palcach, by wyrzeć przez kraty. Miał stąd widok na całe zbocze wzgórza.

- Co się dzieje? - zapytał Arly.

- Powóz za powozem. Jak na defiladzie - odparł Will.

- Podcinają konie.

- O Boże, więc to już!

Pośród tego harmideru do ucha Willa doszło coś z nieba

- nie tyle wiatr, ile jakby parcie powietrza, jakby napierano na niebo, a ono wydawało pomruk; a może to zapach, szczególna woń, która rozchodzi się po uderzeniu pioruna. Wyczuł ciężar nadciągającej burzy, choć gdy weszło słońce, niebo rozjaśniło się chłodnym błękitem i nie widział śladu burzowych chmur.

W więzieniu powstało jakieś zamieszanie. Do najwyższego piętra, gdzie się znajdowali, dochodziły krzyki z dołu. Aresztanci zaczęli walić cynowymi kubkami w kraty. Rozległy się gwizdki.

Wielki uśmiech wypełznął na twarz Arly'ego. Pakuj manatki, chłopcze. Opuszczamy ukochany dom.

Sierżant Baumgartner, zaalarmowany tymi hałasami, podniósł się i stanął naprzeciwko dębowych drzwi z muszkietem gotowym do strzału.

- Och, panie Baumgartner - zawołał Arly - niech pan uważa, żeby pan sobie nie zrobił krzywdy.

27

Jakby przyznając mu rację, nieszczęśnik opadł z powrotem na krzesło, by zaczerpnąć powietrza.

Usłyszeli kroki na kamiennej posadzce, stukot otwieranych drzwi do celi. Przez chwilę Will niepokoił się, że nikt nie dotrze tak wysoko, do ich orlego gniazda. Ale po chwili rozległo się walenie do drzwi. Baumgartner, półprzytomny z przerażenia, jak oszalały szukał właściwego klucza.

Arly i Will spotkali się przed swymi celami i po raz pierwszy, odkąd się zaprzyjaźnili, uścisnęli sobie dłonie. Dołączyli do pochodu innych więźniów, którzy schodzili po żelaznych stopniach, a potem wyłaniali się kolejno na więziennym dziedzińcu, w sumie jakichś stu pięćdziesięciu mężczyzn, owiniętych kocami i powłóczących nogami w butach bez sznurówek.

Stali, trzęsąc się z zimna. - Nie jest to najpiękniejszy widok na świecie - stwierdził Arly, spoglądając na wyblakłe, brodate twarze, przygarbione plecy okryte kocami, strażników, szare kamienne mury i twardo ubitą ziemię pod stopami. - Ale Bóg to stworzył, Will, chłopie, to jego tajemnicze dzieło, od początku do końca.

Wyższy oficer w eleganckim szarym mundurze wkroczył na dziedziniec w asyście porucznika i czterech żołnierzy pod bronią. Nie ulegało wątpliwości, że to jakaś ważna figura, gdyż miał kapelusz z piórem i przepasany był bordową szarfą. Żołnierze pomogli mu wejść na podwyższenie. Wśród więźniów przeszedł szept na widok jego epoletów. Zaczekał, aż się uciszą, po czym przyłożył zwinięte ręce do ust. - Nazywam się generał major Nathaniel Wayne - powiedział. - Za zezwoleniem gubernatora Browna mam wam ogłosić, że wasze wyroki zostaną skasowane, wszystkie, co do jednego, jeżeli wstąpicie do milicji i przysięgniecie bronić naszego wspaniałego stanu, naszej Georgii, pod moim dowództwem!

27

Jakby przyznając mu rację, nieszczęśnik opadł z powrotem na krzesło, by zaczerpnąć powietrza.

Usłyszeli kroki na kamiennej posadzce, stukot otwieranych drzwi do celi. Przez chwilę Will niepokoił się, że nikt nie dotrze tak wysoko, do ich orlego gniazda. Ale po chwili rozległo się walenie do drzwi. Baumgartner, półprzytomny z przerażenia, jak oszalały szukał właściwego klucza.

Arly i Will spotkali się przed swymi celami i po raz pierwszy, odkąd się zaprzyjaźnili, uścisnęli sobie dłonie. Dołączyli do pochodu innych więźniów, którzy schodzili po żelaznych stopniach, a potem wyłaniali się kolejno na więziennym dziedzińcu, w sumie jakichś stu pięćdziesięciu mężczyzn, owiniętych kocami i powłóczących nogami w butach bez sznurówek.

Stali, trzęsąc się z zimna. - Nie jest to najpiękniejszy widok na świecie - stwierdził Arly, spoglądając na wyblakłe, brodate twarze, przygarbione plecy okryte kocami, strażników, szare kamienne mury i twardo ubitą ziemię pod stopami. - Ale Bóg to stworzył, Will, chłopie, to jego tajemnicze dzieło, od początku do końca.

Wyższy oficer w eleganckim szarym mundurze wkroczył na dziedziniec w asyście porucznika i czterech żołnierzy pod bronią. Nie ulegało wątpliwości, że to jakaś ważna figura, gdyż miał kapelusz z piórem i przepasany był bordową szarfą. Żołnierze pomogli mu wejść na podwyższenie. Wśród więźniów przeszedł szept na widok jego epoletów. Zaczekał, aż się uciszą, po czym przyłożył zwinięte ręce do ust. - Nazywam się generał major Nathaniel Wayne - powiedział. - Za zezwoleniem gubernatora Browna mam wam ogłosić, że wasze wyroki zostaną skasowane, wszystkie, co do jednego, jeżeli wstąpicie do milicji i przysięgniecie bronić naszego wspaniałego stanu, naszej Georgii, pod moim dowództwem!

28

Strażnicy postawili za nim stół i krzesło.

- Macie trzy minuty. Trzy minuty, by złożyć przysięgę i zaciągnąć się, ze wszystkimi prawami i przywilejami, przysługującymi w tej służbie. W przeciwnym razie wróćcie do klatek i będziecie tam siedzieć, póki piekło nie zamarznie.

Wśród więźniów nastąpiło poruszenie. Jedni byli za, inni, którym wyroki już się kończyły, woleli trzymać się od wojska z daleka. Arly potrząsnął głową. Przypominało to debatę sejmową. Któryś z przestępców krzyknął: Wolę siedzieć tu, niż żeby mijają odstrzelili!

Wszyscy mówili na wyścigi. - To nie są głupi goście - rzekł Arly. - Atlanta poszła z dymem, a wojna zbliża się w te strony. Jeśli w milicji tak bardzo brakuje ludzi, że gotowi są dać broń zwykłym kryminalistom, wiesz, jakie mamy szansę, że wyjdziemy z tego cało?

-Marne?-rzekł Will.

- Właśnie. Nie wiem jak ty, Willie - rzekł Arly, wysoko unosząc rękę. - Ale mnie jest bez różnicy, jak mnie zabiją.

Po kilku godzinach, już jako milicjanci, znaleźli się w oddziale wyznaczonym do obrony drewnianej estakady na rzece Oconee, jakieś piętnaście mil na południe od miasta. Przyczaili się w grząskim błocie pod zwisającymi płatami mchu na wschodnim brzegu. Mieli muszkiety i ładownice z nabojami, suchary w kieszeniach, buty bez onuc i znoszone, okrwawione mundury, wciągnięte na więzienne drelichy. Za płaszcz służyły im koce. Było tak zimno, że gdy stąpnęli w błoto, ich buty odcisnęły nieregularny ślad na cienkiej warstwie lodu.

Tabor, który ich tu przywiózł i utknął w koleinach, miał działa polowe umocowane na platformie. Na zachodnim brzegu kadeci z Akademii Wojskowej, którym przypadł

Jf

29

w udziale zaszczyt przyjęcia na siebie głównej siły uderzenia wroga, okopali się za umocnieniami z podłoża leśnego.

- Można by pomyśleć - rzekł Arly - że powinniśmy zająć pozycje w mieście, by bronić tam kobiet i dzieci, ale one najwyraźniej nie mają znaczenia militarnego.

Zerknął na Willa. Nawet żując suchar, chłopak miał grobową minę.

- Trudno cię rozruszać, co, Willy?

- Jak to?

- A to, że wyrwaliśmy się z tych cel. Jesteś strasznym, ponurym sukinsynem, jak na człowieka, który właśnie uciekł z objęć śmierci.

- Kiedy tak siedzę pod tym drzewem, lodowata woda spływa mi po karku i czekam, aż armia rozetrze mnie na proszek, nie widzę specjalnej różnicy.

- Ale przynajmniej będziesz mógł zabrać ze sobą paru jankesów. I tak sobie myślę... podpisaliśmy dokument, który stwierdza, że odbyliśmy już karę. Jak można odbyć karę śmierci? Jedyne sposoby to, że cię stracą i zmartwychwstaniesz.

- Niczego takiego sobie nie przypominam.

- Ja też nie. Drugi sposób odbycia kary śmierci to odpuszczenie grzechu. Ale o tym decyduje Bóg, a nie żaden generał. Nawet gubernator nie ma takiej mocy. Ocaliliśmy rządzeniem boskim, bo to poważna, nadprzyrodzona sprawa, taka przemiana śmierci w życie. Mam rację?

- Chyba tak.

- Bóg chyba nie wybawiałyby nas od plutonu egzekucyjnego tylko po to, żebyśmy zdechli w tym błocie przy estakadzie, co? Odpowiedź brzmi: jasne, że nie. Więc okaż należytą radość.

W tym momencie po raz pierwszy dojrżeli wroga - grupkę kawalerzystów w niebieskich mundurach, za

drzewami na przeciwległym brzegu, którzy ściągali wodze, gdy konie stawały dęba, spłoszone hukami salw. Will z ulgą stwierdził, że to zwykli ludzie. Ale potem odbiegła go wszelka myśl, jakby jakakolwiek refleksja była folgowaniem sobie. Później przyszło mu do głowy, że choć jest dezerterskim, sprawił się dzielnie, lecz w tej chwili był jedynie dodatkiem do muszkietu. Ukląkł i strzelał, ładował i znowu strzelał. Już nie czuł zimna. Jakby powietrze rozgrzało się od wystrzałów. Za nimi grzmiąca ogłuszająca kanonada. Gdy gruchnęło działo polowe, Willowi mało nie rozerwało bębniaków i na chwilę zapadła cisza. Korony drzew na przeciwległym brzegu rzeki odpadły w ciszy, skazańcy na jego linii strzału chwycili się za pierś i padli w milczeniu. I wtem, ni z tego ni z owego, znowu wybuchła wrzawa. Obok niego Arly niewzruszenie zdmuchiwał smugę dymu z lufy muszkietu. Z drzew, wstrząsanych podmuchami wybuchów, spadały im na głowy kawałki lodu. Świszczały kule. - Dali im nowe karabiny reperujące - krzyknął Arly, podnosząc muszkiet do strzału. Jeden z jeźdźców w niebieskim mundurze dotarł do brzegu, gdzie dosięgła go kula, której siła omal nie wyrzuciła nieszczęśnika z siodła, przewracając konia, tak że obaj wpadli do rzeki.

Will nie miał pojęcia, czy kogoś zastrzelił. Nagle niebiescy wycofali się i zapadli w las. Jakiś oficer krzyknął -wstrzymać ogień! -1 w ciszy, która dźwięczała w uszach, ludzie zaczęli wiwatować. - Wiwaty uwięzną im w gardle przy następnym starciu - rzekł Arly. Will sapał jak po wyczerpującym biegu. Dym zalegał las.

A potem jankesi zaatakowali ponownie, równie nieudolnie jak za pierwszym razem. Jakby dopiero musieli się przekonać, że estakady strzeże wojsko. Will po każdym wystrzale zapadał się głębiej w błoto. Trzaskały kara-

31

biny, wybuchwały pociski, ostry śwąd bitwy wsącał mu się w nozdrza. Słyszał krzyki i wrzaski chłopaków, rżenie koni, póki oddziały unionistów, przeważające liczebnie, nie wycofały się ponownie. Teraz cisza wydawała się groźna. Dym unosił się między drzewami.

- Nie rzucili na nas głównych sił - powiedział Arly. - To raptem kawaleria wybrała się na zwiady. Teraz przyciągną ciężką broń, a gdy będziemy się nią zajmować, oskrzydlą nas pontonami z góry rzeki i zaleją.

Will pocił się, włosy miał wilgotne. Gdy otarł pot z czoła, spostrzegł, że ma pokrwawioną rękę. - Postrzelili mnie

- mruknął.

- Psiakrew, na to wygląda.

- Krew mi leci.

- Masz tylko elegancką bruzdkę w czaszce, i tyle - rzekł Arly. - Mówiłem ci, Bóg przeznaczył nas do innych celów. Co nie znaczy, że troszkę się z nami nie zabawi. Popatrz no tylko.

Z lewa i z prawa milicja złożona z kryminalistów podnosiła się ze swych stanowisk, rzucała broń i podawała tyły. Jakiś oficer krzyknął i wystrzelił w powietrze.

- Myśl słuszna, ale nie ten kierunek - powiedział Arly.

- Chodź za mną.

Zanim Will zdążył się zorientować, Arly wygramolił się z brzegu na most. Odwrócił się i kiwnął do kolegi. Przebiegli przez most, który miejscami się palił. Ludzie rzucali koce na płonące punkty i przydeptywali płomienie. Arly i Will rzucili im swoje koce, po czym pobiegli dalej. Po drugiej stronie teren był mniej grząski, a w porośniętych mchem przesiekach, skryci za stosami bali i kopcami ziemi, leżeli zabici i ranni kadeci z Milledgeville. Młodzieńcy nawet niedrażnięci snuli się w oszołomieniu. Niektórzy

32

plakali. Ich przełożeni krążyli między nimi, spychając ich z powrotem na pozycje, kułakami zmuszając do posłuszeństwa.

Arly przeprowadził Willa poza ich linie. Potykali się o trupy unionistów, zalegające przy torach kolejowych, a także padłe konie, które pojękiwały jak ludzie, usiłując podnieść łby z ziemi.

Z lasu dobiegły do nich echa głosów oraz trzask jaszczy przedzierających się przez zarośla. - Pośpiesz się - powiedział Arly. Zaczął ściągać mundur z martwego jankesa.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał Will.

- Znajdź coś na siebie, chłopie.

Will, rozejrzawszy się, zdjął kurtkę od munduru z trupa leżącego z rozrzuconymi nogami, który wydawał się mniej więcej jego wzrostu. Miał przestrelone oko. Will zdarł z niego spodnie i buty. Opór martwego ciała przyprawił go o mdłości. - Co my najlepszego robimy - mruzczał pod nosem, zgarniając spomiędzy traw zwiniętą pelerynę i kapelusz, choć były pokrwawione. Potem zauważył, że martwy żołnierz ścisną nowy repetujący karabin, więc odrzucił swój stary, odgiął zaciśnięte palce i wziął broń. Potem sięgnął po ładownicę i cynowy kubek.

Z tobołkami w rękach pobiegli, skuleni, brzegiem rzeki. Napotkawszy bezpańskiego konia, z nosem w żółknącej trawie, chwycili go za uzdę i poprowadzili dobrą milę wzdłuż rzeki. Tu się zatrzymali i przebrali w mundury unionistów.

Will trząst się w zimnej, wilgotnej odzieży. Twarz miał umazaną własną krwią. Chodził w kółko, starając się znieczulić na ucisk przymałej kurtki, która przylegała mu do pleców i piła pod pachami. Usiłował sobie przypomnieć, kto na drabinie społecznej znajduje się szczebel niżej od dezertera.

I

33

Arly siedział ze skrzyżowanymi nogami, oparty o drzewo. - Dzięki temu koniowi jesteśmy bogaci - rzekł. Poklepując się po piersiach, wyczuł flaszkę, jak się okazało, z burbonem. Odkręcił ją i pociągnął łyk. - HUU! Spróbuj, Willy, chłopie. No dalej. Jeśli masz jakieś wątpliwości, czy Bóg chce nas uratować, pokosztuj tego.

III

Qmily Thompson posłała Wilnę na górę, by posiedziała z nim w sypialni. - Postawiłam czajnik na palenisku, żeby sędziemu było lżej oddychać - rzekła. - Zawołaj mnie, jeśli się obudzi.

- Słucham, pszę panienki.

Zrobiła, co mogła - schowała kawę, cukier, mąkę, słoninę i dwie szynki w skrzyni na posąg, pod dwoma haftowanymi poduszkami i suknią ślubną matki. W spiżarni zostawiła sporo zapasów, by sobie nie pomyśleli, że coś ukryła. Potem narzuciła szal i stanęła na szczycie schodów, zamknąwszy za sobą frontowe drzwi. Była córką sędziego Sądu Najwyższego stanu Georgii, Horacego Thompsona i splótszy ręce w talii, całą sobą dawała poznać, jaką pozycję zajmuje w tutejszym światku, choć serce biło jej jak przerażonemu królikowi.

Na ulicy i w całej okolicy panował niezwykły spokój, gdy pojawili się pierwsi z nich. Konno lub na piechotę, nie przemykali się chyłkiem ani nie zachowywali się jak zdobywcy na podbitych ziemiach. I wyglądali tak młodo. Paru było w wieku Fostera Thompsona, gdy padł. Porucznik zsiadł z konia, otworzył bramę z kutego żelaza i podszedł podjazdem. U stóp schodów zsalutował jej i powiedział, że nie ma się czego obawiać. - Generał Sherman nie walczy z kobietami i dziećmi - oznajmił.

Najwyraźniej miał wygłaszać to oświadczenie każdemu, kto jeszcze pozostał w Milledgeville. Przed każdym domem, obok którego przejeżdżał, zostawiał żołnierza na straży. Szeregowiec, któremu kazano trzymać wartę przy bramie,

35

spojrzał na Emily i z uśmiechem przytknął palec wskazujący do ronda kapelusza. Dziewczyna skinęła mu głową i weszła do domu, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Gdy znalazła się na górze i wyjrzała przez okno biblioteki, na ulicy było ich już pełno. Mali dobosze wybijali rytm, ale żołnierze maszerowali niedbale, ucinali sobie rozmówki, śmiali się i nawet nie starali się utrzymać wojskowej postawy. Opadły ją złe przeczucia. I oczywiście, żołnierz, którego tak

wielkodusznie postawiono na straży przed jej domem, dojrawszy kumpli w przechodzącej masie wojska, dołączył do nich, nie oglądając się nawet za siebie.

A potem przybyło ich takie mnóstwo, że ulica nie mogła już pomieścić wszystkich i rozpełzli się po podwórkach jak rzeka, która wystąpiła z brzegów. Pojawiały się wozy kryte brezentem, zaprzężone w pary mułów; za nimi szli poganiacze mułów z zawiniętymi rękawami, a potem jechały jaszczce - na lufach armatnich raz po raz ostro rozbłyskały ostatnie promienie zachodzącego słońca, jakby unaoczniając mordercze przeznaczenie tego sprzętu. Szczelnie zaciągnęła zasłony, stanęła odwrócona plecami do okna i zamknęła oczy. Słyszała ryk bydła, pokrzykiwania, trzaski batów. To nie było wojsko, tylko plaga robactwa.

Do kościoła chodziła tylko z obowiązku, ale teraz pomyślała, czyby się nie pomodlić. O co miała by się modlić? Na co powinna mieć nadzieję? Bo nie może już się spodziewać, że Foster Thompson podjedzie tu, z szerokim uśmiechem, machając kapeluszem, by jej powiedziec, że nie jest duchem.

- Jadę walczyć z tyranią- oznajmił na pożegnanie, całując ją w policzek. Był tak chwacko pewny siebie w mundurze, symbolu ich stylu życia, ich wolności, honoru.

Teraz słyszała nie maszerujące wojsko, lecz zdezorientowanych ludzi, jakby sami nie byli pewni, gdzie się włąs-

36

ci wie znajdują. Gdzieś w oddali zabrzmiał sygnał trąbki. Dobiegały do niej poszczególne głosy, jakby przy bramie gromadzili się goście. Nie mogąc się powstrzymać, ponownie wyjrzała przez okno. Najwyraźniej zamierzali rozłożyć się w mieście obozem. Wszędzie - na dziedzińcach, na miejskim rynku na końcu ulicy. A teraz ktoś walił w drzwi. Wyszła na podest. Wilma wychynęła z pokoju sędziego, rzucając jej przerażone spojrzenie. Sędzia się obudził. - Co tam! Co się dzieje? - zawołał słabym głosem. - Nic, ojczy, nic takiego.

A potem, schodząc po schodach, cicho, gniewnie, rzuciła do Wilmy: - Przestań się trząsć, wracaj na swoje miejsce.

Otworzyła frontowe drzwi i cofnęła się, gdy chmara niebieskich przepchnęła się obok niej, obejmując dom w posiadanie.

Tej nocy nie zmrzyła oka. Jej i Wilmie nakazano przebywać w sypialni sędziego - tylko tyle miejsca jej przyznano. Leżała skulona na sofie. W mieście wybuchały pożary. Poznała to po migotliwym światełku, majaczącym na suficie. Chyba miała szczęście, że jej dom wybrano na kwaterę oficerów sztabowych. Polecili jej grzecznie, by nie ruszała się ze swego pokoju na górze, więc zaświtała jej nadzieja, że gdy stąd ruszą - a, z Bożą łaską, nastąpi to niebawem - dom bardzo nie ucierpi od ich panoszenia się. Ale przez cały wieczór słyszała śmiechy i gorączkowy ruch. Dzbanek, stojący na brzegu stołu, trząsł się od tupotu ich butów na dole. Dochodziły do niej odgłosy bieganiny wokół oficyn. Pod drzwiami snuły się smugi dymu tytoniowego.

Ich przytłaczająca męskość wyprowadzała ją z równowagi. Zdawała sobie sprawę, że to znajome uczucie

37

- odraza wobec rodzaju męskiego, jego zwierzęcości, tym bardziej jej wstrętnej, że oni w ogóle nie byli tego świadomi. Oni istnieli, poczucie tego pozostawiając jej. Owego wrażenia doznawała już jako młode dziewczę, gdy jej brat Foster przyprawiał do domu kolegów. Nawet Foster, kochany Foster, spychał ją z jej własnego życia. Jakimś sposobem zabierał więcej miejsca, niż się godziło. Miał nienasycony apetyt, na wszystko. Jakby żyła pod jednym dachem ze zwierzętami z dżungli - te ich spojrzenia, gdy z galanterią prawili uprzejmości. I to oni wszczęli wojnę. Kobiety nie rozpętują wojen - nie odjeżdżają galopem, wymachując mieczem i wyrzaskując hasła honoru i wolności.

Ale nie wierzyła, że wojna zniszczy jej dotychczasowe życie i skaże ją na stan wiecznego opuszczenia, dopóki nagle to do niej nie dotarło, i aż uniosła się z sofy. Co ją przeraziło? Mogła być teraz druga, trzecia rano. Ogień w kominku wygasł, na dole panowała kompletna cisza. Tylko promienie księżyca oświetlały wyziębiony pokój. Podeszła do łóżka ojca. Leżał spokojnie na plecach. Ale szczękę miał opuszczoną, a dłonie, zaciśnięte w pięści, spoczywały na kołdrze. Dotknęła jego policzka, który był suchy i zimny.

- Wilmo, Wilmo - wyszeptwała nieprzytomnie, jakby nie chcąc niepokoić ojca. Dziewczyna spała na podłodze u stóp łóżka. Emily potrząsnęła nią. - Obudź się, obudź!

Emily zbiegła ze schodów, wyszła z domu i pospieszyła do miasta, którego nie poznawała. Namioty na każdym podwórku, na każdym skrawku zieleni, jakby z ziemi wyrosły nagle niezliczone zęby. Popioły z ognisk, na których gotowano strawę, w księżycowej poświacie rzucały czerwone błyski. Konie przywiązano do latarni. Usłyszała dziwną muzykę, a podchodząc do placu Kapitolijnskiego

38

zobaczyła, że w świetle pochodni odbywały się tańce. Wesołe melodie wygrywała orkiestra wojskowa. Muzykanci, w rozpiętych kurtkach od munduru, grali na klawecie, na tubie i na piszczałce. A niewolnice i ich dzieci, wzięwszy się za ręce, tańczyły w kółko. Z kopuły kapitolu, siedziby administracji stanowej, powiewała jankeska flaga. Banknoty konfederacji wirowały w powietrzu i stały się na ziemi jak zwiędłe liście. Książki, wyrzucane z okien stanowej biblioteki Georgii, łapali stojący na dole żołnierze. Emily słyszała krzyki kobiety, dochodzące gdzieś z pogrążonego w mroku wylotu alei.

W domu doktora Stephensa było ciemno. Emily zastukała kołatką, zajrzała w okna. Pobiegła na tył. W stajni wiało pustką. Nie ma już doktora Stephensa. Nie ma Milledge-ville. Nie wiedziała, co robić. Puściła się pędem. Ujrzała jasne światło i pognęła w jego kierunku. Dziedziniec za jednym z budynków miejskich oświetlony był pochodniami. Stał tam rząd wozów pokrytych białym płótnem, muły wyjadały obrok z worków. Usłyszawszy jęki, wślizgnęła się pomiędzy dwa wozy z tyłu. Sanitariusze podnieśli żołnierza na sienniku. Ranny uniósł się na łokciu i uśmiechnął się do niej. Kurtkę miał przesiąkniętą krwią.

Nie zdążyła odwrócić wzroku od czegoś, co leżało na ziemi przed otwartymi drzwiami stodoły. Nie mogła uwierzyć, że spogląda na oślizgły stos odciętych ludzkich rąk i nóg.

Stodoła była w środku tak jasno oświetlona licznymi latarniami, że wyglądało to jak pożar. Chirurg wojskowy stał przy stole w otoczeniu grupy sanitariuszy. Odwrócił się, by na nią spojrzeć, i

wymamrotał coś pod nosem. W tym przerażającym momencie zapadł na zawsze w pamięć Emiliy. Chirurg był niskim mężczyzną o foremnej sylwetce, na którym, jak się wydawało, te jatki nie robiły

39

szczególnego wrażenia. Mundur przykryty miał gumowym fartuchem. W ręce trzymał zakrwawioną piłę. Spod jego krzaczastych brwi wyglądały bladoniebieskie oczy. Zdało się jej, że wyrażały niepokój, będący odbiciem jej własnego wzburzenia. Podbiegł do niej sanitariusz. - Tu nie wolno wchodzić, panienko - powiedział, zwracając ją do drzwi. - Potrzebuję lekarza - rzekła Emiliy. Coś się stało mojemu ojcu, sędziemu Thompsonowi.

Powiedziawszy to, zastygła bez tchu. Wiedziała, co się stało ojcu. Umarł.

Wrede Sartorius jako pułkownik był przełożonym młodych oficerów, którzy kwaterowali w domu Thompsonów. Kazał im się wyprowadzić.

Staruszek rzeczywiście wyzionął ducha. Śmierć starca ma w sobie coś niemal dziwnego. Twarz na poduszce wpatrywała się ślepo w górę, jakby podróż do niebios już się rozpoczęła. Przy zamkniętych oczach nos wydawał się coraz większy.

Wrede oświadczył panie Thompson, że może postarać się o trumnę. Uśmiechał się smutno. Mamy wszystko. Zaspokajamy wszelkie potrzeby.

Uprzejmość chirurga niezwykle wzruszyła Emiliy. Zarazem utwierdziła ją w mniemaniu, że są to zaledwie należne jej względy.

Gdy Wilma poszła sprowadzić ojca McKee, zastała go w stanie takiego wzburzenia, że ledwo zdołał wyruszyć z nią w drogę. - Św. Tomasza barbarzyńsko splądrowano

- oznajmił Emiliy. Wynieśli ławki na opał do ognisk. Zbeczcęcili ołtarz. Czy ci ludzie uważają się za chrześcijan?

- zapytał Emiliy wielbny ojciec. I w końcu to ona, świeżo osierocona, musiała go pocieszać.

Rankiem żołnierze wymaszerowali, kroczyli przez miasto w niekończącym się pochodzie. Więzienie podpalono.

Z miejskiego arsenału dochodziły stłumione wybuchy. Milledgeville legło w ruinie - potłuczone szyby, stratowane ogrody, złupione sklepy.

Wrede nalegał, by pogrzeb odbył się niezwłocznie. Zapewnił asystę konnego gwardzisty. I tak pojedynczy powóz powiózł trumnę pośród miejskiego ruchu i dalej z boczem góry na cmentarz, gdzie znamienitego sędziego Thompsona złożono na wieczny spoczynek. Emiliy roniła łzy z powodu tak krótkiej ceremonii żałobnej. Zwłoki ojca należało wystawić na widok publiczny. - Był wielkim człowiekiem - oznajmiła Wrede'owi w drodze powrotnej. Przytykała chusteczkę do kącików oczu. - Jego orzeczenia przeszły do historii prawodawstwa. Gdyby was tu nie było, dzwony żałobne biłyby we wszystkich kościołach Georgii i całe miasto przysłoby złożyć mu ostatni hołd. Owszem, Murzyni też, bo był dobrym, wielkodusznym człowiekiem.

Wrede się nie odzywał. Wedle niego, Emily Thompson od początku wiedziała, że ojciec umrze, że stanie się kolejną ofiarą wojny. Nie zauważyła, że w innej części cmentarza unioniści grzebali pod Oconee River rannych, którym medycyna nie mogła pomóc. Nie dostrzegła też, że Wrede okazuje jej nadzwyczajne względy. Wrede był naturalizowanym obywatelem, z pochodzenia Niemcem. Jego dworność miała europejski szlif. W zachowaniu tej młodej kobiety rozpoznał coś na kształt prowincjonalnej arystokratyczności. Była wdzięcznym stworzonkiem o jędrnym biuście i ściągniętych w ciup usteczkach, których, dałby głowę, nikt jeszcze nie całował. Ale w jej oczach błyskał ogień, którego smutek nie przygasił.

Wojsko opuszczało Milledgeville. Wrede się pożegnał. Podał, w której brygadzie służy i zapowiedział, że jeśli bę-

41

dzie tędy przejeżdżał, pozwoli sobie znowu zajrzeć. Złożył wyrazy współczucia i zamknął za sobą drzwi.

Północne i południowe skrzydła armii Shermana spotkały się w Milledgeville. Przez cały dzień przez miasto maszerowali żołnierze, najpierw ci, którzy wcześniej rozlokowali się tu w kwaterach, a potem następni. Szli i szli. Emily stała przy oknie. Niekończący się pochód ludzi, jaszczce, tabory z żywnością, ambulanse, stada bydła. Mali dobozse wybijali rytm każdej kompanii. Usiłowała odcyfrować liczby na proporcach pułkowych.

Jej ulicę ocieniały młode drzewa. Żołnierze i wozy zbaczali z głównej drogi w ogrody i aleje, podczas gdy czarni saperzy dwuręcznymi piłami ścinali drzewa. Inni czarni robotnicy odrąbywali gałęzie, a jeszcze inni ładowali pnie i konary na ciężkie, dwukołowe wozy ciągnięte przez zaprzęgi sześciu i ośmiu mułów. Szło to bardzo sprawnie, zda się, że w ciągu paru chwil miasto stało się płaskie. Emily uwielbiała tę aleję młodych drzew i widok owego pogromu tak ją poraził, że zauważyła tylko, jak bardzo zmieniło się światło w jej domu. Z oddali słyszała orkiestrę pułkową, jakby uczestniczącą z nią w smutku. Postanowiła nie czekać już dłużej na ponowne pojawienie się chirurga o nienagannych manierach i dziwnym nazwisku: Wrede Sartorius.

Wilma sprzątnęła pościel z pokoju sędziego. Otworzyła okno, wpuszczając zimne słońce, po czym zamiotła, starła kurze i spakowała lekarstwa sędziego do pudełka. Dopiero gdy schowała do szafy jego ranne pantofle i szal, pomiędzy ubrania, żakiety i wysoki cylinder, wybuchnęła płaczem. Na dole szalała jak cyklon, zmiatała naniesioną ziemię, popiół z wypalonego tytoniu i cały bałagan, który zostawili wojskowi. Wilma pracowała z właściwą służbie

42

zaborczością. Gdy Emily Thompson doszła do siebie na tyle, by się rozejrzeć, dom wyglądał jak należy, zostało tylko parę śladów po intruzach i krzesła z połamanymi nogami.

Dwie kobiety zwinęły czarne flagi z okien na piętrze. Emily, z rozpuszczonymi włosami, opadającymi jej na twarz, siedziała w kuchni, suchymi oczyma wpatrując się w przestrzeń, podczas gdy Wilma robiła herbatę. Emily nie zdążyła jeszcze jej dopić, gdy zorientowała się, że służąca stoi obok niej, ubrana do drogi, z podrózną torbą w ręce. Wpatrywała się w brązową twarz, jakby jej nigdy przedtem nie widziała. Znajome były ciemne, lekko skośne oczy. Ale teraz odwzajemniały jej spojrzenie.

Szerokie okrągłe czoło, stanowczy zarys ust i wystające kości policzkowe należały już nie do dziewczyny, ale do przystojnej kobiety. Nie było w niej cienia uległości. - Czas na mnie, panienko Emily - rzekła Wilma. Wychowały się razem, Wilma była może rok czy dwa młodsza. - Dokąd się wybierasz? - spytała Emily. - Razem ze wszystkimi

- odparła Wilma. Emily wybiegła za nią. - Zaczekaj, zaczekaj - krzyknęła. - Wilmo, proszę, zaczekaj chwilę. Emily pomknęła na górę do sypialni, gdzie stała skrzynia posażna jej matki. Wyciągnęła z niej worek jutowy z żywnością i po wyjęciu paru rzeczy dla siebie zawiązała go z powrotem i zniosła na dół. - Weź to, proszę. - Wilma potrząsnęła głową. - Weź, to jest moje ostatnie polecenie

- rzekła Emily. - Na miłość boską, weź to! Przechodzili już ostatni żołnierze, a za nimi ciągnął pochód czarnych, którzy postanowili ruszyć za wojskiem. Były ich setki; mężczyźni, kobiety i dzieci szli, jechali na wozach, niektórzy kuśtykali, a hałas, który podnosili, różnił się od zgiełkliwego przemarszu wojska. Tej procesji nie towarzyszyły werble, turkot jaszczy ani donośne tony

43

trąbek wojskowych. Wędrowcy wydawali nierytmiczne, radosne dźwięki, wesoły świergot, niczym ptaki na drzewie, z którego zrywał się śmiech bądź zwrotka piosenki. To odgłosy zbiorowego podniecenia, jakby ci ludzie coś świętowali i szli na zebranie w kościele albo na piknik. Dzieci, o wysokich, piskliwych głoskach, podskakiwały w rytm, udawały żołnierzy albo biegały tam i z powrotem. Emily stała w drzwiach, przyglądając się temu pochodowi, a Wilma wślizgnęła się w tłum, rzuciła jej spojrzenie przez ramię, uśmiechnęła się, pomachała nieśmiało i zniknęła.

A potem miasteczko Milledgeville, opustoszałe i ciche, ugrzęzło w nieładzie. Papierzyska, miotane podmuchami wiatru, ocierały się o ściany domostw, a niedopalone węgle z ognisk pomykały po ulicach. W powietrzu unosił się gryzący smród. Gdy wybuchła wojna, Emily nie wiedziała, co to oznacza. A oznaczało to śmierć całej rodziny. Oznaczało śmierć Thompsonów. Czuli się pusta w środku, jakby nie miała już czym ich opłakiwać. Potęga wojny i jej skutki odarty ją z całej przeszłości. Błąkała się po domu, w którym przeżyła dotychczasowe życie. Jeden pokój po drugim przypominał jej wszystkie minione lata. Stała w drzwiach sypialni ojca. Dawny, pełen życia rodziciel, jego postać i czyny, nastrój dostojeństwa, który wokół siebie roztaczał, szacunek, jakim się cieszył, przystojna, ogorzała twarz, grzywa siwych włosów - wszystko to wyparł z jej pamięci żalobny obraz tego człowieka nad grobem, słabego i jęczącego, a potem trupa z zastygłymi w powietrzu, zaciśniętymi pięściami. Nie zdoła wymazać z pamięci jego martwego oblicza. Myślała o nim teraz, jak leży w trumnie pod ziemią. O tak zwanych szczątkach. I o szczątkach matki. I o szczątkach brata, Foster, pogrzebanych gdzieś w Tennessee. Zadrżała i mocniej owinęła

44

się szalem. Jakie to straszne. Jak potwornie straszne. A czy z niej też pozostały tylko szczątki? Czy ten dom jest jej grobem?

W ślad za armiami unii pojawił się oddział kawalerii generała Hooda. Mieszkańcy wyszli na ulice, by go powitać. Partyzanci schwytali trzech unijnych maruderów, w tym małego dobosza. Więźniów, z powiązanymi z tyłu rękami, prowadzono na sznurze jak bydło, a gapie szydzili z nich. Emily obserwowała z okna, jak jej sąsiedzi, którzy przedtem pochowali się jak myszy w norach, witali teraz żołnierzy niczym bohaterów. Przez miasto przeciągał drugi pochód, obszarpańców - paru

mieszczuchów szło za konną grupą nadętych ordynusów, którzy zwycięstwo zamierzali przypieczętować egzekucją dwóch mężczyzn i chłopaczka. Tak przedstawiała się odpowiedź secesjonistów. Emily była przerażona.

Zapakowała parę rzeczy do jednej torby podróźnej i mały zapas żywności do drugiej. Włożyła zimowe palto, wzięła także koc dla ochrony przed zimnem, po czym poszła do stajni i zaprzęła do powoziku konia pociągowego, który przedtem należał do sędziego. To był kolejny prezent od chirurga wojskowego Wrede'a Sartoriusa, który dopilnował, by ich konia nie zarekwirowali unioniści. Wyjeżdżając z miasta, nie obejrzała się nawet za siebie. Ściągnęła lejce. Wiatr osuszył jej łzy. Wiedziała, w którą stronę pomaszzerowało wojsko. Trzeba jechać bitym traktem, a niebawem usłyszysz się dźwięk niezwykły w tej okolicy. A potem poczuje się ten zapach.

IV

I le omieszkali pomazać błotem insygniów swojej jednostki. Ale niepotrzebnie się trudzili. Z powrotem w mieście znaleźli się po zmroku. W Milledgeville mieściła się ważna komenda. W rezydencji gubernatora roilo się od oficerów unii. Will widział ich przez okno. Zajęli też budynek stanowego parlamentu - krzyki i śpiewy rozlegały się po okolicy. A tak, popijali tęgo i kładli nogi na biurkach. Zesztywniały, spocony, a zarazem trzęsący się z zimna w mundurze kaprała Will niepokoił się, czy nie rozpozna go ktoś z administracji więzienia albo jakiś strażnik. Układał w głowie linię obrony - przecież go ułaskawiono. Ale niepotrzebnie się trapił - strażników nie było. Nie został nikt z administracji więzienia. Wszyscy, poczynając od gubernatora, wzięli nogi za pas. Z głodu i zmęczenia mieszało mu się w głowie.

Teraz z kolei Arly siedział w siodle, a Will maszerował u jego boku.

- Will, chłopie, w ogóle się nie odzywasz. Przestań się zadręczać, to nie pomaga naszej sprawie.

- Ciężko człowiekowi być przeklętym zdrajcą.

- Masz się za takiego? Spójrz na to od innej strony. Możesz uważać się za lojalnego syna Południa za liniami nieprzyjaciela, za szpiega, na ten przykład.

- Sam już nie wiem, kim jestem, odkąd wszedłem w skórę jakiegoś trupa.

- Po pierwsze, jesteś głodny. Chyba tam dalej, na tej ulicy, będzie można coś przetrącić. Czujesz ten zapach? No chodźże.

46

Dojrzał ognisko na dziedzińcu przed domem, gdzie okazały stos palików z rozebranego ogrodzenia płonął żywym ogniem. Na ganku domu stała para starszuchów. Obok nich defilowali żołnierze, jedni wchodzili, inni wyłaniali się z naręczami łupów. Kobieta klęta, mężczyzna poklepywał japo ręce.

- Ładuj się tam razem z nimi - wymamrotał Arly kątem ust. - Jakbyś był jednym z nich.

- A ta szkapa?

- Później jej zadamy jakiegoś obroku. Teraz trzeba porządnie ją przywiązać, żeby nikt jej nam nie świsnął.

Z tymi słowy Arly podjechał do stopni werandy i przez frontowe drzwi wtoczył się do holu, gdzie przywiązał konia do słupka balustrady. Ten manewr wywołał śmiech chłopców unii i wrzaski staruszki.

I tak Arly i Will włączyli się do gry, buszując w spizarni, a potem w piwnicy, gdzie znaleźli worki ze słodkimi ziemniakami. Will obawiał się, że ta rozochociona, zwycięska banda kumpli z jednej kompanii nie powita ich po chrześcijańsku, ale gdy wyłonili się z Arlym, wystarczyło, że rzucili przy ognisku swoją część łupów. Większość wojaków i tak była już mocno podchmielona.

Do oczu Willa napłynęły łzy. Na rożnach obracały się kurczęta, w żarze piekły się ziemniaki, na patelniach smażyono bekon i kapustę. Widział stoiki z przetworami warzywnymi i owocowymi, a także bochny prawdziwego chleba. Sierżant hojnie nalał mu z butelki do cynowego kubka. Will, skrzyżowawszy nogi, usiadł na trawie i zabrał się do pałaszowania najlepszego posiłku, jaki mu się trafił, odkąd pożegnał rodzinny dom. Z pełnymi ustami i tłuszczem skapującym mu po brodzie zaczął się zastanawiać, czy aby naprawdę wszyscy ludzie nie są braćmi.

Później, gdy wzeszedł księżyc, Arly wypalił cygaro i miarkując się trochę z wrodzonej skromności, opowie-

47

dział o swych bohaterskich wyczynach nad rzeką Oconee, czego wysłuchano z należyтым szacunkiem, który mogła wszakże wzmocnić jego porucznikowska kokarda.

Lecz Arly nie tylko gadał, ale i słuchał. Gdy wraz z Wil-lem powiedzieli już wszystkim dobranoc, znaleźli obrok i przegrodę dla konia w stajni za opuszczonym domem i rozgościli się w salonie na piętrze, Arly oświadczył Willowi, że wojsko wyrusza jutro o świcie. Kawaleria dla zmylenia przeciwnika uda, że kieruje się do Augusty, ale tak naprawdę podąży do Savannah.

- Czy generał Sherman o tym wie? Może powinienś go zawiadomić?

- Synu, ten generał jest niemal za sprytny, żeby być generałem, ale skoro w Augustie zgromadzono siły, jak myśli każdy, z kim rozmawiałem, to po co tam leżać? A przecież jest jeszcze flota unii, jak mi się zdaje, a na tych statkach, jak twierdzą, przycajonych pod Savannah, będzie poczta, zaopatrzenie, nowe buty i żołąd, którego nie dostaliśmy od zamierzczłych czasów.

- My? Myśmy nie dostali? Myślałem, że jesteście szpiegami rebeliantów.

- No i co z tego? Tamci dobrze płacą. I nie tą makulaturą, którą rzuca nam JeffDavis.

Połamali parę krzesel i szuflad z biurka na ogień, który rozpalili w kominku. Arly rozłożył się na sofie, Will umościł się na podłodze, kładąc sobie pod głowę tapicerkę z krzesła w charakterze poduszki. Przykryli się kawałkami dywanów, które pocięli bagnetami.

Przed domem unioniści śpiewali:

Mijają lata, Loreno, Na trawie znów śniegi są, Słońce zachodzi, Loreno, A klomby pokrył szron...

48

Na ulicach znowu od czasu do czasu rozlegały się krzyki - widomy znak, że oddział rozkłada się na noc. Willa uderzyło, że armia obozuje zawsze tak samo - czy to w lesie nad strumykiem, czy w środku miasta, pośród domostw i budynków publicznych: karabiny ustawia się w kozły, rozstawia warty, a trębacz gra sygnał gaszenia świateł niezależnie od tego, czy wojsko stacjonuje w leśnym gaju, czy w wielkiej metropolii.

- Nie ma potrzeby zrywać się wraz z nimi o świcie - rzekł Arly. - Zaczekamy na wozy z żywnością, ambulanse i takie tam. To trochę potrwa. Zadekujemy się razem z armią doktorków, kucharzy i gryziopiórków, którzy wiedzą o wojnie tyle, co paniusie w salonie. Ci nie będą urządzić apeli.

Will obudził się długo po sygnale pobudki, który przeszył mu uszy przez sen. Uniósł się na łokciu, nasłuchując turkotu wozów albo werbli brygady z rozciągniętych tyłów Dwudziestego Korpusu. Niczego nie słyszał. Słoneczne światło zalewało całą podłogę. Miał wrażenie, jakby to było samo południe. Podpełzł do okna. Ulica była pusta.

Wojsko odeszło.

Obudził Arly'ego i po chwili zbiegli po schodach i popędzili przez drzwi od tyłu do stajni.

Ktoś wyprowadzał ich konie za uzdę. Rebeliant w szarym mundurze. Serce podskoczyło Willowi do gardła. O mały włos nie zagadał przyjaźnie do chłopaka. Ale Arly ruszył do bitki. Gdy obaj padli na ziemię, obcy wojak nie puścił uzdy i koń, z wykręconym łbem, wparł się mocno przednimi nogami w ziemię, by się nie zwalić. Ale rżał jak szalony.

Do Willa powoli dochodziło, że nie powinni robić tyle hałasu, skoro ludzie Hooda idą w ślad za unionistami. Spojrzał na swój mundur.

49

Teraz wojak puścił szkapę, by mieć wolne obie ręce. Był mniej sprawny, lecz cięższy od Arly'ego, toteż tarzali się w trawie, przewalając się jeden na drugiego, szarpiąc się i sapiąc w rosnącej chmurze kurzu. - Will - wrzasnął Arly. - Will! - Chodziło mu o konia, który omal nie zwałił chłopaka na ziemię, gdy stanął dęba i pogalopował wokół domu na ulicę.

Will, rzuciwszy się w pościg, zauważył grządkę chryzantem, ciągnącą się wzdłuż bocznej ściany domu - mnóstwo skromnego żółtego i białego kwiecica, zwieńczonego obwódka popiołu i drżącego w podmuchach wietrzyku. Pomyślał sobie, że błogosławieństwem jest bezruch i bezmyślność roślinnego życia, że ma ono swoje zalety, a tymczasem od ulicy za dziedzińcem od frontu dwaj re-belianccy kawalerzyści puścili się w galop za uciekającym zwierzęciem, trzej inni zaś zwrócili ku niemu swe wierzchowce, jeden z wyciągniętą szablą, drugi z odwiedzionym kurkiem pistoletu, a trzeci z szerokim uśmiechem na nieogolonej twarzy, odsłaniającym szczerbę po dwóch zębach.

Will stanął jak wryty. Wyciągnął ramiona w geście powitania, jakby obejmował powietrze, lecz powstańcy woleli uznać to za akt kapitulacji. Zaśmiali się, a wojak z pistoletem w dłoni dla zabawy wystrzelił mu kulę pod nogi.

Na ulicę wychodzili kryjący się dotąd po domach mieszkańcy. Z uniesieniem patrzyli na swych żołnierzy, przybyłych, by ich uratować. Will stał jak skamieniały, zastygł z uniesionymi rękami. Wiatr ometał mu nogi gazetową płachtą. Do jego otwartych ust nawiał pyłu. Na błękitnym niebie dym z

tlących się ruin więzienia ulatniał się niczym uchodząca armia, z którą wiązał nadzieje. Jeden z jeźdźców przejechał truchtem obok niego z powrotem do stajni. Will modlił się, by przeciwnik pokonał Arly'ego w bójce.

50

Bo jeśli Arly zwycięży, jeżeli zabije rebelianta, w końcu jednak zostanie stracony tu, w Milledgeville, choć jako dezertjer przeniósłby się na tamten świat z większą pompą. Ale z drugiej strony nie chciał, by Arly zginął, bo Arly ucieleśniał dlań wątpli, lecz jeszcze tłący się promyczek nadziei, który zabłysł w najgorszym momencie dziewiętnastu lat jego nieszczęśliwego życia, gdy pragnął tylko, by to się raz wreszcie skończyło.

Parę minut później Willa, Arly'ego i jeszcze jakiegoś zabłąkanego dobosza, na którego natrafili rebelianci, prowadzono skrępowanych środkiem ulicy. Szedł za nimi narastający tłum. Co rusz jakiś żołnierz zerkał na nich z siodła i spluwał. Ktoś rzucił kamieniem, który trafił małego dobosza w plecy. Chłopiec się potknął.

Arly powiedział coś i musiał to powtórzyć, gdyż Will nie rozumiał jego słów. Arly miał opuchnięty policzek, przymknięte oko, obrzmiałą dolną wargę, a do tego stracił kilka zębów. Kuśtykał też, bo gdy podnosił się znad rozciągniętego na ziemi przeciwnika z uniesionymi rękoma, dostał kopniaka w żebra. - Twoi ziomkowie - stwierdził Will.

- Moi ziomkowie? O to ci chodzi?

Arly skinął głową w stronę ludzi, którzy biegli obok, wyśmiewając się i szydząc. - Twoja krew - powiedział.

C,

larke zdawał sobie sprawę, że względy, jakimi otacza Pearl, wywołują u jego ludzi cyniczne i prześmiewcze komentarze. Pearl nie była pierwszą uwolnioną Murzynką, którą obdarzono szczególną przychylnością. Dziewczęta

O jaśniejszym kolorze skóry wyłuskiwano z tłumu wędrowców i ukrywano w wozach. Dostawały smakołyki

1 stroje, zrabowane na plantacjach. Z Pearl sytuacja była zupełnie inna, lecz Clarke wiedział, że nie ma sensu niczego tłumaczyć. Zresztą, nie rozumiał swojego postępku. Sam był zdziwiony, jak bardzo to dziecko go wzruszało. Chciał pomóc Pearl. Chciał się nią zaopiekować. A jednak zdawał sobie sprawę, że dziewczynka pociąga go w sposób nieestosowny. Zauważył, jak się nosi, z pełną gracji dumą, w której nie było nic wyuczonego - miała wrodzone poczucie godności. Porównał ją do znajomych pań z Bostonu. Wszystko, co robiły i mówiły, było wystudiowaną pozą. Brakowało im oryginalności, gdyż wymogi etykiety wypłeniły z nich wszelki talent, jeżeli już się w nich objawił. Uprawiała sztukę tylko w celu zdobycia męża.

Pomyślał, że może w Pearl płynie krew afrykańskich królów, bo skąd wzięłaby się w niej owa gniewna, tak władczą inteligencja? Jej jasne, kocie oczy widziały wszystko. Nie ufała mu. Do mężczyzn nastawiona była krytycznie. Uważała, że są brudni i nie omieszkała mu tego powiedzieć: -Wy, białe pany, cuchniecie jak capy w stajni jaśnie pana. Łeb pęka.

- Głowa boli.

- Boli, jeszcze jak. Chryste! Nawet od moich śmierdzących braci w domu tak nie jechało. Rzygać się chce.

- Niedobrze się robi - powiedział.

- Niedobrze się robi od tego smrodu. Wasi ludzie nigdy nie myją sekretnych części ciała, srają na ziemię i idą dalej, jak zwierzęta.

- Zwierzęta - powiedział.

- Właśnie. Włosy smarują smarem do broni i Bóg jeden wie, co tam jeszcze hodują i nogi im niemożliwie cuchną. Jejku! Matki jeich nie nauczyły?

- Ich - powiedział.

- Głupio się pytam.

Sama Pearl szorowała się co wieczór szarym mydłem w misce zimnej wody w namiocie Clarke'a, podczas gdy on trzymał straż na zewnątrz. Potem szła spać w namiocie obok. Clarke chciał, by jego ludzie wiedzieli, że dziewczyna jest pod jego opieką, lecz że on sam zachowuje się jak dżentelmen. Przez parę pierwszych dni podśmiewali się i wymieniali uszczypliwe uwagi, lecz potem jakby zrozumieli sytuację, pogodzili się z nią, a zachowanie dowódcy wzięli za dobrą monetę. Oni również otoczyli dziewczynę staraniem. Sierżant Malone sprokurował dla niej mundur dobosza. Z początku była zadowolona. Obozowali wtedy w sosnowym lasku, gdy wyłoniła się z namiotu w kurtce mundurowej i spodniach, i stanęła, czekając na słowa zachwyty, choć wszystko było odrobinę zbyt obszerne. Nałożyła też kapelusz, a srebrne guziki wyczyściła do połysku. Lecz potem opadły ją wątpliwości.

- Nigdy nie grałam na werblu - powiedziała.

- To żadna sztuka - odparł Malone. - Nauczmy cię.

- Chyba mi nie pasuje udawać białego dobosza - rzekła do Clarke'a.

- Co takiego?

53

- Jestem za ładna na dobosza. A do tego nie jestem biała, a rozumiem, że mam robić za białą.

- Z czasem, Pearl - rzekł Clarke - czarni będą musieli wrócić. Takie są obowiązujące rozkazy generała Sherma-na. Chyba nie chcesz wrócić, co?

- Spaliliście dom, zabraliście wszystkie zapasy. Do czego mam wracać?

- Właśnie. Gdy wygramy wojnę, władze wydadzą ustawy przyznające ziemię na własność byłym niewolnikom. Ale na razie nie mamy czym wyżywić tych, którzy ciągną za nami. Młodych mężczyzn

możemy zwerbować, ale kobiety, dzieci i starsi odpadną po drodze. I co się z nimi stanie? Tak będzie dla ciebie najlepiej.

-Ale dziewczyna nie bardzo nadaje się do strzelania.

Clarke sam był zdumiony, z jaką zimną krwią obchodzi rozkazy. Podczas marszu możesz bić w werbel, powiedział. A gdy wyprawimy się po furaz, będziesz jechała w wozie.

Pearl nie była przekonana. Zaczęła dochodzić do wniosku, że powinna trzymać się Jake'a Early'ego i reszty. Nie była to pociągająca perspektywa i dziewczyna sama nie wiedziała, dlaczego taka myśl przyszła jej do głowy. Nigdy nie byli dla niej dobrzy, i chyba nie powinna tu zostać, skoro jej pobratymców odsyłają z powrotem. To miło, że wojskowi robią koło niej tyle szumu. Dotąd się jej to nie zdarzało - ludzkie względy przyszły wraz z wolnością - ale teraz myślała o plantacji, o ukochanych polach i lasach. Znała każdy skrawek tej ziemi, na której żyła od urodzenia. Znała każdy strumyk, każdą skałkę, każdy krzew. Ale przede wszystkim obawiała się, że gdy jej tam nie będzie, grób jej matki pójdzie w zapomnienie, nikt się o niego nie zatroszczy, nie będzie go pielęgnował. Baraki niewolników nadal stały. A jeśli jest wolna, przecież wol-

54

no jej wrócić, skoro tego chce? Przymierać głodem, skoro się na to zdecyduje? Znowu być dzieckiem w niewoli Joh-na Jamesona, skoro tego pragnie?

Tak bijąc się z myślami, w nowym mundurze zasiadła do kolacji przy ognisku wraz z całym oddziałem. Dostała cynowy talerz z pieczoną nóżką kurczaka, słodkie ziemniaki i chleb z mąki kukurydzianej z sorgo. Już to samo powinno ją przekonać, ale w tym momencie z mroku wyłonił się Jake Early w towarzystwie jednookiego Jubala Samuela. Eskortowało ich dwóch szeregowców z bronią gotową do strzału.

- Jezus! A to co znowu? - rzekł sierżant Malone.

- Chyba jasne, że my nie som konfederaty - powiedział Jubal Samuels.

- Szukali my tego dzieciaka - rzekł Jake Early, wskazując na Pearl.

- Tu jest - odparła Pearl.

- Jeżeli znasz Biblię, panno Porl, pamiętasz Jezebel. Idziesz z nami - oznajmił Jake Early.

- Nie jestem żadno Jezebel.

- Widzę, że jeźdź z tym żołnierstwem. Biały tato już tak to zrobił, żebyś grzeszyła w białej skórze. Chono tera z nami, bo byndziesz Jezebel dla armii, jak twoja matka była Jezebel dla jaśnie pana Jamesona.

Pearl odstawiła talerz i się podniosła. - Moja mama była bidno niewolnico jak ty, Jacobie Early. Ale miała goronco, słodko dusze, nie kawał lodu w sercu, jak ty. Miałeś gdzieś Porl, Jacobie i ty, Jubalu Samuelsie - obydwaj mieliście mnie za nic. Jeden jedyny Roscoe o mnie dbał. Jak ojciec. Przynosił mi dobre rzeczy z kuchni, jak byłam głodna. Pilnował mnie. Ale wyście nigdy nie mieli serca dla biednej Porl, o co to, to nie, ani wtedy, ani teraz.

Clarke się podniósł. - Odprowadźcie tych ludzi z powrotem - rozkazał.

- Nikt nigdy nawet nie tkno Porl! Jak byłam mała, brat próbował. Noo. Walnęłam go tym kościstym kolanem w to, co tam miał, raz a dobrze. I starczyło, więcej nikt się nie poważył. Słyszysz, co mówię, Jacobie Early, wolny człowieku? Więcej nikt! I nie jezdź żadna Jezebel - wrzasnęła.

I tak Pearl powzięła decyzję, a gdy przyszła pora wymarszu z Milledgeville, została doboszem kompanii Clarke'a. Po prostu co drugi krok uderzała w bęben, a ludzie utrzymywali tempo, niektórzy uśmiechając się pod wąsem. Pearl szła ze wzrokiem wbitym przed siebie, wyprostowana jak świeca pod paskami munduru, ale wyczuwała, że biali patrzą na nich z okien. I nikt nie wiedział, że nie była zwykłym doboszem.

Na wschód od Milledgeville pogoda się zmieniła i ziemia stała się podmokła. Ulewny deszcz rozbryzgiwał się na karłowatych palemkach i z trzaskiem padał w błoto. Saperzy utwardzali drogę palikami z płotów i młodymi drzewkami. Clarke, podążający na przodzie z zaopatrzeniowcami, jako pierwszy przeprowadził swe wozy przez most pontonowy na Oconee. Potem teren nieco się podniósł i zrobił się twardszy, deszcz osłabł i zmierzając do Sandersonville, odbili się od głównych sił. Clarke chciał ogołocić miasteczko z wszelkich zapasów żywności i poczekać tam na resztę wojsk. Miał do dyspozycji trzydziestu konnych, sześć wozów i tyleż jucznych mułów.

Clarke wiedział z map, że na wschód od Sanderville gleba staje się coraz bardziej jałowa, a dalej, od Savannah, z zaopatrzeniem będzie gorzej, gdyż ziemie na nizinach nadają się tylko do uprawy ryżu. A jak, na miły Bóg, armia

ma łuskać ryż? Jego aprowizacyjne starania zyskały mu wiele pochwał ze strony dowództwa pułku, wdał się też w cichą rywalizację z oddziałem porucznika Henleya.

Na zakręcie drogi, ćwierć mili na zachód od miasta, kazał się zatrzymać. Sierżant Malone podjechał, by się naradzić. To nie była zwykła plantacja. Ponad wierzchołki drzew strzelała w górę wieża kościoła, widzieli też dach budynku użyteczności publicznej, zapewne sądu.

Zapadał wieczór. Clarke nie wyczuwał dymu, unoszącego się z kominów, nie błyskały też żadne światła.

- Sierzancie, weźcie ze sobą dwóch ludzi. Na piechotę i kryć się. Powiedzcie mi, co się tam dzieje.

Patrol ruszył, a Clarke czekał. Za nim, w mroku, rozlegał się stłumiony trzask skórzanych postronków, oddychały i prychały zwierzęta. Clarke podjechał do wozów i znalazł Pearl w ostatnim, siedzącą obok woźnicy. Jej oczy błyskały ku niemu w ciemności, jakby wchłonęły wszelkie dostępne światło, dla niego niewidzialne, lecz jej należne jako królowej.

Ruszył naprzód, naprzeciw patrolu. Malone zameldował, że w miasteczku panuje spokój, ulice są puste, lecz w oknach palą się światła. Składając raport, nie patrzył Clarke'owi w oczy, lecz wzrok miał

wbity w ziemię, co, jak rozumiał Clarke, znaczyło, że on, Clarke, zachowuje się tak, jak można się było spodziewać po rygorystycznym, nieznającym życia inteligenciku z Nowej Anglii.

A skoro tak uważał Malone, zapewne podobnie myśleli i inni. Kłęby mgły zaczęły zalegać okolicę. Clarke rozkazał swoim ludziom wyjąć karabiny z futerałów i kompania wjechała do Sandersonville.

Gdy rozpętała się strzelanina, woźnica ostatniego wozu znajdował się na rozdrożu na skraju miasteczka, tak że

,

57

pokrzykując i klnąc, zdołał obrócić wystraszony zaprzęg. Pearl zesza z kozła, wdrapała się na platformę i spojrzała na tyły. Nikt nie podążał ich śladem. Usłyszała wrzaski. Ujrzała ludzi spadających z koni pośród błysków ognia z muszkietów. Woźnica okładał batem muły i wóz potoczył się naprzód. Pearl zeskoczyła, lądując na czworakach. Pokuśtykała między zarośla i skuliła się w nich.

Po paru chwilach przegalopowały obok niej dwa konie bez jeźdźców. Po minucie zobaczył trzech czy czterech unionistów, a potem dwóch na jednym koniu. Potem nie dała już rady ich zliczyć. Modliła się, by porucznik jej nie opuścił.

Clarke nie mógł się wycofać, nawet gdyby miał taki zamiar. W ogóle nie myślał, usiłował tylko w panice ściągnąć wodze koniowi jedną ręką, jednocześnie strzelając z muszkietu, wciśniętego w zgięcie łokcia, do wszystkiego, co się rusza. Rebelianci wypadali z bocznych uliczek, atakując jednolitym frontem. W jednej chwili wydawało się, że szarżują na obu skrzydłach. Sierżantowi Malone'owi, który uniósł się w strzemionach, by dobrze wycelować, szabla rozplatała gardło. Krwawiąca rana wyglądała niczym gęba rozdziawiona ze zdziwienia. Spojrzał na Clarke'a, po czym zwałił się na ziemię. Wrzeszczący rebelianci sprawiali wrażenie widm, skrzeczących we mgle, nieziemskich zjaw, to pojawiających się, to znikających. Clarke też krzyczał. Nie czuł strachu, póki jego karabin nie przestał strzelać. Wtedy schylił głowę i niemal położył się na koniu jak dżokej, starając się zmusić go, by pędził naprzód - ale nie miał pojęcia, w którą stronę. Lecz jego wierzchołek stąpał po ciałach i niebawem wyrósł wokół niego mur koni i jeźdźców. Gdy Clarke się wyprostował, poczuł luźny pistolet przytkniętą do tyłu głowy i usłyszał trzask odwodzonego kurka. Siedział zupełnie nieruchomo

58

i, jakby na jego rozkaz, zgiełk cichł, aż w końcu słyszał tylko ciężki oddech ludzi i koni.

Szeregowy Toller, Gruby Toller, pianista, pomógł mu ściągnąć kurtkę i oderwał rękaw spodniej bielizny, by zrobić zeń opaskę uciskową. Clarke zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że oberwał kulą w ramię i że z rany cieknie mu krew.

Parunastu ludzi Clarke'a siedziało wraz z nim w więziennej celi. Nie wiedział, ilu udało się uciec, a ilu padło. Był przekonany, że Pearl nie żyje. Z egoistycznych, niegodnych pobudek naraził ją na niebezpieczeństwo. Mógł za to winić tylko siebie, a od dręczących wyrzutów sumienia ścisnęło go w gardle. Zawsze uważał, że kieruje się w życiu rozumem, i wierząc w to, popadł w tak przeciwny swej naturze stan oczarowania, że sam siebie nie poznawał. A teraz Pearl nie żyje.

Szeregowy Gullis co parę minut podciągał się na kratkach w oknach. - Jest tam dwóch strażników - meldował. - Ale teraz pojawiło się parę grup mężczyzn, którzy o czymś rozprawiają. Nie mam pojęcia, czy to żołnierze rebelianccy.

- Co z nami zrobią, panie poruczniku? - zapytał Toller.

- Jesteśmy jeńcami wojennymi - rzekł Clarke. - Wsadzą nas na statki i odeślą do jakiegoś cholernego obozu.

Clarke robił dobrą minę do złej gry. - Podobno mają coś takiego w Millen - rzekł. To gdzieś na granicy stanu. Wyekspedują nas do Millen, a za parę dni zdobędą je nasze wojska i wrócimy do służby.

- Naszło ich więcej - rzekł Gullis. - Mają karabiny. Clarke podniósł się z trudem. Zdał sobie sprawę, że wszyscy w celi stali, nasłuchując. - To te strażniki? - spytał Gullis. - Już ich nie widać. Zebrał się spory tłum.

59

Clarke wyciągnął z ceratowej torby papier listowy i ołówek chemiczny, po czym, wykorzystując ścianę w charakterze blatu, przez parę następnych minut układał list. Ledwo widział, co pisze. Właśnie zakleił i zaadresował kopertę, gdy drzwi więzienia zatrzęsły się od pierwszego uderzenia.

Pearl przyszła do głowy tylko jedna myśl - iść dalej. Chciała odnaleźć porucznika Clarke'a. Miała przecucie, że on na pewno nie uciekł. Ale w takim razie gdzie się po-dziewa? Jeśli pobił rebeliantów, dlaczego jej nie odszukał? Obserwowała drogę, lecz gdy już się wszystko uspokoiło, nikt się na niej nie pojawił.

Kryła się po lasach, póki nie zebrała się w nich gęsta, czarna mgła, jak dym w kuchni, gdy wiatr zduśił ciąg. Wtedy wyszła na drogę. Gdy doszła na skraj wioski, usłyszała salwę karabinową i śmignęła za drzewo. Stała nieruchomo, gdy echo niosło się po lesie. Czekwała, czy coś jeszcze się zdarzy, ale nie działo się nic. Mimo to czekała.

Pod mundurem Pearl miała sukienkę, owiniętą wokół talii. Zdjęła mundur i opuściła sukienkę, która sięgała jej do kostek, po czym zwinęła mundur i kapelusz i ukryła je pod drzewem. Gdy weszła do wioski, była białą Murzyn-ką.

Mgła podniosła się i niebo zaczęło się przejaśniać. Ujrzała kilka gwiazd. Wdepnęła w coś mokrego i śliskiego. Cała droga zbryzgana była krwią, krwawe plamy, ślady i sznur czerwonych kropli niczym szlak doprowadził ją do budynku więzienia, do drzwi, które stały otworem. W środku panowała zupełna ciemność, tak że nie widziała nic, ale doszedł ją zapach krwi i wyczuła pustkę.

Za budynkiem więzienia rozciągały się pola, a gdy chmury się rozeszły, przy świetle księżyca dojrzała ciała

60

mężczyzn. - Słodki Jezu, dlaczego muszę to oglądać - powiedziała do siebie. - Mało się na to zdążyłam napatrzeć, odkąd przyszedłam na świat?

Clarke leżał skręcony na boku, jedną nogę miał przerzuconą przez drugą. Lewą rękę spowijał duży bandaż. Napierając na jego ramię, zdołała go obrócić twarzą do góry. Wyglądał, jakby chciał jej coś powiedzieć. Jego zęby błyszczały. Oczy spoglądały gdzieś w dal. W ręce trzymał list, który z trudem wyciągnęła z zaciśniętych palców.

VI

Kophie zapakowała do kosza mąkę kukurydzianą, soloną wieprzowinę, ugotowane ziemniaki, cukier i suchą herbatę. Włożyła tam też świece i mydło, srebrne sztucce i obrusy, jego tytoń i pudełko zapalek. Butelkę może sam nieść w kieszeni. Spakowała jego walizkę, a potem zgarnęła trochę własnych rzeczy w szal, który zawiązała w węzeł i przewiesiła sobie przez łokieć. Szła za nim przez wioskę, z walizką w jednej ręce i koszem w drugiej.

- No chodźże, chodźże - poburkiwał. Wspierając się na lasce, kuśtykał całkiem żwawo jak na kalekiego starca. Przy jej tuszy i bagażach, które taszczyła, wkrótce zabrakło jej tchu.

Pociąg czekał na peronie. Pomogła staruszkowi wejść po schodkach. Wagon był pusty. Jedyne wielmożny Marcus Aurelius Thompson chciał się wplątać w tę wojnę.

Pociąg kolebał się, przechylał i stawał, po czym ruszał gwałtownie i pełznął dalej. Po paru milach okolica spłaszczyła się nagle i wyglądała na wypaloną, jakby przeciągnięto po niej gorącym żelazkiem. Nie był to pierwotny krajobraz, jakim go Pan Bóg stworzył. W miejscu domów kominy wystawały ze szerniałych kopczyków niczym nagrobki.

W następnej wiosce powiedziano im, że jest to stacja końcowa. Wielmożny Marcus Aurelius wpadł we wściekłość. Ani myśli opuścić pociąg. Przyszedł konduktor i rzekł:

- Szanowny panie, proszę zostać, jeśli pan sobie życzy. Może pan tu poczekać - za jakiś czas wracamy.

62

Stali na peronie, ułożywszy obok bagaże. Znajdowali się na dworze, pod gołym niebem. Dworzec doszczętnie spalono. Leżąca nieopodal wioska została zniszczona, domy i sklepy obróciły się w zwały dymiących zgliszcz. W krzewach tkwiły kępkki bawełny. Z dalszych torowisk szyny wyrwano, podpalono i okręcono wokół drzew.

Sophie potrząsnęła głową i usadowiła się na ułamku muru. Starzec stał, wsparty na lasce, przygarbiony, kręcąc głową to w lewo, to w prawo i potrząsając nią na podobieństwo dziobiącego ptaka.

- Pewnie chciałybyś wracać, co? - spytał.

- Nie, psze pana.

- No więc jedziesz ze mną, nawet jeśli to droga do piekła. Muszę powiedzieć memu bratu parę słów, nim wyzionie ducha.

Słońce dochodziło zenitu, gdy ujrzeli farmera na wozie, który ciągnął człapiący muł. Wpatrywał się w ziemię, raz po lewej, raz po prawej. Starzec zamachał laską w powietrzu.

- Zabierzesz nas do Milledgeville - zarządził. - Ile?

- Tysiąc dolarów Jeffa Davisa - odparł woźnica. Zaśmiał się. Twarz miał spaloną słońcem, siedział zgarbiony w szarym wojskowym płaszczu.

- Mam lepszą propozycję - rzekł pan Thompson. - Dam ci złotą dwudolarówkę, wydaną przez skarbowicę państwa. A jak mnie wsadzisz na ten wóz, to już twoja sprawa.

Farmer objechał wioskę i wrócił z solidnym fotelem z wysokim oparciem. Wyściółkę miał wybruszoną. Skraj był okrwawiony. Mężczyzna wraz z Sophie podnieśli starca i postawili na wozie, a on zasiadł w fotelu. Sophie załadowała bagaż, po czym z trudem wgramoliła się na wóz i usiadła na bocznej ławce.

63

- Nigdy nie przepadałem za słynnym panem prezesem sądu Thompsonem ani on za mną - rzekł starzec. - Mógłbym niejedno opowiedzieć.

- No, myślę.

- Nie ma co myśleć. Był ateistą- wiesz, co to znaczy?

- Nie wierzył w życie przyszłe.

- Zgadza się. Bluźnił przeciw naszemu Panu, Jezusowi Chrystusowi.

Od padłych zwierząt, których ściernem usiane było pobocze drogi, bił odrażający odór. Od słonecznego żaru rozpękły im się brzuchy. Sophie schwyciła płatek bawełny, unoszący się w powietrzu, wyjęła flakonik wody kołońskiej z kalety, skropiła nią bawełnę i podała staremu.

- Skąd to masz? - powiedział.

- Z komody pani.

- Ukradłaś?

Westchnęła. -Niczego w jej pokoju nie ruszałam. Wszystko jest na swoim miejscu, jakby zaraz miała tam wejść. Jeśli chce pan wąchać ten smród, mnie to nie wadzi.

- No dobrze, dobrze - powiedział, z twarzą wciśniętą w płat bawełny.

- Nie trzeba było tego mówić.

- No dobrze już.

Muł kłusował wytrwale, opuściwszy łeb. Resztki domów, które tu jeszcze zostały, ogołococono ze wszystkiego, szyby w oknach były potraskane, a drzwi zwisały z zawiasów. Budynek gospodarczy zapadły się niczym domki z kart. Żłoby wymiecione, paszę pędził wiatr po polach. Co rusz mijali żołnierzy, którzy siedzieli po prostu na poboczu, nie unosząc nawet głowy. Potem jakiś człowiek

chwiejnym krokiem ruszył za nimi, żebrać o cokolwiek do jedzenia. - Precz, człeczce - rzekł pan Thompson, machając laską w powietrzu. - Precz ode mnie!

64

Na polach ludzie na klęczkach przerywali zasiewy, ale co tam było do przerywania? Wóz podskakiwał na ścierwach martwych psów - każdy pies w polu widzenia miał przestrzelony łeb.

Zobaczyła żołnierza wybierającego ziarna owsa z kupy końskiego nawozu.

Most na Oconee był zwalony, toteż zajęli miejsce w kolejce do promu. Za nimi ciągnęły się stratowane pola, na których obozowali niebiescy. Niżej, za rzeką, leżała zrujnowana stolica stanu. Znad zgliszcz wzbijały się w górę korkociągi dymu.

- Czemu to tak długo trwa? - Stary Thompson podniósł się z fotela i zwrócił do wozów z przodu: - Po co tu sterczycie? - Nie miał chwili do stracenia. Musi powiedzieć Horacemu parę słów, nim diabeł się po niego zgłosi.

- Niech się pan tak nie ciska - mitygowała go Sophie. Miała rację. Usiadł z powrotem i z zamkniętymi oczyma

odmawiał modlitwę, by się uspokoić. Zamknąwszy oczy, wdychał zapach umarłej krainy.

- Sophie - zapytał - czy jestem faraonem? Potrząsnęła głową. Nigdy nie wiedziała, z czym ten staruch wyskoczy. - Jest pan sobą- odparła.

- Bo jeśli jestem faraonem, mam jasne zadanie. Nie potrzebuję żab ani szarańczy, pozwalam ci odejść. Ty pragniesz wolności, ja ci ją daję. A to - rzekł, czyniąc szeroki gest dłonią- ściśle się z nią wiąże. To dostajesz razem ze swoją murzyńską wolnością.

Łzy napłynęły mu do oczu. Ta przekłeta wojna zniszczyła nie tylko ich kraj, lecz też i wszelkie ich mniemanie o godności człowieczeństwa. Jakąż bowiem mizerną, niedorzeczną wydmuszką zdaje się rodzina, kultura, miejsce w historii, skoro tak łatwo je znieśli. A za tym wszyst-

65

kim stoi Bóg. Bóg to uczynił, posługując się unią jako swym narzędziem.

W istocie tyleż kochał i podziwiał brata, co go nienawdził. Widział siebie i jego jako rywalizujących ze sobą młodzieńców i teraz obawiał się widoku Horacego, starego i schorowanego pod koniec życia. A w jego lęku przed tym, co zastanie, krył się też opór, opór wobec Boga, który odebrał im wszelką pewność siebie. Miłość, nawet zatrwożona, pozostaje miłością i Bóg nie zdoła tego zniszczyć.

VII

We

ozy sanitarne Wrede'a towarzyszyły oddziałowi, który wysłano na drogę do Waynesboro, z odsieczą uwikłanej w bitwę kawalerii generała Kilpatricka. Sherman posłużył się kawalerią dla zmylenia przeciwnika i rebe-lianci, sądząc, że szykuje się on do wymarszu na Augustę, stawili zacięty opór. Podstęp się udał, lecz straty były ciężkie. Gdy Waynesboro było już bezpieczne, Wrede ustanowił

szpital polowy na stacji końcowej kolei. W walkach wręcz tylu ludzi odniosło rany, że sanitariusze musieli zostawiać ich na brezentowych noszach na peronie. Leżeli tam, jęcząc i domagając się wody. Emily Thompson krążyła między nimi, starając się łagodzić ich ból słowami pociechy. Stwierdziła, a zgodził się z nią Wrede, że kobieca opieka dodaje ducha cierpiącym. Również sanitariusze zauważyli, że jej obecność działa jak kojący balsam. Emily szybko się uczyła. Rannym w brzuch czy w pierś można podać najwyżej tyk wody. Przeżywającym nieznośne męki kładła rękę pod głowę i zwilżała usta nalewką opiumową. Innych poila szklaneczką brandy. Mężczyźni nabijali się żałośnie z samych siebie albo ze łzami w oczach dziękowali Emily za jej pielęgniarską postługę. Czasami pisała listy za umierających.

Emily sama się sobie dziwiła, że jak jakaś latawica odnalazła Wrede'a Sartoriusa pośród ciągnącego wojska, ruszyła wraz z nim i miała siłę patrzeć na te okropności. Żyła pod gołym niebem na równi z mężczyznami, gdzie nikt koło niej nie skakał i nie okazywał czułej troski, bez czego słaba płeć rzekomo nie może się obejść.

67

Nie miała wyrzutów sumienia z powodu zdrady południowego etosu. To wszystko przez tego doktora z unii. Czuła się rozgrzeszona, widząc, jakimi staraniami otacza rannych. Z Pomocy czy z Południa, wojskowi czy cywile - nie czynił między nimi różnicy. Nawet teraz parę szarych mundurów leżało na siennikach pomiędzy niebieskimi. On, Wrede Sartorius, stał ponad walczącymi frakcjami. Był niczym jakiś bóg, usiłujący położyć tamę potokowi ludzkiego nieszczęścia. Straciła w tej wojnie całą rodzinę, a mimo to czuła, że on lepiej od niej ogarnia skalę tej tragedii. Przyszedł do niej do domu obejrzeć nieszczęsnego ojca, bo taki ma charakter. Gdy rozmawiał z nią albo pytał, czy czegoś jej nie potrzeba, czuła się wyróżniona. Nie mówił właściwie z obcym akcentem, była to bardziej kwestia intonacji, co najpewniej brało się z jego nieco oficjalnego sposobu wyrażania się. Nie okazywał jej takich względów, do których ze strony mężczyzn przyzwyczajona była od dziecka. Naturalnie, ciążyły na nim olbrzymie obowiązki, ale czuła, że nawet w zwykłych sytuacjach towarzyskich nie użyłby zwyczajowych męskich forteli. Nie odnosił się do niej z taką galanterią jak młodzieńcy z Południa, którzy wszakże, jak dobrze wiedziała, bez namysłu wykorzystaliby ją, gdyby tylko nadarzyła się po temu okazja.

A jednak po męsku dawał do zrozumienia, że ją ceni, subtelnie okazywał, że jej obecność nie jest mu obojętna.

Gdy skończyli pracę, była już późna noc. Emily stała w drzwiach dworca, patrząc jak przy świetle latarni sanitariusze ładują rannych po amputacjach do ambulansu. Kilka metrów dalej, na skraju lasu, paru ludzi kopało dół na odcięte członki. Przybył oddział pogrzebowy z wozem trumien, by wywieźć zmarłych na cmentarz. Obszukiwa-no zwłoki, zabierając rzeczy osobiste, które pomogłyby

68

ich zidentyfikować. Dowódcy kompanii mieli obowiązek napisania oficjalnych kondolencji rodzinom ofiar.

Emily była wyczerpana. Nie wyznaczono jeszcze miejsca, w które miałyby tej nocy udać się na spoczynek. Na dworcu sanitariusze szorowali piaskiem podłogę i stoły operacyjne. Sartorius siedział przy biurku naczelnika stacji, sporządzając notatki przy świetle lampy naftowej. Włożył do tej pracy

okulary w drucianej oprawie, w których, zdaniem Emily, wyglądał uroczo. Przydawały mu chłopięcego wdzięku, sprawiał w nich wrażenie pogrążonego w nauce studenta. I miał przepiękne ręce, kwadratowe i silne, lecz o długich, smukłych, białych palcach. Jakże zręczne były te ręce. Jeden z sanitariuszy powiedział jej, bo nadal nie była w stanie przyglądać się zabiegom chirurgicznym, że doktor zyskał w pułku sławę mistrza, który potrafi odciąć nogę w dwanaście sekund. Ręka zabiera mu jedynie dziewięć. W szpitalach polowych zawsze brakuje środków nasennych. Nigdy nie ma dość chloroformu, tak że żołnierz, któremu podają jedynie łyk brandy, ma powody, by błogosławić lekarza wykonującego zabieg w możliwie najkrótszym czasie.

Ludzie Wrede'a znaleźli dla nich kwaterę - dom na głównej ulicy w miarę dobrym stanie, choć okna miał potraskane, a kartacze powybijały dziury w licówce i porozbijały ją. Właścicielka, leciwa wdowa, z płaczem wyszła do nich do drzwi. - Nic mi nie zostało - szlochała - ogołociliście mnie do cna. Czego jeszcze chcecie? - zawodziła błagalnie, przyciskając ręce do piersi. Lecz na widok Emily wyprostowała się, odrzuciła głowę do tyłu i przybrała władczy wyraz twarzy. - Wypędziliście moich niewolników, ukradliście mi wszystkie zapasy. Wydawało mi się, że nie możecie już bardziej zbezczęścić mojego domu

69

- odezwała się do Wrede'a. Emily odwróciła wzrok, z zażenowania nie mogąc wykrztusić ani słowa. Lecz Wrede najwyraźniej nie słuchał. Kazał żołnierzowi, by przyniósł kobiecie parę racji żywnościowych i odprowadził Emily na górę.

Stali przez chwilę na podeście.

- Przed świtem wracamy do korpusu - rzekł Wrede. Spojrzał na zegarek kieszonkowy. - Proszę o wybaczenie, powinienem był zwolnić panią już parę godzin temu.

- W porównaniu z panem nie zrobiłam doprawdy nic.

Uśmiechnął się i potrząsnął głową. - Wiemy tak niewiele. Nasze zabiegi medyczne są równie barbarzyńskie co wojna, która ich od nas wymaga. Kiedyś będziemy dysponować innymi środkami. Znajdziemy pleśnie, które zwalczą infekcje. Będziemy mogli uzupełniać utraconą krew. Prześwietlimy ciało do kości. I tak dalej.

Wrede wybrał pokój, skinął jej głową i zniknął za sobą drzwiami.

Stała przez chwilę, zastanawiając się nad jego słowami. Nie była pewna, czy dobrze go usłyszała.

Poszła do swego pokoju, zamknęła drzwi, rozebrała się i spoczęła na miękkim łożu, po raz pierwszy od wielu nocy. A jednak sen nie przychodził. Nie spotkała dotąd mężczyzny, który tak by ją przeraził swoimi myślami. Była wykształconą kobietą. Otrzymywała pierwsze nagrody za eseje i znajomość francuskiego w Episkopalnej Szkole dla Dziewcząt pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny. Po śmierci matki przy stole ojca pełniła funkcję gospodyni. W jego domu do uroczystych kolacji zasiadali wybitni prawnicy. Umiała prowadzić ożywioną rozmowę, często nawet na tematy filozoficzne. A jednak doktor nasunął jej na myśl obrazy z innego świata, których przebłytki widywała jakby z oddali, wyłaniające się zza chmur.

70

Leżała, wpatrując się w ciemność. Łóżko było zimne. Trzęsa się pod kocami. Bił od nich wstrętny zapach. W czasie wojny umundurowani mężczyźni mogą bezkarnie zająć dom. Sama wszak doświadczyła takiego najścia. Ale co innego kobieta. - Starsza pani po prostu uznała mnie za rozpustnicę - pomyślała Emily. - Na jej miejscu też bym tak uważała. Skompromitowałam się. Do tej pory nikomu nie dałam powodów do powątpiewania w moją reputację.

Usiadła na łóżku. Coby powiedział ojciec? Przeszła ją fala zimnego strachu, jak mdłości. Co też przyszło jej do głowy, co ją naszło? Puścić się na włóczkę? Teraz była naprawdę przerażona, roztrzęsiona, na skraju łez. Położyła się z powrotem i naciągnęła koce aż pod brodę. Rano musi ruszyć w powrotną drogę do domu. Tak, nic innego jej nie pozostaje. Jej miejsce jest w domu.

Powzięcie tej decyzji uspokoiło ją. Pomyślała o mężczyźnie w sąsiednim pokoju. Nasłuchiwała jakiegoś dźwięku, który świadczyłby o tym, że Wrede Sartorius nie śpi. Była skłonna uwierzyć, że nie potrzebuje on snu. Ale niczego nie słyszała. Gdyby w jego pokoju paliło się światło, zobaczyłaby je przez okno, ale widziała tylko cień wielkiego drzewa.

Wrede znalazł dla niej wierzchowca i w czasie drogi jechała obok niego. Gdy przejeżdżali przez las potężnych sosen, prostych i zieleniących się jedynie na koronach, akurat wstało słońce. Emily czuła się, jakby była w poświęconym miejscu, gdyż stukot kopyt koni i mułów, a nawet trzask toczących się wozów tłumiła gruba warstwa brązowych igieł, zalegających leśne podłoże. W miarę jak wstawał dzień, w lesie po obu stronach pojawiły się osłaniające oddziały piechoty, które sunęły między drzewami, ukazując się i znikając, jakby wedle swego widzimisię.

71

Podczas tego jednostajnego, spokojnego marszu przez sosnowy las Emily nabrała podziwu dla owych mężczyzn. Jako mieszkańcy północnych stanów znajdowali się z dala od swych domostw i rodzin. A jednak wytrwale podążali naprzód, jakby ta ziemia była ich domem. Uświadomiła sobie, że Wrede coś mówi, i nie wiedziała, czy to słowa doktora nadają kształt jej myślom, czy też doktor czyta w jej myślach.

- Pogodziłem się już z tym, że nie mam domu, że każdego ranka budzę się w innym miejscu - powiedział. - Że maszeruję, nocuję, gdzie popadnie, i znowu maszeruję. Że natykam się na opór nad jakąś rzeką czy w przysiółku i staczam bitwę. I że potem grzebię zmarłych i maszeruję dalej.

- Ciągnie pan ze sobą cały swój świat - rzekła Emily.

- Tak, jest tu wszystko, co stanowi o cywilizacji - odparł Wrede. - Mamy inżynierów, kwatermistrza, komisarza, kucharzy, muzykantów, lekarzy, cieśli, służących i armaty. Robi to na pani wrażenie?

- Sama nie wiem, co o tym myśleć. Straciłam w tej wojnie wszystko. I widzę stałość nie w miejskich rezydencjach, mocno osadzonych w ziemi, lecz w tym, co nie ma korzeni, co wędruje. W płynnym świecie.

- On przeważa - rzekł Wrede. - Tak.

-1 pośród niego czuje się pani bezpieczna.

- Tak - wyszeptła Emily, wiedząc, że w tym momencie wyjawiała mu coś głęboko osobistego.

-Ale założmy, że jesteśmy mniej człowieczą formą życia. Wyobraźmy sobie wielkie, rozczłonkowane ciało, poruszające się za pomocą skurczów i rozkurczów w tempie dwudziestu czy dwudziestu pięciu kilometrów dziennie, stworzenie długie na ponad trzydzieści kilometrów. Ma

72

rurowaty kształt i czepia się mackami dróg i mostów, po których podróżuje. Jako czułki wysyła konnych. Pochłania wszystko, co znajdzie się na jego drodze. Ta armia jest olbrzymim organizmem o małym mózdzku. Stanowi go generał Sherman, którego nigdy nie widziałem.

- Nie jestem pewna, czy generał Sherman byłby rad z takiego ujęcia swej osoby - rzekła Emily z całą powagą, po czym się roześmiała.

Ale Wrede'owi najwyraźniej odpowiadał ten tok myślenia. - Wszelkie rozkazy, dotyczące naszych wielkich operacji, wychodzą z tego mózdzku - rzekł. Przechodzą za pośrednictwem generałów, pułkowników i oficerów polowych do głównych sił. To system nerwowy tego stworzenia. I nikt spośród naszej sześćdziesięcioletniej masy nie ma własnej tożsamości, lecz funkcjonuje jako komórka ciała tego giganta, którego zadaniem jest maszerować do przodu, pochłaniając wszystko, co mu stoi na drodze.

- Więc jak wytłumaczyć obecność chirurgów, którzy mają leczyć i ratować życie?

- To stworzenie samo się uzdrawia. A gdy nie zdoła się uleczyć, śmierć znaczy tyle co śmierć komórek w jakimkolwiek organizmie, które zawsze zastępują nowe komórki.

Znowu to słowo komórki. Spojrzała na niego z pytającym wyrazem twarzy.

Wrede prowadził swego wierzchowca obok konia Emily. - Z tego zbudowane są nasze ciała. Komórki. Stanowią układ podstawowy, widać je tylko pod mikroskopem. Różne komórki o odmiennych funkcjach tworzą tkanki, organy, kość albo skórę. Gdy jedna komórka umiera, na jej miejsce wyrasta nowa.

Ujął ją za rękę i bacznie się w nią wpatrzył. - Nawet ręka panny Thompson ma budowę komórkową - rzekł.

73

Spojrzał na nią błękitnymi oczyma o niepokojąco lodowatym odcieniu, jakby chcąc się przekonać, czy go rozumiała. Emily spłoniła się i, po chwili, cofnęła rękę.

Jechali dalej. Czuła się nadzwyczaj szczęśliwa.

VIII

Sterczeli w wieży strażniczej, przemoknięci i nieszczęśliwi, a zimne krople deszczu bębniły po ich ramionach i ściekały z czapek na kark.

- Ja już chciałem im powiedzieć, kim jestem - rzekł Will.

- Tak - potwierdził Arly - że po prostu czekaliśmy na nich w przebraniu. Jasne, tak trzeba było zrobić.

- No i jak nas urządziłeś? Czy mamy lepiej niż ci nieszczęśni jankesi, których niby to strzeżemy? Jemy te same pomyje co oni. Mokniemy na tym przeklętym deszczu tak samo jak oni. Więc co to za różnica?

- Will, synu, ty w ogóle nie myślisz.

- I do tego wszystkiego, żebym pod pistoletem przysięgał na wierność swojej własnej stronie! Jakbym nie był tym, kim jestem! Nic dziwnego, że ani trochę nam nie wierzą i dlatego przydzielili nam taką marną służbę. A co byś zrobił na ich miejscu? Przecież nie można wierzyć człowiekowi, który składa przysięgę, bo mu przykładają pistolet do głowy.

No, ale w każdym razie wróciłeś na swoją stronę. Przecież tego chciałeś - zawsze cię parzył ten niebieski mundur.

- Powinienem być powiedzieć: kapitanie, jestem takim samym secesjonistą jak i pan. Melduje się szeregowy Will B. Kirkland z Dwudziestego Dziewiątego Regimentu Kawalerii z Pomocnej Karoliny. Nie musi pan przykładać mi pistoletu do głowy.

-1 tak powinienesz zrobić.

75

- Zgadza się. A potem królewskie powitanie i kapitalny przydział.

- Nie wzięłyby cię w obroty i w życiu by nie doszedł, że siedziałeś w Milledgeville za dezercję z Dwudziestego Dziewiątego Regimentu. Ani że ja przysnąłem na warcie w warunkach bojowych.

- Ten generał nas ułaskawił.

- Jasne, i masz to na papierze. O Boże, czy słyszysz mnie w tej ulewie? Stoję tu z tym oto chłopcem, który uważa, że w wojsku na wojnie można doszukać się rozsądku. Myśli, że żołnierz jest wart więcej od swego munduru. Uważa, że żyjemy normalnym życiem w normalnych czasach, choć Ty, Boże, wiesz równie dobrze jak ja, że nie taką dolę przeznaczyłeś nam, grzesznikom.

- W każdym razie, powiedziałaś, że Bóg ma wobec nas swoje zamiary, ale chyba nie o to mu chodziło.

- Żyjemy Will, chłopie. A dlaczego? Bo nie twierdzimy, że jesteśmy inni, niż na to wyglądamy. Jakiś matołowaty rebeliancki kapitan nie musi sobie z naszego powodu łamać głowy. Nie opowiedzieliśmy mu żadnej nieprawdopodobnej historyjki, po której z nerwów zastrzeliłby nas jako wrednych łgarzy. Wyglądaliśmy jak unioniści i za takich nas uznał. I byliśmy nimi. Ale już nie jesteśmy.

- Daję za to głowę.

- Owszem, tkwimy tu, przemoczeni, zziębnięci i głodni w tę ciemną listopadową noc, ale żyjemy, co jest znacznie miłsze moim oczom niż widok trupów, co chwila padających na ziemię w każdym stanie konfederacji. A żyjemy dzięki przechodzeniu z jednej strony na drugą, stosownie do sytuacji, co jest dowodem pewnych naszych talentów. Ja wyczuwam tę intencję, jak najbardziej, a jeśli ty nie, to niezmiernie mi przykro. I będę się modlić, żeby Bóg cię

76

nie pokarał za niewdzięczność. Albo żeby nie odegrał się na mnie.

Mieli pełnić służbę dwie godziny, a potem mieć cztery wolne, lecz choć zaczynało już świtać, nikt ich nie zluzował. Deszcz zelżał, a wicher dął tak, jakby to on przywie-wał światło dnia. Pod nimi wyłonił się obóz, rozmokły, bez śladu jakiegokolwiek roślinności, a przez mury umocnień przesiąkały doń strumyki bagiennej wody. Więźniowie, bez dachu nad głową, stali w podmokłych, wygrzebanych w ziemi dołach, w których spędzili noc. Gdy rozbłyły pierwsze promienie zimnego słońca, wszyscy już się podnieśli, kuląc się i drżąc albo podskakując dla rozgrzewki. Kaszel i pochrząkiwania, dochodzące od tej masy mężczyzn, w uszach Willa brzmiały jak trzask salw karabinowych. Wszyscy zwrócili się ku szopom, gdzie mieściły się kuchnie, lecz z kominów nie unosiła się ani strużka dymu.

Za najdalszymi wałami, przez kępy sosen, widział rzekę, wezbraną i rwącą od rześzystych deszczów.

Dziś rano smród był wyjątkowo odrażający, od otwartych latryn zionęło słonawym odorem, a z rowów, w których grzebano zmarłych, ulewy zmyły wierzchnią warstwę ziemi. Tu i ówdzie wyłaniały się zwłoki. Will odwrócił się plecami do tego widoku, usiłując wciągnąć w płuca woń sosen z okolicznych lasów. Wtedy to zobaczył strażników, biegnących z psami gończymi i latarniami.

Niedługo potem unijnych więźniów - przemoczonych, uszarganych, wychudzonych jak szkielety - pognano drogą przez wioskę Millen na dziedziniec przy dworcu. Zostało ich jeszcze ponad tysiąc, a niewielu miało dość siły, by zapytać, dlaczego opuszczają obozowisko w Millen. Kolumny więźniów pilnowali strażnicy, rozstawieni po obu jej stronach co dwadzieścia metrów, z bronią gotową

77

do strzału i psami gończymi. Arly przesuwał się do tyłu, aż znalazł się tuż przed Willem.

- Nigdzie nie jedziemy - powiedział. - Słyszysz, co mówię?

- Słyszę.

- Tam, dokąd jada, jest jeszcze mniej żarcia. Patrz na mnie i rób to, co ja - rzekł Arly.

- Że też na to nie wpadłem - powiedział Will.

Na dworcu do długiego sznura krytych wagonów doczepiono dwie lokomotywy. Z ich kominów buchał czarny dym, syczały kotły. Do wagonów po kolei ładowano jeńców, po czym zasuwno i ryglowano drzwi. Ludzi, którzy nie byli już w stanie chodzić, towarzysze niedoli nieśli na plecach. Arly, z Willem u boku, cofał się, jakby podwajając obstawę każdego załadowywanego wagonu. Will zauważył, że Arly sprawia wrażenie niezwykle sumiennego strażnika, który z bronią gotową do strzału czujnie wypatrywał wszelkich prób ucieczki. I tak doszli do ostatniego wagonu, a gdy znajdujący się w pobliżu oficerowie zsiadli z koni i naradzali się nad mapami, Arly i Will przemknęli koło ostatniego wagonu i schowali się za budynkiem dworca.

Tu znowu mieli widok na rzekę Ogeechee. Na przeciwległym brzegu kawaleria unii patrzyła bezradnie, jak gwizdnęła lokomotywa i pociąg ruszył.

- Kiedyś będę musiał wreszcie pójść po poradę do doktora od głowy - powiedział Will. - I zapytam go, jeśli jakimś cudem przeżyję - co ja mam z głową, że się siebie trzymam, mimo że tak nas elegancko urządziłeś.

- Nic nie masz z głową- odparł Arly. - Odróżnisz zdrowy rozsądek od przebiegłej kombinacji, kiedy ci się to wszystko wyłoży jak na talerzu.

Wrócili do obozowiska, w którym pozostało zaledwie kilku umierających jeńców w dybach i jeszcze zwłoki

78

paru, którzy zmarli w nocy. Arly rozebrał się, zwinął mokry konfederacki mundur w węzełek i wrzucił go do latryny. W pewnym sensie, udzielając instruktażu Willowi, wytarzał swe nagie ciało w błocie i wtarł garści błocka we włosy. Następnie ubrał się w łachy, które ściągnął z jakiegoś trupa. Potem podskoczył parę razy i biegał wkoło, wrzeszcząc i jęcząc wniebogłosy.

- Co to ma znaczyć? - spytał Will.

- Zimno mi, ty przeklęty idioto - odkrzyknął Arly. Godzinę później piechota unii zajęła całe Millen. Na obwarowanym terenie oddział czarnych saperów, odkomenderowany do grzebania zmarłych, wrzucał łopatomy ziemię do otwartego rowu, w którym ułożono zwłoki. Oficerowie przeprowadzali inspekcję kuchni, szop, w których mieścił się lazaret, oraz drewnianej palisady. Will, zerkając z tyłu wozu sanitarnego, widział, jak rozwścieczeni są unijni oficerowie. Zaciskali pięści, rzucali gromy i klęli. Zaglądali wszędzie, potrząsając głowami. Will trząś się pod grubym, wełnianym kocem, który mu dano. Arly szcząkał zębami, lecz jego twarz przybrała wyraz pogodnego zadowolenia.

Wszystko w polu widzenia miało zamienić się w zgliszcza. Mężczyźni biegli wzdłuż palisady, podpalając ją. Niebawem języki ognia lizały szopy, wypuszczając kłęby gęstego czarnego dymu. Gdy wóz sanitarny odjechał, zatrzymując się na pagórku, Will i Arly ujrzeli ciemną chmurę, wznoszącą się również nad miasteczkiem. Jankesi obracali w popiół wszystko, co wiązało się z Millen.

Kiedy jechali dobrym tempem, Arly zauważył, jak miękko toczy się wóz. - Te ambulanse wyposażone są w resory - powiedział. - Musimy sobie taki załatwić.

Przywieziono ich do lazaretu, który urządzono w namiocie, w sosnowym lasku, gdzie obozowało wojsko. Leżeli

79

na pryczach, przykryci wełnianym kocami, a pod głowami mieli prawdziwe poduszki. Po jakimś czasie odchyliła się poła namiotu i Will ze zdumieniem ujrzął kobietę w białym stroju. Do włosów miała przypiętą czapkę unii. - Witam panów - powiedziała i w tej chwili ściany namiotu pojaśniały blaskiem wschodzącego słońca. Uklękła przy pryczy Willa, uniosła mu głowę i przytknęła chłopakowi do ust kubek bulionu. Will spojrzał w jej błękitne oczy, a ona się do niego uśmiechnęła. Nigdy w życiu nie widział piękniejszej dziewczyny. Czuł jej ciepłą dłoń na karku. Do oczu napłynęły mu łzy wdzięczności, jakby naprawdę był jeńcem we wraźnym obozie.

Arly, leżący na sąsiedniej pryczy, wsparł się na łokciu, by lepiej przyjrzeć się tej scenie. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

ilma Jones tak przywykła do roli wiecznej opiekunki, że nawet podczas tego marszu do wolności oddawała ludziom usługi. Starzec, który nazywał ją córką, był głuchy jak pień i wszelkie polecenia do niej wykrzykiwał. Z prawej strony wspierał się na lasce, a Wilma podtrzymywała go z lewej. Miał na sobie wytarty paltot bez rękawów, a w starczym chudym ramieniu widać było same mięśnie, długie i żylaste. Ścisnął jej dłoń z siłą dziesięciu ludzi. Ten stary niewolnik ledwo kuśtykał, ale nie można się było od niego odczepić. Był łysy, pod wełnianą czapką kryła się goła czaszka, nie miał ani jednego zęba, a na jego policzku widniało wypalone piętno. Ale szedł naprzód! Ani razu się nie potknął! I, jak większość starych ludzi, bez najmniejszego zażenowania załatwiał się na widoku. Wilma z uśmiechem potrząsała tylko głową. Stary wuj przywodził jej na myśl sędziego. Był równie wymagający, ciągle czegoś od niej chciał, jakby nie miała własnego życia. Stary sędzia Thompson nigdy nie nazwał jej córką, miał przecież pannę Emily.

Ludzie przestali śpiewać, a kobiety mocno przyciskały dzieci do siebie. Ścieżka na grobli była wąska, a po obu stronach grubą warstwą zalegały nieruchome bagienne wody, z których z każdej strony wystawały drzewa. Zaduch bił w nozdrza, w powietrzu unosiły się opary mgły.

Gdy dotarli do zatoki, kazano im odsunąć się na bok i stanąć wzdłuż brzegu, by przepuścić żołnierzy, którzy przejechali obok nich i przedostawali się na drugą stronę rzeki po moście pontonowym. Wilma rozglądała się:

81

przybywało coraz więcej oswobodzonych niewolników, którym kazano czekać, aż armia się przeprowi. Z drugiego końca operację tę obserwowało kilku oficerów na koniach. Siedzieli okrakiem, bez ruchu. Był wśród nich generał, gdyż miał mnóstwo złotych galonów, które przynależą wielkim i potężnym. Wilma miała przecucie. Słyszała, co ludzie mówią. Rebelianci idą za nimi krok w krok. Dopadają murzyńskich maruderów i kładą ich trupem albo wtrącają z powrotem w niewolę.

W zatoce narastał rwący przypływ. Przeprowiała się cała armia. Oddział za oddziałem przebiegał i przejeżdżał obok nich, ciągnąc lawety i zacinając muły. - Cóрко - krzyknął starzec - dlaczego się nie przeprowiamy!

Wilma pobiegła na pobocze i zatrzymała oficera. - Ma-muśku - powiedział - za was bijemy się w tej cholerniej wojnie i prosimy tylko, żebyście nam nie przeszkadzali.

Część kobiet i dzieci zaczęła płakać. Nie ulegało wątpliwości, że coś się zmieniło, jakby zaciągające się niebo wszystko spowiło mrokiem. Pojawiało się coraz mniej żołnierzy, aż w końcu ostami przeszli przez most. Wilma ujęła starca pod ramię, gdy tłum ruszył naprzód. Nic nie widziała spoza ściany głów, usłyszała tylko wielki lament, który wzniosła ludzka ciżba - żołnierze odcięli liny i most pontonowy odplynął od brzegu. Żołnierze z drugiego brzegu ciągnęli go za sobą.

Nikt nie wiedział, co robić. Ktoś krzyknął, że nadchodzą rebelianci. Wilma próbowała zachować równowagę, ale starzec spychał ją na brzeg. - Jezdem wolny! - krzyczał. - Jezdem wolny!

Nie zdołała go już dłużej utrzymać i staruch wskoczył w wir. Wokół niej ludzie wrzeszczeli, modlili się, wzywali boskiej pomocy. Wsuwali się do wody i próbowali przepłynąć na drugi brzeg. Dojrzała, że czarni saperzy rzucają

82

stamtąd kłody i gałęzie, by nieszczęśnicy mieli się czego uchwycić. Ale starzec nie umiał pływać. Wymachiwał laską, miotany prądem, woda go zalewała i znowu się wynurzał, wywijając laską.

Kobiety, trzymając dzieci nad głową, próbowały walczyć z prądem. Mężczyznom udało się jakoś sklecić tratwę z kłód drzewa, pasów brezentu, kobiecych spódnic i koców. Saperzy rzucili im linę i zapanował pewien porządek, gdy grupki po cztery, pięć osób przeciągano na tratwie. Ale gromada, skulona na brzegu, oglądała się za siebie ze strachem. Zdawało się im, że słyszą rebeliantów, zbliżających się drogą, toteż nie mogli się doczekać swojej kolejki. Ściskając kurczowo tobołki i sakwy, skakali do rzeki.

Wilma znalazła się na tratwie. Już niemal przy drugim brzegu tratwa uległa prądowi i się wyrzuciła. Wilma wynurzyła się, prychając i wtedy chwyciła ją czyjaś ręka. Wyniosła ją na brzeg, ociekającą wodą. Silny czarny mężczyzna wyciągnął ją z wody jedną ręką. Siedziała, drżąc, na ziemi. Ci, którym udało się przedostać przez rzekę, biegli za wojskiem. A po tamtej stronie ponad setka ludzi, stłoczonych na brzegu, bała się ruszyć. Kobiety i płaczące dzieci. Usłyszała strzały i wydawało się jej, że dojrzała kilku jeźdźców, pędzących kłusem.

Niech się panienska okryje - powiedział mężczyzna, który ją uratował. Otulił ją kocem. - Lepiej się nie ociągać. Bóg da tym ludziom wolność, ale jeszcze nie zaraz. Niech no się panienska ruszy.

Był wysoki, miał rozpięty mundur, obszarpane spodnie i bosa nogi. Wziął Wilmę za rękę, pomógł jej się podnieść i poprowadził drogą. Ciągle się odwracała, spoglądała za siebie, póki zatoka nie zniknęła jej z oczu. Ale krzyki dalej dochodziły od wody i unosiły się nad Wilmą, jakby podawały jej sobie korony drzew.

X

1 ej nocy Pearl ciągle miała przed oczyma widok zamordowanych żołnierzy. Leżeli beładnie wokół na ubitej ziemi, oświetlonej na niebiesko księżycową poświatą. Dwunastu, niczym obalone posągi. I porucznik Clarke, wpatrzony w przestrzeń i taki zdziwiony, taki zdziwiony. Ukryła się na skraju pola i patrzyła, jak miastowi wychodzą ze swego wozu. Paru białych i dwóch Murzynów do roboty. Wrzucili zwłoki na wóz, jakby ciskali poćcie wołowiny. Przekradła się za nimi na cmentarz i skryta w zaroślach podpatrywała, jak wzięli się do łopat. Często rozglądali się, sprawdzając, czy nikt ich nie szpieguje. Już prawie świtało, gdy pogrzebali wszystkie ciała.

Pearl nie mogła opanować drżenia. Szczękały jej zęby. Spojrzawszy na swą dłoń, spostrzegła, że trzyma jego list. Teraz, gdy brzask przyćmił księżyc i okrył pola szarością, Pearl uświadomiła sobie, że musi się stąd zabierać. Okrążyła miasto, przedzierając się przez lasy do drogi, którą tu przybyli, aż dotarła do drzewa, gdzie zakopała mundur i czapkę. I teraz, na powrót, podwinęła sukienkę, wcisnęła ją za pas spodni i nałożyła uniform dobosza. Wreszcie miała kieszeń, do której mogła włożyć list.

Nie wiedząc, co ma ze sobą począć, oparła się plecami o drzewo i czekała.

Obudziło ją ryczenie krów. Był jasny dzień i armia szła, pędząc bydło i kozy, furmani poganiali zaprzęgi, żołnierze z karabinami na ramionach maszerowali gęsiego poboczem, a nad całą tą wrzaskliwą ciżbą unosił się tuman kurzu.

84

Podniosła się i stanęła na widoku. Przechodzący żołnierze uśmiechali się i rzucali jakieś słówko, czasami oficer na koniu zerknął na nią z góry, ale nikt nie chciał przystanąć. Szukała wzrokiem woźnicy ze swego oddziału, który zawrócił, gdy zaczęła się strzelanina. Dwóch włóczęgów, odzianych w żakiety i wysokie cylindry, przejechało na wozie, wypełnionym łupami. Ale nie mieli znajomych twarzy. Śmiali się. Ujrawszy Pearl, jeden sięgnął do worka i cisnął jej słodki ziemniak.

Wiedziała, że porucznik Clarke i reszta nie padli w walce. Gdyby zginęli w boju, miastowi nie pędziliby tak, by ukryć ich ciała. Nie, wyraźnie słyszała w ciszy salwę karabinową. Widziała krew, która podeszła aż do drzwi więzienia i jeszcze miała przed oczyma ciała mężczyzn na polu, gdzie zastrzelono ich szeregiem, jednego po drugim. Nie mieli broni.

Musi komuś o tym powiedzieć. Ale nie była pewna, czy wyraża się tak jak biali, a jeśli będzie mówić po swojemu, zorientują się, że wcale nie jest białym dobozsem. Gdzie jest porucznik, jej nauczyciel, akurat gdy go potrzebuje? Postanowiwszy, że nie odezwie się ani słowem, wyskoczyła na drogę tuż przed oficerem ze złotymi epoletami i zasalutowała. Wielki, gniady koń prychnął, odrzucił łeb do tyłu, stanął dęba i obrócił się na tylnych nogach. - Tam do diabła! - wrzasnął oficer na Pearl, która stała z dłonią przy czapce.

Gdy koń się uspokoił, oficer spojrzał na Pearl.

- Co ty wyprawiasz, chłopcze? Dlaczego oddaliłeś się od swojej kompanii?

Milczenie.

- Co to ma znaczyć?

- One... Znaczą się... Oni...

- Głośniej, chłopcze!

85

-Oni... tego...

- Czego?

- Oni nie żyją.

- Nie wiesz, jak zwracać się do oficera?

- Wiem.

- Wiem, panie oficerze! -1 ja też, panie oficerze.

- Opuść rękę i stań na baczność! Niech to szlag! - powiedział oficer do żołnierza, który się przy nim zatrzymał. - Teraz ryczy. Co to za wojsko?

W tym momencie inny oficer podjechał do nich na koniu niewiele wyższym od kucyka, tak że stopami praktycznie dotykał ziemi. Nie wyglądał po wojskowemu: mundur miał zakurzony i rozpięty, chustkę zawiniętą wokół szyi, na głowie starą, znoszoną czapkę, niedopałek cygara w kąciku ust, a ruda broda przetykana była siwizną. Pearl zapamiętała to pierwsze wrażenie na widok generała Sher-mana - ani z zachowania, ani ze stroju nie prezentował się jak oficer i nie uznałaby go za żadną szarżę, gdyby nie respekt, jaki okazywał mu potężny, wspinały wojak na dzielnym gniadoszu, który znacznie nad nim górował.

Generał na swym koniku był prawie równy wzrostem Pearl. - Proszę, jakiego przystojnego kawalera mamy w unii - powiedział. - Dobry z ciebie dobosz, synu?

Pearl skinęła głową.

- Musisz być dzielnym młodzianem, skoro wstąpiłeś do wojska^ żeby walczyć za ojczyznę. Dobosze też idą w ogień, jak my wszyscy.

- Tak jest, panie generale.

- Czasami mnie też się zbiera na płacz.

- Tak jest, panie generale.

- A w czym kłopot? - zapytał oficera na gniadym koniu.

86

- Powiada, że stracił swoją kompanię. Uważa, że wszyscy zginęli.

- Byli w awangardzie, synu? Przebili się zeszłej nocy?

- Tak jest, panie gen'rale.

- To znowu ten Wheeler - powiedział generał do oficera. - Zapewne ponieśliśmy straty.

- Nie, panie gen'rale - rzekła Pearl. - Kiedy zamordowano mojego porucznika Clarke'a, nie było żadnej bitwy.

Pearl nie mogła się powstrzymać. Szlochała niepohamowanie, łzy strumieniem płynęły jej po twarzy, gdy chwyciwszy wodze konika generała, poprowadziła go wraz z jego świtą przez miasto na cmentarz, gdzie wskazała mu świeżo wykopany rów.

XI

S,

Hierman z upodobaniem nosił niechlujny mundur i dzielił wojenne trudy z prostymi żołnierzami. Spał w zwyczajnym namiocie, jeżeli w ogóle kładł się na spoczynek. Na usługi miał tylko jednego ordynansa, a pod wierzchzaledwie jednego konia, ową starą szkapę, co nie licowało z godnością tak wysokiego rangą oficera. Naturalnie, wydawszy rozkazy, że wojsko ma ograniczyć się do rzeczy najniezbędniej szych, sam powinien świecić przykładem. Ale Morrisonowi, absolwentowi akademii West Point, służącemu w sztabie generała, wydawało się to niestosowne. Morrison nie widział powodu, dla którego generał, zwłaszcza nie z nadania politycznego, ale taki prawdziwy zawodowiec z West Point jak Sherman, nie miałby wyróżniać się spośród swych podwładnych. Może nieco większa dbałość o strój i pewien dystans w obcowaniu z ludźmi wzmogłyby karność armii. Ci żołnierze umieją się bić, owszem, już tego dowiedli, ale regulaminowy stosunek do przełożonych i okazywanie należnych im względów rodzi respekt. A dowodzenie opiera się na respekcie, nie na ślepym oddaniu - respekt to rzecz pewniejsza i trwalsza, prędzej przetrwa znój kampanii niż uwielbienie dla dowodzącego, które może się wypalić.

A poza tym, Morrison czuł się poniżony. Był lojalnym adiutantem i swe obowiązki oficera łącznikowego wykonywał bez zarzutu, nie zdradzając wyrazem twarzy żadnego innego uczucia prócz absolutnego oddania służbie. Ale lubił drobne wygody i przyjemności. Sherman pozbawił swych najbliższych współpracowników obszernych, so-

88

lidnych namiotów i przydzielił tylko dwa wierzchowce na oficera. Morrison musiał zostawić swój kufer, książki i kucharza. Miał jedynie ordynansa. Nie powiedział naturalnie ani słowa, ale odnosił przedziwne wrażenie, że generał w cichości ducha czerpie złośliwą satysfakcję z narzucania innym wyrzeczeń, które sam, dzięki swej szczególnej naturze, znosił bez wysiłku, podczas gdy dla jego oficerów był to istny dopust boży.

Morrison, krzepki i ogorzały, choć lekko już tysięjący młodzieniec, był zarazem służbistą i wnikliwym badaczem ludzkiej natury. Swe upodobanie do luksusów w polu uznawał za słabość bądź brak pewności, że jego osoba cokolwiek w tym świecie znaczy. W istocie miał skłonność do usuwania się w cień i był przekonany, że Sherman go toleruje, nie darząc szczególną sympatią, zbyt bowiem się od siebie różnili. Ale Morrison wiedział, że nie zdołałby przyswoić sobie cynicznego stylu dowodzenia generała, który w czasie marszu witał się ze swoimi ludźmi i gawędził z nimi jak równy z równym, lecz nie okazał najmniejszego wzruszenia, gdy dwa i pół tysiąca z nich padło pod Kennesaw Mountain. Widział wówczas reakcję generała, który przez chwilę poczuł rozczarowanie takim rezultatem, po czym zaczął obmyślać następny manewr.

Gdy zdobyli Atlantę, generał udawał, że nie bierze poważnie przychodzącej poczty, wyrazów podziwu i wdzięczności, ocierającej się o czołobitność. Jego korespondencja, którą prowadził Morrison, świadczyła o spokojnym, prawym charakterze i wrodzonej skromności, czemu wyraźnie przeczyła wyzieraająca mu z oczu radość, że to na jego wyszło, połączona z niewątpliwym poczuciem wyższości wobec wszystkich, którzy nadesłali gratulacje, również wobec prezydenta. Ale Morrison odgadywał to jedynie

89

z tonu głosu generała, gdy dyktował mu list, z szelmowskiego, pełnego zadowolenia z siebie śmieszku po ułożeniu szczególnie eleganckiej autoironicznej frazy, po niecierpliwym kroku, jakim przemierzał pokój, nie potrafiąc skryć zadowolenia z siebie, bądź po dreszczu podniecenia, który go przebiegał, nim generał zdołał się opanować przed opuszczeniem gabinetu, by przyjąć kolejnego polityka, przybyłego, żeby obsypać znamienitego wodza deszczem pochwał.

A teraz tu, ten najświeższy przykład generalskiej prerogatywy - dla kaprysu dołączył małego dobosza do swego sztabu i to dziwne dziecko, które niewiele mówi czy robi, wysiaduje przy jego boku, przysłuchując się najtajniejszym wojskowym naradom. Śmierć porucznika Clarke'a była tragicznym wydarzeniem, ale czy z tego powodu jego kompanijnego dobosza nie można przydzielić gdzie indziej?

Morrison zwierzył się z tych uczuć pułkownikowi Tea-ckowi, który walczył u boku Shermana od Shiloh.

- Widzi pan, Morrison - rzekł Teack, pykając z fajki

- przed dwoma laty generał nie pozwolił sobie na letni urlop, toteż jego rodzina przyjechała w odwiedziny z Ohio. Pani Sherman i dzieci, w tym syn Willie - rzekł Teack, jakby to wszystko wyjaśniało.

Morrison natychmiast pożałował, że zaczął tę rozmowę.

- Stacjonowaliśmy wtedy w Vickburgu - ciągnął Teack.

- Takich upałów jak w Vickburgu nie ma nigdzie. Morrison czekał.

- Wykończyły jego syna, Williego, chłopaka z Północy

- rzekł Teack. - Było to bardzo smutne, bo przecież nie brał udziału w wojnie.

- Jak to, umarł?

90

- A tak to, na tyfus - odparł Teack. - Ale z tym doboszem coś jest nie w porządku. Dziwny z niego dzieciak, zgadzam się z panem. Ale nawet jeśli na nic się nie zda, przynajmniej niesie pociechę zbolełemu ojcu. Nie trzeba kończyć Harvardu, żeby wiedzieć, że generałowi Sherma-nowi zastępuje zmarłego synka. To mu przywraca równowagę umysłową. A chcemy, by ten umysł był zrównoważony, co, Morrison?

- Naturalnie.

- Bo nie zawsze taki jest - rzekł Teack, odwracając się.

Pułkownik Teack wszakże po cichu zasięgnął języka. Do kompanii zaopatrzeniowej zmarłego porucznika Clarke'a nie był przydzielony żaden dobosz. Jego pułk stracił dobosza koło Milledgeville, ale chłopiec ten był odkomenderowany do kompanii piechoty. Może Teack postarałby się odnaleźć jakiegoś niedobitka z potyczki pod Sanderson-ville i zamienić z nim słówko, ale najwyraźniej rozwiązanie zagadki dojrzał w piwnych oczach Pearl, które gdy podchwycił ich spojrzenie, błysnęły hardością niespotykaną u najpośledniejszego członka żołnierskiej wiary.

Tak czy owak, w warunkach polowych Pearl nie mogła długo ukryć swej tajemnicy. Niebawem Teack i inni członkowie sztabu Shermana nabrali pewności, że ten dziwny, małomówny chłopiec o zmiennym usposobieniu jest, w istocie, dziewczyną. A biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich toczyła się ta wojna, wiedzieli, że choć osóbką ta ma białą skórę, musi być Murzynką. O dalszym rozwoju wypadków zadecydowały opiekuńcze uczucia sztabowców wobec swego generała. Bez dłuższych dyskusji, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia, oficerowie zgodnie postanowili zachować sekret Pearl przed dowódcą. Ordynans Shermana, sierżant Moses Brown, miał do-

||

91

pilnować, by ani generał, ani nikt inny w armii nie poznał prawdy, i zadanie swoje wykonał. Postarał się, by dziewczyna mogła załatwiać swoje intymne potrzeby na osobności. Pewnego dnia zbudował w obozie coś w rodzaju chatki z gałęzi nad strumykiem, by Pearl miała się gdzie wykąpać, nienarażona na spojrzenia wścibskich oczu.

Wszystkie te starania Pearl traktowała jako należne jej względy. Moses Brown zachowywał się bardzo oficjalnie i w najmniejszej mierze nie dawał poznać, czy ma jakiegokolwiek zdanie na temat niej samej czy też rozkazów, by się nią opiekować. Pracę swą wykonywał dobrze, był opiekuńczy i wyrozumiały. Pearl czuła do niego za to wdzięczność. Zaczęła go darzyć tym samym uczuciem, jakie żywiła dla Roscoe'a w domu. Ale nie czuła szczególnej wdzięczności dla oficerów, którzy zmówili się, by ją chronić. Nadal opłakiwała porucznika Clarke'a. Jego list trzymała w kieszonce na piersi. Dwie złote monety, które dał jej Roscoe, przechowywała w kieszeni spodni. Czerwony szal, przetykany złotą nicią, nosiła pod mundurem. To był cały jej majątek. Co do generała, szybko przekonała się, że jego może obawiać się najmniej. Lubił patrzeć, jak zajada z apetytem i uznał, że mowę odebrały jej straszliwe widoki, które musiała oglądać w czasie bitwy pod Sandersonville. - Powiedz, jak ci na imię, synu - prosił. A ona potrząsała głową. W nocy, leżąc w swoim namiocie, nasłuchiwała, jak krąży, nie mogąc zasnąć. Czuła zapach dymu z jego cygara i słyszała jego kroki, tam i z powrotem między namiotami. Uznała, że generał wszystkie swe plany obmyśla w nocy. A za dnia, gdy tylko miała taką możliwość, słuchała, jak rozmawia ze swymi ludźmi i po cichu powtarzała jego słowa, ucząc się mowy białych. Podczas marszu generał wypuszczał się naprzód, do wozu, w którym mieściła się jego kwatera, po czym

91

pilnować, by ani generał, ani nikt inny w armii nie poznał prawdy, i zadanie swoje wykonał. Postarał się, by dziewczyna mogła załatwiać swoje intymne potrzeby na osobności. Pewnego dnia zbudował w obozie coś w rodzaju chatki z gałęzi nad strumykiem, by Pearl miała się gdzie wykąpać, nienarażona na spojrzenia wścibskich oczu.

Wszystkie te starania Pearl traktowała jako należne jej względy. Moses Brown zachowywał się bardzo oficjalnie i w najmniejszej mierze nie dawał poznać, czy ma jakiegokolwiek zdanie na temat niej samej czy też rozkazów, by się nią opiekować. Pracę swą wykonywał dobrze, był opiekuńczy i wyrozumiały. Pearl czuła do niego za to wdzięczność. Zaczęła go darzyć tym samym uczuciem, jakie żywiła dla Roscoe'a w domu. Ale nie czuła szczególnej wdzięczności dla oficerów, którzy zmówili się, by ją

chronić. Nadal opłakiwała porucznika Clarke'a. Jego list trzymała w kieszonce na piersi. Dwie złote monety, które dał jej Roscoe, przechowywała w kieszeni spodni. Czerwony szal, przetykany złotą nicią, nosiła pod mundurem. To był cały jej majątek. Co do generała, szybko przekonała się, że jego może obawiać się najmniej. Lubił patrzeć, jak zajada z apetytem i uznał, że mowę odebrały jej straszliwe widoki, które musiała oglądać w czasie bitwy pod Sandersonville. - Powiedz, jak ci na imię, synu - prosił. A ona potrząsała głową. W nocy, leżąc w swoim namiocie, nasłuchiwała, jak krąży, nie mogąc zasnąć. Czuła zapach dymu z jego cygara i słyszała jego kroki, tam i z powrotem między namiotami. Uznała, że generał wszystkie swe plany obmyśla w nocy. A za dnia, gdy tylko miała taką możliwość, słuchała, jak rozmawia ze swymi ludźmi i po cichu powtarzała jego słowa, ucząc się mowy białych. Podczas marszu generał wypuszczał się naprzód, do wozu, w którym mieściła się jego kwatera, po czym

92

cofał się na same tyły. Wszyscy poznawali go i wołali do niego, a on machał do nich. Nazywali go wujaszkiem Bil-lym, a Pearl uradowała go pewnego ranka, gdy zapytana, jak się czuje, odparła: - Dziękuję, wujaszku Billy, całkiem nieźle.

XII

X o dniu marszu z Savannah Piętnasty Korpus znalazł się na drodze zaminowanej przez rebeliantów. Nastąpiło kilka stłumionych wybuchów, jakich żołnierze nigdy jeszcze nie słyszeli. Piechota się skryła. Wszystko stanęło w miejscu. Przy galopował jeździec, by pchnąć lazaret Wrede'a naprzód.

Dzień był ciepły jak na grudzień. Arly i Will jechali za pułkownikiem w ambulansie numer dwa. Posuwali się powoli, wóz niespiesznie zjeżdżał na pobocze, woźnice niechętnie pakowali się kołami na miękki grunt.

U czoła kolumny droga pełna była lejów po wybuchu. Szczątki ludzi i koni leżały porozrzucane na polach. Sanitariusze Wrede'a przynieśli nosze i ruszyli po niedobitków. Emily Thompson zajęła się chłopakiem, któremu oderwało nogę pod kolaniem. Nałożyła mu na udo opaskę uciskową. Tuż za płótem leżało ciało bez głowy. W ten ciepły grudniowy dzień doszło do straszliwej rzezi.

Wrede musiał poprosić oficera, który pocieszał jednego z rannych, by się odsunął. Proszę - powiedział. Oficer cofnął się ze słowami: - Teraz wyszło na jaw, że ci rebelianci to zwykli mordercy. Nie są żołnierzami. Żołnierze występują naprzód i walczą, nie wyczyniają takich rzeczy. - Odwrócił się i krzyknął: - Straż! Przyprowadźcie mi jeńców, dawać mi tutaj tych cholernych jeńców!

Emily, w przeciwieństwie do Wrede'a, zorientowała się, że owym oficerem jest generał Sherman.

Jakiś kilometr w lewo, pod lasem, widać było zabudowania: dom i stodołę. - Tam urządzimy szpital - rzekł Wrede.

94

Przypędzono kilku jeńców. Dano im kilofy i łopaty, i kazano pomaszerować drogą w ordynku. - Znajdziecie mi każdą minę, którą tu założono - rzekł Sherman - albo wszyscy wyleciecie w powietrze. - Jezus! Panie generale, niech się pan zlituje - powiedział któryś - myśmy tego nie zrobili. - Naprzód! -

zakomenderował generał, wymierzając mu kopniaka. Potem zamachnął się rękami w powietrzu, wskazując, że wszyscy mają się cofnąć.

Pojękując żałośliwie i trzęsąc się ze strachu jeńcy przeszli chwiejnie parę kroków, po czym porzucili swe narzędzia, opadli na kolana i palcami zaczęli grzebać ziemię w poszukiwaniu min. Pełzli naprzód, macając przed sobą teren wyciągniętymi rękami, jak ślepcy. Za każdym razem, gdy coś znaleźli, wydawali okrzyk. Inżynierowie Shermana przyjrzeni się uważnie pierwszemu urządzeniu, rozpracowali jego konstrukcję i rozbroili je. Znalaziono sześć min, wszystkie działające na tej samej zasadzie. Umieszczone w miedzianych cylindrach, po naciśnięciu zapalnika wybuchały z siłą haubicy.

Arly i Will wyładowali ambulans jęczącymi, pokrwawionymi ludźmi. Dwa rzędy kozłów ułożono wzdłuż pod brezentowym dachem. Sanitariusze spostrzegli dobosza, który stał na środku drogi, wpatrując się w swą bosą, zakrwawioną stopę. - Nic ci nie jest, synu, ale i tak się tobą zajmujemy - rzekł Arly. - Odczepcie się! - wrzasnął chłopak. Arly ujął go pod ramiona, a Will pod kolana i razem wsadzili wrzeszczącego, wyrywającego się wyrostka do wozu.

Dobosz uspokoił się i pozwolił, by położono go w środku dopiero wtedy, gdy napotkał spojrzenie Emily, która wpatrywała się weń z tyłu wozu. Emily uderzyło niezwykle piękno rysów tego chłopca, jego pełne łez oczy.

95

Will z kolei zastygł na chwilę, wbijając wzrok w siostrę Thompson, a tymczasem Arly, nie zwlekając, zajął jego miejsce na kozle i popędził muły. Will musiał pospieszyć się i wskoczyć w biegu. Przy wtórze jęków, przekleństw i okrzyków muły biegnęły truchtem ku domostwu pod lasem. W tym samym kierunku pogalopowała mijająca ich konnica, Emily ujrzała też przejeżdżającego obok Wrede'a.

Każda koleina czy niespodziewane szarpnięcie wywoływało wrzaski. Will, przygarbiwszy się, rzekł:

- Przykro patrzeć, jak cierpi jeden człowiek. Ale kiedy wyje cały chór, to już prawdziwe piekło.
- Ależ Will, synu, postarałem się o służbę w ambulansie, żebyś mógł robić słodkie oczy do panny Thompson.
- Nie ma o czym mówić. To dla mnie za wielka pani.
- Skąd wiesz, jaka z niej pani, póki sam się nie przekonasz?
- Nie zwróci na mnie uwagi, kiedy już stanąłem na nogi i jestem zwykłym żołnierzem unii.
- Więc nastaw się na Savannah. Boże Narodzenie będziemy obchodzić w Savannah. Tamtejsze panie zwrócą na ciebie uwagę. Będą robić miny pod jemiołą. Objemy się gęsiną puddingiem z figami. A jak już będziemy mieli dość, znowu wyruszymy.
- Ja nigdzie nie ruszam. Nie pasuje mi niebieski. No i dokąd? - powiedział Will po chwili.
- Może aż do Richmond, a właściwie mógłbym pójść nawet na biegun północny. Marsz to nowa droga życia. No, może nie taka nowa. Bierzesz, co ci potrzeba, z tego miejsca, w którym akurat jesteś, jak lew na sawannie, jak jastrząb w górach, a są one przecież stworzeniami boskimi, jak chyba pamiętasz.

Mamy nad nimi władanie, ale też możemy od nich co nieco skorzystać. Jakoś nie bardzo potrafię się ustatkować, mieć ciągle ten sam widok z okna,

96

budzić się co rano przy tej samej kobiecie. To życie dla trupów w grobach - rzucił Arly w stronę urywanych oddechów, błagalnych modłów i próśb o łyk wody, unoszących się w ten ciepły grudniowy dzień.

Mały domek, który Wrede wybrał na lazaret, stał pusty. Frontowe drzwi bujały się na zawiasach. Szklane tafle były potłuczone. Na parterze znajdowały się tylko dwa pokoje, bawialnia i kuchnia. Na górze mieściły się dwie małe sypialnie, w których ukośny dach nie pozostawiał wiele miejsca nad głową i było gorąco od słońca.

Wrede przeznaczył bawialnię na salę operacyjną. Sanitariusze wynieśli meble i w ciągu paru minut ustawili dwa stoły, rozścielili prześcieradła, nabrali wody ze studni, otworzyli apteczkę i rozłożyli narzędzia chirurgiczne.

Tymczasem rozładowano ambulanse. Rannych układano na siennikach przed frontowymi drzwiami, w cieniu dębu. Kilkunastu kawalerzy stów objechało okolicę, by sprawdzić, czy nie ma tam nic podejrzanego, zwłaszcza w lasach za domem, po czym żołnierze rozstawili posterunki.

Emily pozostała przed domem z rannymi, starając się nieść im ulgę, zanim zajmie się nimi lekarz. Gdy przyszła kolej na dobosza, towarzyszyła mu, idąc obok noszy i trzymając go za rękę. To była mała, miękka łapka. Chłopak zachowywał się spokojnie, choć z oczu wyzierał mu strach, lecz gdy przenieśli go na stół i sanitariusze Wrede'a przyłożyli nożyce do nogawek jego spodni, wrzasnął i usiłował się podnieść, wijąc się i krzycząc. - Rzuca się jak dziki koń - powiedział jeden z mężczyzn ze śmiechem.

W tym momencie Emily zrozumiała reakcję chłopca, gdyż sama w takich okolicznościach nie inaczej by się zachowała. Żołnierze przed operacją często stawiają

97

opór, lecz on przeciwstawiał się sanitariuszom dlatego, że chcieli narzucić mu swoją wolę. Czy to kwestia jego wieku? Sanitariusze spełniali swoją powinność, lecz, nie wiedząc dlaczego, czuła, że musi ich powstrzymać. I wtem, nagle, dojrawszy błysk niepokoju w dziecięcych oczach, intuicja podsunęła jej odpowiedź. - Nie, nie, zaczekajcie, zatrzymajcie się - powiedziała, stając między sanitariuszami i stołem.

Po drugiej stronie pokoju Wrede wykonywał zabieg wraz z asystentami, a cała ta grupa była tak skoncentrowana na swoim zadaniu, że Emily musiała zdać się na siebie. Zdążyła już zyskać szacunek oddziału medycznego, który po części tylko zawdzięczała swej pełnej poświęcenia postawie. To względy, którymi otaczał ją Wrede, przydawały jej autorytetu, co natychmiast wykorzystała, każąc zanieść pacjenta na górę. -1 przynieście mi ręczniki i miskę wody - poleciła.

Sam na sam z Pearl, Emily Thompson zdjęła jej spodnie i obmyła nogę z krwi.

-Wiesz, co to jest?

- Tak, psze pani.

- To pierwszy raz? -Aha.

- Boli cię?

- Niece.

- Nie ma się czego bać, dziecko.

- Pearl byle czego się nie boi.

-Wierzę ci, rzekła Emily, spoglądając jej głęboko w oczy. I obie kobiety uśmiechnęły się do siebie.

XIII

G«

I generał Sherman skierował lornetę na Fort McAllister, który osłaniał Savannah od południa. Był to potężny, wyniosły szaniec, osłonięty przedpiersiem, oddzielony jarem i wzmocniony zasiekami ze zrąbanych dębów. Na szczycie murów osadzono drązki, najeżone kolcami z zaostrzonych gałęzi ściętych drzew. Było późne popołudnie. Sherman stał z Morrisonem, swym oficerem łącznikowym, na dachu młyna na lewym brzegu Ogeechee, oddalonej o kilka mil od fortu. Nad nimi, na bocianim gnieździe, które pospiesznie wznieśli wojskowi inżynierowie, trzymał straż sygnalista Morrisona, który utrzymywał łączność z eskadrą admirała Dahlgrena, stojącą na kotwicy w cieśninie Ossabaw. Tam znajdowała się flota z ubraniami, obuwiem, żywnością i pocztą, za czym wojsko tęskniło od wielu tygodni. Lecz statki nie mogły przy płynąć w górę rzeki, póki fort nie zostanie zdobyty.

Oblegający tkwili w okopach, rozciągających się wielkim łukiem w grząskiej ziemi na południe i zachód od miasta. Czternasty, Dwudziesty, Siedemnasty i Piętnasty Korpus Shermana ugrzęzły w wezbranych wodą i piaskiem kanałach ściekowych. Ludzie, przemarznięci, nieszczęśliwi i głodni, maszerowali przez jałowe, piaszczyste tereny, które przechodziły w podmokłe plantacje ryżu, gdzie nie było skąd wziąć furazu. Nie mogli rozpalić ognisk, by się rozgrzać, gdyż ściągliby na siebie kartacze z dział rebe-liantów. Wiele mil za nimi tkwiły sznury wozów z sucharami, kawą i żywcem wołowym, lecz niczego nie można

99

było pchnąć na te przejmująco chłodne, bagniste niziny, póki miasto nie zostanie zdobyte.

- Pańska dywizja zaatakuje Fort McAllister - oznajmił Sherman generałowi Hazenowi. -Nie będziemy się bawić w żadne podchody. Zaszedłem tak daleko i wojsko chce coś z tego mieć. Zdobędziemy Fort McAllister i Savannah będzie nasze.

Teraz obserwował, jak pułki Hazena ustawiają się na pozycjach w lesie i zatrzymują się na jego skraju.

- Niech pan zasygnalizuje admirałowi Dahlgrenowi, że atak zaraz się rozpocznie - powiedział Sherman.

- Potem niech pan da rozkaz Hazenowi, żeby zaczynał. Tak, niech zaczyna, niech zaczyna - powiedział Sherman.

Po paru chwilach rzędy niebieskich mundurów rozwinęły się w szyku na skraju otwartej przestrzeni i rozpoczęły natarcie - szybki trucht z bronią gotową do strzału, przez pola w późnym, popołudniowym słońcu w kierunku fortu, oddalonego o jakieś osiemset metrów. Rebeliancy Napoleonowie natychmiast dali salwę. Widział teraz, jak szeregi zbiegają się z trzech kierunków - z pomocy, z południa i wzdłuż głównych sił - z rozwiniętymi sztandarami. - Boże, są wspaniali - wykrzyknął Sherman. Po chwili dym z wielkich armat spowił całą scenę niczym kłęby mgły, a wiatr wionął w twarz generała gryzący zapach prochu. Teraz tylko dzięki kapryśnym porywom wiatru mógł zerknąć na bitwę, dojrzeć jej złudne mgnienia, jakby dym był prześwitującą zasłoną migającej w tańcu bogini wojny. -1 uwiodła mnie - powiedział głośno Sherman ku konsternacji Morrisona.

Ale nawet te migawkowe spojrzenia pozwoliły Sherma-nowi nabrać przekonania, że atak się powiedzie. Rebelian-ci zostawili w polu ścięte drzewa, za którymi jego ludzie mogli się skryć i odpowiadać ogniem. A wielkie armaty

100

nie miały otworów strzelniczych -jego strzelcy wyborowi powybijaliby artylerzystów. Nasłuchując kanonady, zorientował się, że tempo wymiany strzałów osłabło. Biały bitewny dym zaczął się unosić i Sherman dojrzał teraz, jak jego ludzie gramolą się po pochyłości z jaru, a niektórzy wylatują w powietrze na ukrytych tam minach. Ale niebieskie szeregi napierały, pojawiało się ich coraz więcej, aż zdobyły przedpiersie fortu. Widział walki wręcz. Musiał opuścić lornetkę, zbyt wzruszony, by spokojnie się przyglądać. Uwielbiał dzielnych ludzi. Całe ich pułki wyrzywały z jego piersi szloch radości.

Ileż to minut minęło, gdy kapitan Morrison zawołał: - Jest nasz, panie generale, widzę nasze flagi!

I była to prawda. W jednej chwili ucichł ogień, przez pole przetoczył się wielki okrzyk. Przez lornetkę Sherman dojrzał, jak jego ludzie wymachują zaciśniętymi pięściami i strzelają z muszkietów w niebo.

Zapał już zmrok, gdy Sherman przybył do fortu. Przeprowadził inspekcję i skomplementował dowodzącego obroną młodego majora, który przyznał, że nie spodziewał się ataku o tak późnej porze.

Wstał księżyc, rzucając zimne, białe światło na zabitych, którzy leżeli w tam, gdzie padli. Ale pomiędzy nimi spoczywali też jego śpiący żołnierze. Ludzie Shermana znaleźli w piwnicach żywność i wino, a teraz zmorzył ich sen.

Sherman siedział na beczce, założywszy nogę na nogę, z cygarem w jednej ręce i kielichem wina w drugiej. Zastanowiło go, że jego ludzie, uznając śmierć towarzyszy za rzecz zupełnie naturalną, jak gdyby nigdy nic położyli się obok nich. Spali wszyscy, choć niektórzy snem wiecznym. Ledwo zwrócił uwagę, że służący, Moses Brown, zarzucił mu płaszcz na ramiona. Jego myśli biegnęły następującym

101

torem: a jeśli zmarły śni to samo co śpiący? Czy umysł na pewno umiera? A czy śmierć nie jest przypadkiem stanem śpiączki, z której zmarli nie mogą się obudzić? Ugrzęźli w odrażającym wszechświecie tak przerażających strachów, jakie pojawiają mi się w nocnych koszmarach.

- Boimy się śmierci tylko dlatego, że może nie stanowić prawdziwego kresu świadomości, nie wyłączać jej raz na zawsze. Jedynie z tego powodu lękam się śmierci. Wiemy

O niej tylko, że jest dla nas głębokim upokorzeniem. Z natury rzeczy nie jesteśmy w stanie należycie jej ocenić. Jako dowódca śmierć jednego z moich żołnierzy przede wszystkim uważam za uszczerbek w stanie osobowym, pozycję po stronie pasywów. Tak to widzę. To utylitarystyczna koncepcja śmierci - moja zdolność do prowadzenia wojny zmalała. Gdy w pierwszym roku walk straciliśmy takie mnóstwo żołnierzy, prezydent po prostu powołał do wojska następnych trzysta tysięcy. Czy zatem prezydent może tak naprawdę rozumieć, czym jest śmierć?

- Każdy człowiek ma własne życie, ducha, nawyki myślowe i osobowe, które go określają, lecz w masie ulega unifikacji. I cokolwiek by o sobie myślał, ja traktuję go jak oręż. Może szeregowca nazywają szeregowcem, bo jest pionkiem w szeregu i generała nie obchodzi. I tak stopień generalski ogranicza wyobraźnię generała.

- Ale ci żołnierze również, którzy walczyli, jedli, pili

1 pospali się, ze zrozumiałym zadowoleniem ze swych dokonań - jak oni wyobrażają sobie śmierć, skoro mogą się z nią przespać? Rozumieją z niej akurat tyle co i ja.

- Pozostają tylko panie. Może one wiedzą. Powołują życie do istnienia, może wiedzą, jak to jest po życiu. Ale często mówią o niebie i piekle. Koncepcje piekła i nieba nie interesują mnie. A los? Na wojnie los jest całkowicie

102

przypadkowy. W istocie, nie ma nic równie przeraźliwego jak los, jeśli akurat wytkniesz głowę na tor kuli armatniej. A ten czarny, zabity onegdaj przy torach kolejowych niecałe dziesięć metrów ode mnie - widziałem, jak leci kula, pocisk ważący trzydzieści dwa funty i krzyknąłem, ale gdy się odwrócił, kula podskoczyła z ziemi i oderwała mu głowę. To nie było zrzędzenie losu. Zbyt wiele pocisków lata w powietrzu, by zabijały z wyroku losu. A i walczących jest tak wielu, że śmierć któregoś z nich nie ma wielkiego znaczenia.

- Czy w tej wojnie między stanami powód walki w ogóle się liczy? Jeśli bowiem śmierć nic nie znaczy, to i życie nie ma znaczenia.

-Ale, naturalnie, nie mogę w to uwierzyć, bobym oszalał. Willie, mój syn Willie, och, mój syn, mój syn, czy mam powiedzieć, że jego życie nic dla mnie nie znaczyło? A wizja jego ciała w grobie wcale nie przeraża mnie mniej, gdy pomyślę, że przynajmniej nie jest uwięziony w swych snach jak w trumnie. Tak czy tak, to nie do zniesienia.

- To przez mój strach przed śmiercią, czymkolwiek by ona była, chcę wyrwać nieśmiertelność z tej zabójczej wojny, którą prowadzę. Będę żył wiecznie w pamięci pokoleń.

- A więc świat, dzięki swym wierzeniom, wskakuje z powrotem na miejsce. Tak. Teraz muszę się zająć Savan-nah. Zacznę oblężenie i wezwę miasto do kapitulacji. Walczę za sprawę. I tą walką dowodzę. A to, co robię, robię dobrze. I, na Boga, bardzo lubię, gdy chwalam mnie ludzie z mojej sfery, a rodacy czczą. Są ludzie i narody, jest dobro i zło. I jest ta unia. Nie może paść.

Sherman dopił wino i odrzucił kielich za okop. Chwiejnie stanął na nogach i w świetle księżyca rozglądał się na wszystkie strony. -Ale gdzie jest mój dobosz? - zapytał.

XIV

Ł-j miast Pearl dotychczas widziała tylko Milledgeville, lecz nie mogło się ono równać z Savannah - tu wszędzie były małe parki z fontannami i wielkimi, starymi dębami, z których spływał mech, a wszystko otoczone kutym w żelazie ogrodzeniem; stały tam też wspaniałe gmachy sądów i urzędu celnego, a na przystani cumowały statki. Prawda, że z niektórych ulic zdarto bruk i kamienie ułożono w stosy na rogach ulic, by mogli się za nimi skryć żołnierze konfederacji, ale do tego nie doszło. Uciekli za rzekę Savannah, by kiedy indziej stoczyć walkę. Wzdłuż nadbrzeżnego bulwaru znajdowały się sklepy i otwarte składy, do których żołnierze unii wyładowywali żywność. Słońce wzeszło, a ona jechała powozem, całkiem jak Jamesonowie, z panną Emily i tymi dwoma woźnicami z ambulansu, którzy towarzyszyli im na tej przejażdżce. Codziennie odbywała się defilada, teraz zatrzymano je na rogu, gdy przechodziła kolejna. Pearl podniosła się, by ją obejrzeć, i ścisnęła rękę panny Emily tak długo, aż ona również wstała. Jaka wspaniała muzyka, jej postukiwanie pałeczką w bęben na dwa takty nie mogło się równać z tym potężnym dudnieniem; mosiężne rogi błyszcząły w słońcu, wysyłając ku niemu grzmiące dźwięki, flety i pikola świergotały z górnych tonów jak przysiadające ptaszki, ogromne tuby pompowały w dole, a na samym końcu dwa wielkie bębny zapowiadały pojawienie się czworoboków niebieskich, paradnych mundurów. Z rozwiniętymi flagami unii!

W tle muzyki słyszała rytmiczny tupot żołnierskich butów, sunących cicho, a gdy orkiestra przeszła dalej,

104

robiąc miejsce coraz to nowym kompaniom niebieskich mundurów, dobiegał ją tylko stłumiony szelest kroków, niemal szept, i gdyby nie okrzyki sierżantów z boku i furkot proporców, przypominających o zwycięskich bojach, wydałoby się to jej przeraźliwie smutne - ci mężczyźni z karabinami na ramieniu, świętujący swój triumf, ale wyglądający w jej oczach jak niewolnicy, choć może, w przeciwieństwie do niej, nie urodzili się do tego.

Po obu stronach głównego traktu zebrały się tłumy, by oglądać defiladę. Nagle Wilma, chwyciwszy Coalhouse'a Walkera za rękę, pociągnęła go przez kutą w żelazie bramę na dziedziniec przed domem o mansardowym dachu, po czym oboje stanęli za żywopłotem.

- O co chodzi, panno Wilmo? - zapytał mężczyzna swym głębokim głosem.

Nie odpowiedziała, tylko stała z zamkniętymi oczyma, potrząsając głową i przyciskając pięść do ust.

- Powiedz mi - nalegał.

- To paniemka Emily - odparła w końcu. - Córka sędziego Thompsona, u którego byłam w obowiązku. Wyjrzyj, ale tak, żeby cię nie zobaczyła. Jest w powozie, którym kierują wojskowi, z jeszcze jedną białą dziewczyną. Widzisz ją?

Zerknął nad żywopłotem. - Nie. Defilada się skończyła, wszyscy ruszają dalej. - Odwrócił się i uśmiechnął do niej. - A poza tym, jesteś wolna, czyżbyś zapomniała?

Wilma wybuchnęła płaczem. Wziął ją w ramiona. - No, już dobrze. Zaszliśmy tak daleko. Jesteś piękną, silną kobietą, która maszerowała w deszczu i w zimnie, często nie mając co do ust włożyć i nigdy nie widziałem w twoich oczach ani jednej łzy. A teraz, kiedy najgor-

9 W

105

sze jest już za nami, w tym wolnym mieście, w blasku słońca, płaczesz jak jakaś bidusia przez takie głupstwo. - Zaśmiał się.

- Przepraszam - powiedziała Wilma i też się roześmiała, choć w oczach nadal kręciły się jej łzy.

W tym momencie na werandę wyszła kobieta z psem na smyczy i wbiła w nich wzrok.

Wycofali się, zamykając za sobą bramę i poszli dalej, trzymając się za ręce.

Miał naturalnie rację ten dobry człowiek. Wyniósł ją z rzeki i wziął pod swoje skrzydła. Nigdy nie widziała tak silnego mężczyzny. Powołano go do wojska jako sapera i w miarę jak armia posuwała się naprzód, ścinał drzewa i układał kłody w poprzek drogi, kiedy padało. Widziała, jak wyciąga podkłady z torów kolejowych, widziała, jak jędrna, piękna skóra na jego piersi błyszczy w słońcu od wysiłku, jak poruszają mu się muskuły ramion, a potem, gdy odwrócił się plecami, zobaczyła tam grube blizny, aż zaparło jej dech, choć on nic sobie z tego nie robił. Był pięknym mężczyzną, jego czarna skóra w promieniach słońca połyskiwała głębokim fioletem.

Poznali się dzięki szczególnej łasce boskiej i przez cały czas Walkerowi udawało się wywiązywać z obowiązków, a zarazem roztaczać opiekę nad Wilmą - zdobył dla niej suche ubranie i wojskowy płaszcz dla ochrony przed zimnem, dzielił się z nią swymi racjami żywnościowymi, jeżeli je dostawał, i trzymał ją przy sobie, gdy tylko było to możliwe, a jeśli nie, pilnował, by była bezpieczna między czarną bracią. Oboje mieli po dwadzieścia dwa lata, lecz on był niepoprawnym optymistą i snuł wspaniałe wizje ich wspólnej przyszłości. Toteż w porównaniu z nim czuła się starsza, ale on uczył ją nadziei.

A jednak miasto, które napawało go taką radością, w niej wzbudzało obawy. Nadal byli czarnymi w białym

106

świecie. Coalhouse pobrał parę dolarów żołdu, ale kupcy w sklepach wystawiali ceny w walucie konfederatów. Chciał kupić trochę słodkich ziemniaków. - Nie kupuj - przekonywała. - Obejdzie się. - A poza tym wiedziała, że choć kompania Coalhouse'a stacjonuje za miastem, na plantacji ryżu, on włóczy się po ulicach jak kompletnie wolny człowiek, jakby nie musiał mieć przepustki. Był więc lekkomyślny i w jego radosnej naturze kryło się też nieco szaleństwa, toteż gdy szli razem, Wilma zawsze oglądała się do tyłu i biegła wzrokiem przed siebie, wypatrując niebezpieczeństwa.

A teraz, co mu chodziło po głowie, gdy wziął wielki, pusty kosz z alejki za sklepem i zaprowadził ją nad rzekę? Panno Wilmo, oznajmił, zrobimy sobie piknik. Ale co on wyprawia, dlaczego zdejmuje buty,

kurtkę, podwija spodnie do kolan, wchodzi na płaskie kamienie i przykuca na nich? I zanim zdążyła się zorientować, zsunął się w zimne wody rzeki.

I tak Wilma Jones, która urodziła się na górzystym terenie, dowiedziała się o istnieniu ostryg. Coalhouse Walker nałowił ich prawie cały kosz. Ociekał wodą, trząsł się z zimna i uśmiechał od ucha do ucha. Usiedli w słońcu na wielkim, płaskim kamieniu, a on, odrzuciwszy głowę do tyłu, wyhaskiwał ostrygi nożem ze skorupy i połykał je na surowo. Wilma nie miała na niego smaku, toteż przeszli uliczkami między domami i stajniami, aż znaleźli kuchnię, w której krzątało się paru czarnych. Pozwolili Wilmie skorzystać z pieca.

Teraz młoda kobieta odnalazła się w znajomej roli. Usmażyła ostrygi we własnym sosie z odrobiną mąki i nudny, pełen zmartwień dzień zmienił się w wesołą zabawę z ludźmi, których poznała dzięki temu, że były wakacje i wyzwolono Savannah. Potrawę, którą przyrządziła, jedli wszyscy, z prawdziwym chlebem.

107

Coalhouse zadziwił ją- wzięwszy banjo, zaczął na nim brzdąkać i zaśpiewał swym głębokim głosem jakąś starą pieśń. Nie wiedziała, że ma takie talenty. Zebrani klaskali do taktu, a jakiś chłopak puścił się w tany. Wilma znalazła się wśród nowych przyjaciół, których imiona ledwo pamiętała i których pewnie więcej nie zobaczy. Część z nich została w tych samych miejscach, w których służyli jako niewolnicy, ale teraz pracowali po swojemu, a ona zaczynała do tego przywykać, do świętowania po swojemu, co było nie do pojęcia dla białych. I uzmysłowiła sobie, że tego nowego ducha wlał w nią Coalhouse Walker, który całe swe otoczenie зараżał radością życia.

A cóż to, panno Mary, na poduszce spoczywa? Ach, nie widzisz, mój panie, że to melon się kiwa? Jakiś dziwny to melon, niech no ja zginę marnie, skoro patrzy się na mnie i wąsiki ma czarne.

Były tam młode podkuchenne, a ponieważ Wilma wiedziała, co im chodzi po głowie, nie spuszczała Coalhouse'a z oczu. Może wynikało to z jej poważnego podejścia do życia, a może z wychowania w sędziowskim domu, które nauczyło ją robić wszystko jak należy, w każdym razie Wilma wiedziała, że jest grzechu warta, ale Coalhouse'a pociągała jej mądrość życiowa i zdrowy rozsądek - a też i to, że umiała pisać i czytać, i nie chciała z nim spać, póki nie będą sobie poślubieni jak Pan Bóg przykazał. Uszanował to i w głębi serca wiedziała, że nie ma się o co martwić, gdyż takiej kobiety Coalhouse dla siebie pragnął.

Tej nocy spali na strychu na sianie, wymieniwszy wpieryw pocałunki nie całkiem siostrzane i uściski nie całkiem braterskie, rano zaś opowiedziała mu o swoim pomysśle. Poszedł nad rzekę i koło południa na jednym z miejskich

m

107

Coalhouse zadziwił ją- wzięwszy banjo, zaczął na nim brzdąkać i zaśpiewał swym głębokim głosem jakąś starą pieśń. Nie wiedziała, że ma takie talenty. Zebrani klaskali do taktu, a jakiś chłopak puścił się w tany. Wilma znalazła się wśród nowych przyjaciół, których imiona ledwo pamiętała i których

pewnie więcej nie zobaczy. Część z nich została w tych samych miejscach, w których służyli jako niewolnicy, ale teraz pracowali po swojemu, a ona zaczynała do tego przywykać, do świętowania po swojemu, co było nie do pojęcia dla białych. I uzmysłowiła sobie, że tego nowego ducha wlał w nią Coalhouse Walker, który całe swe otoczenie zarażał radością życia.

A cóż to, panno Mary, na poduszce spoczywa? Ach, nie widzisz, mój panie, że to melon się kiwa? Jakiś dziwny to melon, niech no ja zginę marnie, skoro patrzy się na mnie i wąsiki ma czarne.

Były tam młode podkuchenne, a ponieważ Wilma wiedziała, co im chodzi po głowie, nie spuszczała Coalhouse'a z oczu. Może wynikało to z jej poważnego podejścia do życia, a może z wychowania w sędziowskim domu, które nauczyło ją robić wszystko jak należy, w każdym razie Wilma wiedziała, że jest grzechu warta, ale Coalhouse'a pociągała jej mądrość życiowa i zdrowy rozsądek - a też i to, że umiała pisać i czytać, i nie chciała z nim spać, póki nie będą sobie poślubieni jak Pan Bóg przykazał. Uszanował to i w głębi serca wiedziała, że nie ma się o co martwić, gdyż takiej kobiety Coalhouse dla siebie pragnął.

Tej nocy spali na strychu na sianie, wymieniwszy wpierw pocałunki nie całkiem siostrzane i uściski nie całkiem braterskie, rano zaś opowiedziała mu o swoim pomysśle. Poszedł nad rzekę i koło południa na jednym z miejskich

107

Coalhouse zadziwił ją- wzięwszy banjo, zaczął na nim brzdąkać i zaśpiewał swym głębokim głosem jakąś starą pieśń. Nie wiedziała, że ma takie talenty. Zebrani klaskali do taktu, a jakiś chłopak puścił się w tany. Wilma znalazła się wśród nowych przyjaciół, których imiona ledwo pamiętała i których pewnie więcej nie zobaczy. Część z nich została w tych samych miejscach, w których służyli jako niewolnicy, ale teraz pracowali po swojemu, a ona zaczynała do tego przywykać, do świętowania po swojemu, co było nie do pojęcia dla białych. I uzmysłowiła sobie, że tego nowego ducha wlał w nią Coalhouse Walker, który całe swe otoczenie zarażał radością życia.

A cóż to, panno Mary, na poduszce spoczywa? Ach, nie widzisz, mój panie, że to melon się kiwa? Jakiś dziwny to melon, niech no ja zginę marnie, skoro patrzy się na mnie i wąsiki ma czarne.

Były tam młode podkuchenne, a ponieważ Wilma wiedziała, co im chodzi po głowie, nie spuszczała Coalhouse'a z oczu. Może wynikało to z jej poważnego podejścia do życia, a może z wychowania w sędziowskim domu, które nauczyło ją robić wszystko jak należy, w każdym razie Wilma wiedziała, że jest grzechu warta, ale Coalhouse'a pociągała jej mądrość życiowa i zdrowy rozsądek - a też i to, że umiała pisać i czytać, i nie chciała z nim spać, póki nie będą sobie poślubieni jak Pan Bóg przykazał. Uszanował to i w głębi serca wiedziała, że nie ma się o co martwić, gdyż takiej kobiety Coalhouse dla siebie pragnął.

Tej nocy spali na strychu na sianie, wymieniwszy wpierw pocałunki nie całkiem siostrzane i uściski nie całkiem braterskie, rano zaś opowiedziała mu o swoim pomysśle. Poszedł nad rzekę i koło południa na jednym z miejskich

108

placów, gdy wokół kręciło się pełno wojska, a na niebie świeciło jasne słońce, Wilma na prowizorycznym stoisku sprzedawała ostrygi prosto z patelni, smażone na ogniu, który Coalhouse rozniecił w stalowym bębnie. Coalhouse zrobił też tutki z papieru gazetowego i trajkocząc jak najęty, napędzał klientów. - Świeżutkie, wyborne ostrygi panny Wilmy! - wykrzykiwał i sprzedawali jego poranny połów na tutki żołnierzom, a nawet oficerom, aż wreszcie udało im się zwabić mieszczuchów secesjonistów, którzy głęboko cierpieli nad losem, jaki spotkał ich miasto, lecz uznali, że smażone ostrygi Wilmy są zbyt smaczne, by nimi wzgardzić. I tak wraz z Coalhousem sprzedała ich trzy buszle, co pod koniec dnia przyniosło im trzynaście prawdziwych unijnych dolarów.

- Ja je schowam - powiedziała Wilma - po czym odwróciła się, podniosła skraj spódnicy i zatknęła zwinęte banknoty za pasek długiśnych majtasów.

Arly i Will bez kłopotów pobrali nowe buty - po prostu postali chwilę w kolejce, a gdy doszli do kwatermistrza, musieli tylko pokazać stopy. Z żołem to zupełnie inna sprawa, trzeba było podać nazwisko i pułk.

- I co Bóg na to? - zapytał Will, spoglądając na swoje sztywne buty. Piły go w palcach i już czuł, jak ocierają go w kostkach.

- Powiada, żebyś był cierpliwy, a wszystko będzie mi dane - odparł Arly.

Pułkownik Sartorius zwolnił ich tylko po to, by zaopatrzyli się w ekwipunek, lecz nie spieszyło się im z powrotem do szpitala wojskowego w Savannah, gdzie przeprowadzał zabiegi. Ponieważ miasto poddało się bez walki, rzadko wzywano ambulans i obaj służyli teraz jako sanitariusze na oddziale wojskowym, opróżniając baseny i wykonując inne miłe obowiązki.

109

Ciężko stąpając w nowych butach, nieułożonych jeszcze do stopy, mieli wszelkie powody, by się nad sobą litować. Najwyraźniej każdy niebieski prócz nich miał całodniową przepustkę i pieniądze w kieszeni. Było też wielkie zamieszanie z powodu poczty. Ze statków przyniesiono całe jej tony i od rana do wieczora wszyscy czytali listy z domu. Arly powiedział, że to żałosne, by dorośli mężczyźni tak się zachowywali. Ale Will chciałby dostać od kogoś list. On i Arly nie otrzymują listów, bo nikogo w całym wszechświecie nie obchodzi, czym ani gdzie są.

Omal nie zepchnął ich z chodnika odrażający tłum wojaków, po części wesoło podpitych, rozgadanych, którzy już to biegli, już to szli, spiesząc do im tylko znanego miejsca.

- No co wy! - krzyknął Will. Ale Arly'ego zaciekał ten widok. Skinął na Willa i powlekli się z nimi. Doszli za żołnierzami nad rzekę, gdzie na Charleston Street ciągnął się rząd połączonych ze sobą jednopiętrowych domów z czerwonej cegły. W oknie każdego z nich stała uśmiechnięta kobieta.

Przy drzwiach trzymali wartę uzbrojeni żołnierze. Obaj mężczyźni nie zwracali na nich uwagi, lecz mieli dość rozsądku, by odsunąć się na bok, gdy żołnierze, jeden za drugim, przez kilkoro drzwi, wsuwali się do środka. Wartownicy popatrzyli na siebie, uważnie zlustrowali ulicę, po czym również weszli, zamykając za sobą drzwi.

Na oczach Arly'ego i Willa kobiety, jedna po drugiej, zniknęły z okien. - To niewysłowione okrucieństwo

- stwierdził Arly. Uderzając powabne dziewczę z okna na piętrze zajrzało mu w oczy i zrobiło zachęcający ruch głową, po czym również zniknęło. - O, nieszczęsna, zakochała się we mnie - powiedział Arly.

Obaj mężczyźni stali na pustej ulicy, wypełniającej się coraz głośniejszymi odgłosami swawoli, które wydobywały się zza ceglanych ścian.

110

Will w skrytości ducha poczuł ulgę, że nie ma pieniędzy. Gdy tak patrzył na kobiety w oknach, zrobiło mu się nieswojo, jakby stojąc tam i myśląc to, co myśli, brukał promienny obraz siostry Thompson, który nosił w sercu. Nieważne, że w ogóle nie wiedziała o jego istnieniu, a tym bardziej o jego uczuciach, miał jedynie wrażenie, że już spoglądając na te dziewczki, zdradzają. - No, dość tego

- powiedział. - Chodźmy.

Arly wyciągnął cygaro z kieszeni i zapalił je. - Will, mój chłopcze, prócz wrodzonych talentów, Bóg obdarzył mnie czymś jeszcze. Wlał we mnie ducha. Napełnił męskimi sokami. Uczynił ze mnie męża, który podejmuje wyzwanie, czy to wobec plutonu egzekucyjnego, czy wojska, które odziera mnie z przyrodzonego prawa do wyrażania mojego „ja”.

Wracali przez miasto. - Ze wszystkiego się wywinę

- oświadczył Arly. - Wyjdę cało z tej wojny dzięki niesłychanej zdolności przetrwania, która też sypnie mi parę federalnych dolarów.

- To tylko przeklęta dziwka - stwierdził Will.

- O nie, mój panie, i tu się mylisz. Gdy byłem w polu i kule świszczwały mi koło uszu, myślałem tylko o tym, żeby przeżyć. To pragnienie mnie zżerało, byłem opętany chęcią przeżycia i dzięki temu się uratowałem. A teraz męczy mnie to. W okopie masz w głowie jedno, w mieście, gdzie wszędzie widzisz kobiety, coś całkiem innego. Ale potężna potrzeba zaspokojenia instynktu życiowego jest ta sama. W obu wypadkach to kwestia przeżycia.

- Z tymi dziwkami to nie takie pewne - rzekł Will.

- Właśnie dziś widziałem, co taka kurwa może narobić. Ty też widziałeś tego gościa, któremu rtęć zżarła połowę twarzy.

- Nigdy nie byłeś z kobietą, co?

111

Will się nie odezwał.

- Mnie możesz powiedzieć, przecież to nie żaden wstyd - z ciebie jeszcze dzieciak, chociaż muszę przyznać, że nie miałem trzynastu lat, kiedy pewna uprzejma dama zaprowadziła mnie do stodoły. A ile ty masz teraz? No dobrze, nie muszę pytać, gdzie się urodziłeś ani w jakiej rodzinie. Od razu widać, że za bardzo się nad tobą trzęśli i pewnie jakiś księżulo namieszał ci w głowie, a ponieważ trzymano cię na krótkiej smyczy i nigdy nie byłeś z kobietą, mówisz tak, bo nie masz pojęcia o miękkim, świętym naczyniu, które noszą między nogami. Mój Boże, na samą myśl o tym... przy siądźmy na chwilę na tej ławce.

Will patrzył na promienie słońca o zachodzie, przeświecające przez firany mchu na dębie. - Wojnę prowadzi się nie w imię ratowania unii, a już na pewno nie dlatego, by wyzwolić czarnuchów, a jedynie po to, byś miał w łóżku własną kobietę, a nawet cudzą, na każde skinienie - wywodził Arly. - Mówisz o najwznioślejszym przeżyciu, mój mały, o tym, że będziesz żył, gdy odejdziesz już do swojego Boga, w potomstwie, spłodzonym mocą twych lędźwi, które wygląda tak jak ty, mówi jak ty i myśli jak ty, i jest tobą w pokoleniach następców. I wiesz, jak On to urządził: przekuwamy miecze na lemieszce i pod koniec dnia idziemy do naszych domów, gdzie po dobrej, gorącej wieczerzy, bierzemy te błogosławione stworzenia, dane nam od Boga, na górę, ściągamy z nich suknie, bieliznę, gorsety i czym tam jeszcze się okrywają, aż naszym zadziwionym oczom ukazują się nogi, piersi, brzuchy i tyłki... wielki Boże. A gdy w nie wchodzimy, nabrzmiewamy w samej ich istocie, a one krzyczą nam do ucha i czujemy, że nie ma nic miększego, cieplejszego ani słodsze na całym bożym świecie nad to, co obejmuje naszego sztywnego fiuta i z Bożej woli strząsamy w nie płód naszych lędźwi.

tu ooip 'Avojnnpunm po Sis 0{ps9iq9iu 9ppso>[^ "909J av avouuiAi{ uiajoiąz 9Z 'bjzs9j bjbo }{Bf ijgirejs 9pzs9iAY zy

iiuBjną iuiAmou uiikms

ipBSou od {Bjdop uiAiop['uiAuo zpBuiójSz Aipoiuisn sjbav -O5[zsoj5ims ofefeonzj 'uiasou pod {biojuibui - oiaAzićl tui

-9oavb^ av

TD[pOJS AV p 'UIIU BZ ZTIU

- Auisjjuzods

B0J9S OS

3IUZSEJ1S '

O§9U]OAV 911DOJ; S9XZpL) 0§9ZOB|p

9is je^spazjd Xaoj5['bjji^w op

9IU 9IS OZpJBą 9Z '5f9IzpBU UIBJAJ '

91U UIBS

z 'foraouifeu op 3is DtefeipAdazid ' -so>[zjj^uav9av ąo

IJZ9JBUZ '^OBpOIIOS Od

'urezsRidgzjj - npozjd - urezsBjdszjj - *B{Oio

bu 5is {BAV9|Aw iAvzjp aii5jsfoiiu psu b^mojo 'AvcjsXjdBq topso>i 0}

Z9Zjd UITU Z ZBIM JBIIISod '09I5[O{ BZ

zb ' -9izpfAzjd 9ixiui

Op OJ 9Z '^BTZp9IAV0d §CQ - :i\$OU BU 91S

A\jy - oijAui 9is \ z ^zsop 'osoo9iqo>[5{Bf 'uiAj o ąoBiuBuinp an. o§9uozfeiSod 'biji^ nzsnoq

MC?[UIOp ipA} Z B5[MIZp BZSJOSfBU ZIU pld9| 5q 91U BTIUBd BJ '0§9ZO Op 00 9tZpfXzid 5[Bf 'XUBU05[S qO9IU 'OJ '^BZBjqoAAV 9iqOS 00 UI9IM 9IU sXq9Z I •UOSdIUOI[X BJJSOIS BUOZJBUIAm BfOAVJ 5{Bf OS009iq0?(BMOTUp

-njod ^BiuBdsM BfBiusgppn ouibs 5[bj 9z 'pSiuiBd ja >[bu

-pgf pIUI 'UIBpBTMOdo UIAzO O 'O§9J p Bfep 91U 9IAV0|0d AV IUB 'OIU BZ ZSBUI OJOPf 'AtUBp 9A\OppJTiq 9J IJSSf V "BpSfod

zsbui 9iu iuXzo o 'uiAj o tui fBpBtModo ora '9zodo^qo 'o

z\\

113

i tam widać też było paru cywilów. Ale potężny chór składał się wyłącznie z silnych żołnierskich głosów, nawołujących się nawzajem żarliwie, choć niekoniecznie w takt, do modłów nad brzegiem rzeki.

W kościele Will zawsze robił się nerwowy, chyba już od szczeniaka, gdy widział, jak jego rodzice z opoją i sekut-nicy w ciągu tygodnia w kościele zmieniają się w zupełnie innych ludzi. Doszedł do wniosku, że do kościoła chodzi się tylko po to, by odgrywać kogoś lepszego, niż się jest naprawdę, i właśnie to udawanie tak go przerażało. Zrósł się z tą myślą od dziecka i teraz, gdy się rozglądał, widział te same otwarte usta i szklany wzrok śpiewających, lecz wiedział, że oni nie tylko udają, lecz naprawdę chcą stać się lepszymi ludźmi. Ale spostrzeżenie to wcale nie przyniosło mu pociechy, bo wszak trwa wojna, co znaczy, że niezależnie od tego, czego ludzie pragną naprawdę czy też tak im się tylko wydaje, i tak będą robić to co zawsze, wynajdując najprzeróżniejsze sposoby, by grzeszyć przeciwko Panu; po czym pójdą do kościoła, żeby kupić sobie trochę skruchy, która oczyści ich na jakiś czas, i znowu zaczną popełniać następne grzechy, a później wrócą po kolejną ratę skruchy i tak dalej. - Idąc tym tropem - myślał Will - armia jankeska powinna zbudować sobie własny kościół i nosić go ze sobą na plecach, bo czy to wiadomo, kiedy będą chcieli spalić dom Boży na popiół, a kiedy się w nim modlić? - Boże, miej mnie w swojej opiece - myślał Will, nie dostrzegając w tym apelu niczego sprzecznego ze swą naturą, bo nie mogą też stanąć po stronie właścicieli czarnuchów, wśród których

się urodziłem. Nikomu ani niczemu nie mogę poświęcić się całym sercem, może z wyjątkiem panny Emily Thompson.

Gdy skończono śpiewać hymny, przy cichym mruczeniu organów puszczone między wiernych tacę na datki.

114

Will nie miał ani centa, toteż czuł się głupio. Patrzył, jak kościelny podsuwa tacę pierwszemu człowiekowi z brzegu przy nawie i widząc, jak kolejno wpadają do niej monety, a nawet dolary federalne, gdy taca zbliżała się do niego, uzmysłowił sobie, że to Arly, a nie on wepchnął ich w środek tej ławki i w chwili, gdy podsunęto mu tacę, wiedział, że Arly puknie w nią od dna, pieniądze pofruną w górę, a oni, na czworakach, uderzając głowami o tył ławki z przodu, będą zbierać monety i banknoty i wkładać prawie wszystkie z powrotem na tacę; a potem podniosą się na nogi - kościelny z końca nawy obrzuci ich wściekłym spojrzeniem, żołnierze po obu jej stronach będą potrząsać głowami nad tymi sakramenckimi ofermami - co zgadzało się w jego wypadku, a ze strony Arly'ego było chytrym podstępem - i teraz zbieranie datków znowu przebiegało gładko; z organów miękko płynęły tony pełne rewerencji dla boskiego imienia, a oni stali twarzą do ołtarza, oblani rumieńcem zakłopotania - dwóch wiernych, którzy nie mogli doczekać się końca mszy, by z cudzym żołdem w kieszeniach wyrwać co sił w nogach z powrotem do kurw na Charleston Street.

Gdy Sartoriusowi przydzielono oddział na parterze i salę operacyjną w szpitalu wojskowym, był niezmiernie rad z takich luksusów po mordędzie w szpitalach polowych. Ale Emily inaczej na to patrzyła. Z dwudziestu łóżek na oddziale połowę zajmowali żołnierze konfederacji. Umierali z ran albo zżerała ich choroba. Smród był potworny, mimo że kazała szeroko otworzyć okna i dokładnie wywietrzyć sale. A z powodu blokady unijnej w szpitalu brakowało nawet bandaży. Nie było kalomelu ani chloroformu. Nie było ani środków wymiotnych, ani powodujących łagodnie odczyny zapalne, ani narkotyków.

114

Will nie miał ani centa, toteż czuł się głupio. Patrzył, jak kościelny podsuwa tacę pierwszemu człowiekowi z brzegu przy nawie i widząc, jak kolejno wpadają do niej monety, a nawet dolary federalne, gdy taca zbliżała się do niego, uzmysłowił sobie, że to Arly, a nie on wepchnął ich w środek tej ławki i w chwili, gdy podsunęto mu tacę, wiedział, że Arly puknie w nią od dna, pieniądze pofruną w górę, a oni, na czworakach, uderzając głowami o tył ławki z przodu, będą zbierać monety i banknoty i wkładać prawie wszystkie z powrotem na tacę; a potem podniosą się na nogi - kościelny z końca nawy obrzuci ich wściekłym spojrzeniem, żołnierze po obu jej stronach będą potrząsać głowami nad tymi sakramenckimi ofermami - co zgadzało się w jego wypadku, a ze strony Arly'ego było chytrym podstępem - i teraz zbieranie datków znowu przebiegało gładko; z organów miękko płynęły tony pełne rewerencji dla boskiego imienia, a oni stali twarzą do ołtarza, oblani rumieńcem zakłopotania - dwóch wiernych, którzy nie mogli doczekać się końca mszy, by z cudzym żołdem w kieszeniach wyrwać co sił w nogach z powrotem do kurw na Charleston Street.

Gdy Sartoriusowi przydzielono oddział na parterze i salę operacyjną w szpitalu wojskowym, był niezmiernie rad z takich luksusów po mordędzie w szpitalach polowych. Ale Emily inaczej na to patrzyła. Z dwudziestu łóżek na oddziale połowę zajmowali żołnierze konfederacji. Umierali z ran albo zżerała ich choroba. Smród był potworny, mimo że kazała szeroko otworzyć okna i dokładnie wywietrzyć sale. A z powodu blokady unijnej w szpitalu brakowało nawet bandaży. Nie było kalomelu ani chloroformu. Nie było ani środków wymiotnych, ani powodujących łagodne odczyny zapalne, ani narkotyków.

115

Musieli więc czerpać zaopatrzenie z zapasów polowych. A ponadto, choć armia stacjonowała w Savannah, pacjentów wcale nie było mniej. Zgłaszali się chorzy z gorączką i przekrwieniem oskrzeli, czego nabawili się podczas oblężenia miasta; tkwili na pozycjach na bagnistym terenie wokół Savannah, w mokrych mundurach, głodni, nie mogąc rozpalić ognisk i teraz ledwo trzymali się na nogach. A ponieważ doszło do ogólnego rozluźnienia dyscypliny wojskowej, żołnierze włączyli się pijani po mieście, a że często dochodziło do bójek, ich ofiary, w stanie krańcowego wyczerpania, meldowały się w szpitalu nad ranem. Ten szpital w noliwym Savannah bardziej przypominał dom wariatów. Co gorsza, brakowało personelu. Sartorius nie miał asystenta. Trzech pułkowych sanitariuszy chorowało - dwóch na zapalenie płuc, a trzeci miał nawrót malarii. A zatem w szpitalu służyła nie tylko Emily i dwóch ludzi z Millen, lecz także mała Pearl, która zajęła stanowisko w magazynie, gdzie składała ręczniki i związała bandaże.

- Ale gdzie się podziało tych dwóch? Zawsze gdzieś znikają, gdy są potrzebni.

Wrede powiedział jej, że gdy tylko ich zbadał w Millen, wiedział, że nie są tymi, za kogo się podają. W ogóle nie siedzieli w tym błocie. Nie byli wygłodzeni. Oczy mieli czyste. Skóra zdrowa, paznokcie różowe, a brody niedawno przycinane.

- Podejrzewam, że to szpiedzy - rzekł Wrede.

Szpiedzy? Była wstrząśnięta. Jeden z nich, Will, wyglądał na miłego chłopca. Czy ktoś taki może być szpiegiem?

- W chaosie wojny pełno jest takich szubrawców. Nie wiem, czy naprawdę służyli w tych pułkach, które podają, i nic mnie to nie obchodzi. Jeśli postanowili dołączyć do mojej kompanii medycznej, bo nie przestrzegam tak ści-

116

śle regulaminu, to rozumowali prawidłowo. Kimkolwiek są - może chcą nauczyć się ode mnie przeprowadzania resekcji - nie będę im robił trudności. - Roześmiał się. A tymczasem mogą szorować podłogi i sprzątać po chorych na dyzenterię.

Wrede Sartorius nie miał zwyczaju opowiadać o swojej przeszłości, toteż Emily była zaskoczona, gdy jej powiedział, że ojciec wysłał go do akademii wojskowej w Getyndze. To doświadczenie przepoiło go pogardą dla musztry, salutowania i wszelkich innych niedorzeczności żołnierskiej hierarchii. Tak się właśnie wyraził - uśmiechnęła się - niedorzeczności żołnierskiej hierarchii.

Przyniesiono cywila z wgniecioną czaszką. Przybył w ramionach Murzynki. - Nie przysługuje mu szpital wojskowy - upierał się jeden ze strażników, ale żona ofiary rzekła: - Zrobili to tacy jak wy i nie ruszymy się stąd na krok.

Na rozkaz Wrede'a rannego wniesiono na salę operacyjną. Ogolono mu głowę. Kawałkiem materiału nasączonym bromem Emily obmyła gołą czaszkę. Delikatnie osuszyła skórę. Pacjent miał pewnie koło sześćdziesiątki. Był muskularny, o potężnej klatce piersiowej, ale włosy na piersi już mu posiwiały. Twarz przybrała barwę popiołu. Szczeka mu opadała i ledwo oddychał. Czaszkę miał wklęśniętą po prawej stronie tuż nad czołem. Emily cofnęła się, nie odrywając wzroku od stołu operacyjnego. Nawet nie mrugnie okiem.

Wrede zrobił nacięcie przez całą długość rany i dwa boczne nacięcia z obu końców, po czym odciągnął płaty skóry, by odstąpić uszkodzoną czaszkę. Pielęgniarski przetał gazikiem to miejsce. Luźne fragmenty i odłamki Wrede usunął kleszczami. Wciśnięta kość miała około czterech

117

centymetrów długości. Wziąwszy trepanator, zagłębił trzpień perforatora w krawędź złamania. - Zapobiega to przecięciu błony pod kością, opony twardej - wyjaśnił Emily. Od jakiegoś czasu szkolił ją, jakby była studentką medycyny. Emily również zdawała sobie z tego sprawę. Uświadomiła sobie, że terminologia medyczna, której używa Wrede, a także stoicki spokój, z jakim podchodził do najstraszliwszych przypadków, dodaje jej odwagi. Patrzyła i uczyła się.

Zacisnął trzpień śrubą, umieszczoną w połowie trzonu trepanatora. - O tak - powiedział. Emily skinęła głową, choć Wrede, pochylony nad pacjentem, nie mógł jej widzieć. Teraz obracał rączką trepanatora i okrągła głowica nacinająca wbijała się w płytkę kości, aż przeszła przez prawie cały krążek kostny. Rozluźnił trzpień, wyciągnął go, zamknął i wysunął trepanator. Potem wsunął rozplaszczony ostrze pod kość i powoli wyciągnął płytkę z czaszki.

Pod błoną mózgową znajdował się ogromny, fioletowy krwiał. Emily przywodził na myśl kapelusz muchomora. - Krwiał - powiedział Wrede. Małym skalpelem z zakrzywionym ostrzem naciął błonę, by odsączyć krwiał. Podłożono lniane opatrunki, by zebrać krew. - Teraz nie powinno być ucisku - powiedział. - Póki wydzielina będzie się sączyć, rana musi być przykryta lekkim opatrunkiem i szarpami. Jeśli przeżyje - dodał - będzie miał otwianą płytkę do czasu, aż rana zarośnie czymś na kształt kości.

Pacjenta przeniesiono na oddział. Nie chciało im się do tej pory ustalić jego nazwiska. Emily postanowiła posiedzieć przy jego łóżku i dopilnować zakładania opatrunków. - Nie - rzekł Wrede - wdowa przy nim posiedzi. My pójdziemy ją pocieszyć.

118

- Wdowa? - spytała Emily.

Wrede umył ręce w miednicy. Spojrzał na Emily i uśmiechnął się. Był to smutny uśmiech, w lodowato niebieskich oczach czaił się ból z powodu własnych ograniczonych możliwości. - Musimy się dowiedzieć, ile czasu minęło przed tym, zanim się nim zająłem. Nie można za szybko usunąć ucisku.

Nie jest młodzieńcem. Doznał poważnego wstrząśnienia. Może się nigdy nie obudzić. A nawet jeśli się obudzi, prawie zawsze wdaje się zakażenie. Przy zakażeniu mózgu niewiele można pomóc. Chodźmy - rzekł Wrede - musimy tej kobiecie dać trochę nadziei.

Po drodze do poczekalni Wrede zapytał, czy Emily pamięta, że dziś jest Wigilia Bożego Narodzenia. Nie pamiętała. Zdumiała się, że nadal obchodzone są jakieś święta. Ujął ją pod ramię. - Dziś wieczór będziemy jedli kolację z oficerami w hotelu „Pułaski”. A potem chciałaby pani obejrzeć tańce murzyńskie?

Gdy weszli do poczekalni, Mattie Jameson podniosła się i na widok Emily wyrzuciła z siebie pierwsze słowa, jakie jej przyszły do głowy. - Czy pani nie jest córką sędziego Thompsona z Milledgeville? - spytała.

Od dnia, w którym przybyli do Savannah, Mattie nie mogła przypomnieć sobie ani jednej chwili, w której John nie byłby rozwścieczony, nie wrzeszczał na wszystkich, przeklinając. Po pierwsze, wojsko go nie chciało. Chłopaków wzięli od razu i gdzie oni się teraz podziewają? Bóg jeden wie, dokąd ich posłano, gdzieś do Południowej Karoliny; jej synowie, jej oczka w głowie, piętnaście i czternaście lat, poszli w kamasze. Ale ich ojciec już nie. John uderzył bezpośrednio do generała Hardee, który popatrzył na niego i powiedział, że jest za stary, by maszerować jako

119

szeregowiec, a oficerem może zostać, jeżeli przyprowadzi własny pułk. - Wystawię go, na Boga, generale - rzekł John, a generał się uśmiechnął, co było zupełnie zrozumiałe, bo w całym kraju ze świecą by szukać ludzi zdolnych do służby wojskowej i tak zwana armia stanowiła żalosną zbieraninę milicjantów i kadetów.

John złościł się też z tego powodu, że choć w Savannah wiele bardzo przyzwoitych domów stało pustych, oni musieli zamieszkać na Green Street ze starszą siostrą Mattie, Cissie, której John zawsze nie znosił, gdyż lubiła się szarogęsić. To prawda, że Cissie wiedziała lepiej w każdej sytuacji, co należy zrobić i jak, a także wydawała stosowne polecenia. Zapewne z tego powodu nie znalazła męża. Była już taka od dziecka, z czego Mattie z pełni zdawała sobie sprawę - bawiły się zawsze w to, co chciała Cissie, według reguł narzuconych przez Cissie - a choć dzieliło je zaledwie półtora roku różnicy, od pieluch wiedziała wszystko i wydawała bezbłędne sądy. Mattie zawsze musiała jej ustąpić, zrewidować swe poglądy, wyprzeć się swych przekonań, co przeniosło się potem na jej pożycie z Johnem Jamesonem, który też miał władczą naturę i pewnie z tego powodu nie mógł znieść swej szwagierki. Byli do siebie podobni jak dwie krople wody. Cissie zawsze miała niezadowoloną minę - ponury grymas przez lata zdążył wryć się w jej twarz i teraz każda jej uwaga, choćby i z założenia życzliwa, brzmiała złośliwie, skoro wypowiadała ją przez zaciśnięte usta, rzucając chmurne spojrzenie zmrużonych oczu. Posiłki w jej jadalni, zawsze zimne, spożywano w milczeniu. Wojenne braki w zaopatrzeniu wpływały też na jakość serwowanych dań, a czarni usługiwali opieszale, jakby czekając na przybycie wojsk Shermana, ćwiczyli już wolnościowe zachowania. A ona, Mattie, siedziała sztywna i spięta między siostrą i mężem,

120

jej okazując czołobitność, a jego starając się ułagodzić. Cissie odziedziczyła rodzinną rezydencję i nade wszystko, choć nie powiedziała ani słowa, czuło się jej niechęć, rozlewającą się po domu jak miazmaty. Dawała im poznać, że są nieproszonymi gośćmi i choć nie minął jeszcze miesiąc ich pobytu, mieli wrażenie, że tkwią tu całą wieczność.

Oczywiście John starał się jak najwięcej przebywać poza domem. Bóg jeden wie, co robił przez cały dzień na ulicach Savannah, skoro, gdzie tylko rzucił okiem, siedziało w okopach wojsko. Ale, z dala od swej ziemi, nie mógł znaleźć sobie miejsca. Aż pewnego dnia, nic nikomu nie mówiąc, wyszedł z Roscoe, a wrócił sam, a kochany Roscoe zniknął, jakby nigdy nie istniał, choć spędził z nimi tyle lat i nigdy nie sprawił najmniejszego kłopotu. Ale John stwierdził tylko, że wyciągnął z Roscoe wszystko, co najlepsze, a tego, co z niego zostało, nie warto już było trzymać.

Mattie nie miała pojęcia, jak poradzą sobie z prowadzeniem plantacji po powrocie do Fieldstone, skoro John sprzedał wszystkich ludzi do pracy. Wiedziała, naturalnie, że najprawdopodobniej nigdy już nie będzie miała niewolników, ale nie wyobrażała sobie bez nich życia. Toteż gdy rozmyślała o końcu wojny i powrocie do domu, oczyma duszy nadal widziała w nim niewolników. Czytała w gazetach, że przyszłość konfederacji rysuje się marnie, lecz nie wiązała tego z całkowitą przemianą południowego stylu życia. Bywało, że te dwie sprawy łączyły się ze sobą w jej umyśle, ale po chwili ten związek się rozmywał, a wojna zdawała się jej czymś przelotnym, straszliwym, lecz jednak przerywnikiem, bez żadnych poważniejszych następstw. Martwiła się, że jej synowie znajdą się w ogniu walki, lecz nawet przez myśl jej nie przeszło, że mogą nie wrócić ani że gdy wrócą, będą starsi czy też inni, niż kiedy wyruszyli na wojnę.

121

I straszliwie jązabolało, gdy pewnego dnia opowiedziała Johnowi o swych nadziejach na przyszłość, a mąż nazwał ją idiotką. To okrutne słowa, które trudno będzie wymazać z pamięci. Nie była idiotką. Była osobą wielce uzdolnioną, lojalną żoną, mądrą i bystrą matką, umiała prowadzić rachunki i zarządzać gospodarstwem. Miała wyrobiony gust, znała się na tkaninach i meblach, dzięki czemu stworzyła rodzinie piękny dom. John zbyt surowo obchodził się z chłopcami, gdy byli mali, a kiedy wytłumaczyła mu, że źle robi, posłuchał jej. Wiele razy przychodził do niej po radę i zawsze dobrze mu poradziła. I, wreszcie, w tych okolicznościach okazywała znacznie więcej opanowania i godności niż on. To nie ona biegła jak kot z pęcherzem po ulicach Savannah, pouczając wojskowych, co mają robić. Chłopcy zwierali się jej - on wprawiał ich w zażenowanie, gdy włókł się za nimi aż do ich placówki i oficerowie musieli go przeganiać.

Ale nie uznała, że John chyba oszalał i że wszystko, co zrobił: sprzedając dobrych, robotnych niewolników, wyprawiając rodzinę do Savannah, gdzie żyją jako ubodzy krewni - bo nawet gdyby on odjechał z chłopcami, Mattie mogłaby zostać i nic złego by się jej nie stało. W Savannah, choć mężowie i synowie wyruszyli na wojnę, kobietom udało się utrzymać domy. Mimo że przechodzące wojska unijne zabierałyby żywność i bydło, to jednak zostałyby panią na Fieldstone, we własnym domu, wśród własnych rzeczy i jakoś by sobie radziła do ich powrotu. Nie zadawała sobie pytań, czy wszystko, co zrobił John i czemu ona starała się zapobiec, nie było przypadkiem działaniem niezrównoważonego umysłu, aż do owej nocy, gdy nastąpił odwrót, gdy żołnierze generała Hardee cofnęli się i przeszli przez rzekę Savannah do Południowej Karoliny. John stał tam na Broad Street i żołnierzy, czekających

w szyku na przeprawę przez most pontonowy, zwymyślał od tchórzów. - Te biedne chłopaki, widziałam ich, przemarznięci i nieszczęśliwi, stali na ulicy, czekając na swoją kolej. Północ dawno minęła, był ziąb i wiatr, a ci biedacy byli bosi, niektórzy mieli na nogach damskie obuwie, tak źle ich wyekwipowano. Szukałam między nimi Johna juniora i małego Jamiego i przepatrywałam szeregi, żeby ich znaleźć, ale na próżno, a tymczasem John stał tam, pokrzykując, włosy miał zjeżone, był czerwony na twarzy i żyły nabrzmiały mu na karku. Kazał im wszystkim zawrócić, obsadzić okopy i zachowywać się jak mężczyźni, a nie banda nieszczęsnych tchórzy. Wykrzykiwał tak, póki nie podjechał jakiś oficer i rzekł: - Proszę natychmiast się stąd usunąć, bo każę pana zastrzelić za zdradę.

- Noc była strasznie wietrzna i w istocie odwrót dobrze zorganizowano; dzięki niemu miasto zostało oszczędzone, bo gdybyśmy walczyli, nie uniknęłoby zniszczenia, co mówili wszyscy, którzy bali się o życie naszych żołnierzy. Palono wielkie ogniska, jakby wojsko nadal tu stacjonowało i przez całą noc działa biły w kierunku linii unijnych za miastem, na zmyłkę, by nie odważyli się zaatakować, gdy tymczasem wojsko, wszystkie wozy i zapasy, a także dwaj moi synowie zabierali się stąd, Bogu dzięki, bo przynajmniej nie leżą trupem, jak tylu innych, pod butem generała Shermana.

-1 od tej nocy, kiedy to się stało, on, John, nie odezwał się, nie powiedział ani słowa, człowiek, w którym zawsze buzował gniew, wściekły, szalony gniew, stał się tak niesamowicie spokojny, tak milczący, że dla mnie było to jeszcze bardziej przerażające: wpatrywał się w każdego, kto się do niego odezwał, lecz sam nie odpowiadał - mój mąż. Czy człowiek może się tak postarzyć w ciągu zaledwie paru dni? Czy też zawsze był staruchem, lecz nagle

opuścił go wigor, za którym ukrywał swój podeszły wiek? I dlaczego musiał pójść do składu, gdzie były nasze rzeczy, meble, dzieła sztuki i dywany, które złożyliśmy tam na przechowanie? Może żeby porozmawiać z przyjacielem, pośrednikiem w handlu bawełną, panem Feinsteinem, który był tak miły, że oddał nam tę przysługę i który zawsze cierpliwie słuchał Johna. Był on kimś więcej niż tylko znajomym, z którym prowadziliśmy interesy, a mało kto przyjaźnił się z Żydami, lecz może John musiał z nim pogadać, skoro nie rozmawiał ze mną. Poszłam za nim. Byłam przerażona, w tym stanie wszystkiego mogłam się po nim spodziewać. Dwaj żołnierze unii stali na warcie przy drzwiach do składu, z bronią gotową do strzału. A na ulicy stał pan Feinstein z jednym ze swoich robotników, wyrzucony z własnego budynku. - Johnie - powiedział - zabrali mi moją firmę. Mam tu świstek papieru z rozkazem podpisanym przez generała Shermana. Stanowi on, że mój skład i cała zgromadzona w nim bawełna są własnością wojsk unii. I pan Feinstein wzniosł ręce do nieba.

- I, oczywiście, ktoś taki jak John Jameson nie mógł tego ścierpieć. Człowiek rozsądniejszy poszedłby do generała albo do kogoś ze sztabu, by wyjaśnić mu sytuację, wytłumaczyć, że oprócz bel bawełny w składzie znajdują się nasze rzeczy osobiste i owszem, bawełna to cenny łup wojenny, ale na co armii unijnej zdadzą się, na przykład, moje krzesła o spiczastych nóżkach czy angielskie tkaniny? Albo perskie dywany? Albo oprawna w białą skórę rodzinna Biblia, ilustrowana stalorytami i z własnym, dębowym pulpitem na ozdobnej nodze? Ale do Johna głos rozsądku już nie trafiał. Wyklócał się z

żołnierzami, by go wpuścili. Po co? Czyżby zamierzał sam jeden wynieść nasze rzeczy? Zrobił się zadziorny i groził im, wziął kamień ze stosu kocich łbów, ułożonego na ulicy i wrócił do

124

żołnierzy. Och, próbowałam go powstrzymać, ale wyrwał mi się, a pan Feinstein krzyknął: Jameson, zaczekaj pan! Jeden z żołnierzy uniósł karabin, a ja krzyknęłam. Ten żołnierz zachował się wstrętnie, bo nie dał żadnego ostrzeżenia, nie odezwał się słowem i - nie chcę już nigdy w życiu usłyszeć tego dźwięku - trzasnął Johna Jamesona kolbą w głowę. I patrzyłam, jak mój mąż, z którym przeżyłam dziewiętnaście lat, który poślubił mnie, gdy byłam młodą dziewczyną i zabrał na swoją plantację, padł jak zwalone drzewo, a cały rozum wytrysnął mu wraz z krwią, która pociekła na jego biedną głowę.

Gdy Pearl weszła na salę, przy jednym z łóżek siedziała kobieta, która z tyłu wyglądała na jaśnie panią. Pearl nie chciała w to uwierzyć. Podeszła bliżej, odwrócona bokiem, gotowa do ucieczki. A potem za głowę kobiety dojrzała pacjenta z obandażowaną głową, i to był jej tato.

W tym momencie Mattie Jameson obróciła się i jej wzrok padł na dziecko, które było zakałą jej życia. Pearl miała pod spódnicą błękitne spodnie od unijnego munduru, przepasana była mundurową szarfą iniosła całe naręczce białych ręczników. Włosy, dłuższe niż kiedyś, ściągnęła do tyłu i związała w koczek. Mattie, siedząc przy łóżku nieprzytomnego męża, nie uroniła ani jednej łzy. Teraz oczy zaszyły jej mgłą.

Życie jej się zawaliło, legło w gruzach, a oto stało przed nią to dziecko, owoc grzechu jej męża, by oznajmić jej takie ciosy losu, jakie obmyślić może tylko Bóg w swej mściwości.

Ileż to razy podczas tych lat czuła chęć, by dotknąć to piękne dziecko, ileż razy pragnęła ulżyć jej życiu. Ale John nie chciał mieć z małą nic wspólnego i łatwo było uczynić zadość jego woli. Gdy Nancy Wilkins umarła,

125

Mattie poczuła ulgę. Sądziła, że przepadła z mora, która prześladowała ją co dzień w postaci tak niezwykle pięknej niewolnicy. Miała nadzieję, że skończy się jej upokorzenie na oczach całej plantacji, gdzie każdy niewolnik wiedział, że jej łóżko nie wystarczało wielmożnemu panu. Ale pozostała Pearl. A nawet jeśli ona, Mattie, przejawiała wrodzoną życzliwość albo robiła pojednawcze gesty, to Pearl zniechęcała ją. Była antypatycznym stworzeniem, krnąbrnym, obrzucającym Mattie pogardliwymi spojrzeniami. Z latami stawała się coraz bardziej nie do zniesienia. Pearl wyłącznie z własnej winy nie znalazła dla siebie miejsca w Fieldstone, nie uznawano jej za swoją ani we dworze, ani w barakach - jak dla państwa była zbyt bezczelna, a czarną bracią pogardzała, poważając tylko starego Ro-scoe, który posyłał ją do posług w kuchni i w pralni, a w razie potrzeby do pracy w polu. Ale Mattie, która uważała się za dobrą chrześcijankę, nieco zmieniła o sobie mniemanie, gdy wspomniała, jak to ostatnim razem widziała Pearl, która stała ze swą torbą, czekając, by John powiedział jej, że ma wsiadać do powozu i zabierać się z nimi, i jak zadowolona poczuła się, że Johnowi nic podobnego nie przyszło do głowy, bo jedna baba mniej, to i koniom lżej, i że może ta wojna nie jest jednak całkiem bezsensowna. Te myśli tak przytłoczyły Mattie, że wybuchnęła płaczem i teraz siedziała zgięta w pół, szlochając przy łóżku nieprzytomnego męża.

Pearl, gardząc kobiecymi łzami, skupiła uwagę na ojcu. Jakiż wydał się jej spokojny i przystojny z zamkniętymi oczyma, jakby snuł ważne myśli w cichości swej istoty. -Ale to do ciebie niepodobne - powiedziała, nie zdając sobie sprawy, że mówi głośno. -Nie pamiętam, żebyś kiedyś leżał w łóżku, tato. Zawsze na nogach albo w siodle, tratowałeś robotników w polu, krzyczałeś i ciskałeś się wszę-

126

dzie, słyszałam twoje kroki w całym domu. Otwórz oczy, tato. To Pearl, twoje rodzone dziecko. Mama własnoręcznie mnie ochrzciła. Nazwała mnie Perełką, bo mam taką białą skórę. Twoją skórę, wielmożny Jamesonie, tatusiu. Twoją piękną, białą skórę. Dlaczego tu leżysz? Nigdy nie byłeś taki spokojny. Obudź się, bo muszę ci powiedzieć, że jestem wolna. I wedle boskiego prawa będę nosiła twoje nazwisko i nic na to nie poradzisz. Pearl Wilkins Jame-son mówi ci to do ucha, tato. Twoja Pearl ma nadzieję, że wstaniesz i będziesz z nią długo, długo. No, tato, otwórz oczy i spójrz na swoją córkę, krew z krwi, kość z kości. Oczy masz zamknięte, ale wiem, że słuchasz. Wiem, że mnie słyszysz. I nie martw się o mnie, bo nigdy, przenigdy żaden mężczyzna nie potraktuje mnie tak, jak ty obszedłeś się z moją mamą, o, co to, to nie. A więc nie martw się o swoją Perełkę. Jest tu, teraz w Savannah i dopiero zaczyna. Twoja Pearl zajdzie daleko. Okryje chwałą twoje nazwisko. Zetrze z niego brudy, którymi je zafajdałeś. Znowu będzie piękne i czyste, by wszyscy je szanowali.

m

XV

W

pierwszych, triumfalnych dniach okupacji Sherman wysłał telegram do prezydenta: „Jako prezent pod choinkę przesyłam Panu miasto Savannah plus sto pięćdziesiąt ciężkich dział i mnóstwo amunicji. Dodatkowo jeszcze około dwudziestu pięciu tysięcy bel bawełny”.

Miał w rękach list od Lincolna z gorącymi podziękowaniami. Słowa podziwu od Granta. Kopię rezolucji Kongresu, oddającą mu cześć. Czołobitne artykuły w gazetach.

Kraj oszalał. Generał, o którym nic nie było słyhać od miesięcy, wbił topór w serce Południa.

Sherman miał kwaterę w rezydencji handlarza bawełny. Jej liczne pokoje wyciszały puszyste dywany i ciężkie dra-perie. Stało tam wiele donic z palmami i biusty rzymskich senatorów na postumentach. Ściany obwieszane były malowidłami haremowych hurys o różowych sutkach, przybierających uwodzicielskie pozy pod okiem murzyńskich eunuchów. Sherman mało sypiał. Zajmował apartament na piętrze, gdzie siedział w wannie, palił cygaro i czytał peany na swoją cześć. Dostawał całe pliki pochlebnych listów. Zawołał Mosesa Browna, by dołał mu gorącej wody, gdyż tylko ona mogła uspokoić generała, którego status bohatera narodowego wprawiał w stan nerwowego podniecenia. A ponadto w oparach wrzątku łatwiej mu było oddychać - astma coraz bardziej dawała mu się we znaki. Nie tylko deszcz, ale i wiatr od morza pogarszały stan jego zdrowia. Sherman pochodził z Ohio. Nawet bliskość morza wytrącała go z równowagi, a gdy znalazł się bezpośrednio nad nim, mógł myśleć wyłącznie o przewrotności Boga, który stworzył coś, co się jedynie wznosi, opada i rozpryskuje.

Pisał do żony: „Ten chór pochwał nie będzie trwał długo. Czyż to nie te same gazety, które po Shiloh krzyczały wniebogłosy, że postradałem zmysły? To awers tej samej monety”. A jednak dzień i noc tłumy czarnych stały przed domem, by zobaczyć generała choćby w przelocie. O ósmej każdego ranka kolejka petentów czekała w holu. Schodził w określonych godzinach, by ich wysłuchać. Wśród odwiedzających przeważały żony generałów konfederacji. Przynosiły listy od mężów z prośbą o wydanie im listu żelaznego. Chętnie na to przystawał. Udawał rycerskość. Chciał, by mieszkańcy Savannah wiedzieli, że mimo wszystko, co o nim mówią, jest człowiekiem. Najtrudniej było przekonać kobiety. Im były starsze, tym chętniej dawały mu do zrozumienia, co o nim myślą. Uważał, że w pewnym sensie oczyszcza to atmosferę. Zjawiła się u niego pewna dama, Letitia Pettibone, którą mgliście pamiętał z czasów, gdy jako młody oficer stacjonował w Atlancie. Nie pamiętał później, co mu powiedziała, gdyż miała wyszywaną koralikami torebkę, okręconą wokół nadgarstka, którą zamachnęła się, i gdyby dzięki szybkiemu refleksowi nie zdążył się cofnąć, bez wątpienia zostałby ofiarą wojny. Gdy kobietę wyprowadzono, zaciągnął się cygarem i powiedział do swego adiutanta. - Nowy rozkaz dzienny, Morrison: „Panie proszone są o oddawanie swoich torebek na przechowanie przy wejściu”.

Rankiem Bożego Narodzenia z pociemniałego nieba lał ulewny deszcz. Sherman zarządził przegląd wojsk. Z tej okazji spisał uwagi, które dowódcy kompanii mieli odczytać swoim ludziom. Uszykowani na placu apelowym żołnierze usłyszeli, że zapiszą się trwałymi zgłoskami w światowej historii wojskowości. Sherman, stojąc na podniesieniu, słuchał swoich słów, dochodzących niesynchronicznie z różnych kierunków, dźwięczących, jakby

przebijały się przez wodę. Brezentowy dach nad jego głową wydymał się i głucho trzaskał na wietrze. Dwie połączone orkiestry pułkowe grały marsza. Brzmiało to tak, jakby każdą nutę odgrywano dwukrotnie.

Sherman podsumował jeszcze raz swoje dokonania: Ogeechee i Sound oczyszczone z min, działa secesjoni-stów na wybrzeżu zdemontowane. Korpus Slocuma rozwinęty od rzeki Savannah na siedem mil do placówki na kanale, korpus Howarda rozciągnięty do morza, kawaleria Kilpatricka obsadziła King's Bridge i drogi prowadzące na północ i na zachód. Sklepy otwarte, ulice wysprzątane, oddziały straży pożarnej nietknięte. Wszelkie budynki użyteczności publicznej, opuszczone plantacje etc. przeszły na własność rządu federalnego.

Niczego nie pominął. Więc co tu szwankuje? Pochwały, którymi od paru dni obsypuje go cały naród, zdają się zimne i oślizgłe jak deszcz na jego twarzy. Czy to przez tę cholerną pluchę, która włazi mu w płuca? Zszedł z podwyższenia i odjechał na kwaterę.

Sherman zasiadł przed rozpalonym kominkiem, wyciągnął do ognia nogi w wilgotnych skarpetkach i zaczął rozważać sytuację - to, co dzieje się w Savannah, nie ma nic wspólnego z prowadzeniem wojny. To administrowanie. Bój w polu jest sprawą czystą, jednoznaczną, mającą formę. Ale administrowanie polega na konferowaniu z władzami cywilnymi, na układaniu się z agentami werbunkowymi, którzy chcieli tworzyć namiastkę wojska z czarnych rekrutów. Na uchylaniu się przed

miotanymi torebkami. Liczbę miejscowej ludności znacznie powiększyła rzesza białych, którzy tu uciekli, a także uwolnieni niewolnicy, ciągnący za kolumnami wojska. Żywił ich wszystkich, białych i czarnych. Nabrzeże wypełnione było statkami pocztowymi, parowcami i kutrami. Po mieście

AubmouAosbjbz 'ireuijsąs -avojs oSsf ui^Aj m. BfBpBdo x

5IS tIUI B{XSOUZAV BJJppją BUOIPJAYZOI BUAYAjZg BIU9Zp3XAV

-od op 3\3\ a\ \eiy\$ B^jpais op xjzs9a\ iuxubz azozssf 'oimoui jbzobz uojubjs •psouifozjdn mgpiiA} 9|Ax uojp

oSau

sra ' -5J&IUI o 'Xuju3jndjO5j '

od

az '^ ued av "feqoso "feSaip

uoiq

cfeAvopzBpw "feuiEją pszjd 5is pjtuAzjjBz bjstutui zcmoj

bjbtms ora bu oSautuodsium oaqoAv

pSOUISfoqO >[3pOJBZ 3tqOS AV ISOU OSOipZB2 "pSOipZBZ 5[3p

-ojbz aiqos av 9pCi>[osouzoSizp^ buozoiubjSo jsaf psou -zo5xzpAV muBAmzopo op osouppz B5[zpnq ^,Xui]ojb^ pAV -oiuptifoj op 5ts oteiDjtuAM izpnj Ao5isXj np5xs3xzp 9^xs /a

AV9JBj9p3JUO5(tUO>[SfOM UI3^ipAVZOd 3Z 'OJ BU

oSauo npszjn szxin5j bu tiyod op {AqAzjd '

UIAVpg 'qoXAV05{SfOAV MBjds Op JSłSIUTUI 9Z 'OBMOppiUBZ Aq

'uosuioj/\[joCbui jpszsm nfo5jod op apusuioui tuXj ^

nuojSuAzsB^w Bjp 5p5q 'SuBjsopAw i ApS jbitdjb 'i|BTzpod 5is av sxqos |Bxzp9XA\od - bxxiub 5xs

A § ~ "P?

-avc5[bjb mapo aiu

OBAYOpfBUZ XSnUI

-o^zpnj AqosBZ

xxiAzoxu

AV S9XZp§

od axs

3AVOXU3ZJ9pt\

-X|dpO O

9XU BXU9ZpBZJBZ 9J 9|B X 9XIZSntU OXZpBMOI

9XS X^BXAVBqBZ 91U

'p b '

av

OSI

131

podskakującą bródką, z początku nie bardzo słuchał. Coś o traktowaniu czarnych. A, więc o to chodzi.

- Spotkam się z pańskimi wyższymi oficerami - oznajmił Stanton. Przy kolacji Sherman przedstawił swych dowódców dywizjonów i korpusów. Prezentowali się imponująco, z paradnymi szablami, w rękawiczkach, opasani szarfami. Ale siedzieli sztywno jak uczniacy, podczas gdy Stanton krążył wokół stołu, jakby prowadził lekcję.

- Panowie, nie jestem przekonany, czy wasze wojska zachowują się należycie wobec wyzwolonych niewolników

- rzekł. - Jak mnie poinformowano, nie pozwala się im ciągnąć za wojskiem, odsyła do dawnych panów albo pozostawia na pastwę partyzantów.

Oficerowie spojrzeli na Shermana, który siedział zgarbiony w krześle, ponuro zachmurzywszy czoło. - Panie ministrze - powiedziała - jak wyobraża pan sobie marsz sześćdziesięciu tysięcy zbrojnych ludzi przez teren nieprzyjaciela z bagażem całej niewolniczej ludności Georgii na karku? A jak na razie, czarni są tutaj, o czym niezawodnie się pan przekona, wyrzawszy przez okno.

- Do wojska przyjmuje pan ich tylko w charakterze najprostszej siły roboczej.

- Do tego się najlepiej nadają.

- Otrzymałem raport w sprawie incydentu w Ebenezer Creek - tak to się chyba nazywa? Pański generał Davis kazał rozebrać most, skazując tym samym setki na śmierć. Niektórzy utonęli, innych wymordowali partyzanci. Gdzie on jest? Dlaczego go tu nie ma?

- Jest na służbie. Każę go wezwać.

- Chcę usłyszeć jego wyjaśnienia.

-1 przekona się pan, że takie postępowanie podyktowane było sytuacją.

Rankiem kawaleria musiała odbyć defiladę. Minister stał z brzuchem przyciśniętym do żelaznej balustrady balkonu przed apartamentem Shermana i bez uśmiechu patrzył, jak paradują jeźdźcy. Wiódł ich Kil Kilpatrick, wymuskany niczym angielski dandys, w mundurze z galonami, przepasany złotą szarfą, z szelmowskim uśmiechem zerkający spod kapelusza z piórem. Z jego szczupłej sylwetki biła pewna buta - czy to może podskakujący garb sprawiał takie wrażenie - zastanawiał się Sherman. - Kil to zuchwały głupiec, zbytnio kocha wojnę, biwakuje w damskich sypialniach, ale na żadnego innego bym go nie zamienił.

W trzecim dniu wizytacji Sherman zastanawiał się, jak długo jeszcze zdoła utrzymać nerwy na wodzy. Minister nie mówił, lecz grzmiał. Przypominał rozpuszczone dziecko i ciągle czegoś potrzebował - napitku, butelki z gorącą wodą, telegrafisty. Wszystko, co robił i mówił, wynikało z chęci zwrócenia na siebie uwagi. Zdobytą bawełnę Sherman chciał przekazać do skarbu armii. Stanton zdecydował, że pójdzie ona do skarbu państwa. Miał własny pogląd na to, kto rozmieści oddziały w mieście. Pozwalał sobie na udzielanie Shermanowi rad w kwestiach ściśle wojskowych.

A potem zażądał spotkania ze starszyzną murzyńską. Czekał niecierpliwie, aż wygarną ich z kościołów, w których modliła się czarna ludność. Gdy zebrali się w holu, zapytał, co rozumieją pod pojęciem niewolnictwa.

Czarni mężczyźni popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się. - Niewolnictwo to zmuszanie do pracy na rzecz drugiego człowieka - powiedział jeden z nich. Inni potwierdzili słuszność tego stwierdzenia, kiwając głowami.

- A czym - zapytał Stanton - waszym zdaniem jest wolność, którą ma wam dać proklamacja prezydenta Lincolna?

- Wolność, którą obiecuje proklamacja, wyciąga nas spod jarzma niewoli i daje nam możliwość zbierania owoców naszej pracy, zadbania o siebie i wspomagania rządu w utrzymywaniu naszej wolności.

Sherman ze skrywanym zdumieniem słuchał nad podziw składnych wypowiedzi tych ludzi. Stanton odwrócił się do niego. - Generale - rzekł - teraz chcę naradzić się z tymi wyzwolencami co do uczuć kolorowych wobec pana. Czy zechciałby pan opuścić pokój na parę chwil?

Sherman posiniał z wściekłości. Chodził tam i z powrotem po holu, mamrocząc do siebie: - Wypytywać tych ludzi o mój charakter! A jakby sobie beze mnie poradzili! Dziesięć tysięcy jest wolnych, nakarmionych i odzianych wskutek moich rozkazów! Jako żołnierz stwierdzam, że nie nadają się do walki. I nie miałem czasu ich szkolić. Przeprowadziłem wojsko bez najmniejszych strat przez czterysta mil. Zniszczyłem tory kolejowe rebeliantów. Spaliłem im miasta, zakłady metalurgiczne, fabryki broni, warsztaty. Wyżarłem im zbiory, sprzątnąłem bydło, zawłaszczyłem dziesięć tysięcy ich koni i mułów. Kraj jest spustoszony, rebelianci bez środków do życia i nawet jeśli nie stoczą następnej bitwy, ich siły wyczerpią się i padną z wyczerpania. Ale to nie wystarczy ministrowi wojny. Muszę upokorzyć się przed niewolnikami. Niech szlag trafi tego Stantona - przysięgam zniszczyć zdradzieckie powstanie i zachować unię. To tyle. I to wszystko.

Wzburzenia Shermana nie ułagodziła wieść, że czarna starszyna ma o nim jak najlepsze zdanie. Późno w nocy zawezwał Morrisona, który już spał.

- Pióro, majorze. Niech pan to zapisze. Rozkaz dzienny, który to tam?

- Piętnasty, panie generale.

134

- Numer piętnasty - powtórzył. - Sea Islands od Charlestonu na południe i areał wszystkich opuszczonych plantacji wzdłuż rzek na trzydzieści mil w głąb lądu w Południowej Karolinie, a dorzucę jeszcze kawałek Georgii oraz tereny graniczące z St. John's River na Florydzie, mają być ponownie zasiedlone przez czarnych. Zapisaleś? Zasiedlone przez czarnych. Każda murzyńska rodzina, która została wyzwolona, otrzyma prawo własności do czterdziestu akrów ziemi ornej. Tak, a ponadto nasiona i wszelkie maszyny, i urządzenia do jej uprawy. Wszystkie granice ustali i tytuły własności wyda generał armii Stanów Zjednoczonych jako, powiedzmy, inspektor do spraw zasiedleń i plantacji. Przepisz to porządnie i daj mi do podpisu, z kopią dla pana Stanton.

- Nie jestem abolicjonistą - myślał Sherman. - Lecz dzięki tej przynęcie zamknę gębę Edwinowi Stantonowi i pozbędę się czarnuchów, którzy zostaną tu, by uprawiać swoje czterdzieści akrów, tak im dopomóż Bóg.

By uczcić wyjazd ministra, Sherman wydał dla swych generałów kolację. Można by pomyśleć, że wszyscy oni chcieli odzyskać poczucie godności. Panowała radosna atmosfera. Znowu byli sobą. Sherman siedział na honorowym miejscu przy długim stole, gdy czarni kelnerzy wnosili łupy zdobyte w mieście - talerze ostryg, indyki z różną, pieczone szynki, parujące góry ryżu w różnych smakach, półmiski słodkich ziemniaków, bochenki ciepłego chleba z tackami świeżego masła, a także kosze czerwonego wina. Sherman jadł, pił i wznosił toasty. Ale chciał znowu odbywać marsz, bo wówczas nikt nie mógłby mu mówić, co ma robić. Chciał być znowu w polu. Nie ma to jak co wieczór spocząć na twardej ziemi i wpatrywać się w gwiazdy. Nie ma to jak wyruszyć co rano, by prowadzić

135

wojnę jak należy. Tu nie ma miejsca na wątpliwości. Cele są jasne. Dość ma Savannah i jej chwały. Prawdziwa chwała kryje się w niewystawionej radości, jaką niesie należyte wykonywanie tego, do czego Bóg nas przeznaczył. Nie ma tu miejsca na zazdrość, na pochwały, które rzucają ci w twarz.

- Panowie - oznajmił Sherman - dość tych zbytków. Jutro rozpoczynamy przygotowania do nowej kampanii. Wszyscy wiecie, o co w niej chodzi. Mamy zezwolenie Granta na zajęcie obydwu Karolin. Bez wątpienia, będzie trudno. Georgia przy tym to przyjemna przejażdżka. Musimy pozbyć się nadliczbowych koni, mułów, a także Murzynów. Zostawić samo jądro siły bojowej. Teren jest niedostępny, marsz będzie bardzo uciążliwy. Ale zapewniam was, że niesławny stan Południowej Karoliny, zarzewie tej wojny, nie dowie się, czym jest zagłada, póki nie przeszyje go karzący miecz tej armii.

- Brawo, brawo! - generałowie podnieśli szklanki. Gdy wieczór dobiegł końca, Sherman, podchmielony

winem, udał się do swych pokojów. Dopiero teraz opadło z niego napięcie, w jakim żył od tylu dni. Nucił pod nosem Odjazd Walkirii. Część gazet dopiero niedawno przysłało z Ohio. Zapalił cygaro i, w nadziei, że rozerwie myśli miejscowym plotkami, rozsiadłszy się wygodnie, przeczytał w „Timesie”, wydawanym w Columbus w Ohio, że Charles Sherman, półroczny syn generała i pani William Tecumseh Sherman, zmarł na krup.

Ręce mu opadły. - O Boże - krzyknął - czyżbyś i Ty był zazdrosny?

ten zimny, mroczny dzień, gdy nawisłe chmury napływały znad Sound, w Savannah widać było gorączkowy ruch ludzi i zwierząt. Zdawało się, że same ulice były w pędzie, że miasto na całym swym obszarze oderwało się od ziemi i unosi się swobodnie w powietrzu. Wiatr świstał w takt turkotu wozów po kocich łbach, pokrzykiwań woźniców i rytmicznych komend sierżantów. Kolumny żołnierzy maszerowały w kierunku mostu na rzece Savannah, inni stali stłoczeni wzdłuż przystani, czekając na zaokrętowanie tej armady kanonierek, kutrów i statków pocztowych, podczas gdy marynarze spoglądali z noków rei na to widowisko niczym kury na grzędzie. Również cywile miotali się w pośpiechu, jakby odejście armii było w jakimś sensie równie przerażające, co jej przybycie. Jedynie żołnierze, którzy mieli stacjonować w mieście, trwali nieruchomo na posterunkach. Cała reszta kręciła się jak w kołowrotku, nawet wiatr gnał kępki bawełny przez ulice, a dęby na placach kotływały się i ugiwały w jego podmuchach.

W tym wirze Wilma Jones czuła, że jej własne dążenia tego ranka są błahe i nieważne. -Ale to ciągle odzywa się we mnie ta niewolnica - uznała. - Muszę uważać na to, co myślę - muszę być równie wolna w duszy, jak jestem wobec prawa.

Zerknęła na Coalhouse'a Walkera, który najwyraźniej nie miał takich problemów. Stał obok niej z założonymi rękami, a na jego twarzy malowała się jakaś uroczysta radość. Trzymał Wilmę za rękę. Kolejka posuwała się po-

137

woli, aż skręciła za róg. Niektórzy ludzie przed nimi śpiewali. Niezbyt głośno sami dla siebie nucili jakąś pobożną pieśń, by ta błogosławiona rzecz, która tu się dzieje, trwała nadal. Nieco dalej, przed schodami prowadzącymi do ratusza, wprost na chodniku ustawiono stolik, za którym siedział oficer unii, a po jego bokach stało dwóch żołnierzy z bronią gotową do strzału. W obronie przed wiatrem stos papierów na stoliku przyciśnięto wielkimi kamieniami. Wilma nie rozumiała, dlaczego tego wszystkiego nie można było załatwić na górze, w budynku ratusza.

Kolejka posuwała się bardzo wolno. Część czarnych była przekonana, że od razu otrzymają prawo własności, wraz z mapą, pokazującą drogę do ich posiadłości. Ale najwyraźniej rozdawano tylko formularze podań, które trzeba było objaśniać długo i szczegółowo. I, rzecz jasna, większość zainteresowanych nie umiała pisać, toteż oficer musiał za nich wypisać ich nazwiska, po czym oni podpisywali się krzyżykiem, a oficer musiał potwierdzić prawdziwość podpisu. A do tego oficer, z takich czy innych powodów, od czasu do czasu wchodził do środka i wszyscy czekali wówczas i śpiewali, a wiatr podwiewał od ziemi, syjąc brudnym kurzem na spódnicę Wilmy i omiatając jej nogi zimnym podmuchem.

Gdy wreszcie przyszła ich kolej, Wilma przeczytała wniosek i wytłumaczyła go Coalhouse'owi. Skinął głową i z uśmiechem spojrzął na oficera. Ale był tu pewien szkopuł. Prawo własności ziemi

przyznawano tylko głowom rodzin. - Czy to pańska małżonka? - zapytał oficer, wskazując na Wilmę. Coalhouse, zmarszczywszy brwi, przecząco pokiwał głową. - A czy w ogóle jest jakaś pani Walker? - indagował oficer z chytrym uśmiechem.

Coalhouse znieruchomiał i patrzył na mężczyznę. Wilma chwyciła swego towarzysza za ramię, czując, jak na-

138

prężają mu się mięśnie. - Niech mi pan da ten papier

- powiedziała. - Przyniesiemy go panu z powrotem, ze wszystkim, co potrzeba.

- Jak chcesz, ciotuniu - odparł oficer.

- Spodziewam się, że nas pan rozpozna - rzekła Wilma.

- Przyjdziemy prosto tutaj, przecież nie będziemy musieli sterczeć tu znowu jutro od rana, skoro dzisiaj swoje odstaliśmy.

Na pobliskim skwerze znaleźli ławkę, którą przed kaprysmi pogody osłaniała wierzba płacząca. Ale tutaj też było zimno i ciemno. Coalhouse otoczył Wilmę ramieniem. Odsunęła się od niego i siedziała przygarbiona, z rękami na podołku. - Zastanówmy się nad tym jeszcze raz, rzekła.

- Znam się na roli, panno Wilmo. To dla mnie nie nowina.

- Widziałeś, co ten człowiek ma w głowie. Cokolwiek by mówili, przede wszystkim są biali i musimy o tym pamiętać.

- Przy czterdziestu akrach nie będziemy musieli oglądać żadnej białej twarzy.

- Skoro dają, mogą też i zabrać.

- To tylko Pan może uczynić. Żaden człowiek nie zabierze mi tego, co moje.

Wilma potrząsnęła głową.

- Noo - powiedział Coalhouse - gdzie się podział ten duch? Powiedział temu oficerowi, co będzie. Jutro pan nas tu zobaczy! Tak! To moja Wilma. A teraz, gdzie jest ten duch? Nigdzie go nie widzę - rzekł Coalhouse, spoglądając jej w oczy.

Milczeli przez chwilę. Słuchali miasta w gorączce. Po ulicy za nimi muły z turkotem ciągnęły sznur armat polowych.

139

- A wielmożny sędzia Thompson? - rzekła Wilma. Jeździł do Nowego Jorku albo do St. Louis, albo do Chicago. Wszędzie. Pociągami, tu i tam. A potem wracał i opowiadał o tym przy kolacji. A ja zawsze, żeby nie wiem co, stałam za drzwiami i słuchałam, jak opowiada pannie Emily

O tych wielkich miastach na Pomocy. Jakie są piękne. Każde jest całym światem, tyle w nich najprzeróżniejszych cudów, jakich by się w życiu nie zobaczyło. Rzecz jasna, pojechał tam po to, żeby rozmawiać z innymi sędziami

1 w ogóle z wielkim państwem, i jako człowiek światowy, zatrzymywał się w eleganckich hotelach. Ale zaczęłam się tak zastanawiać. Chciałabym mieszkać w wielkim mieście. Z miłą chęcią. Nikt by mnie tam nie nagabywał, wszyscy są zbyt zajęci sobą, żeby zawracać sobie głowę kimś innym. I człowiek sam decyduje o swoim życiu. Jest wolny.

- Na Pomoc można się dostać tylko z wojskiem. O to ci chodzi?

- Tak. Jak przedtem. Jeśli mamy iść, to chodźmy.

- Będziesz żyć na bagnach, będą cię kąsać węże, powstańcy będą ci deptać po piętach. Zastrzelą cię.

- Doprowadziłeś nas tak daleko.

- Och, miła panno, sama nie wiesz, o czym mówisz. Masz do przejścia ponad tysiąc kilometrów, zanim w ogóle zobaczysz miasto.

Podniósł się na nogi i teraz krążył niespokojnie, wytrącony z równowagi. -A więc słuchałaś tego przekłętego sędziego. Jasna sprawa. W wielkim mieście dobrze się żyje wielkim panom. Myślisz, kobieto, że będziesz mieszkać w takim samym mieście? Urządź sobie życie? Jakim cudem? Co ty umiesz?

- Mogę pracować. W mieście jest praca.

140

- Tak, niewolnicza harówka. Pranie gaci sędziego, dziesięciu sędziów, stu.

- Umiem czytać i pisać.

-A ja nie, niech to szlag. Rozumie pani, panno Wilmo? Ja nie umiem. I co mogę robić w tym twoim pięknym mieście?

- Znasz się na muzyce. Umiesz grać. Masz ładny głos. Słyszałam cię. Ludzie będą szczęśliwi, jak zagrasz im na banjo.

- O Boże, o Boże. - Coalhouse krążył nerwowo, załamując ręce. - Myślałem, że ta dobra kobieta ma więcej rozumu niż Coalhouse. Ale jej umysł dotknięty jest niemocą. - Posłuchaj - rzekł, opadając na kolana przed ławką. - Jestem człowiekiem pełnym miłości, panno Wilmo. Nie kryję goryczy w sercu za wszystko, co mi wyrządzono przez całe moje życie aż do dzisiaj. Do końca moich dni będę nosił ślady bata na plecach, na pamiątkę tego, co musiałem wycierpieć. Jestem silny. Ale mogę ci dać tylko to, co mam w sobie, a mam wiedzę o pracy na roli. Tym papierem, który trzymasz w ręce, pan Lincoln daje mi to, co mi się należy - czterdzieści akrów dobrej ziemi, pług, muła i trochę nasion. Mając to, zarobię na nasze utrzymanie. Człowiek, który ma kawałek własnej ziemi, jest wolny. Pracuje dla siebie i dla nikogo innego. Śpiewa i tańczy dla siebie i dla nikogo innego. Kładzie na stole żywność, którą sam wytworzył. Czy może być coś lepszego? Wieczorami siadamy przy kominku, a ty będziesz mnie uczyć czytać i pisać. Potem pójdziemy spać i obudzi nas pianie koguta, i jutro będziemy robić to samo

co wczoraj, w ciepłym Bożym słońcu. Jeśli nie uważasz, że to jest rajskie życie, zaraz idę nad rzekę się utopić.

- Nie utopisz się.

- Przysięgam.

141

Wilma pochyliła się, położyła mu rękę na karku, przyciągnęła do siebie i pocałowała. - Jesteś bardzo przystojny powiedziała.

- Wiem.

- Szkoda byłoby takiego ładnego kawalera. Wzruszył ramionami.

- Może poszukamy jakiegoś pastora - rzekła. - Znasz kogoś takiego?

Uniósł głowę i uśmiechnął się. - Można go wszędzie znaleźć.

- Podnieś no się i usiądź koło mnie - powiedziała Wilma. -A teraz popatrz: na tym papierze jest miejsce na dwa nazwiska -jedno twoje, jako głowy rodziny, i drugie moje, jako prawdziwej głowy rodziny.

Ależ się uśmiali!

A więc powzięli decyzję. Ze skweru pospieżyli ku jednemu z obozowisk czarnych. Na nowo przestraszył ich ruch wojsk w mieście. Ulice zapchane były wozami i maszerującymi żołnierzami. Przystanęli na rogu.

- A twoja służba? - zapytała Wilma.

- Skończyła się, jak zrzuciłem mundur - odparł Coal-house. - Biały oficer nie będzie wiedział, kogo brakuje, skoro wszyscy wyglądamy tak samo, no nie?

- To mój facet - pomyślała. - Dzielny i mądry. I myśli jak należy. Kawał pola to kawał wolności. W końcu biali rządzą nami tyle lat, bo mieli ziemię.

Nie miała najmniejszych wątpliwości, że oddałby za nią życie, lecz, Boże, a jeśli naprawdę do tego dojdzie? Wiedziała, co spotyka upartych niewolników o silnym charakterze. - Ależ Wilmo, głuptasko, przecież nie jesteśmy już niewolnikami. Coalhouse jest ode mnie młodszy, ale bardziej stanowczy. Najpierw dowiaduje się, o co dokładnie chodzi, a potem zaczyna się zastanawiać. Ja po prostu

142

nie będę zwracać sobie tym głowy. Powzięliśmy decyzję i będziemy się jej trzymać.

Ale wiedziała, że przez resztę życia w Georgii będą ją nachodziły wątpliwości.

Gdy przedefilowało już całe wojsko, ruszyli dalej. - Jak chcesz się nazywać? - zapytała Wilma. - Na wniosku będę musiała napisać twoje nazwisko.

- Powiedzmy Coalhouse Walker senior.

- Tak? - rozejrzała się dokoła. - Nie widzę tu nigdzie juniora.

- Panno Wilmo szanowna - rzekł z szerokim uśmiechem, który rozjaśniał mu całą twarz. - Chodźmy do pastora, jeśli pani łaskawa, a obiecuję, że Coalhouse Walker junior zjawi się jak na zawołanie.

XVII

Arl

Arly i Will nie wychodzili przez parę dni. Stali teraz na Waterfront Street późnym, ponurym popołudniem, a choć niebo było mroczne i zachmurzone, mrugali oczami, jakby słońce świeciło im prosto w twarze.

- W mieście zrobiło się nagle strasznie cicho - stwierdził Arly.

Will pobiegł na koniec ulicy. - Nie ma ich - powiedział.

- Kogo?

- Statków.

Savannah wyglądało upiornie w szarości dnia. Spiesznie ruszyli przez ulice, które dziś nie zostały zamiecione. W wielu domach i sklepach było ciemno. Miasto wyglądało na spustoszone, choć nie było widocznych śladów zniszczenia. - To miasto przypomina psa z podkulonym ogonem - rzekł Arly.

- Sherman tu był - powiedział Will.

- Na to wygląda.

W pewnym momencie, gdy na ulicy pojawił się patrol, schowali się w krzakach na skwerze. Pod strażą prowadzono paru ponurych maruderów.

Brama szpitala była otwarta. Na podwórzu stał tylko ambulans z przygiętymi do ziemi dyszlami. Oddział, na którym pracowali, był prawie pusty. Pozostało na nim zaledwie kilku rannych w stanie krytycznym, którzy patrzyli na nich oczyma umierających, ale jedyny lekarz, który się tam kręcił, był cywilem.

Sala operacyjna pułkownika Sartoriusa była ogołocona ze wszelkiego wyposażenia.

144

-No, tośmy się ładnie urządzili - stwierdził Will. - Kiedyśmy się łajdaczyli, cała ta cholerna armia się zmyła.

- Nie mów źle o rozpuszcie - pouczył go Arly. - Przez cały tydzień biwakować w burdelu to niemałe osiągnięcie.

- Mówiłem ci wczoraj, że coś się dzieje, kiedyśmy zostali tylko we dwóch z tymi kobietami.

- Owszem. Ale czułem się tak wspaniale, jak ostatni człowiek na ziemi, że nie chciało mi się tym przejmować.

Arly rozsiadł się na stole operacyjnym. - Chyba nie doceniasz tego, że kiedy tam weszliśmy, mieliśmy forsy raptem na jeden kieliszeczek, póki nie odkryłem jaskini gry na zapleczu.

- Masz za to medal - podbite oko.

-Ado tego jeszcze przyłożył mi w nos. Niektórzy ludzie nie rozumieją, że można mieć łut szczęścia. To wrodzony talent, a ci, którzy nie zostali nim obdarzeni, podejrzewają coś niestosownego. Ale prócz tego gościa, chłopaki z unii zachowywali się jak należy.

- Jasne. Kazałeś Ruby lać w nich wodę, aż oczy im stawały w słup.

-Ach, Ruby, skoro mowa o wrodzonych talentach...

- Nie podobał mi się jej śmiech.

- Jej śmiech, jej śmiech? - rzekł Arly, wpatrując się w Willa z niedowierzaniem. - Coś mi się wydaje, że marnuję na ciebie czas. Chyba rozumiesz, po co poszliśmy do tego przybytku?

- Jasne. Poszedłem z tą Lucille. Opowiedziała mi wszystko o sobie.

- To ta chuda z wystającymi zębami?

Mnie to nie przeszkadzało. Miła z niej dziewczyna. Lubiła się poprzytulać.

Na samo wspomnienie w oczach Willa, wbitych w ziemię, pojawił się tak błogi wyraz, że Arly'ego zamurowało,

145

co zdarzało mu się niezwykle rzadko. Wyrżał przez okno, gdzie jego wzrok przykuł stojący na dziedzińcu ambulans.

- Zaraz - powiedział. - Chwileczkę. Bóg zesłał mi odpowiedź - rzekł, zsuwając się ze stołu.

- Co mianowicie?

- Ten furgon szpitalny. Idź, znajdź muła, to pognamy z nim za wojskiem.

- Niby jak mam to zrobić?

- Jezus, człowieku. Po prostu przyprowadź mi muła. Wojsko zdobyło to miasto. Jako wojskowy, ty tu rządzisz.

- A ty co będziesz robił w tym czasie?

- Dopracuję swój plan - Arly skierował wzrok na salę.

- Dla pucu będziemy musieli wziąć kilku rannych.

Na dziedzińcu Will zapiął mundur, strzepnął z niego kurz i nasadził prosto kapelusz. Przy bramie spojrzął w obie strony ulicy. - Mogę po prostu sobie łązić, póki mnie nie zgarną - pomyślał. Może sam się oddam w ich ręce. Nawet jeśli uznają mnie za marudera, to i co z tego? Najwyżej mnie powieszą. I tak mi się to należy. Przynajmniej Arly Wilcox nie będzie mi bez przerwy mówić, co mam robić.

Ale nigdzie nie widać było żadnych patroli. Parę ulic dalej natrafił na stajnię, w której wynajmowano konie. Panował w niej półmrok, lecz sądząc po zapachu, była użytkowana. Ale w tej chwili wszystkie boksy świeciły pustkami. Wtem usłyszał rżenie. Na samym końcu stała mała, gniada kobyła z zaplecioną grzywą. Spojrzała mu w oczy. Willa załapała nagła fala szczęścia. - Hej, ślicznotko - powiedział. - Jakim cudem żołnierze cię przegapili?

Wyprowadził zwierzę z boksu. Ogon miało również zapleciony. Zdjął uprząż ze ściany i gruchając czule do kobyły, założył jej chomąto, popręg, podogonie, uzdę. Uło-

146

żył jej uprząż na grzbiecie i wywiódł ze stajni. Naprzeciw siebie zobaczył starca o pomarszczonej twarzy i kępkach siwych włosów, porastających mu podbródek. Staruch trzymał pistolet z odbezpieczonym kurkiem.

- Najpierw będziesz miał ze mną do czynienia, synu - rzekł.

- Koń jest teraz własnością wojska - odparł Will. - Proszę się odsunąć.

- A po mojemu jesteś po prostu złodziejem. To koń od powozu panny Lily Gaylord, która dostała go od samego pańskiego generała Shermana i powierzyła mojej pieczy do swojego powrotu.

- Generał cofnął ten rozkaz - zareplikował Will. -A teraz odsuń się pan z drogi, bo pójdziesz pod sąd za sprzeciwianie się poleceniom rządu federalnego.

Staruch podniósł pistolet. Był to stary egzemplarz, o długiej drewnianej lufie, rzeźbionej rękojeści i hubce z krzesiwem. Ledwo mógł go utrzymać nieruchomo. Will roześmiał się i ruszył do przodu. Rozległ się trzask, a potem długi wybuch. Willowi zadzwoniło w uszach, zaraz potem starał się powściągnąć konia, który stawał dęba, toteż nie zdawał sobie sprawy, że oberwał kulkę. Dopiero gdy podniósł rękę, by chwycić za uzdę, zauważył dziurę w rękawie. W następnej chwili trysnęła jego własna, jasna krew -jakby na powitanie.

Starzec wydawał się zaskoczony własnym postępkami. Will nie czuł bólu, lecz jedynie wzbierające mdłości. Choć nogi się pod nim ugięły, wziął sobie za punkt honoru, by nie okazać niepokoju. - No dobrze - powiedział - postrzelił pan żołnierza unii już po kapitulacji miasta. To zdrada, stary, za którą będziesz wisiał.

Kobyła, spłoszona teraz, prychała i grzebała nogą w ziemi. Will, trzymając ją, podszedł do starca i wyjął mu

147

pistolet z dłoni. Był to ciężki grzmot i Will obejrzał go z ciekawością, jak każdą starość. W następnej chwili przeszył go ból i chłopak, poczuwszy wręcz dławiacą wściekłość, cofnął się, po czym z całej siły walnął starca lufą w głowę. Przez chwilę stał, patrząc na nieruchomy kształt.

- Głupi dziadyga - powiedział - żeby polec za pannę Lily Gaylord!

Niedługo potem Arly wiózł ich po moście przez rzekę Savannah. Will, leżąc na plecach w wozie, usiłował wychwycić jego słowa przez turkot kół. Ramię bolało go straszliwie. Arly powiedział, że nie ma chwili do stracenia.

- Znajdziemy chirurga po drodze - krzyknął, uderzając lejcami w grzbiet kobyły. - Może nawet naszego znajomego. Wyjdiesz z tego.

Willowi było zimno. Szczekał zębami. Nie wiedział właściwie, czy się trzęsie, czy też odlicza koleiny na drodze. Rękaw mu przesiąkł. Leżąc na ławce z boku, trzymał ramię wyprostowane, a palcem drugiej ręki przyciskał ranę, by zatamować krew.

- Ten konik ma golenie jak wykałaczkę - krzyknął Arly.

- Nie nadaje się do czterokołowego wozu. Lepiej by było, żebyś przyprowadził muła, tak jak cię prosiłem. Z drugiej strony, dużo łatwiej wieźć ciebie w charakterze rannego, niż tachać paru umierających rebeliantów, zważywszy jak trudno by ich było tu władować. Zresztą, dokąd miałbym ich wieźć i po co? Ty wyglądasz znacznie bardziej wiarygodnie. A więc nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, toteż ufajmy Panu, że naprostuje nasze ścieżki i powiedzie nas dalej, jak wiódł nas do tej pory, nawet jeśli musiał upuścić ci trochę krwi, żeby przeprowadzić nas przez posterunki.

Część dniga

POŁUDNIOWA KAROLINA

>Jkoro prawe skrzydło armii Shermana, Piętnasty i Siedemnasty Korpus generała Howarda, maszeruje na zachód od miejsca swego lądowania w Beaufort, lewe zaś skrzydło, Czternasty i Dwudziesty Korpus Slocuma, zmierza w kierunku północno-zachodnim, wzdłuż rzeki Savannah, secesyjni generałowie nie będą wiedzieli, czy mają bronić Augusty, czy Charlestonu. W istocie celem Shermana była Columbia i chociaż Morrison czuł osobistą niechęć do swego przełożonego, nie mógł odmówić jego strategii znamion geniuszu. Był to podwójny manewr mylący, a choć secesjoniści wiedzieli, jakim szachrajem jest Sher-man, nie mogli zgromadzić sił, póki nie ujawni swych zamiarów.

Ale tytułem rekompensaty konfederacji mieli diabelskie bagna Karoliny i takąż pogodę. Deszcz ściekał z runda kapelusza Morrisona, tworząc kurtynę wody, przez którą płonące sosnowe łuczywa, jakimi żołnierze oświetlali sobie przejście przez moczary, zdawały się migoczącymi gwiazdami. Na grząskiej drodze słychać było wrzaski i przekleństwa woźniców i oficerów wykrzykujących komendy, a choć był majorem z kokardą, widoczną na przemoczonych ramionach, tej nocy wojsko nie okazywało szacunku dla jego stopnia. Wszyscy, od szeregowca do oficera, zbyt pochłonięci byli walką z naturalnymi przeciwnościami, wręcz uniemożliwiającymi marsz, by zwracać uwagę na niego czyjego rozkazy.

Morrison prowadził konia za wodze. Nawet tam, gdzie drogę utwardzono pniakami, pod ciężarem wozów kło-

152

dy zapadały się w błoto i trzeba było kłaść ich następną warstwę. I nieraz mijał zaprzęgi, w których kopyto muła uwięzło między kłodami i nieszczęsne, ryczące stworzenie gotowe było samo oderwać

sobie nogę. Gdy wóz zapadał się, zatrzymywano cały tabor i wzywano dziesiątki ludzi, żeby odczepić zaprzęg i opróżnić wóz z ładunku, nim koła podniesie się z grzęzawiska. Morrison wołał przedzierać się boczną drogą przez bagno, znosząc zimne błoto wsączające mu się do butów. Wiózł listy od Shermana i generała Howarda do generała Joe Mowera, który dowodził czołową dywizją skrzydła. Ale nie mógł znaleźć jego kwatery głównej.

Kierując się w prawo, Morrison ruszył boczną drogą w nadziei, że znajdzie inne przejście, po którym łatwiej mu się będzie poruszać. Ale bagno przeszło w strumień, a strumień w porośnięte krzewami moczary, tak że w mroku nie mógł dostrzec, czy posuwa się po linii prostej. Czuł jeżyny, drapiące go po nogach, gdy przedzierał się przez rozlewisko, a jego koń zapierał się z tyłu. Zarośla ustąpiły gęstemu lasowi cyprysów. Morrison czuł pod nogami ich kręte korzenie, śliskie i zdradzieckie. - Utopię się tu - powiedział, lecz potykając się co krok, parł naprzód, aż w końcu znalazł twardszy grunt na wąskim brzegu wartkiego strumienia, kanału odpływowego Salkehatchie. Wspiął się tam, wciągając za sobą wierzchowca, który drżał i trząsał się, a z podrapanych boków ciekła mu krew.

Przeszedłszy brzegiem kilkaset metrów, natrafił na kompanię inżynierską, budującą most pontonowy przez kanał. Inżynierowie zacumowali swe łodzie-platformy i łączyli łodzie belkami, a tam, gdzie ich rufy się stykały, przierzucali deski pomostowe, najwyraźniej pochodzące z rozebranych domów, gdyż widać było na nich resztki farby. Będzie to kolejna droga dla korpusu, gdy rzeka zo-

153

stanie zdobyta. Uderzenia młotków i pokrzykiwania inżynierów ginęły w szumie deszczu i dobiegającym z oddali, nieomylnym dudnieniu nie burzy, lecz dział polowych, w czwartym bowiem roku wojny nie przerywano już na noc działań bojowych, jak to czyniono niegdyś na mocy niepisanej umowy. Morrison spojrzął dalej za strumień i dojrzał ciągnące się hen moczary. A więc wysłano przodem -jak daleko stąd? o pół mili, milę? - strzelców wyborowych aż do samej Salkehatchie, gdzie na przeciwległym brzegu brygady rebeliantów usadowiły się za szańcami.

Morrison rozglądał się jeszcze przez chwilę, po czym znowu poczuł się znużony i nieszczęśliwy. Zastanawiał się z goryczą, dlaczego on, major, musi służyć za kuriera i przyczynę znalazł tylko jedną - Sherman ma coś przeciwko niemu. Gdy jeszcze w Savannah powiedział generałowi, że przybył minister Stanton, Sherman rzekł: - Wolę, jak wysyłasz wiadomości, niż przynosisz, Morrison - czemu towarzyszył odpowiedni uśmiezek. Morrisonowi zrobiło się nieprzyjemnie, że choćby żartem winił się go za przynieszone wieści. Służył dzielnie i z honorem, a teraz odpłaca mu się za to tym zimnym, bagnistym piekłem, które zabija jak kula, tyle że wolniej.

Ktoś do niego wołał, lecz gdy się rozejrzył, nikogo nie zobaczył. Potem kawałek gałęzi upadł mu z pluskiem do stóp, a później odbił się, jakby został rzucony. Spojrzął do góry i między gałęziami gigantycznego wiązu stopniowo mógł rozpoznać sylwetki kilku mężczyzn, niektórych owiniętych w koce. Jeden z nich palił fajkę z odwróconą lulką i żarzący się popiół rzucał słaby blask na gałęzie i pień drzewa. Morrison przedstawił się, przekrzykując deszcz, i zorientował się, że znalazł kwaterę główną, której tak mozolnie poszukiwał. Na najwyższym rozwidleniu drzewa, niczym marynarz na dziobie statku, spoglądając w noc

w kierunku odgłosów bitwy, stał generał Mower, człowiek, którego Sherman ponaglał w listach, by bez zwłoki złamał opór Salkehatchie. Sherman zamierzał gładko połączyć się ze skrzydłem Slocuma na wzniesieniu przy linii kolejowej Południowej Karoliny, w pobliżu miasta Blackville, i pośpiech miał kluczowe znaczenie.

Gdy Morrison wręczył rozkazy oficerowi na najniższej gałęzi, zaproszono go, by wspiął się wyżej i znalazł sobie wygodny konar. Morrison, człek korpulentny i niezbyt zwinny, nawet nie próbował tego zrobić. Skulił się, oparty o drzewo, i czuł, jak jego plecy kostnieją z zimna.

II

JL onieważ z powodu deszczu droga stała się nieprzejezdna, zatrzymał się cały konwój. Wrede zapalił lampę, ustawił sobie skrzynkę z narzędziami na kolanach i wykorzystał ten czas na pisanie listów. Do kogo? Wspominał o bracie, również lekarzu w Niemczech. Emily wierciła się niespokojnie. Deszcz głośno dudnił o brezentową plandekę. Przez odwiniętą połę widziała muły, z łbami opuszczonymi z tępą uległością. Wóz przechylony był na prawo, gdyż koła ugrzęzły w mokrym piachu. W miarę wygodnie było jej tylko wówczas, gdy kładła się na stosie kołder i wełnianych szali, które zgromadzono dla rannych. Leżała na boku, z podkulonymi nogami i rękami pod głową, by nie dotykać wojskowych kołder, z których część była sztywna od zaschniętej krwi.

Opadło już z niej uniesienie, j jakie początkowo czuła, prowadząc to wędrowne życie. Przypatrywała się Wrede'owi, który, pochylony nad listem, zapomniał o całym świecie, o wojnie, o niej. Potrafił skupić się z natężeniem niedostępnym normalnemu człowiekowi. W takich chwilach wydawał się jej całkowicie obcym mężczyzną, któremu podporządkowała się bez reszty. Jakże czuła się opuszczona, jak samotna. Gdy tak śmiało puściła się w drogę, w podnieceniu nie myślała o przyszłości. Teraz przyszłość wyglądała czarno, niczym noc nieustającego deszczu. Doktor Wrede Sartorius nie był normalnym człowiekiem. Nie wyobrażała sobie, że mógłby gdzieś osiąść na stałe. Żył w terażniejszości, jakby przyszłości nie było, albo w stanie takiej determinacji, że gdy przyszłość nadejdzie,

zastanie go dokładnie takim jak teraz. Nic nie było w stanie wytrącić go z równowagi - odznaczał się nadprzyrodzonym spokojem. Do Wydziału Medycyny Wojskowej ciągle słał obmyślane przez siebie procedury postępowania podczas zabiegów chirurgicznych albo ulepszone sposoby leczenia pooperacyjnego, do których sam doszedł. Opasłe podręczniki medycyny wojskowej uważał za praktycznie bezużyteczne, a wszystkie co do jednego poradniki, które przysyłano mu z korpusu, zbywał wyniosłym lekceważeniem. A wreszcie, był człowiekiem, który nie potrzebował nikogo prócz siebie, czy to w życiu zawodowym, czy Boże zmiłuj się nad nią, osobistym. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby ogarnąć go melancholia, tęsknota, głęboki smutek, szaleńcza radość, nagłe oszołomienie czy inny, równie przejściowy nastrój. Był osobną, samowystarczalną istotą, która żyje we własnym świecie, nie zważając na nikogo. A choć okazywał jej uczucie i jak nauczyciel wprowadzał w sferę własnych zainteresowań, poważnie zastanawiała się, czy gdyby nagle padła trupem, spojrzełby na jej martwe ciało jak pogrążony w smutku kochanek, czy też przeprowadziłby sekcję jej zwłok, by się

przekonać, jakich spustoszeń w tkankach czy organach wewnętrznych dokonały kartacze czy szrapnele, które ją zabiły?

- Skąd we mnie tyle niechęci? - zastanawiała się. Ale znała odpowiedź. Objawiła się jej w nagłym porywie wewnętrznego przerażenia, które kazało jej zewrzeć uda. Jako młode dziewczę nie była rozmarzoną romantyczką, która w zetknięciu z rzeczywistością przeżyłaby wstrząs. Otrzymała staranne wykształcenie i dość się naczytała, by wiedzieć, że w miłości cielesnej dużą rolę odgrywają fizjologiczne mechanizmy. Ale oddała mu się z głębokiego uczucia. I odczuła tylko, że w nią wszedł.

%

157

Lecz przedtem okazał jej pewne względy. Gdy leżała rozebrana, z zamkniętymi oczyma, czuła, że spoczywający obok w łóżku ciężar się unosi. Powziął postanowienie. Słyszała, jak otwiera kasetkę z narzędziami. - By oszczędzić ci bólu - powiedział, stojąc nad nią- dokonam drobnego zabiegu. Poczujesz tylko lekkie ukłucie. Potem jego palce rozwarły ją i było tak, jak jej powiedział, i zaledwie parę kropli krwi. Naturalnie, postąpił bardzo troskliwie i rozsądnie, ale jak medyk, a ona poczuła się bardziej pacjentką niż kochaną kobietą. I potem, gdy w nią wszedł, w szczytowym momencie niepotrzebnie otworzyła oczy i w świetle kominka zobaczyła, że jego twarz wykrzywił ohydny grymas bezmyślnego oszołomienia, a wzrok miał ślepo wbity w jeden punkt, jakby zastygł w udreće, widząc przed sobą wszechświat bez Boga. I gdy wydał ten gardłowy, zdławiony jęk, przycisnęła go do siebie, czując, jak z drzeniem w nią wchodzi i tuląc go nie z namiętności, lecz z troski, że tak cierpi, choć rzecz jasna nie cierpiał, lecz przeżywał coś wręcz przeciwnego niż ona, bo ona czuła tylko... że w nią wszedł.

I od tego czasu - czy było to zaledwie parę nocy temu? - wydawał się jakiś daleki, zajęty przygotowaniem do dalszego marszu, co sprawiało mu wyraźną radość. Spokojnym głosem dawał polecenia wszystkim, także jej. I teraz nabrała pewności, że nie ma co wiązać swych losów z tym człowiekiem. Była zawadą, uciekinierką z Południa, która znalazła tu miejsce tylko dlatego, że zastępowała brakujący personel, który wolałby widzieć u swego boku. I nigdy dotąd nie czuła się tak opuszczona, nawet gdy umarł jej ojciec, gdyż wtedy była we własnym domu, miała wokół siebie znajome rzeczy i jeszcze nie zdawała sobie sprawy, że jej dotychczasowe życie bezpowrotnie przeminęło i niebawem zostanie kobietą upadłą, w woj-

158

skowym wozie, gdzie deszcz wali w brezent z siłą ognia karabinowego, gdzieś na równinach Południowej Karoliny, z Bożego wyroku nawiedzonych lokalnym potopem.

W następnym wagonie od końca Pearl wpatrywała się w zapieczętowany list, który wyjęła z martwej dłoni porucznika Clarke'a w Sandersomdle. Uznawszy, że list adresowany jest do jego rodziny, noszącej to samo nazwisko, zaczęła odgadywać, jak brzmią poszczególne litery, z tym że początkowe „C” i „k” najwyraźniej czytało się tak samo i nie rozumiała, dlaczego różnym literom odpowiada ten sam dźwięk. Kłopot sprawiało jej też końcowe „e” - nie miała pojęcia, po co tam w ogóle jest. - W każdym razie - pomyślała - skoro mogę odczytać większość liter z tego nazwiska, odczytam je też i gdzie indziej. Lecz mimo to oglądała list pod różnymi kątami w świetle lampy naftowej i choć starała się ze wszystkich sił, nie zdołała zrozumieć reszty słów; były tam ich jeszcze trzy linijki, ale o co w nich chodziło, nie wiedziała.

Mattie Jameson spała na stosie złożonych noszy. Zwinęła się w kłębek i z rękami pod brodą wyglądała jak dziecko w łonie matki. Pearl nieraz widziała poronione dzieci i wszystkie one były właśnie tak ułożone, jak ona teraz, ta wielmożna pani. A przez całą tę uciążliwą drogę z wojskiem jakby jechała na chmurze, przesypiając większość czasu, nawet teraz, gdy deszcz walił tak, że nie było słycać własnych myśli. A gdy się budziła i Pearl usiłowała wcisnąć jej coś do jedzenia, ugryzła najwyżej kawałek sucharka i wypijała łyk kawy. I nie odzywała się ani słowem, i patrzyła na Pearl, jakby usiłując sobie przypomnieć, jak też dziewczyna się nazywa.

Pearl wydawało się, choć nie miała okazji wpatrywać się w twarz wielmożnej pani na plantacji, że jej włosy

159

na skroniach, przedtem barwy pszenicy, teraz posiwiały. Ściągnęła je do tyłu i mocno związała na karku, przez co wyglądała na starszą, choć Pearl wiedziała na pewno, że jest dużo młodsza od tatka. Ale twarz miała zmęczoną, obwisłą i poszarzałą. Tatko był stary, gdy umarł, miał sześćdziesiątkę jak nic, a wielmożna pani musiała być dużo młodsza, choć starała się z nim zrównać, taka była milcząca i zboląta, jakby też umarła i przez cały czas spała, żeby tego dowieść.

Po jego śmierci, na wypadek, gdyby pani chciała wracać do domu, Pearl powiedziała jej, że Fieldstone zostało spalone na popiół. Właśnie wtedy pani zaniemówiła, zamykając się w sobie.

Pearl rozejrzała się - w wozie zrobiło się jej nagle zbyt ciasno. Ściągnęła mundur i natychmiast poczuła wilgotny podmuch wiatru, który wdarł się pod brezent. Pomyślała

O plantacji, gdzie się urodziła i przeżyła całe dotychczasowe życie, pomyślała też o słońcu ogrzewającym jej głowę

1 o ukochanych polach. A potem zezłościła się na siebie. Skoro o tym myślisz, dziewczyno, to nie jesteś całkiem wolna. Nie będę wolna, skacząc koło tej wielmożnej pani, która nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi, jakbym dalej była jej niewolnicą. - Hej, pani Jameson, obudź no się pani, obudź no się! - pochyliła się nad Mattie i potrząsnęła ją za ramię.

Mattie, przebudzona, zamrugnęła i przyłożyła ręce do gardła. Słyszała bębnienie deszczu i czuła chłód powrotu do rzeczywistości. Owinęła się szalem i dopiero wówczas dostrzegła, że ta mała Pearl się w nią wpatruje.

- Obudziła się już pani? - spytała Pearl. Mattie skinęła potakująco.

- No dobrze, to opowiem pani, gdzie pani jest. Widzi pani te skrzyneczki, te butelki? Jest pani w wagonie me-

160

dycznym z Perełką, rodzonym dzieckiem pana. A jeśli nie może pani mówić, niech pani skinie tą biedną głową, na znak, że pani rozumie. Mattie skinęła głową.

- No dobrze. Ciągniemy z generałem Shermanem, a jego armia ma do końca znieść niewolnictwo. Rozumie pani?

Mattie przytaknęła.

- Dobrzy ludzie wzięli panią ze sobą, bo ich pani o to prosiła. Pamięta pani?

Mattie kiwnęła głową.

-1 wiem dlaczego. Szuka pani braci -jednego i drugiego. Ciągnie pani za armią, żeby spotkać swoich chłopców, co? Niech się pani odezwie. Mam rację?

- Tak - wyszeptała Mattie.

- Tak. I będzie pani biegać między armiami z rękami wyciągniętymi do nieba, żeby przerwać strzelanie, wyciągnąć chłopców i uratować ich, tak to ma wyglądać?

- Tak. - Mattie założyła ręce i opuściła dłonie na podolek.-Tak.

- Musiała pani zupełnie oszaleć, ale jest pani matką, a matki tak myślą. Są chyba gorsze rzeczy od matczynego szaleństwa. Ale teraz musi pani być przytomna, a zaśnie pani dopiero, jak nadejdzie pora. Wie pani dlaczego?

Mattie potrząsnęła głową.

- Widzi pani mój mundur? Jestem pielęgniarką u pułkownika, tego chirurga, który próbował uratować panu życie. Umiejętne zwijać bandaż, napoić, jak chce im się pić, znaczy ludziom, i temu podobne. Ma ze mnie pożytek ta armia, która mnie karmi i wozi ze sobą, bo teraz nie mam na świecie innego domu. Słyszysz mnie pani?

Mattie skinęła głową.

f

161

- I tak samo, wielmożna pani, może im się pani przydać, co się im należy, bo ciągną panią ze sobą, a potrzebują każdej kobiety, jaka się trafi, do opieki nad tymi nieborakami.

- A co mogę robić? - zapytała Mattie niemal szeptem.

- Zapyta pani pannę Thompson, jak następnym razem rozbijemy obóz, a już ona znajdzie pani dosyć roboty,

O to niech się pani nie martwi. Co Pearl umie zrobić, to

1 pani zrobi. Ale jest jeszcze jedna rzecz dla pani, ponieważ troszczę się o panią w chorobie i żałobie. Wie pani, o co mi chodzi?

-Nie.

- No więc o to, co nie przyszło pani do głowy przez cały czas, jak byłem dzieckiem w pani domu. Niech pani nauczy Perefkę czytać. Zaczynając od tego - rzekła Pearl, wyciągając list Clarke'a.

Mattie sięgnęła po kopertę, którą Pearl włożyła jej do ręki. Ich oczy się spotkały.

No, niech pani nie płacze - krzyknęła Pearl, ale na próżno. Łzy spływały po twarzy Mattie Jameson. Potrząsała głową i przygryzała wargę, a Pearl, niewiedzącą, czy ją pocieszać, czy skrzyczeć, nagle ogarnął przyływ uczucia i jej też, nieprzywoływane i niechciane łzy popłynęły z oczu.

III

J«

John junior i jego brat Jamie w prześwitach między kłodami wprawdzie dojrzeliby cienie, poruszające się hen, daleko, pośród porastających bagna drzew. Potem pojawiała się ich coraz więcej i niebawem, o brzasku, dostrzegli całą ich armię, mozolnie pracującą naprzód przez wodę, która sięgała im po pachy. Karabiny trzymali wysoko uniesione na głowę, buty i ładownice z nabojami zwisały im z czubków bagnetów. - Przerwać ogień - powiedział porucznik, biegający wzdłuż szeregu. - Przerwać ogień - powtórzył ochryłym szeptem, jakby uniońscy, choć znajdowali się zbyt daleko, by dosięgły ich kule, mogli usłyszeć każde jego słowo.

Odciągnięto kawalerię, by osłaniała flanki, ale jankesów było mnóstwo, a rebeliantów, mających ich powstrzymać, zaledwie półtora tysiąca. - O Boże - rzekł Jamie. Trząśnięcie z zimna, wargi mu zsiniały i mało brakowało, a zsiąkałyby się w portki. Bracia mało spali tej nocy, gdyż w górze i dole rzeki dochodziło do potyczek. Do tego byli głodni, gdyż poprzedniego dnia zjedli ostatniego suchara. John junior, starszy o rok, wobec przerażonego brata odgrywał znawcę sztuki wojennej. - Nie bój nic - uspokajał - te szanse chronią nie gorzej niż twierdza. Obsadziliśmy cypel i mamy artylerię, a oni nie. Nie ustawiają armaty na bagnie.

Niebawem John junior szturchnął brata łokciem w plecy, gdyż odezwały się działa, kule świszczały im nad głową i wybuchały w wodzie, zwalając drzewa i wysadzając ludzi w powietrze. Ale wciąż nadchodzili, niektórzy, trzymając

163

się płynących bali, opierali o nie karabiny, osłaniając ich ogniem kanonierów. - Strzelców wyborowych wystali naprzód - rzekł John junior.

- Zabiją nas. Nie chcę umierać - powiedział Jamie.

- Cii, jakby tata cię usłyszał...

-Ale go tu nie ma, więc mogę mówić, co mi się podoba.

- Pomyśl o czymś przyjemnym, to nie będziesz się tak trząść.

- O czym?

- Nie mam pojęcia. O czymkolwiek. Na przykład o tym, jak podglądaliśmy niewolnice, kiedy szły się myć do zatoki.

-Noo.

- Oglądaliśmy je na golasa, a one nic się nie skapowały. -Noo.

- Ta Perła, ta biała. Muszę ją wymłócić, zanim jakiś Murzyn się do niej dobierze.

-Noo.

- Z nich wszystkich jest najładniejsza. -Noo.

- Cycuszki dopiero zaczynają jej wychodzić. Nie wielkie balony, jak u tych starych babulców. Jezu, nigdy nie widziałem czegoś podobnego, nawet u naszej mamy.

- Podglądałaś mamę?

- Nie, mówię z tego, co widać na oko.

- Podglądałaś mamę! Wszystko jej powiem.

- Co jej powiesz?

- Że podpatrywałeś gołą mamę, Johnie juniorze. Noo, chłopie...

- Zaniknij gębę, bo sam cię wykończę, zanim zabiorą się za to jankesi. Co to za różnica, czy umrzesz wcześniej czy później.

Jamie pomyślał chwilę i zamilkł.

164

- Powiedziałeś, że nic mi nie zrobią, Johnie juniorze.

- Kłamałem, ty mazgaju. -Powiedziałeś...

- Nie jesteś prawdziwym Jamesonem, ty baranku Boży. Co to? Łezki? Na moich oczach zmieniasz się w dziewczynę. Zginiesz, ty mały gnojku, a ja razem z tobą, więc zamknij się i zachowuj jak mężczyzna. Bo inaczej po śmierci jankesi cię wypierdolą.

- Kłamiesz!

- Nie, ty pacanie. Tak się obchodzą z beksami. Jeśli ci

0 to chodzi, to możesz dalej biadolić. Proszę bardzo. Będziesz miał używanie.

Żołnierz poniżej Stephena Walsha w strumieniu dostał kulę, zrobił ruch, jakby chciał odrzucić swój karabin

1 przez moment leżał, unosząc się na plecach i kurczowo ściskając buty, przywiązane do szyi. Potem zniknął. Kim był? Brodząc w wodzie, Walsh dotarł do tego miejsca, na kolanach obmacał je dookoła, po czym wolną ręką szperał w wodzie. Nic. W tym bagnistym przypiływie, w mętnym świetle brzasku jedynym śladem po zmarłym człowieku była zaczerwieniona woda, której oleista plama, wirując z wolna, błądła i oddalała się z prądem.

- No dobra, żołnierzu - powiedział ktoś za nim. - Rusz się.

Szeregi mężczyzn parły naprzód przez bagno, sięgające im do piersi. Był to oporny byt, obdarzony własnym życiem, a wedle Walsh, moczary nie należały ani do unii, ani do konfederacji, lecz stanowiły własne, bezimienne królestwo. Walsh, przedzierając się z trudem naprzód, widział, że

moczary ciągną się w nieskończoność. Nie czuł strachu, wyłącznie ponura rozpacz wypełniała mu pierś od dnia, gdy wziął trzysta dolarów, by udać się na pole

165

walki. Gdy maszerował przez Georgię, paląc domy i niszcząc tory kolejowe, wydawało mu się, że bierze udział w szaleńczej wojnie. Uśmiechy na twarzach wyzwolonych niewolników, witających żołnierzy, nie były dostatecznym zadośćuczynieniem. Nie był pewien, czy zdołałby unieść brzemień ich życia, zagubionych na ziemi jak na wyspie, gdzie króluje bezbożna drapieżność.

Dookoła na wodzie słychać było drobne, zjadliwe wybuchy. Oni też mieli artylerię, kule przelatywały z dziwnym skrzekiem. Nie mógł się opanować - gdy usłyszał ten dźwięk, odwrócił się i wzdrygnął. Ale mężczyźni wokół niego robili to samo. Potem drzewa za nimi zaczęły pękać z hukiem i wpadać do wody. Nad mokradłem poleciały siarczyste przekleństwa, mieszające z błotem generała Mowera, pomysłodawcę tego kretyńskiego natarcia. Niech cię szlag trafi, Mower, sterczę tu jak kaczką na jajach! I ciebie też, Sherman, niech trafi szlag, niech szlag trafi całą tę przeklętą wojnę! Ale Walsh wiedział, że generałowie nie zdecydowaliby się na oblężenie, pociągające za sobą tak ciężkie straty. Uznał, że ten atak czołowy to manewr mylący, a prawdziwe natarcie toczy się ruchem oskrzydającym w dół czy w górę rzeki. Toteż gdy zmieni się położenie secesjonistów, porzucą swój punkt oporu. - Muszę ufać Bogu, że nastąpi to szybko - pomyślał Walsh, rozbawiony tym nagłym przyływem pobożności. Ponieważ moczary zapełniały się trupami, niektóre zwłoki wplątywały się w konary drzew.

W świetle przesączającym się przez cyprysy Walsh zaczął postrzegać ludzi jak łódki. Wszyscy razem, pracy naprzód przez ogień i wodę, widoczni jedynie od pasa w górę, zdali się armadą, sunącą przed siebie, kołyszającą się na boki, gdy chowali głowy w wodzie, wysoko dzierżąc karabiny. Tu i tam któryś przystawał, niczym okręt

166

pod ostrzałem, którego takielunek rozwalono w drobny mak. Walsh nie był wysoki, jego przysadzista postać mierzyła raptem metr siedemdziesiąt. Starał się cały czas utrzymać tors nad wodą, lecz gdy brodził w dół zboczem, rad był z coraz większej głębiny, gdyż tylko jego głowę i uniesione ramiona mogły dotrzeć do kule. Kiedy znowu się wynurzył, ociekając wodą, czuł, że staje się celem strzelca wyborowego.

Gdy coś trąciło go w bok, odwrócił się i zobaczył oderwaną od ciała głowę, brodatą, o niebieskich oczach, z miną wyrażającą urażoną godność i resztkami ciała, i żył, zwisającymi z karku. Przez jedną okropną chwilę, nim ją odepchnął, poczuł, że w dziwny sposób go przyciąga, jakby nawet mimo takiego doświadczenia życie nadal było godne pożądania.

IV

półtora dnia tkwili na wzniesieniu między rzekami Salkehatchie i Edisto, podczas gdy wojsko maszerowało naprzód. Lazaret Wrede'a był jednym z trzech funkcjonujących w polu. W namiotach szpitalnych było miejsce dla czterdziestu rannych, lecz interwencji medycznej wymagało ich prawie osiemdziesięciu. Wrede był jedynym chirurgiem w korpusie potrafiącym dokonać resekcji w warunkach polowych. Teraz właśnie przeprowadzał taką operację, odcinał złamaną, ropiejącą kość

długą nogi. Powszechnie przyjęło się sądzić, że resekcje zazwyczaj prowadzą do komplikacji pooperacyjnych. Amputację uważano za zabieg czystszy, mający większe szansę powodzenia i dający większą możliwość przeżycia. Żołnierz tracił kończynę, ale pozostawał przy życiu. Wrede wiedział, że to bzdura - zdążył zobaczyć aż nazbyt wielu pacjentów po amputacjach, którzy umierali na rękach jego kolegów. Teraz Emily, asystująca przy zabiegu, uświadomiła sobie, że stół operacyjny pod gołym niebem otacza liczne grono innych chirurgów, asystentów chirurgów oraz pielęgniarzy wojskowych. Był wczesny ranek. Nad głowami mieli jasnobłękitne niebo, przez korony drzew przeświecało słońce, rześkie powietrze tchnęło świeżością, ale skądinąd widok był ponury - wokół leżeli ranni na noszach, krzycząc o wodę, przeklinając Boga, wrzeszcząc z bólu. A jednak lekarze odeszli od pacjentów, by obserwować Wrede'a Sartoriusa przy pracy.

Naciął nogę w dwóch miejscach i przymocował retrakto-ry powyżej i poniżej zakażonej kości. Zacisnął kleszczami

168

główne arterie. Przeciągnął igłę z nicią pod kością, okręcił ją i przymocował do ruchomej ręcznej piły tańczuchowej. Ruchy miał niewiarygodnie szybkie i zdecydowane. Emily, stojąca u czoła stołu, przyglądała się rękom chirurga. Zdawały się jej istotami obdarzonymi własną inteligencją. Tylko momentami Wrede pokazywał zainfekowaną kość, unosząc ją do góry w kleszczach. Zręczność, z jaką ją zestawił i zamknął ranę, wywołała pomruk patrzących. Nogę następnie lekko obandażowano i umieszczono w łubkach. Emily trzymała woreczek z chloroformem nad ustami i nosem pacjenta. Teraz kazano jej zaprzestać znieczulania. Wrede'owi zadawano pytania. Odpowiadał na nie ze spokojem, choć czuł, że uważa to za stratę czasu. - Nadal używaj ąkolodionowych opatrunków na rany - powiedział jej któregoś dnia - choć prawie na pewno wywołują one stan zapalny. Przedstawiałem sprawozdania, dowodzące, że powietrze i światło mają działanie lecznicze, ale nie chcą mnie słuchać. Robią wszystko tak, jak robili zawsze, dlatego że zawsze tak robili.

Wkrótce przystąpił do następnego zabiegu i pozostali chirurdzy wrócili do swoich zajęć. Dopiero wówczas Emily uświadomiła sobie, że w jej stronę kierowano nie mniej spojrzeń niż na stół operacyjny. Czy na twarzy któregoś z doktorów pojawił się znaczący uśmiech? A może drwiący grymas? To nie do zniesienia.

Tymczasem przybyły służby zaopatrzeniowe i z wozów kwatermistrzowskich wyładowano trumny. Ciało ułożono na skraju pola, w cieniu drzew.

Pearl mocno podtrzymywała za łokieć Mattie Jameson, prowadząc ją wzdłuż szeregu zwłok. Byli tam chłopcy z Południa w wystrzępionych szarych mundurach i unio-ńsici w podartych i okrwawionych niebieskich. Mattie uważnie przyglądała się wszystkim martwym żołnierzom,

169

niezależnie od tego, jaki mieli na sobie uniform. Wpatrywała się w nich z uroczystą powagą, jakby chciała zrozumieć śmierć. Marszczyła brwi i potrząsała głową. Niektóre twarze były tak opuchnięte, zmasakrowane i okrwawione, że nie dawało się rozpoznać rysów. Inne czyste, niepoznane i zastygłe, z obnażonymi zębami, wyglądały, jakby chciały kogoś ugryźć. - Skąd im się wziął ten grymas? - zastanawiała się Mattie. - Jakby śmierć cofała nas z powrotem do poziomu zwierząt. A jednak mój

John umarł z zamkniętymi oczami, jak człowiek pojednany ze swym losem, niemal jakby był rad, że umiera, z ręką złożoną na piersi i tylko nos trochę mu się wydłużył.

Gdy obie kobiety dotarły do ostatnich zwłok, Mattie zaczęła płakać. Pearl nic z tego nie rozumiała. Wszak byli to żołnierze unii. - Jaśnie pani - powiedziała. Przecież widzi pani, że braci nie ma wśród tych trupów. Więc czemu pani rozpacza jak jakaś biedna sierota? Powinna pani Bogu dziękować, że pani chłopaki i ich mała armia wyrrywają, aż się kurzy, przed generałem Shermanem.

V

x\kura

rat na samym środku mostu kobyła stanęła. Arly ściągnął lejce. - Rusz no się, cholero - krzyczał - niech cię szlag! - Nie reagowała. Arly podniósł się, by lepiej ją widzieć w ciemności. Lewe przednie kopyto było uniesione i nie chciała go opuścić.

Konwój za nimi przystanął. Arly słyszał protesty, rozlegające się na całym moście i dalej za rzeką w lesie. Krzyki odbijały się echem od cyprysów i nagle powietrze nad jego głową wypełniło się skrzeczącymi nietoperzami. Jeżeli Arly czegoś nienawidził, to właśnie nietoperzy. - Sio, sio! - powtarzał, machając rękami jak szaleniec i podskakując, aż bębniły deski.

Kawaleria przejeżdżała po obu stronach mostu, bryzgając wodą na wszystkie strony. Oficer zatrzymał się, ściągając wodze.

- O co chodzi, żołnierzu?

Arly ukląkł przy kobyle. - Chyba ma rozwaloną nogę, panie oficerze.

- Co wieziesz? - zapytał oficer, wskazując na wóz.

- Jednego rannego.

- Wyciągnij go.

Teraz woźnice z pobliskich wozów podeszli, by zobaczyć, co się stało. Arly uniósł płachtę z tyłu i rzekł: - Will, będziemy musieli cię przenieść. Dasz radę się podnieść? Nie bierzcie go za rękę - powiedział do otaczających go ludzi. - Dostał w nią.

Will ledwo mógł ustać na nogach. Trzymał się za uszkodzoną rękę, która przestała krwawić. Ale cały przód bluzy od munduru miał mokry od krwi.

171

Kobyłę wyprzęgnięto i ustawiono na skraju mostu w dole rzeki. Oficer przywiązał wodze swego wierzchowca do słupka, wskoczył na ponton, przystawił pistolet do ucha zwierzęcia i wypalił. Zdrowa noga kobyły wygięła się, koń opadł ciężko i runął do wody.

Arly ujął Willa pod zdrowe ramię i podtrzymał go. Will cuchnął potem, był w nim skąpany.

Parunastu woźniców rozbijało ambulans, a następnie, potężnym pchnięciem, również i jego wrzuciło do rzeki.

- W porządku - rzekł oficer - ruszamy.

Arly i Will jechali teraz w wagonie aprowizacyjnym, wypełnionym workami mąki. - To ci dopiero wygoda - rzekł Arly, waląc pięścią w worek, by ukształtować go jak poduszkę, o którą chciał oprzeć plecy. W powietrzu uniosła się biaława mgiełka.

- Gdzie jesteśmy, dokąd jedziemy? - zapytał Will.

- Znowu jesteśmy pod generałem Shermanem - odparł Arly. - Wiesz przecież.

- Ciemno - powiedział Will po chwili.

- No pewnie, jest noc.

- Chyba umieram - rzekł Will.

- Zawsze tak mówisz, jak tylko się trochę zadraśniesz.

- Nie, już nie boli, więc pewnie to o to chodzi. Arly słyszał jego ciężki oddech.

- Pić mi się chce.

- Niech to szlag - rzekł Arly. Podpełznął do przodu wozu i wydebił manierkę od woźnicy.

Po paru łykach Will poczuł się raźniej. - Przynajmniej nie postawią trupa przed plutonem egzekucyjnym - powiedział ze śmieszką, który przeszedł w kaszel.

- Właśnie - rzekł Arly. Zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem Will naprawdę nie umiera. Chłopakowi nagle

172

jakby przybyło lat. Jakby wiekiem prześcignął Arly'ego, mijając etap dorosłości i dotarł do jesieni życia, kiedy to mężczyźni robią się starzy, mądrzy i pchają się z radami.

- Zapamiętasz - Coley Mili? - rzekł Will.

- Co takiego?

- Stamtąd pochodzę. Coley Mili, koło Asheville.

- Naprawdę? Ja jestem z za Smokies, z Gatlinburga.

- W naszym miasteczku mieszka paru Kirklandów - rzekł Will. - Ale nasz dom jest największy. Powiesz im, dobrze?

- Komu?

- Moim staruszkom. Spróbuj złapać tatę, jak będzie trzeźwy. Powiedz im, że Will walczył i poległ za Stany Skonfederowane. Możesz to dla mnie zrobić?

- Jasne, jak przyjdzie co do czego, ale sam wiesz, że to tylko takie gadanie. A poza tym, jeżeli umrzesz, nie będziesz już oglądał najstodszej panny Thompson ani do niej nie zagadasz. A przecież, kiedy ich

odnajdziemy, to ona będzie cię pielęgnować. Więc nie oplota ci się teraz wy-kitować, bo już się do ciebie nie uśmiechnie, nie uniesie ci głowy delikatną rączką, żebyś napił się dobrej brandy albo jeszcze lepiej laudanum czy jakiegoś innego środka nasennego, żeby ci wzmocnić nerwy. Widzisz, jak szybko podłapałem terminologię medyczną? A może sam wyuczę się na medyka? W końcu zawsze byłem zręczny w rękach. Ale chyba Pan Bóg nie ma wobec mnie takich planów, bo nie jestem na tyle do tego przekonany, żeby to był Jego pomysł. I założę się, że to nie Bóg nabił ci łepetynę tymi myślami o umieraniu. Ani chybi jakiś diabeł się pod niego podszył, żeby cię bardziej podrzucało na tej drodze. Kurczę, nic ci takiego nie jest. Jak tylko panna Thompson się do ciebie uśmiechnie, zaraz staniesz na nogi.

Will się nie odzywał.

173

- Nie mówiłem ci tego wcześniej, synu, ale choć Bóg mnie dawał znaki, zawsze przeznaczał je dla nas obu, gdyż jesteśmy razem od tego ranka, gdy wsadzili cię do więzienia naprzeciwko mnie. To było Boże dzieło, sam dobrze wiesz. I przysięgam ci, że Jego tajemne ścieżki zaczynają się prostować. Teraz lada chwila Bóg da nam poznać, jaki los nam przeznaczył w tej smutnej wojnie, dlaczego wywiódł nas z Milledgeville i wysłał w drogę nie z tym wojskiem, co trzeba. Powziął On wobec nas wspaniałe zamysły, które musimy wykonać. A jeśli uważasz, że wpadam w zbyt górne tony - bo wiem, że masz skłonności do sceptycyzmu - muszę ci przypomnieć, że postać Boży z Biblii niekoniecznie pochodzili z wyższych sfer, a sam Mojżesz wszak zabił człowieka. A więc jeśli Bóg nas, nieboraków, wysłał jako żołnierzy, musi mieć w tym swój cel. Może uważa, że jeżeli uda mu się nas wybawić, zdoła wybawić wszystkich. Bo musisz przyznać, że ludzkość trochę go rozczarowała, z wyjątkiem, naturalnie, takich anielic jak panna Thompson i może ta dziwka z wystającymi zębami, z którą się obściskiwales w Savannah. Ale trzeba powiedzieć, że Bóg miał wobec nas wielkie oczekiwania, a myśmy je zawiedli. Jesteśmy jego największą pomyłką. Znalazłoby się ich więcej - nietoperze są jego pomyłką, podobnie jak kleszcze, gzy, pijawki, mole i węże - to wszystko jego wpadki, ale my jesteśmy największą. Więc gdy powiadam ci, że bliska jest chwila, gdy odstąpi On swe zamiary wobec nas, musisz mi wierzyć. Właściwie już chyba wiem, co sobie obmyślił. Powiedzieć ci, co to takiego, Will? Chcesz wiedzieć, do czego zostaliśmy powołani?

A gdy Will nie odpowiadał, Arly zapytał:

- Usnąłeś, synu?

174

Arly poszedł naprzód, do pomieszczenia woźnicy, gdzie na maszcie, podtrzymującym brezentową plandekę, wisiła lampa naftowa. - Zdejmę ją na chwilę - rzekł. - Muszę sprawdzić, jak się miewa mój pacjent z tyłu.

I było tak, jak się spodziewał: w świetle lampy zobaczył, że Will oczy ma zamknięte, a powieki i policzki białe od mącznego pyłu, unoszącego się w powietrzu; i wyglądał tak niewinnie, jak beztroski chłopiec, z uśmiechem na pobielających ustach, że najpewniej śni jakiś słodki sen, może o panie Thompson i, naturalnie, jako niewinne chłopię, wcale się z nianie kocha, lecz ani chybi stoją razem przy ołtarzu, przed pastorem. - A ja obok - wyobrażał sobie Arly -jako drużba, czekający z obrączkami.

Jakc

co straż przednia lewego skrzydła generała Slocuma jeźdźcy Kila Kilpatricka, w sile około pięciu tysięcy kawalerzystów i konnej piechoty, przekroczyli rzekę Savan-nah i posuwali się naprzód, paląc mijane po drodze wioski. Napotykali zaledwie minimalny opór. Podczas marszu Kilpatrick gromadził łupy, aż zebrał własny konwój skarbów - srebrnej zastawy, wykwintnej pościeli, szkła, butelek mocniejszych trunków, antałów wina, a także pieczonych i wędzonych mięs, jajek, dżemów, suszonych owoców i prażonych orzechów, ziaren kawy i innych rozkoszy dla podniebienia.

Pewnego popołudnia, gdy wpadli do wioski Allen dale, Kilpatrick wyczuł smakowity aromat i uniósł rękę, by zatrzymać galopującą za nim kolumnę. Woń gotującego się mięsa dochodziła z domu oddalonego nieco od ulicy, a położonego w dębowym gaju. Dom był pusty, lecz w oficynie natrafił na Mulata w czapie szefa kuchni, który przyrządzał kolację dla niewolników. Niewolnicy siedzący przy stole na widok wojskowego zerwali się na nogi.

- Co to jest? - zapytał Kilpatrick, zaglądając do wielkiego gara, w którym dusiły się kawałki mięsa, odchodzące od kości, warzywa i rzepa, ząbki czosnku i przyprawy tak wyszukane, że całość mogła dostarczyć jego wybrednemu smakowi rozkoszy, które porzucił, aby walczyć w obronie ojczyzny. - Le lapin - odparł szef, który przedstawił się jako francuski Kreol, Jean-Pierre. - A niech to - rzekł Kilpatrick, siorbiąc gulasz z łyżki wazowej. - Wy wszyscy

- powiedział, zwracając się do wystraszonych niewolni-

176

ków -jesteście wolni. Ty - powiedział do szefa - podnieś prawą rękę.

I tak z miejsca zmobilizował oszołomionego Jean--Pierre'a, mianując go dowódcą messy w stopniu sierżanta. - Ze wszystkimi, wynikającymi z tego prawami i przywilejami - dodał Kilpatrick. - Teraz nałóż mi kopiasty talerz tego, a potem ruszamy dalej.

Ponieważ właściciele uciekli, Kilpatrick zarekwirował okazałe lando z ich stajni, a także gniadosza jako konia zaprzęgowego.

W każdym mieście Kilpatrick rankiem brał nową młodą czarną kobietę, by dzieliła z nim drogę i łożę. Zawsze wybierał sobie na kwatery najelegantszy dom w mieście, a w tym domu najlepszą sypialnię z najmiększym materacem, najbardziej puchatą poduchę, najcieplejsze koce, które ze sobą zabierał, zwijając obóz. Do jego świty należał siostrzeniec, Buster, nieznośny dziesięcioletni blondas, którym oficerowie sztabowi szczerze pogardzali. Chłopak wszystkimi pomiatał, co bawiło Kilpatricka. Trząśił się nad nim, a w wolnych chwilach uczył czytać.

Przy przeprawie na Little Salkehatchie River w Morris Ford, dwie mile od miasteczka Barnwell, kolumna Kilpatricka natknęła się na kawalerię rebeliantów w sile trzystu ludzi. Kilpatrick kazał strzelać z baterii lekkich dział. Pod przykryciem barażowego ognia jego kawalerzyści przedarli się przez

bagnistą rzekę, strzelając prosto przed siebie z karabinów. Żołnierze secesyjni trwali w szańcach, póki przeciwnik nie zaszedł ich z boków. Wówczas zniknęli w lasach.

Barnwell zostało zdane na łaskę żołnierzy unii. Zastali tam tylko kobiety i dzieci, którym oficerowie o łagodniejszym sercu poradzili zabierać się stamtąd jak najszybciej.

177

Żołnierzom dano wolne. Wściekle głodni, plądrowali domy, zwalali płoty, łupili wszystko, co się dało, pustoszyli spiżarnie, rozsiadali się w kuchniach, żądając kolacji od czarnych mieszkańców, z których jedni spełniali ich życzenie z radością, inni ze strachem. Kilpatrick na swą kwaterę obrał jeden z miejscowych hoteli. Z rękami założonymi za zgarbione plecy patrzył przez okno, jak nad miasteczkiem zaczynają wyrastać pióropusze dymu.

- Uważaj, Buster, co się będzie działo - rzekł do siostrzeńca. - Niewielu chłopców w całym życiu obejrzy takie widowisko - to lepsze niż 4 lipca.

I rzeczywiście, płomienie zaczęły ogarniać całe miasto niczym wulkaniczne pióropusze czarnego dymu. Cienkie języki ognia strzeliły w niebo, gdy piękne późne popołudnie zaczęło przechodzić w zmierzch. Buster był tak zafascynowany, że gdy wuj z lubością przyglądał się temu spektaklowi, podniósł się na krzesło, zdjął świecę z lichtszyka i zaczął podpalać zasłony. Jeden z oficerów krzyknął i po chwili sztab Kilpatricka, klnąc, zadeptywał płomienie, podczas gdy sam generał spoglądał na to ze śmiechem.

- Jeszcze nie teraz, Busterino - rzekł - najpierw trochę się poweselimy.

Gdy miasto wokół nich płonęło, Kilpatrick zamówił kilku muzykantów oraz czarnych fordanserek i uraczył swych oficerów kolacją, przyrządzoną przez Jean-Pierre'a, która przeciągnęła się do nocy. Bustera wysłano do łóżka, ale nad ranem obudziły go kobiece piski. W łunach pożarów, bijących z okna, widział jedynie białe plecy wujka, wznoszące się i opadające na sąsiednim łóżku. Pochrząkiwania wujka, brzęk jego ostróg przy butach, skrzypienie łóżka i skamlenie kobiety, kimkolwiek ona była, przywodziły Busterowi na myśl jeźdźca na galopującym koniu i teraz, zupełnie rozbudzony, wiedział, że to część wieczoru, pole-

178

gająca na harcach z nagą kobietą w łóżku. Dochodziło do nich zawsze, gdy już posłano go spać, ale jeszcze nigdy nie widział tej sceny z tak bliska.

Po chwili wszystko umilkło i zapanowała cisza, równie zdumiewająca co przedtem hałas. Wuj Kil wyskoczył z łóżka i wciągnął spodnie, trzymając za szelki. Widząc, że chłopiec się obudził, odsłonił w uśmiechu zęby, które błysnęły w migotliwym świetle. - Przed chwilą, Buster - powiedział - wuj pokazał ci, co to znaczy być mężczyzną. I gdy tylko twój kutasik trochę obrośnie włosom, przypilnuję, żebyś sam przerobił tę lekcję.

O świcie Kilpatrick wyłonił się z hotelu, by rzucić okiem na zniszczone miasteczko. Ulice zrównano z ziemią, tylko dymiące stosy drewna i stojące żelazne kominy świadczyły, że niegdyś było tu Barnwell. Żołnierze, ciężko utrudzeni, przejeżdżali obok niego stępą, dowódcy brygady salutowali swemu generałowi, który na pół ubrany stał na ganku. Kilpatrick ziewnął. Wezwał swego adiutanta i na jego

plecach jak na blacie szybko sporządził notkę do Shermana, który jechał z prawym skrzydłem generała Howarda niespełna pół drogi marszu na zachód. „W Barnwell nie został kamień na kamieniu” - napisał i wysłał liścik przez kuriera.

W przeciwieństwie do większości żołnierzy i oficerów Shermana, Kilpatrick nie czuł szczególnej wrogości do stanu Południowej Karoliny. Wszędzie walczył w poczuciu diabelskiej bezkarności. Był nierozważnym taktikiem i od początku wojny zyskał reputację niebezpiecznego głupca, gdyż jego oddziały ponosiły najwięcej strat ze wszystkich jednostek. Za plecami nazywano go Kilerem Kawalerii. A jednak ten niski, niezgrabny oficer odznaczał się charyzmatyczną zuchwałością klasycznego wojownika. Mężczyźni szli za nim w ciemno, a kobiety nie mo-

179

gły mu się oprzeć. Gdyby zabrakło mu jeszcze parę cali wzrostu, wyglądałby jak karzeł ze swym szerokim torsem i zaokrąglonymi plecami. Gdy siedział na koniu, wzbudzał obawy, że jego zbyt ciężka górna połowa przeważy i generał zwali się z siodła. Był dandysem nawet w polu, może by nadrobić brak kształtnej postaci i powabnych rysów, jego twarz bowiem zdradzała naturę prostacką i wojowniczą. Szeroko rozstawione oczy nie patrzyły z namysłem ani rozwagą, nos, zakrzywiony i mięsisty, kierował spojrzenie ku szerokim, zmysłowym ustom, a całe to oblicze obramowane było kosmatymi bokobrodami, które ginęły pod zawadiacko przekrzywionym kapeluszem z szerokim rondem.

Nie był to typ oficera, jaki poważałby major Morrison, przybyły tego popołudnia do obozu, w którym stacjonował Kilpatrick, z wezwaniem od generała Shermana. Bez najmniejszych ceregieli Kilpatrick wyrwał Morrisonowi list z dłoni i niezwłocznie ruszył galopem wraz ze strażą osobistą w sile sześciu konnych.

Zazwyczaj w takiej sytuacji Morrison oczekiwałby, że zaproszą go do wspólnej jazdy. Ale był zbyt zmęczony, by żywić urazę. W istocie, czuł się chory. Gdy zszedł z konia, by się zameldować, nogi się pod nim ugięły. I tak wiedział, czego dowie się Kilpatrick: że Sherman rusza na pomoc z połączonymi siłami do Kolumbii. Kilpatrick ma posuwać się na południe, ku Auguście, w charakterze straży przedniej.

Siły Kilpatricka zostały uszykowane na drodze biegnącej obok linii kolejowej na trasie Charleston-Augusta. Morrison, pobiegłszy wzrokiem w obu kierunkach, zorientował się, że specjalny oddział odkomenderowano do zrywania szyn, które następnie układano w stosy i palono, na podpałkę używając podkładów kolejowych. Morrison

180

uznał to za odwrócenie procesu przemysłowego. Szyny, rozgrzane do czerwoności, wyciągano z ognia, wyginano i skręcano. Dla kawalerii była to lekka służba, toteż uszu Morrisona dobiegały wesole pogwarki, jak to między dobrymi kumplami, co wzbudziło w nim niewesołe refleksje. Morrison nigdy nie miał kumpli. Nawet w akademii nie należał do żadnej koleżeńskiej paczki, zawsze stał z boku, tolerowany, owszem, ale nigdy nie był swojakiem. Dawno już się z tym pogodził - zamknięty w sobie,

do końca swoich dni pozostanie samotny, a świadomość ta w najgorszych momentach życia przyprawiała go co najwyżej o rozdrażnienie.

Stupy dymu wznoszące się nad torami malały w oddali - niemal - pomyślał Morrison - jak kłęby pary z jadącej lokomotywy. Z drugiej strony torów rozciągało się otwarte pole o powierzchni jakichś dwustu metrów, a dalej widać było las karłowatych dębów i sosen. Z tyłu miał połaćdowane pole, na którym pozostały wyschłe, pożółkłe wiechy kukurydzy, zeschłe w zimowym słońcu. Morrison wiedział, że w obu kierunkach wystawiono czujki, mające alarmować w razie jakiegokolwiek ruchu rebeliantów.

Wyruszył rankiem, rad ze słonecznego nieba, lecz gdy teraz na nie spojrzął, zdało mu się, że połyskuje złowieszczo. Przed namiotem, w którym mieściła się kwatery główna, znalazł składane krzesło, na które opadł ciężko, wciąż dzierżąc w dłoniach wodze. Nie wiedział, co mu dolega, ale czuł się strasznie. Rozpiął kurtkę munduru, która nagle stała się zbyt ciasna. W uszach brzmiał mu jakiś powtarzający się chrapliwy dźwięk i dopiero po jakimś czasie uświadomił sobie, że to jego własny oddech. Przysypiał, a hałasy i scenki obozowe przekształcały się w jego rozgorączkowanej głowie w głosy rodziców i obraz jego dziecięcego pokoju. Obudził się i niemal natychmiast ponów-

181

nie zamknął powieki. To zdarzało się raz po raz. Budził się przerażony, rozglądał całkiem przytomnie, widząc, że jego koń skubie trawę, a czarni służący oficerów wypełniają swoje obowiązki i, zarejestrowawszy to trzeźwym umysłem, po chwili znowu pogrążał się w fantastycznym świecie gorączkowych iluzji - ludzie warczeli nań w niezrozumiałym języku, konie z jednym rogiem stawały dęba, i to upiorne buczenie, jak z tartaku, które dobywało się z jego własnego oddechu. - Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, co się wokół dzieje, tylko mam gorączkę. - Ale nie mógł się z tej maligny otrząsnąć i oprzytomnieć.

- Pojedzie pan z nami! Te słowa rozbrzmiewały w umyśle Morrisona jako raz po raz powtarzany rozkaz. Pojedzie pan z nami! Kto to powiedział? Zdawał sobie sprawę, że galopuje tuż obok falangi jeźdźców, jego stopy w strzemionach momentami przyciskają się do boków innych wierzchowców. Nie widział wyraźnie - poranne słońce świeciło mu prosto w oczy. A jednak wyciągnął z pochwy oficerską szablę i trzymał ją nisko przy nodze, mając wodze dwukrotnie owinięte wokół lewej dłoni. Nie urodził się w siodle i nisko pochylał się nad łękiem. Droga była rozmokła, bryły błota bryzgały spod kopyt i przywierały mu do twarzy niczym pijawki. Lecz wtem, ni z tego ni z owego, wjechali na suchy teren i kurz, który wzbijały konie z przodu, wznosił się jak chmura; wargi oblepił mu kurz, oddychał przez usta, plując i charcząc, w zębach zgrzytał mu piasek. Tumany pyłu przyćmiły słoneczne światło; nad nimi widział tylko dachy domów miasta.

Potem mknęli ulicą i nagle szyk szarżującego oddziału poszedł w rozsypkę, konie stawały dęba, jeźdźcy krzyczeli, wokół beładnie krążyli ludzie i wierzchowce. Morrison nie mógł jechać naprzód ani się obrócić. W uszach

181

nie zamknął powieki. To zdarzało się raz po raz. Budził się przerażony, rozglądał całkiem przytomnie, widząc, że jego koń skubie trawę, a czarni służący oficerów wypełniają swoje obowiązki i,

zarejestrowawszy to trzeźwym umysłem, po chwili znowu pogrązał się w fantastycznym świecie gorączkowych iluzji - ludzie warczeli nań w niezrozumiałym języku, konie z jednym rogiem stawały dęba, i to upiorne buczenie, jak z tartaku, które dobywało się z jego własnego oddechu. - Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, co się wokół dzieje, tylko mam gorączkę. - Ale nie mógł się z tej maligny otrząsnąć i oprzytomnieć.

- Pojedzie pan z nami! Te słowa rozbrzmiewały w umyśle Morrisona jako raz po raz powtarzany rozkaz. Pojedzie pan z nami! Kto to powiedział? Zdawał sobie sprawę, że galopuje tuż obok falangi jeźdźców, jego stopy w strzemionach momentami przyciskają się do boków innych wierzchowców. Nie widział wyraźnie - poranne słońce świeciło mu prosto w oczy. A jednak wyciągnął z pochwy oficerską szablę i trzymał ją nisko przy nodze, mając wodze dwukrotnie owinięte wokół lewej dłoni. Nie urodził się w siodle i nisko pochylał się nad łękiem. Droga była rozmokła, bryły błota bryzgały spod kopyt i przywierały mu do twarzy niczym pijawki. Lecz wtem, ni z tego ni z owego, wjechali na suchy teren i kurz, który wzbijały konie z przodu, wznosił się jak chmura; wargi oblepił mu kurz, oddychał przez usta, plując i charcząc, w zębach zgrzytał mu piasek. Tumany pyłu przyćmiły słoneczne światło; nad nimi widział tylko dachy domów miasta.

Potem mknęli ulicą i nagle szyk szarżującego oddziału poszedł w rozsypkę, konie stawały dęba, jeźdźcy krzyczeli, wokół beładnie krążyli ludzie i wierzchowce. Morri-son nie mógł jechać naprzód ani się obrócić. W uszach

uaz ojzsn i Bilion o

nui p[9d zAzją i |iAvqo foj ay b 'Bzij9iA\od 3Bd -b^z {Boui aiu njoq z 'iSou fsuBuiB^z 5(sbjzj pizooj Situaiz bu ffeuai uim 'eouojs 5jsyCfq ui3i?[0jzm opXMqon szozssf {Azezp uosijjojm Azozs^d fbpBAVzozj z sotepoipA

-3ZJ I qOBld3 |S 5IS qoAo^fBOBJAVXAV 'l{0AuOZBJ3Zjd O

qaj nm {luo^sszjd Azoo uia;oj

0§9AVS B^d0>{ AY AuBAVOzXjOudiqBZ >[Bf 5IS

-3iA\od Azs^sciupoj iuojp z nui u\03\1/a uoiq 9 |B 'ds^so

psuod 5jqBzs {sciu^ ł*nAł op 5x

oBz 'szpoM o^femAzjj ouoou 'uosmop\[" 5fXzs nui jfeusps soi^j ^afnzo a^z 5is uo sz 'o^fod^bSoui siu aizpnj p Az^ ?SO5[i ojbio 3fndn{zoz 5{Bf 'tnz3 oo bu Xzo

O§O5[BU OUIOpBIAV 3IU 'BIU 5IS ^BUIJOBUIBZ I 5jqBZS JSOIUtI UOSUJO]A[BUIXzOO IUIXj5ITD[IUBZ Z "{SpOTS Z UI9fBZAVBU 91S UII>{S9iq9IU Z 0§9JBZS 9IUIUBIB

tltU

Z8l

VII

G«

idy przejechali przez most i dostali się do wioski, Arly wyszedł z wozu, pociągnął Willa za ramiona, podsunął się pod niego i powoli podnosił, aż udało mu się przerzucić chłopaka przez ramię.

Dym ze spalonych domów i stodół wisiał upiornie nisko nad drogą.

- Do diabła, Will - rzekł Arly, lepiej, że nie oddychasz tym powietrzem, to tylko dym i popioły. Może wypalić gardło.

Arly zszedł na bok drogi i zaczekał, aż furgon odjedzie.

W ten zimny, suchy poranek ruiny miasteczka zasnuwała błękitna mgła. Kobiety, niektóre z dziećmi na rękach, patrzyły w milczeniu na przejeżdżające wozy. Widziały tylko monotennie trzeszczące koła i otępiałość przetaczających się wojsk, które ciągnęły za walczącymi oddziałami. Ten konwój przywodził na myśl ogon defilady, gdy orkiestra już dawno przeszła. Ryczenie bydła, które wojskowi poganiacze pędzili przez most i dalej do miasteczka, było tu jedyną muzyką.

Arly kręcił się w kółko, aż zaczął rozróżniać przez mgłę zarysy przedmiotów. Znajdował się na wschodnim krańcu miasta, za zburzonymi domami, gdzie teren się podnosił. Było to niskie wzniesienie, z którego skałki sterczały we wszystkich kierunkach, tylko nie pionowo. - Na cmentarzu nie ma co palić, co, Will? - rzekł. - Najwyżej można zwalić parę nagrobków.

Ruszył ze swym brzemieniem, nie bacząc na spojrzenia mijanych po drodze ludzi. Miał na sobie znieawidzony

184

mundur, lecz mieszkańcy byli zbyt oszołomieni, by zdobyć się na wyraźny akt wrogości. Niektórzy nawet mu się nie przyglądali, zerkali tylko i wracali do swoich myśli, przekopując się przez zgliszcza.

Will za życia był bardzo chudy, ale komplet martwych kości założony na plecy to zupełnie inna sprawa. I zaczął już cuchnąć. Arly nie wiedział, co zrobić z pogrzebem. Nie miał łopaty, był zmęczony i dawno już mu tak z głodu nie burczało w brzuchu, a do tego nie może na długo oddalać się od wojska. Ale jeśli on nie pochowa Willa, to kto się tym zajmie?

Arly'ego przepęłniał smutek, ale miał też spokojną pewność, że zachował się, jak należy. - Fakt, że zabrałem cię z tego szpitala w Savannah, gdzie doktor zająłby się tobą, żebyś się nie wykrwawił na śmierć - powiedział do martwego chłopaka, którego przerzucił sobie przez plecy. - Ale nie można też wykluczyć, że zaraz byśmy wylądowali w dwóch celach i jak tylko dowieźliby trumny, zastrzeliliby nas jako szpiegów czy coś w tym rodzaju.

Jego wzrok przyciągnęła otomana, stojąca na dziedzińcu przed domem, z którego została tylko osuwająca się weranda. Arly kopnięciem otworzył kutą w żelazie bramę, potykając się, dobrnął do otomany i opuścił na nią ciało. Podparł je, by utrzymało pozycję siedzącą i usiadł obok, przez chwilę łapiąc oddech. W kieszeni na piersiach znalazł kawałek cygara i zapalił je.

- Powziąłem przemyślaną decyzję, uwzględniającą okoliczności wojenne, Will - rzekł. Ale czy można mieć pewność, że nie był to palec Boży? Jesteśmy narzędziami w Jego ręku, żywi czy umarli, i przypuszczam, że twój duch na wysokościach słucha mnie teraz, siedząc u Jego boku, i wie lepiej ode mnie, co nas czeka.

Jakby w odpowiedzi, ciało przechyliło się na Arly'ego, a głowa mu opadła w zagłębienie szyi. Arly, westchnął-

-

185

szy, otoczył przyjaciela ramieniem. I tak siedzieli obaj w ciszy, w oparach spalenizny, pod poczerniałymi drzewami i żaden, ani umarły, ani żywy, nie był skłonny do wykonania najmniejszego ruchu. Arly właściwie nie drzemał, ale patrzył przed siebie szklanym wzrokiem i cygaro wypadło mu z palców na trawę. W tym somnambulicznym stanie zauważył, że przed bramą zatrzymał się wóz, zaprzężony w muła. Mężczyzna w brązowym płaszczu i meloniku oraz Murzyn, jego pomocnik, wysiedli i tuż przed bramą zaczęli przygotowania do robienia zdjęć. Wyciągnęli z wozu, a następnie rozstawili duży drewniany trójnog. Potem wyjęli pudło z aparatem fotograficznym i przymocowali je do trójnogu. A po chwili człowiek w meloniku wyciągnął obiektyw, przymocował go z przodu pudła, ustawił aparat, spojrzął w niebo, znowu ustawił aparat i ponownie spojrzął w niebo, Murzyn zaś biegł tam i z powrotem do wozu, wyciągając pudła ze stosami metalowych płytek. O tak, mieli zamiar robić zdjęcia, bez dwóch zdań. Arly obudził się, ale się nie ruszał i tylko przez szparki powiek patrzył, co się dzieje. Na podstawie wozu zamontowano czarny namiot i schody prowadzące do wnętrza, z boku zaś widniał nadruk: „Josiah Culp, fotograf USA”. Drobniejszym drukiem ogłoszono: „Zdjęcia pamiątkowe. Stereogramy”.

Arly zaczekał, aż Josiah Culp wsadzi głowę pod czarną płachtę za aparatem, po czym pomachał ręką.

- Nie ruszaj się! - dobiegł stłumiony okrzyk, więc Arly podniósł się, przez co tułów Willa opadł bokiem na otomanę.

Josiah Culp wyłonił się spod czarnego całunu, unosząc ręce w geście rozpacz.

- Już to uchwyciłem, już uchwyciłem! Czemuś się pan ruszył? Siadaj pan tam z powrotem, to doskonałe ujęcie, właśnie o takie zdjęcie mi chodziło.

186

- Skąd pan wie, o co panu chodziło, skoro dopiero pan to zobaczył? - spytał Arly.

- To się od razu widzi, jak się tylko spojrzy. Nagłe olśnienie. Przemawia do człowieka. - Proszę - rzekł, wskazując na otomanę.

Był korpulentnym jegomościem w garniturze, kamizelce i płaszczu, rozpiętym na brzuchu. Zaaferowany utraconym ujęciem, dopiero teraz zauważył dziwaczną pozycję Willa, którego ciało złożyło się, a nogi nadal spoczywały na ziemi. - Co jest pańskiemu koledze? - zapytał.

- Niczym się już nie przejmuję, bo nie żyje.

- Nie żyje? Słyszysz, Calvin? Ten drugi nie żyje. Tak, widzę plamy na kurtce. Jasne. To nawet lepiej. Niech pan usiądzie tu, obok pańskiego zmarłego kolegi, niech go pan obejmie, tak jak przedtem i spojrzysz w obiektyw. Światło mamy dziś rano idealne i gdyby pan nie ruszał się przez parę chwil, uczynię pana sławnym.

- Żeby utrzymać czarnego, muła i sprzęt, musi pan sprzedawać swój towar - rzekł Arly, wychodząc na ulicę.

- Zaraz, co pan wyprawia? - zapytał Josiah Culp. Arly zajął na tył wozu. Wyglądało tam z grubsza jak w szpitalu wojskowym, tyle było szafek i pudeł z zapasami. Na szpagacie, rozciągniętym na całą szerokość, wisały przybory kuchenne. Czyżby wyczuł zapach żywności? Wspiął się do środka i gdy uniósł brezentową plandekę, jego oczom ukazał się garniec słodkich ziemniaków, worki cukru, kawy, a także oskubany kurczak.

- Niech pan stamtąd zaraz złązi!

Mnóstwo rzeczy. Znalazł złożony namiot, kilof i łopatę, stos kurtek mundurowych, niebieskich i szarych. Znalazł zwinięte zastony z wymalowanym tłem. Rozwinął jedną: przedstawiała staw z kaczkami i drzewami, jakich nigdy nie widziano na ziemi.

187

Ale objawieniem dla Arly'ego okazało się zdjęcie na samej górze stosu fotografii na szkle, złożonych w skrzyni. Podklejone na czarnym suknie, oprawione było w srebrną ramkę. Przedstawiało oficerów unii, pozujących przed namiotem, w którym znajdowała się ich kwatera główna. Arly zaniósł je do światła. Podpis głosił: „Generał Sher-man i jego sztab, Georgia, 1864”. Sherman to pewnie ten, który siedzi. Wpatrywał się prosto w obiektyw.

- Jezus, wyszeptał Arly. Ale mam fart!

Odłożył zdjęcie, pogrzebał jeszcze wśród nagromadzonych rzeczy, wsadził sobie do każdej kieszeni po słodkim ziemniaku i zeskoczył na ziemię. Postanowił pogadać z Calvinem, młodym Murzynem, który uśmiechał się ze zrozumieniem.

- Jesteś wyzwolencem, Calvin? Masz ładne ubranie i kapelusz.

- Tak, proszę pana. Uczę się fotografować u pana Cul-pa.

- Pewnie nieźle zarabia na generałach, którzy chcą mieć pamiątkę.

- Nie tylko na oficerach - rzekł Culp. Fotografuje też szeregowych żołnierzy. Każdy człowiek chce mieć zdjęcie. Łagodzi to rodzinie, bliskim, ból rozstania, gdy mają zdjęcie swego żołnierza.

- Coś w tym jest - przyznał Arly.

- Najlepiej idą zdjęcia pamiątkowe. Ale zysk to tylko środek do celu. Jako fotograf uzyskałem licencję armii Stanów Zjednoczonych - oświadczył Culp. A dlaczego, jak pan myśli? Bo rząd zrozumiał, że po raz pierwszy w historii wojna zostanie uwieczniona dla potomności. Zapisuję w obrazach ten straszliwy konflikt, mój panie. Dlatego tu jestem. To mój wkład. Utrwalam wielki marsz generała Shermana na użytek przyszłych pokoleń.

188

- Skoro pieniądze nie mają dla pana większego znaczenia, niech mi pan zapłaci za moje zdjęcie.

Culp roześmiał się, pokazując szczyrby w uzębieniu.

- Tu cię mam!

- Przynajmniej jemu nie będzie pan musiał płacić - rzekł Arly, wskazując na otomanę.

- Masz szczęście, że gotów jestem zrobić ci zdjęcie bez wynagrodzenia. Mogę dać ci odbitkę. Na to się zgadzam, ale prawa do zdjęcia będą należały do mnie. A teraz, póki mamy dobre światło, usiądź tak jak przedtem i obejmij trupa ramieniem.

Spod kurtki munduru Arly wyjął naładowany pistolet, który znalazł w wozie fotografa. Wyciągnął go na długość ramienia, jakby chciał oszacować jego ciężar i skierował lufę na Josiaha Culpa. - Widzi mi się inne zdjęcie - rzekł.

VIII

Oherman siedział na kłodzie drzewa, czekając, aż ludzie z Piętnastego Korpusu Howarda zbudują most pontonowy przez rzekę Broad. Był chłodny, rzeński, słoneczny poranek, odrobinę wietrzny. Niespełna milę na północ leżała jego wymarzona zdobycz, Columbia, gniazdo secesjonistycznej zdrady, rozłożone na równinach niczym śliwkowe ciasto, gotowe do zjedzenia, czy kobieta czekająca, by ją wziąć. O Boże, dobrze pamiętał Columbię, gdzie jako młody oficer poznał kilka rodzin. Mieszkało tam parę uroczych dam. A zwłaszcza jedna, młodsza od niego o całe lata, dziecko nieledwie, gibka tyczka, ale o takim wejrzeniu, że kolana pod nim drżały. Czy ją tam znajdzie? Ellen, tak miała na imię - jak moja kochana pani Sherman. Ellen Taylor. Teraz już mężatka, a może wdowa, z gromadką dzieci, czepiających się jej spódnicy.

Z oddali widział wspaniałą siedzibę stanowego ciała ustawodawczego, którą postanowili wznieść ojcowie miasta, okazałą, na pół skończoną budowlę w granicę, zaprojektowaną na wzór klasyczny. Akurat na gust społeczności, która miała o sobie niezwykle wysokie mniemanie. W jakimż poczuciu bezpieczeństwa śledzili przebieg wojny na północy. Doprowadzili do niej, a jednak uważali, że do nich nie dojdzie. Widział ruiny dworca, z których jeszcze unosił się dym. Na ulicach kłębiły się tłumy mieszkańców, którzy doskonale wiedzieli, jak wielka armia niebieskich mundurów zbiera się od południa.

Przez lornetkę dojrzał jeźdźców konfederacji na drogach prowadzących z miasta w kierunku północnym. Murzyni zgromadzili się na dworcu, ograbiając wozy pełne worków

190

ziarna i Bóg wie czego jeszcze, co mogłoby mu się przydać. Wezwawszy adiutanta, rozkazał, by bateria dwudzie-stofuntowych działek Howarda wypuściła parę pocisków, żeby rozpędzić rabusiów. - I tam też nie żałujcie - rzekł, spojrzawszy ponownie na siedzibę ciała ustawodawczego, nad którą powiewała flaga konfederatów.

Godzinę później na czele korpusu maszerował ze swym sztabem drogą do miasta. Zerwał się wiatr i niektóre konie poczuły się rozdrażnione, gubiły krok i unosiły nozdrza. A potem, nagle, znalazł się na miejskim placu targowym, a z tłumu wyszedł starszawy burmistrz, by powitać zdobywcę i zapewnić go, że mieszkańcy Columbii nie będą stawiać oporu. Sherman, widząc spokojny tłum gapiów, podniósł głos w odpowiedzi. - A z naszej strony, panie burmistrzu, chciałem zapewnić, że ani

mieszkańcy, ani ich majątek nie doznają najmniejszego uszczerbku. Zabawimy tu tylko tyle czasu, ile będzie trzeba, by uwolnić was od zbędnych materiałów i sprzętu.

W tym momencie Sherman poczuł dym i unosząc się w strzemionach, ponad głowami zgromadzonych zobaczył, że na końcu bocznej ulicy handlowej płoną składy bawełny. Jeden z generałów szybko wydał rozkazy i oddział wojska wyruszył, by ugasić ogień. Niespodziewanie niebawem między żołnierzami i drużyną miejskiej straży pożarnej zapanowała wzruszająca solidarność, gdy ramię w ramię walczyli z żywiołem.

Później, kiedy parę placów od siedziby ciała ustawodawczego Sherman znalazł odpowiedni dom i ustanowił w nim swoją kwaterę główną, podyktował rozkazy zniszczenia arsenału i wszelkich innych urządzeń wojskowych, kolejowych i przemysłowych, a także budynków, ale tylko należących do rządu konfederacji, bo miejskie oszczędził. Potem przygotował się na godne przyjęcie nieuniknionych petentów. Lecz pierwsza interesantka, zakonnica w czar-

191

nym powiewającym habicie, zepchnęła go do defensywy, co zdarzało mu się niezwykle rzadko. Była to siostra Ann Marie, przełożona szkoły przyklasztornej dla dziewcząt, która zażądała ochrony. - Proszę się nie martwić - powiedział. - Nic złego się wam nie stanie. - W takim razie - rzekła - zechce pan, z łaski swojej, dać nam to na piśmie. - Armia Stanów Zjednoczonych nie walczy z klasztorami - odparł Sherman, podnosząc się, by odprowadzić przeoryszkę do drzwi. Zakonnica się nie poruszyła. Sherman, poirytowany, nabazgrał upoważnienie i wcisnął jej w dłoń. Po odejściu szacownej matrony znowu poczuł się nieswojo, jak zawsze, gdy przebywał w miastach. Ale teraz żywił całkiem konkretne obawy. Co go niepokoiło? Coś w pokoju pogwizdywało; uzmysłowił sobie, że to wiatr wpada przez stare, nieszczelne okna. W jego uszach owo poświstywanie brzmiało jak zawrodożenie kobiet. Wpatrzył się w przezroczyście zasłony, które zwijały się w rytm tych przeraźliwych tonów, falując, jakby wirowały w tańcu derwiszów.

Stephen Walsh widział płonące bele bawełny, całe ich stosy przygotowane do załadunku na statek, ciągnące się na szerokość przecznicy. Jego oddział, maszerujący sąsiednią ulicą, ruszył, by zluźnić żołnierzy ze straży pożarnej, którzy obsługiwali sikawki i ręczne pompy pod kierunkiem miejscowego dowódcy straży.

Po trzydziestu minutach ogień opanowano, a jedynym śladem po nim były poczerniałe zwąły zniszczonej bawełny i spirale dymu, które rozwiewał wiatr. - Ognie umierają jak żywe istoty - pomyślał Stephen. - Budzą się do życia gwałtownie, a ich śmierć jest dramatyczna. Jestem skończony, pognębiony, patrzysz na moją śmierć, zdaje się mówić dym.

192

Żołnierze ruszyli dalej, pośród oklasków i pełnych uznania okrzyków miejscowej ludności.

Ale w głębi bel tlił się ten ogień w skrytości, póki nie zapadła noc i nie zerwał się wiatr. Niczym się nie zdradzał, czekając odpowiedniej chwili, ale gdy przyszedł właściwy moment, wystrzelił płomieniem w nocne niebo, wyrzucając czubate pochodnie na wiatr, który skwapliwie je roznosił.

Kto pierwszy przyłożył zapałkę do tych bel? Walsh przypuszczał, że najpewniej uchodzący rebelianci. Skoro nie mogą wykorzystać swojej bawełny, Sherman również nie będzie jej miał. Zawsze chodziło o bawełnę, na bawełnie zbudowano pomyślność Południa, a teraz, przez głupotę tych ludzi, bawełna je zniszczy.

W Columbiu bowiem rozpętało się piekło, całe ulice stały w ogniu, dom po domu zapadał się z hukiem, drewniane konstrukcje waliły się z sykiem i trzaskiem karabinowego ognia. Zdawało się, że niebo również zapłonęło.

Walsh, odkomenderowany do ochrony szkoły przyklas-tornej, zdał sobie sprawę, że ogień się rozprzestrzeni. Płonące strzępy bawełny osiadły na ogrodowych drzewach. Nie było tu już bezpiecznie. Zamasyście otworzył drzwi. - Niech się siostra pospieszy! - krzyknął. Dziewczęta w kaplicy odmawiały na klęczkach różaniec. - Ruszcie się, raz, dwa, musimy je stamtąd zabrać.

Przeoryszą była siostra Ann Marie. Obrzuciła go wściekłym spojrzeniem i po niepotrzebnej zdaniem Walsha chwili namysłu klasnęła w dłoń, po czym kazała uczennicom ustawić się w szeregu w holu od frontu. Każda miała stanąć przy spakowanej torbie. A więc wiedziała i była przygotowana.

- Prędko, prędko! - krzyknął Walsh.

Jakimś sposobem, mimo piekielnego huku płonącego miasta, wyraźnie słychać było spokojny głos siostry: -Nie

193

będziemy biec, tylko pójdziemy za tym dzielnym żołnierzem. Nie będziemy płakać. Będziemy tylko patrzeć pod nogi. A Bóg nas obroni.

I tak Walsh wyprowadził je z klasztoru; zakonnice kroczyły po obu stronach kolumny, a siostra Ann Marie zamykała pochód. Szły w absurdalnym porządku, dwadzieścioro pięcioro czy trzydzieścioro dzieci pod okiem nauczycielek, cichutko jak owieczki, jakby wybierały się na szkolną wycieczkę.

Walsh był antyklerykałem i zdecydowanym sceptykiem, ale dla jego porucznika nie miało to znaczenia. - Potrzebuję paru papistów - powiedział porucznik, gdy przyszedł rozkaz. - Walsh, ty i Brasil, wystąp.

Brasil, wesoty dryblas o cofniętym podbródku i oczach, w których bezustannie migotał łobuzerski błysk, był zachwycony. - Nazywają mnie papistą, odkąd dołączyłem do tej cholernejszo drugiej, więc, słodki Jezu, kto bardziej zasługuje na noc w mieście niż Bobby Brasil?

Po pięciu minutach życzył Walshowi przy bramie miłego wieczoru i już go nie było.

Dziewczęta z klasztoru modliły się na wieczornym nabożeństwie, lecz na zewnątrz słychać było tylko słaby pogłos, gdyż wiatr, dmący między drzewami, rozwiewał dźwięki hymnów. Stephenowi Walshowi też się wydawało, że wiatr przypędzał ciemność, tak szybko zniknęło światło. Poczł również dym, a spojrzawszy w górę, zobaczył na niebie czerwony błysk. - To będzie noc - pomyślał.

Lecz czegoś podobnego się nie spodziewał i prowadząc swe podopieczne przez ulice, uświadomił sobie, że trzyma karabin gotowy do strzału. Świat się zmienił, stawał się zupełnie inny - niebem było teraz połyskujące sklepienie z brązu, chmurami kłęby czarnego dymu. Gdy skręcił za

róg, zobaczył, że ulica zatarasowana jest stosami płonącego drewna. Podeszła do niego siostra. Czy pan wie, dokąd nas prowadzi? - spytała. - Powiedziano mi, że jeśli do tego dojdzie, mam was zabrać do tych budynków na wzgórzu - odparł Walsh, wskazując ręką w tym kierunku. - Tak, do College'u Południowej Karoliny. Pójdziemy tam okrężną drogą.

Na parę chwil znowu zapanował spokój. Bez przeszkód zdążali ulicą, póki zza drzwi nie wyłoniło się dwóch towarzyszy broni Walsh'a z kwaterkami whisky w dłoniach. Widok pochodu rozochocił ich, ruszyli chwiejnym krokiem obok kolumny, głośno rozważając ewentualne przymioty wyższych dziewcząt. Umknęło im mordercze spojrzenie siostry, przyspieszyli wraz z dziewczętami, by dotrzymać im kroku i, rechocząc, wychwalali własne walory. Nosili ten sam mundur co Walsh i początkowo przypawali go tylko o zażenowanie. Niektóre dziewczęta płakały i przysuwały się do siebie, chcąc jak najprędzej stąd uciec, a Walsh, obróciwszy się, zobaczył, że jeden z pijanych żołnierzy rozpiął rozporek i się obnażył. - Czy wasz Jezus nie miał czegoś takiego? - krzyknął. Walsh stanął z boku, ponaglając zakonnice, by szybko przechodziły, a sam zagroził drogę obu mężczyznom. Pojawiła się siostra Ann, z jej twarzy biło władcze wezwanie do czynu. - Niech siostra na to nie patrzy - wymamrotał Walsh. - Zabierajcie się stąd, no już.

Dwaj mężczyźni śmiali się i chwiali przed oczyma Walsh'a. Jeden wyciągnął kwaterkę i machał nią, czy to w geście zaproszenia, czy groźby - Walsh nie miał czasu tego dociekać. Kopnął mężczyznę w jądra, a drugiego, który się na niego zamierzał, skaleczył w rękę bagnetem. Po chwili obaj pijacy leżeli na ziemi, wyjął głucho, a alkohol, który wylał się ze zmiażdżonych kwatek do rowu w brukowanym kocimi łbami trotuarze, zapalił się.

Płomień niczym lont pobiegł w kierunku uciekających kobiet. Zajął się rąbek powiewającego habitu siostry. Walsh widział, jak obracała się w kółko, usiłując zobaczyć, co dzieje się za jej plecami. Podbiegł do niej, ukląkł, chwycił sukno i zgniótł je w dłoniach. Ale nie była to prosta sprawa. Zakonnica wpadła w panikę, nie chcąc, by ją dotykał. - Siostra mi przeszkadza - krzyknął Walsh. Nareszcie stanęła spokojnie, zamknęła oczy i mocno ścisnęła krucyfiks, by pomógł jej znieść dotyk rąk mężczyzny. Pozwoliła mu zdusić płomienie, które sięgnęły już powyżej kostek. Tarł sukno rękami, aż zgasił każdą najmniejszą iskierkę.

- Nic siostrze nie jest?

- Nic, Bogu dzięki - odparła, nie patrząc na niego, i gdy uczennice ustawiły się w kolumnę, stanęła pomiędzy nimi. - Chodźmy.

Parę minut później, za rogiem, wszyscy musieli się zatrzymać i stłoczyć na chodniku, przejeżdżał bowiem oddział kawalerii. Ale żołnierze, których twarze w blasku ognia przybrały odcień miedzi, byli radośni. Powściągalali swe przerażone wierzchowce, krzycząc i pohukując. Niektórzy trzymali pochodnie, których płomień wiatr zwiewał do tyłu. A gdy przejeżdżali ulicą, Walsh dojrzał, jak jedna z nich, rzucona ręką jeźdźca, wpadła do domu, roztrzaskując okno.

W tym momencie Walsh uzmysłowił sobie, że nie może spokojnie trzymać karabinu w ręku.

Ogrom pożaru zaskoczył Shermana. Na pół ubrany wypadł ze swej kwatery, na którą obrat okazała rezydencję w willowej dzielnicy miasta, i kilka minut później jego adiutant, pułkownik Teack, znalazł go parę przecznic dalej, gdzie dołączył do drużyny strażaków, i nie dawał rozkazów, lecz je wypełniał jak zwyczajny żołnierz. - To

196

nie jest odpowiednie zajęcie dla generała armii - krzyknął Teack i pozwolił sobie dotknąć ramienia Shermana. Sherman ciężko oddychał i z jego umazanej sadzą twarzy można było wyczytać, że przez moment nie rozpoznał Teacka. Potem skinął głową i pozwolił się wyprowadzić z miejsca pożaru. Przyniesiono mu manierkę z wodą, a on pochylił się i polał sobie głowę. Służący, Moses Brown, podał mu ręcznik, a generał otarł twarz i rzucił ręcznik na ziemię. Nadal stał bez kapelusza i w samej koszuli. - Teack, możesz mi powiedzieć, co tu się, do diabła, dzieje? - powiedział i poszedł, a Teack za nim.

To była niebezpieczna wędrówka. Płonące ściany padały na jezdnię. Nie wiadomo skąd wlatywały kłębki płonącej bawełny i, niczym ciała astralne, płynęły w gorącym powietrzu. Wszędzie byli jego żołnierze, zupełnie pijani. Jedni stali przed płonącymi budynkami, wznosząc radosne okrzyki, inni, krocząc chwiejnie, podtrzymywali się nawzajem, prezentując w oczach Shermana parodię żołnierskiej solidarności. Miejskie piekło i moralne rozprężenie jego wojska współbrzmiały ze sobą w ohydnej harmonii. Ci weterani tyłu kampanii, którzy przeszli z nim setki mil, walczyli dzielnie i z honorem, przezwyciężając wszelkie możliwe przeszkody, które rzucała im pod nogi natura wespół z rebeliantami, nie byli teraz żołnierzami, lecz diabelskim pomiotem, śmiejącym się na widok całych rodzin, stojących w osłupieniu na ulicy, podczas gdy ich domy płonęły.

Na skwerze, pod płonącymi drzewami, Sherman był świadkiem balu jak ze snu - żołnierze tańczyli z Murzynkami do muzyki orkiestry wojskowej, a przynajmniej tych jej członków, którzy byli jeszcze w stanie grać. Jakiś stary Murzyn dyrygował nimi w muszli koncertowej. Generał oniemiał. Spojrzawszy na swój zszargany strój, zapragnął

197

oczyścić go szczotką, włożyć koszulę w spodnie, obciągnąć mundur. Tylko tyle przyszło mu do głowy.

Na innej ulicy poczuł chwilową ulgę, ujrawszy żołnierzy gaszących ogień, lecz za rogiem natrafił na innych, przekuwających bagnietami sikawki i odpędzających strażaków. A wcale nie byli pijani.

Nikt nie rozpoznał Shermana, a on też ani razu nie interweniował, najprawdopodobniej rozumiejąc, że przy tym stopniu anarchii jego autorytet może doznać uszczerbku. Spojrzał na Teacka, a Teack skinął głową, wiedząc, jak i wszyscy oficerowie, że nie należy przyzywać imienia generalskiego nadaremno.

- Gdzie jest major Morrison? - zapytał Sherman, rozglądając się.

-Ależ, panie generale. Zginął pod Aiken.

- Ach tak, racja, racja.

Teack, który mierzył około dwóch metrów, górował nad Shermanem, a gdy stawał na baczność, pochylał się jak rodzic nad dzieckiem. Dwakroć odmówił przyjęcia stanowiska dowódcy brygady i

awansu, który się z nim wiązał, by roztoczyć nad Shermanem opiekuńcze skrzydła i rozstawić jego imię. W poczuciu odpowiedzialności pułkownika wobec Shermana kryła się też spora doza zaborczości. Rolę samozwańczego opiekuna przyjął na siebie, gdy Sherman przeżywał złe dni, miał trudności z podejmowaniem decyzji, dostawał napadów hysterii po Buli Run. Teack widywał go w chwilach krańcowego załamania, gdy leżał skulony na podłodze swego namiotu, zatopiwszy zęby w kłykciach i wydawał straszliwe, skamlące dźwięki. Generał poprosił, by zwolniono go z obowiązków dowódcy, wycofano z pola i udzielono urlopu wypoczynkowego, podczas którego chce wzmocnić siły w domu w Ohio.

Teack był małowówny, jak to człowiek z Zachodu, a podczas gdy Sherman nie przywiązywał wagi do swego

198

ubioru, Teack, jakby dla przeciwwagi, był w tym względzie pedantem. Podczas marszu nosił rękawiczki i długie buty kawalerzysty, wymodelowany kapelusz i szablę. Co dzień pielęgnował swe długie, opadające wąsy, wierzył bowiem, że ta próżność jest jego siłą. W istocie, choć podziwiał Shermana za jego strategiczne talenty i wspaniałe zdolności taktyczne, skrycie pogardzał jego usposobieniem, które podjął się bronić przed nim samym. Uznał, że w zmiennych nastrojach generała jest coś kobiecego. Nigdy nie było wiadomo, czego spodziewać się po tym ego, które prężyło się z samozadowoleniem bądź skradało jak zbity pies, zależnie od własnej wewnętrznej pogody. Teack nie miał wątpliwości, że William Tecumseh Sherman jest geniuszem, i czerpał radosną energię z bliskiego kontaktu z tak wybitnym umysłem. Lecz jako solidny żołnierz zawodowy, który widział wszystko i nic nie mogło go zaskoczyć, czuł też nad Shermanem pewną wyższość. Teraz, na przykład, generał mamrotał: „Chryste, co my wyprawiamy, sami siebie zżeramy” i Teackowi było wstyd za tego człowieka.

Stali przed rezydencją o ścianach wykładanych kamieniem, dziwnie obojętną na żółte światło w jej oknach i płomienie, strzelające z komina. - Chyba trzeba ściągnąć brygadę Slocuma z biwaku, żeby zaprowadzili porządek w tym mieście. To pijane wojsko... - bez przekonania machnął ręką. - Trzeba ich ukarać. Dowiem się, z jakich są jednostek i kto nimi dowodzi.

Czy to rozkaz, czy po prostu generał głośno myślał? Teack sam nie wiedział.

Stali, patrząc na płonąca rezydencję. - Wie pan, pułkowniku, gdy stacjonowałem tu jakieś dwadzieścia lat temu, zakochałem się w dziewczynie, która tutaj właśnie mieszkała. Naturalnie, nic z tego nie mogło wyjść, ale nigdy potem nie całowałem już tak miękkich ust.

199

Po chwili Sherman, założywszy ręce za plecy, odszedł tą samą drogą, którą przyszedł. Teack puścił go samopas.

Gdy generał skręcił za róg, pułkownik wyjął zza pazuchy flaszkę i pociągnął spory łyk. Żar płonącego domu grzał mu twarz jak letnie słońce. Było mu dobrze.

Ten stan podburzył Południe do wojny, toteż los, który go spotkał, Teack uznał za akt sprawiedliwości dziejowej. Wcześniej tego dnia widział oddział żołnierzy unii, jednych z wielu, których

przetrzymano tu w miejskim szpitalu dla umysłowo chorych. Panujące tam warunki przerażyły pułkownika. Te brudne, śmierdzące stworzenia o chropawej skórze i pustych oczach paradowały chwiejnym krokiem, starając się udawać żołnierzy, co potęgowało tylko żalosne wrażenie. Przez skórę widać było ich szkielety, kościste pozostałości na poły tylko ludzkiego życia, i chcąc nie chcąc, odwracało się wzrok. Stolica konfederacji potraktowała tych żołnierzy nie jak jeńców wojennych, lecz jak psy w klatce. Generał Sherman widział tych ludzi i płakał, a teraz myśli tylko o południowych pięknościach, które całował.

Poprzysiągł pomścić te barbarzyństwa, czyż nie? Jego rozkazy wiernie wypełniano. Wszyscy owi rozbestwieni, pijani podpalacze, owi gwałciciele i łupieżcy - oto właśnie niektórzy z nich wychodzą z tego pięknego domu, z workami srebrnej zastawy, sznurami pereł i zegarkami na łańcuszkach, dyndającymi im na rękach. Kimże oni są, jak nie zwykłymi ludźmi, potrzebującymi wytchnienia od tej wojny? Wszak wywołała ją Południe, niszcząc ich życie, które nadal jest niepewne. Teraz przystanęli na chwilę, by wrzucić pochodnie przez okna. Żołnierz zerknął na Teacka, by zobaczyć, co on na to, ale ponieważ nie dostrzegł żadnej reakcji, uśmiechnął się i dziarsko zasalutował.

sz 'BjBuzn

3ZBpuBq

AjBMBpod 'p 3UB5ji pptaosz X{B3

3UOIAVBAU5[BZ AfAIU :\$TI{SOD

ipKzszu op 3UBAVoj3pu9iuo>[po Ajbjsz jbs j i uosduiouj, Z3joi 'puzoKpsui ifo^as z mcjubzjsts 'XzsnuBiiuBS

OIU1BJSO OUO|9IZpXzid IMOSnUOJiBS TM0t3p3J^V

BIUptl{Odod 0SOZS>[9IAV Z9Zjd

ipiu Azjd i\Aq pg fez Xzpjruiqo zgjoj 'u9ZBjqo uub^ 5JBJ 9iu ojszod sod x pj9zj op n i niioojd KsBdBz opnzjM jbz?izoj ireuugijs 'if2 -O|ds5j9 m hoAiiubj npiM b 'qoAjiqBz o^bjszoz nun Azi9xu | oz

ijeuzop Xzjo;5['bisbiiu AouB5[zs9iui 01 ijAg

-BJ OBfBAVXzAV '9iq9IS BU T|BJ9ldBU 9|TAvX

-fezjod obavoiibz o^ ouiod Xqi|B^opz 9iu '

•fo^Bp jAzstu i p{zogq z ui9uoqjng 9?[Avoisi9id jiufgdBU

>[0B9X 0BZ0ZS9ZJM I 0BXdO5{ '9^ldSAV 9TS B{BMOqOid:BJOP[BU

'XinqBjp z i^bSbios buuj pp^ od 9is i[BJ9iqop fójepi op '95J -uAzjnAi "fepo^ui gzpojpod bu ijBMAuiAzjjAzjd xuz

•9IU9IAVAZO 9ZS5{9IAV OD9IU OJBMOUBd tDf

IUB^BZ 9IUJ9ldIU0}[I19Z9] 'H0XzDMOpB^BZ ^OBduiBJ BU 'UIAi

-9PI pgzad 'yCjSgo z tr>[uXpnrq mAznp m 9is

-09 -X5(SIHAV BjpBIAV O^ZOZSBI 'oS9IU O{O>[

'uzAzozSui qoAuBfid qDBpB|s od ofepi 'Azoo susb{av

O 3IS JBUO5[9Zjd ^TUMO^nj •J33J1S J3AFa

i|ids

foAVS 9Z 3UUItip

3Z0UI O>(SfOM 'ZCO 01 - 5[3B3X tB|SXu -9Z p5qo Z "BS 3UBAvXuO>{Op nuiZI|BpUBAV Xj5[B 31

BU

-o§

002

až 'BjBuzn Anuig -BMisiB^gj A{BAVBpod 'prdnj i

3ZBpUBq A{XSOUAzjd 'X5fXUZ09J A{Bjd '5J3UB5P p{JBZOZS A{BO

-nzjAM i AjBA\05[Bd 'xSojpod 3uoxavbau>[bz AfAui :Stifsod ipAzzra op 9UBA\oj9pu3uio>[po Afeisoz
tjbsj i uosdtuoiiji Ajxiug zsjoi 'puzoApsui xp5ps z McjuBzjais 'Azsnirejiies iujbiso ouopizpXzjd i

•Biupnjodod dsozs5[5iav Azid

opsod soo i I5J3ZJ op n ifoiunuiB i ntpojd AsBdBz oiotizjas. ^zb5(zoj a\

3IV I ijBuzop

-ifz

objjsoz nun Aziaiujoz ^od zpteq 'b;sbuii Aoub^zsstui oj i|Aa -

'niO9iS9izp o qoXMO?[jnd

tupiApnq

Au

z ui9uoqjnj

'XinqBjp z ijbSbios "buui i9io>[od 9is i[BJ9iqop fojci^ op '55{ -uAzjni/j "bpojui gzpojpod bu
ijBA\AuiXzj^zjd iuzAzdz9j/^

9IU9IAVXZO 9ZS5{9IM OD9IU IUBIBZ 9XU19IduiO?[ip?3T 'tJO^ZOA^OpB^BZ ^OBduiBJ BU '

-cpi pszjd 'Xj§90 z n>piApnq uiAznp av 9is B^psgi

-09 -A>[SII[AV BjpBIM O^ZOZSBJ 'O§9IU O{O5[9IS

XziC15l 'UZAZOZ9XII xpAlIBfxd qOBpB|S Od DfepX 'A

BU UIĄ O 9XS {BUOJpZjd ^UMO^nj 199J1S -ISArg BU BIUpZJ

-oS B^pBd ui9dn| qox zKpS '9iuju9xurD[op 5xs i|xds 9xzpnq

•pSOUMBjds f9AVS 9Z 9UUinp

O5tjAj oXq gzom O5[sfoAV 'zco oj -

-9Z p5q3 Z BS

ooz

201

Jameson najlepiej będzie umieścić w magazynie, dzięki temu bowiem zostaną oszczędzone najgorsze widoki.

Gdy udzielono już pomocy we wszystkich nagłych wypadkach, do gabinetu Wrede'a Sartoriusa wpuszczono cywilnych pacjentów. Ale ich obrażenia nie zainteresowały go. Mieszczuchy najczęściej doznawały wstrząsu i poczucia dezorientacji. Zalecał kieliszek koniaku bądź słaby roztwór laudanum. Ten niekończący się pochód przerażonych ludzi wywoływał w nim irytację. Pearl i Emily polecono tych pacjentów owinąć w wojskowe koce, podać lekarstwo i odprowadzić na piętro, by odpoczęli tam w klasach na specjalnie ustawionych łózkach.

W miarę jak pożary ogarniały miasto, coraz więcej ludzi przybywało do bram college'u. Białych i czarnych początkowo kierowano do oddzielnych pokojów, gdzie mieli czekać na lekarza. Ale college był azylem i o pomocy czarni i biali obozowali już w holach.

Trzeba było zarekwirować kolejne budynki dla nagłych wypadków i zorganizować kolejne punkty pomocy medycznej. Z okna holu Stephen Walsh dostrzegł, że zapaliły się dwa budynki college'u. Jakież postaci na dachu tłumiły ogień kocami. Ich sylwetki odcinały się na tle czerwonego nieba. - Co za piekło się tam rozpętało? Bezsprzecznie, nie jest to stateczne piekło księży i zakonnic. Ich piekło daje nadzieję. Znaczą, że jest też niebo. Moje piekło to piekło bez przydziału. To życie, które samo siebie nie może już znieść.

Lewa ręka Walsh'a owinięta była w bandaż. Miał wrażenie, że jest dołączona do kokonu. Albo może gniazda os. Opatrunek na prawej ręce nie obejmował palców. Tylko dłoń została poparzona, choć ta ręka piekła go tak samo

202

jak druga. W tych więzach czuł się bezbronny. Chciał je zerwać zębami. Niech się dzieje co chce, rano pozbędzie się ich i wróci do swojej kompanii.

Nie usłyszał, co powiedziała ta pielęgniarka, pośród tych wszystkich krzyków i zawodzeń. Ale była bardzo do rzeczy, a on przechylił głowę i spojrzął z ukosa, by dać jej do zrozumienia, że wpatruje się w jej wargi tylko po to, by z nich czytać.

W tej sali gimnastycznej, przekształconej w poczekalnię, zabrakło sienników dla wszystkich, toteż ludzie leżeli na podłodze, podłożywszy pod głowy zwinięte koce w charakterze poduszek albo, tak jak on, siedzieli oparci plecami o ścianę.

Ale ona była tak miła, że zaprowadziła go do bocznego pokoju, jakby był pod jej szczególną opieką. Trzymała jego ręce za przeguby w wiadrze zimnej wody, a potem posmarowała je maścią. Pochylona nad swoim zadaniem stworzyła atmosferę intymności. Jasnobrązowe loki opadały jej na policzki i nagle wojna wydała się czymś bardzo odległym. Emily wywarła na Walshu oszałamiające wrażenie. Podczas marszu pod Shermanem nabrał przekonania, że już nigdy nie odczuje duchowej bliskości z drugim człowiekiem.

- Nazywasz się jakoś?

- Stephen Walsh.

Spojrzała na niego. Oczy miała orzechowe, z zielonymi ognikami. Pocztał, że spojrzeniem sięga mu w głąb duszy. - Jestem siostra Jameson - rzekła, jakby ośmielając go, by temu zaprzeczył.

- Miło mi.

- No dobrze. Ale nie powinieneś igrzać z ogniem, Stephen - powiedziała. A potem się zaśmiała.

203

Nadal o niej myślał. Jej mowa, naturalne ruchy, niewymuszona postawa ujawniały tę rasową prawdę, że siostra Jameson jest czarną dziewczyną, wyzwoloną i służącą w unijnym szeregu.

Specjalnie go to nie zdziwiło. Maszerował już od miesiący i widok jasnoskórych Murzynów przestał go zaskakiwać. W tej dziwnej krainie od pokoleń uprawiano ohydne praktyki, toteż niewolnicy nie są już po prostu czarni, lecz prezentują różne odcienie bieli. - Tak - pomyślał - gdyby Południe zwyciężyło, teoretycznie człowieka wolnego nie można by było rozpoznać po kolorze skóry. Każdego dałoby się nająć do pracy, zakuć w kajdany i sprzedać na licytacji. Czarny kolor byłby jedynie czasowym wybiegiem, u źródeł systemu leżałaby idea klasy niewolniczej.

Ale w tej pannie Jameson było coś bardziej nieuchwytnego. Mówiła do niego miękko, śpiewnym głosem, nieco się z niego nabijając, ale patrzyła na młodego wojaka oczyma, które momentami robiły się maślane. I powaga, z jaką zajęła się jego poparzonymi dłońmi, skupienie, wytężona, cierpliwa uwaga, z którą podchodziła do swych obowiązków, nasunęły mu myśl, że dopiero ostatnio stała się osobą niezależną, której powierzono odpowiedzialne zadania.

I sam był zaskoczony, łapiąc się na myśli, że to oszałamiające dziewczę, chociaż sprawowało poważną funkcję pielęgniarki, całkiem niedawno przestało być dzieckiem.

Powędrował zatłoczonym korytarzem w nadziei, że uda mu się jeszcze raz ją zobaczyć.

Wczesnym świtem wezwano Emily Thompson, by asystowała przy operacji młodej Murzynki, którą przyniesiono nieprzytomną na noszach. Była na pół naga, miała posiniaczone piersi i ramiona. Jedno oko tak jej zapuchło, że

204

nie mogła go otworzyć. Twarz nosiła ślady pobicia. Podniesiono ją na stół i zdjęto resztki ubrania. Wrede zbadał ją i postanowił najpierw zoperować przetokę pęcherzowo--pochwową. Polecił pielęgniarzom, by ułożyli ją na kolanach, pochylając głowę i ramiona.

Emily musiała trzymać lampę i jednocześnie podawać Sartoriusowi żądane instrumenty. Ohyda tego zabiegu przyprawiała ją o mdłości. Wrede miał pokrwawione ręce, wpatrywał się w pole operacyjne wzrokiem tak skupionym, że nawet nie mrugnął powieką. Usiłowała dopatrzeć się w nim choć cienia emocji. Czy przejawia się ona jedynie w pracy jego rąk? Czy trzeba się jej domyślać? Bóg jeden wie, jakie potworności przeżyła ta dziewczyna. Emily nie mogła na to patrzeć. Lecz stalowe spojrzenie doktora przenikało nawet najbardziej intymne zakamarki człowieczego ciała. Emily uważała, że postęp nauki przynosi szczęście ludzkości. Ale w tym momencie odczuwała tylko niestosowność tej męskiej inwazji. Wiedziała, że Wrede stara się uratować tę nieszczęsną kobietę, ale podświadomie uważała, że swą wiedzą dokłada się do zniewag, których nieszczęsna ofiara doznała od jego towarzyszy broni. Nie odzywał się ani słowem. Można by pomyśleć, że w dziewczynie widzi tylko kolejne zadanie do wykonania, z którym musi się zmierzyć jako chirurg.

Po skończonej operacji jeden z sanitariuszy rzekł: -Ta kobieta umiera. Z jej gardła dobywały się straszliwe dźwięki. Trzymali ją, a ona zeszczywniała i opadła w ich ramiona.

Wrede potrząsnął głową, gestem nakazał usunięcie ciała i zdjął fartuch, po czym, ledwo rzuciwszy okiem na Emily, wyszedł. Dał jej tym samym do zrozumienia, że śmierć jest stanem, który go nie interesuje. Tak to nią wstrząsnęło, że zastygła z otwartymi ustami.

205

Emily pobiegła na górę, gdzie zaszyła się w pustej wnęce przy oknie. Usiadła tam, by odzyskać równowagę. Tłumaczyła sobie, że doktor jest przeciążony, że ten wspaniały chirurg kolejny tydzień pracuje w warunkach polowych. Nerwy miał napięte - a jakie miałyby być? Odpowiedzialność, która spoczywała na nim co dzień podczas kampanii, każdemu dałaby się we znaki. Ale zaświtała jej inna myśl, którą przypisała własnemu wyczerpaniu, godzinom nieprzerwanej pracy i okropnościom płonącego miasta. Otóż przyszło jej do głowy, że Wrede Sartorius, człowiek, któremu się oddała, nie jest lekarzem. To mag, który chce majstrować przy istniejącym wszechświecie.

Na zewnątrz, pod rozświetlonym czerwonym niebem, frontowy dziedziniec zapełnił nowy tłum bezdomnych. Ambulanse nie mogły się przez niego przedrzeć. W tej ciżbie Emily dostrzegła kobiety, których wygląd i strój wydał się jej tak znajomy, jakby już wcześniej utrzymywała z nimi stosunki. Ich zachowanie, ruchy świadczyły, że pochodzą z dobrych rodzin. Pośród ogólnej nerwowości stały spokojnie, przyciskając do siebie dzieci. To były kobiety z jej sfery, w takim otoczeniu wzrastała. I straciły wszystko.

- Mój Boże - wyszeptała. - Dlaczego nie jestem tam z nimi?

Zakład dla umysłowo chorych zapalił się i część pacjentów trafiła do college'u. Byli przerażeni. Błąkali się po korytarzach, dhigowłosi, w powalanych ubraniach. Nie wiedzieli, gdzie się znajdują. Jęczeli i krzyczeli. Chirurdzy podawali środki uspokajające tym, których personel zdołał przytrzymać. Wezwano wojsko, by zaprowadziło porządek.

Gdy szaleńców zapędzono do piwnicy, ich krzyki słychać było na piętrach na górze. Pacjenci czekający na po-

206

radę od wojskowych lekarzy i sanitariuszy chcieli uzyskać jakieś zapewnienie, że światem nadal rządzą cywilizowane siły, że nie owładną nim całkowicie ogień, obłęd i śmierć.

Mattie Jameson składała ręczniki w magazynie na końcu krótkiego korytarza, gdzie za zamkniętymi drzwiami panował względny spokój. Jak zwykle przy wykonywaniu prostej i powtarzającej się czynności myślała o czymś innym. Z głową lekko przechyloną i uśmiechem na ustach, znajdowała się w Fieldstone, w zimowy wieczór w pierwszych latach małżeństwa, gdy żadne pilne sprawy nie wzywały Johna, toteż oboje siedzieli w przytulnej szwalni, gdzie zaciągnięto zasłony dla ochrony przed mrozem, na kominku płonął ogień, a oni czytali, każde zagłębione w swoim fotelu. Nie musieli nawet nic mówić, tak oczywista była ich wzajemna bliskość. I nagle znowu była młodą kobietą, o jędrnym ciele, dumną w skrytości ducha, że John tak bardzo ją pożąda. A choć urodziła dwóch chłopców, kibić miała nadal równie giętką, jak w dniu ślubu. Od życia pragnęła tylko jednego - zadowolić tego siłacza, który, jak sobie wyobrażała w chwilach oszołomienia, pochodził od lwów.

Żal Mattie za utraconym życiem i strach o los chłopców rozpląnął się w błogim rozmarzeniu. Toteż gdy w końcu doszły do niej odgłosy zamieszania w budynku, zdawało się jej, że może je uśmierzyć, tak jak utulała swoje dzieci, gdy płakały przez sen.

Emily Thompson zeszła na główne piętro z konkretnym postanowieniem, przepowiadając sobie w duchu, co musi powiedzieć Wrede'owi Sartoriusowi, gdy uwagę jej nagle przyciągnął widok Mattie, która krążyła między pacjentami i, przykucając przy nich, dotykała ich czół, przema-

207

wiając łagodnie, by ich uspokoić. Zdumiona Emily stanęła jak wryta.

Słyszała od Pearl co nieco na temat życia na plantacji Jamesonów i wiedziała, że Pearl otaczała opieką tę kobietę, która za każdym razem, gdy spotkała Emily, pytała nieodmiennie: „Nie jest pani przypadkiem córką sędziego Thompsona z Milledgeville?”. W tym momencie dla Emily stało się jasne, że stan umysłu Mattie Jameson odpowiadał sytuacji, w której się znalazła. Świat ogarnięty wojną zrównał się z jej cierpieniem, aż oba stały się nie do odróżnienia.

Jakie to fascynujące. Raz, gdy rozbili obozowisko, Emily poprosiła Wrede'a, by zbadał Mattie. Uczynił to i omówił z Emily stan chorej. - To otępienie - stwierdził. - A jednak, gdybym zajrzał do jej mózgu, zapewne nie znalazłbym tam niczego odbiegającego od normy. W niektórych chorobach umysłowych przeprowadza się autopsję i sporządza wykres uszkodzeń. Znajduje się tam wykryształizowane narośla. Ropiejące guzy. Widać zmiany barwy, miękkie, żółte złogi, wąskie rowy wyżartej materii. Ale niektóre choroby nie dają żadnych oznak - mózg jest fizycznie zdrowy.

- Więc to nie jej mózg, lecz umysł jest dotknięty chorobą? - spytała Emily.

- Umysł to wytwór mózgu. Nie jest czymś osobnym.

- A zatem to pewnie choroba duszy.

Wrede spojrział na nią z politowaniem. - Duszy? Poetyckie mrzonki, niemające uzasadnienia w faktach - rzekł takim tonem, jakby uważał, że chyba nie musi jej tego mówić.

Emily patrzyła, jak Mattie, rozdając uśmiechy i miłe słowa, przeszła korytarzem wypełnionym pacjentami, po czym skręciła do sali, znikając jej z oczu. Co ona tam robi?

208

Emily weszła za nią do klasy szkolnej, przekształconej w studio. Tu lampy gazowe rzucały przyćmione światło. Strapieni pacjenci siedzieli z pochylonymi głowami. Jedna ściana wyłożona była lustrami. W kącie stał fortepian i on właśnie przyciągnął uwagę Mattie. Starszy mężczyzna, który siedział przy nim, czytając Biblię, wyczuł, że Mattie stoi z tyłu. Przekreślił się na stołku i zobaczył, że kobieta wpatruje się w instrument z wniebowziętą miną. A zatem się podniósł.

Mattie usiadła i wbiła wzrok w klawiaturę z takim wyrazem twarzy jak pianiści, którzy widzą w niej wszechświat. Potem położyła palce na klawiszach i zaczęła grać. Był to walc Chopina, a choć grała z wahaniem, niepewnie, miała niezachwiane przekonanie, że jest w domu, przy swym Bósendorferze.

Emily nie wiedziała, kto skomponował ten utwór, ale wyczuła śpiewny temat o niezwykłym wyrafinowaniu. Muzyka rozbudziła w niej wspomnienie cywilnego życia. Doznała niemal wstrząsu. Potem, gdy Mattie Jameson nabrała pewności siebie, a melodia stała się śmielsza i bardziej wylewna, Emily wróciła myślami do swego postanowienia. Spojrzała na swoje odbicie w ciepłym świetle gazowych lamp. Czy naprawdę nie mamy duszy? Przecież to, co słyszę, to dusza objawiona w muzyce. - Słyszę duszę - powiedziała do siebie. I zaraz pobiegła zabrać swoje rzeczy.

Innych również przyciągnęła muzyka i gdy Pearl podeszła do drzwi, musiała stanąć na palcach, by zobaczyć, kto gra. - Jak się nazywa żona twojego taty, która nie jest twoją mamą? - zapytała Walsh.

- Macocha.

- Więc jestem dzieckiem taty, a mojej ma...

209

-...cochy... -Mojej macochy...

- Pasierbicą.

- Pasierbicą. Czy to normalne? Pólsierotka z półmamu-sią?

- Zdarza się - odparł Walsh. - Lepsze to niż nic.

- Widzisz tę biedną starą wariatkę, która tutaj gra? Podejdz do mnie. Widzisz ją teraz? To ona, pani Jameson, moja macocha - powiedziała Pearl, kiwając głową, by potwierdzić ten związek. Moja macocha jeszcze pamięta, jak się gra na fortepianie. Kiedyś grała bez przerwy. Można było

zwariować. Czarni umierali w barakach, a ona grała na fortepianie, jakby nic się nie działo. Nie widzi mnie, patrzy przeze mnie, moja macocha, wielmożna pani Jameson.

Stając obok Pearl, dotykając jej ramieniem, Stephen Walsh instynktownie rozumiał, że dziewczyna zdawała sobie sprawę, jakie wrażenie wywrze na nim jej bliskość. Nie chciał przyjąć do wiadomości, że jest młodzieńcem, żywe srebro, od którego wejrzenia zapierało mu dech. Spostrzegła, że się za nią snuje, więc z uśmiechem uznała go za swego, jak dziecko nowego znajomego uznaje natychmiast za wielkiego przyjaciela. Zwierzała mu się teraz, czego dorosły nigdy by w tych okolicznościach nie zrobił. Ale stał się wrażliwy przez tę wojnę, skoro natychmiast zaczął łączyć się do tej dziewczyny. I naprawdę przeszło mu przez myśl, że mógłby przeżyć tę kampanię, a potem zostać mężem Pearl.

W dzieciństwie Stephen Walsh nauczył się żyć sam ze swymi myślami. Był dzieckiem pary pijaków i samodzielności nauczył się, szlifując bruk Manhattanu, gdzie wypracował własne zasady honoru i niezależności w swoim życiu ulicznika, kiedy to wycierał się po knajpach, nosząc

210

kufle piwa. Wyrósł na stoika, lecz sam tak ukształtował swój charakter, jakby karygodne ekscesy jego rodziny i brutalność szkolnego życia nie odcisnęły się na jego naturze. Zwrócił na siebie uwagę jezuitów, znosząc ich edukacyjne rygory do czasu, aż poznał tytuły książek, które winno się czytać do końca życia. A potem poszedł na uniwersytet samokształceniowy, by znaleźć własne tytuły.

Był krzepko zbudowanym, barczystym dziewiętna-stolatkiem, o grzywie czarnych włosów, krzaczystych brwiach, poważnych oczach i mocno zarysowanej szczęce. Każdy oficer uznałby Stephena Walsha za odpowiedzialnego żołnierza o godnej postawie. Ale w tej chwili całe jego wewnętrzne ja, na tyle, na ile zdolny był wejrzeć w siebie, zatoneło w tęsknocie i samotności. Na muzykę nigdy nie zwracał uwagi, nawet gdy musiał maszerować w jej takt. Ale teraz słuchał i odebrał tego walca jak bojowe wezwanie, na które musi odpowiedzieć. Niemal gardząc sobą, trzymał się blisko Pearl, udając, że dotyka jej ciała bezwiednie, myśląc, że ona zapewne czuje tak samo.

Wstąpił do wojska w zastępstwie pewnego bogatego synalka, za co otrzymał trzysta dolarów. Pomyślał teraz o tych pieniądzach. Zainwestował je na Giełdzie Zbożowej na Lighthouse Street.

Shermana obudził własny krzyk. Zasnął w fotelu. Był całkowicie ubrany. Łóżko przestawiono dla niego. Kolana miał przykryte kapą. Wstał gwałtownie i natychmiast poczuł chłód. Gdzie jest, do diabła? Owinąłszy ramiona narzutą, podszedł do okna i odciągnął zasłony.

Pierwszy brzask. Czekał.

Z wolna, niechętnie, z szarości wyłaniała się Columbia. Wyrzał ponad murem ogrodu na ulicę, na której widział tylko kominy i nadpalone drzewa. Potem, w pierwszych

211

lodowatych błyskach nowego dnia, wyłaniający się obraz sprawiał wrażenie planu miasta, jakby Columbia dopiero powstawała. Widać było ceglane chodniki, tu i ówdzie wznosił się kamienny mur, a wszędzie porzucane były stosy popiołu i drewna, służące za materiały budowlane. - A więc Południe dostało po nosie - powiedział na głos.

- Choć to nie moje dzieło, rad jestem, że do tego doszło. Przez całą noc naradzał się ze swym sztabem i pisał rozkazy odnoszące się do kampanii w Północnej Karolinie. Spojrzał na zegarek. Piąta rano. Trzeba zdjąć z koźłów karabiny, uszykować oddziały czołowe, ustawić wozy. W tym momencie usłyszał odległy sygnał trąbek. Okrzyki. Skinął głową- znowu ma swoje wojsko.

Ale w domu było dziwnie cicho. Chciał wsiąść na koń i wyruszyć stąd w ciągu godziny. A ten dom należy wysadzić. Gdzie się do diabła podziewa Moses Brown ze śniadaniem?

Sherman znalazł ogryzek cygara i zapalił go. Znowu zamyślił się nad swoim planem. Skrzydło Slocuma znajduje się na zachód od Columbii. Skrzydła łączą się w Winnsboro. Połączone skrzydła będą pozorować oblężenie, ale wezmą Raleigh. A wtedy Lee wpadnie w kleszcze

- od północy będzie przyciskać go Grant, a ja od południa. I kiedy wyjdzie z okopów, żeby walczyć ze mną, co mam jak w banku, Grant weźmie Richmond.

Pyknąwszy z cygara, Sherman uniósł ręce i rozpostarł narzutę, niczym skrzydlata bogini zwycięstwa. Roześmiał się i zrobił rundkę wokół pokoju.

Ale miał do rozwiązania problemy logistyczne. Powiadomiono go, że przynajmniej tysiąc czarnych chciało ruszyć za nim. Ledwo pozbył się tej hordy w Georgii, zgromadziła się następna. I nic do tych ludzi nie trafiało. Gdzie mieliby osiąść? W jakiej ziemi obiecanej? A teraz znaleźć-

212

li się między nimi biali, zwolennicy unii, którzy musieli uchodzić z obawy o życie. Ale jesteśmy wojskiem, a nie towarzystwem dobroczynnym.

I koniecznie trzeba wysłać kurierem listy do ministra Sewarda i generała Hallecka, zanim dojdą do nich wieści od kogoś innego. Stało się jasne, że to generał konfederatów, Hampton, dokonując odwrotu, rozkazał spalić tę bawełnę. Sami rebelianci, przy sprzyjającym wietrze, spalili Columbię. Choć naturalnie on, Sherman, wie, że odpowiedzialność spadnie na niego. - To nie ja zgotowałem im los Pompejów - pisał. - Ale skoro przydzielono mi rolę Diabła Wcielonego, chętnie przywdzieję ten kostium, jeśli to złamię ich ducha i struchleją ich zdradzieckie serca. Załatwimy się z tymi secesjonistami lada dzień i to będzie ich koniec, i koniec tej przeklętej wojny.

Ale gdzie podziewa się Moses Brown ze śniadaniem?

A

ix

c

ustawił aparat, by zrobić zdjęcie starego miejskiego dzwonu, spoczywającego krzywo na zgliszczach wieży, na której niegdyś wisiał. Wokół zebrała się grupka gapiów, toteż Arly mówił półgębkiem.

- Dlaczego marnujesz na to mój czas, Calvin? - zapytał. - Muszę dogonić wojsko.

- To słynny dzwon - odparł Calvin. Dzwonił za każdym razem, gdy kolejny stan opuszczał unię.

Wybrał jeden z mosiężnych obiektywów z kasetki i przymocował go do aparatu.

- Więc to cię cieszy jako czarnego, co? - rzekł Arly z uśmiechem, patrząc po twarzach zgromadzonych. On i Calvin umówili się, że gdy Murzyn wykona całą robotę, Arly zrobi zdjęcie. To Calvin zdecydował, gdzie ustawić aparat, jakiego użyć obiektywu i jak długo naświetlać kliszę. Arly musiał tylko stanąć obok pudła, zdjęć przesłonę obiektywu i na dany sygnał znowu ją wcisnąć.

- Mniejsza z tym, co mnie cieszy, ten dzwon to świadectwo historyczne - rzekł Calvin. - Stało się z nim to samo co z konfederacją. Jakby leżało tu w ruinie stare Południe, które trzymało się na niewolnictwie, więc muszę to sfotografować. Pan Culp postąpiłby tak samo.

Calvin wsadził głowę pod czarne sukno, a gdy upewnił się, że wszystko jest gotowe, cofnął się, zdjął osłonę z kliszy i skinął głową. Arly z wielką ostentacją podwinął rękawy płaszcza i poprawił melonik. Obrzuciwszy tłumek poważnym spojrzeniem, stanął obok aparatu, wyjął zega-

IX

G

ustawił aparat, by zrobić zdjęcie starego miejskiego dzwonu, spoczywającego krzywo na zgliszczach wieży, na której niegdyś wisiał. Wokół zebrała się grupka gapiów, toteż Arly mówił półgębkiem.

- Dlaczego marnujesz na to mój czas, Calvin? - zapytał. - Muszę dogonić wojsko.

- To słynny dzwon - odparł Calvin. Dzwonił za każdym razem, gdy kolejny stan opuszczał unię.

Wybrał jeden z mosiężnych obiektywów z kasetki i przymocował go do aparatu.

- Więc to cię cieszy jako czarnego, co? - rzekł Arly z uśmiechem, patrząc po twarzach zgromadzonych. On i Calvin umówili się, że gdy Murzyn wykona całą robotę, Arly zrobi zdjęcie. To Calvin zdecydował, gdzie ustawić aparat, jakiego użyć obiektywu i jak długo naświetlać kliszę. Arly musiał tylko stanąć obok pudła, zdjęć przesłonę obiektywu i na dany sygnał znowu ją wcisnąć.

- Mniejsza z tym, co mnie cieszy, ten dzwon to świadectwo historyczne - rzekł Calvin. - Stało się z nim to samo co z konfederacją. Jakby leżało tu w ruinie stare Południe, które trzymało się na niewolnictwie, więc muszę to sfotografować. Pan Culp postąpiłby tak samo.

Calvin wsadził głowę pod czarne sukno, a gdy upewnił się, że wszystko jest gotowe, cofnął się, zdjął osłonę z kliszy i skinął głową. Arly z wielką ostentacją podwinął rękawy płaszcza i poprawił melonik. Obrzuciwszy tłumek poważnym spojrzeniem, stanął obok aparatu, wyjął zega-

214

rek pana Culpa z kieszonki jego kamizelki i podniósł do oczu. - Niech pan poczeka, aż słońce wyjdzie zza chmury - wyszeptał Calvin. - Niech pan naświetla przez piętnaście sekund.

Calvin pokazał mu, jak nie ruszając ramieniem, lecz tylko lekko zginając nadgarstek, zdjęć przesłonę z obiektywu, przytrzymać chwilę, a potem, zginając nadgarstek w przeciwną stronę, znowu ją nałożyć. To wszystko Arly wykonał, dodając krótki, triumfalny skowyt, gdy przesłona była już na swoim miejscu bo, jak zauważył, trzeba ludziom uświadomić, że coś się wydarzyło, co skądinąd trudno zauważyć.

Calvin przyłapał się, klaszcząc lekko. Złożył z powrotem pudło, wyciągnął kliszę i wniósł ją pospiesznie po schodach na tył wozu.

Arly poprawił płaszcz i ponownie uśmiechnął się do gapiów.

- Przyjaciele, jeśli myślicie, że to czary, macie rację - to czary, które mój aparat czyni ze światła Bożego dnia. Kto chce zrobić sobie portret? Każdy powinien mieć swój portret przy kominku. Portret w wykonaniu Josiaha Culpa jest bardziej podobny do oryginału, niż gdyby wyszedł spod pędzla malarza. A jeśli martwicie się kosztami, fotografia jest najrozsądniejszym rozwiązaniem, a na zawsze pozostanie wam wasze zdjęcie z tych historycznych czasów.

Chętnych nie było, tłumek z wolna rozszedł się w ponurym milczeniu.

Zaledwie po paru minutach, nadal pośród ruin Columbii, Calvin ściągnął mułowi lejce i zatrzymał go, po czym zszedł, okrążył wóz i ponownie wyciągnął trójnog.

- Jezus, co tam znowu? - zapytał Arly, wkładając rękę za pazuchę kamizelki, gdzie trzymał pistolet. - Chyba nadużywasz mojej cierpliwości.

215

- Pan Culp uczył mnie, by patrzeć uważnie, i właśnie to robię. Większość ludzi tak naprawdę wcale nie patrzy na to, na co patrzy. Ale my musimy. Musimy patrzeć za nich.

- A na co teraz patrzymy? - spytał Arly.

- Na tej ulicy? Na te granitowe schody, które donikąd nie prowadzą. Stał tu kościół. A została tylko tylna ściana z okrągłym oknem, przez które widać niebo.

Kłopot polegał na tym, że choć Arly miał pistolet, Calvin spokojnie mógł robić to, co robił, i włos by mu z głowy nie spadł. Wiedział, że Arly go potrzebuje, choć nie wiedział dlaczego. Ten chłopak miał głowę na karku. Nie zadzierał nosa, ale znał swoją wartość. Nie mówiąc wiele, spokojnie, z lodowatą uprzejmością, dawał Arly'emu poznać, co czuje. Jako Murzyn nie mógł nic powiedzieć. Ale po tej historii z panem Culpem Calvin przestał się uśmiechać. Już nie pokazywał tych swoich białych zębów. Nadal był gładkim Murzynem o brązowej skórze, ogolonej głowie i dużych, brązowych oczach, ale robił zdjęcia już wyłącznie z obowiązku.

Gdy Calvin przeszedł ulicą i ustawił aparat tam, gdzie chciał, pojawiło się kilkoro murzyńskich dzieci, które wspięły się na górę zgliszcz i przycupnęły między skałami, by mu się przyjrzeć.

Arly usiadł na wozie i czekał. Z kieszeni płaszcz wyjął zdjęcie. Nic się nie zmieniło od czasu, gdy ostatnio je oglądał. Will nadal siedział w mundurze żołnierza konfederacji, wyprostowany jak prawdziwy żołnierz, choć w oczach miał ten dziwny wyraz, jakby na widnokręgu ujrzał coś niepokojącego. Culp przymocował klamrę do jego karku, by podtrzymać mu głowę. A pasek od rebelianckiej czapki przyciskał dolną szczękę, która dzięki temu nie opadła.

-BA\n pod okioią y sizom bu ojBiupiM 'l

'O>[SIA\ZBU oSaiOpj 'jBISOŁOJ AufIUn AUBAVOUOpU30IJ

jbzsbjSam dp3 uBd oq 'ojizpoip 01 o azoui j •uAzjnjAl 5[Bf 9xui3iz 3ido>{ jjiusSzozsaiu U9i o;o zbjs; -
B3piA\ojzo oSau pAz bouo>[op 08 xA\Bisn Ajci5['nqoBj Dtezon x bu oS is op oS \ii

OIDJO A\ 9IS {BAVAJ}BdM UXAJB3 9TZpS '93I|tl BU [pS 'lIippE^IJ AV BJ9djBH BUTA|B3 JBMOldopB 9Z
-{BUI9IU AJC15['d|t\3 U,BXSOf OJO I O^Bpz 9IU OI 9IS OIU BU 9^B

'uia|B3 ^Bizp9TA\od — 9zpBJod 9iqos uibs — 'Bd|n3 UBd Xioq

-OJ Op IZpSdBZ ZJ9XU^OZ AUOJBZS U91 9Z '9IS {BA\9XZpods 9XU 9|V AMB5J9J JBUXA\pod X
9>JBUAJBUI 'Z9ZSB{d ^BlpZ Z9JOJ '01 -O5[BUI UO OI 9Z '^BXZp9IAV UIAJB3 OJBp 9BA\OqOod JBK
9IZpS 'BZJB1U9UID oS9T>{sf9XM Op UI9ZJ9SZA\ 3BIJ[09Jpod IA\0UIA[B3 X IA\od|t\3 XIUBd
^BZB5[I UI919|01Sld 9BA\iqOBXU

-Aa\ lJBzobz ppBpCzjd Auojbzs oSgf 'azjnpunui uiXA\psB{A\ av Bdtui oS3j apsfpz i|i qojz KpS sz 'oj 5xs
ojbis y

BZ ipiUI 31U 5IO ApSIU 'BXU3XUIT1ZOJZ Op XIII S9{Bp 5JBf 9Z '9SBAVtl pod 0BJOiq 'AaVAZ 9JBIUI AV
JBA\BpAAV

5xs zs3izp5q mi 'Bdajj bu nj zsBptejSAM siiiui B|p ZBpoqo i •ui9i?[Azozsoq3ra sajXq 'spafpz o; xo
ouoxqoj ApS 'in^M^ ^ az 'Aavo|S op un sizpfAzjd sra 'aizod pi Av%zDBqoz ap >[Bf 'xui3xz Bupd 5qaS
zsbui axzpS '3iqojS av 5[Bf oSauuiz ouibs

5{B1 'BdtUI 3ZJ31>[BJBqO AV UJ ZSAZ0J31S 30t[0 V 'pSOAYIjdIBM S3X>[Bf ipiUI y^qXpS '5[9pBdAA\
BU 'l[0BUB|0?{ BU UI3UiqBJB5[Z ZSIZpSIS >[Bf'3p5fpz OJ^UBJSOp I BA\O{S UIBIIIAZJOp 0UAV3d

bu i Aupizp s3\Aq i5{Bf 'siuizpoj pfoA\; uiaiModo az 'p

U13{B03iqO '5[B1 AZD >[B1 C3|V ""^J BZ 3TZpBA\0jd OjAq 9p

Bqazjj uaizp oo bu oop 'tunzoz toA\.s S3^bij/\[- "BpSfpz op - oidnjS 5[bi s9jBpB[ŠXA\ siu npAz m ""

217

gę, że on i żołnierz z miejsca wdali się w ostrą dysputę, może wojskowy chciał mu dać nauczkę, a w każdym razie na to wyglądało, bo powtarzał: - O, to to, dalej, a zwawo, panie fotografie - ze złośliwym uśmiechem na ustach.

Rankiem w tej wiosce panowało przenikliwe zimno, ale pan Culp był zlany potem. Spływał mu ciurkiem z włosów po karku. Przemoczona koszula przywierała do jego pleców i brzucha. Usta miał sine, ciężko wzdychał i sapał. Calvin krzyknął do żołnierza, że pan Culp powinien przestać kopać, że nie jest młody, ale żołnierz wymierzył tylko w niego pistolet, mówiąc: - Nie będę tu sterczał cały dzień - i rozejrzał się wokół z pewnym niepokojem, choć w pobliżu nie było nikogo, a nawet gdyby był, nic by go to nie obeszło. Po przejściu armii Shermana nikogo nie dziwił widok człowieka kopiącego grób.

Jak Calvin się obawiał, dla pana Culpa był to zbyt wielki wysiłek. Może dołożyło się do tego upokorzenie, może od początku źle się czuł, lecz gdy był cztery stopy w dole, na jego twarzy pojawił się ten dziwny wyraz, chwycił się za pierś, okręcił wokół łopaty, jakby chciał się dopasować do grobu, który sam kopał, i padł na ziemię. Calvin chwycił go i podtrzymał mu głowę. Culp uniósł palec ku górze, jakby chciał zrobić zdjęcie nieba, w jego oczach pojawił się szalony wyraz, z trudem łapał powietrze i usiłował coś powiedzieć. Ale zaraz plecy wygięły mu się w łuk, zeszywniał, zabalgotał i tam na miejscu, w zimnym, wilgotnym grobie, wyzionął ducha w ramionach Calvina.

Zwariowany żołnierz tylko podrapał się po głowie. -Daj mi jego portki - powiedział do Calvina. I szelki też. Najpierw musisz ściągnąć mu buty.

Calvin ułożył pana Culpa w kałesonach w grobie, który jego chlebodawca sam wykopał, po czym wygramolił się na powierzchnię i sypnął łopatą trochę ziemi na ciało. Nie

218

odezwał się, tylko tak stał. Potem wraz z żołnierzem unieśli wojaka nie w tym mundurze, co trzeba i złożyli go do grobu na panu Culpie.

- Przepraszam, że musisz leżeć we wspólnej kwaterze, Will - rzekł żołnierz - ale na wojnie nie ma co wybrzydzać.

Kilka spraw zaprzętało Calvina Harpera, gdy jechał przez ruiny Columbii, zatrzymując się tu i tam, by zrobić zdjęcie. Nie mniej niż Arly, który siedział obok, w płaszczu i kapeluszu pana Culpa, trzymając jego pistolet, chłopak chciał dogonić siły unijne. Musi jakoś dać znać władzom wojskowym, że po okolicy krąży szaleniec. Może jakiś sąd wojskowy rozpatrzy okoliczności śmierci pana Culpa.

Ale czuł też, że nie powinien opuszczać Columbii, póki nie zrobi tylu zdjęć zrujnowanego miasta, na ile mu starczy materiałów. Zdjęć fotograf nie traktował jedynie jako źródła utrzymania. Gdy wyjedzie, historia będzie wiedziała tylko tyle o tragedii miasta, ile Calvin zdoła uwiecznić na fotografiach. Czas nie stoi w miejscu, przypominał mu często pan Culp. Czas nie stoi w miejscu, wszystko się ciągle zmienia, a z przeszłych chwil zostaje tylko fotka. Nawet teraz, dwa dni po pożarze, gdy w powietrzu jeszcze wisi dym pogorzeliśka, mieszkańcy grzebią w zgłiszczach, starając się uratować, co się da, załadować swoje znaleziska na ręczne wózki albo na plecy i ruszyć, każdy w swoją stronę. Jak po burzy, każdy wychodzi na dwór, by ocenić szkody i zacząć je usuwać.

W Columbii zabrakło koni i mułów, wojsko zarekwirowało mieszkańcom wszystko i ze spojrzeń rzucanych w jego stronę Calvin wyczytał, że gdyby obok niego nie siedział biały, zabraliby mu Berta. A gdyby Bert nie ciąg-

219

nął wozu, nie mogliby robić zdjęć. Ale czarny fotograf nie miałby tu czego szukać. Trzeba było udawać, że Calvin tylko pomaga białemu, by nie narazić się białej ludności, która i tak patrzyła na nich spode łba. A zatem, choć czuł się zagrożony, potrzebował tego szaleńca, podobnie jak szaleniec potrzebował jego, choć nie wiadomo, z jakich szalonych powodów.

W sumie, tak jakoś manewrował, by robić zdjęcia wedle własnego rozeznania, a szaleniec nie mógł mu w tym przeszkodzić, chyba żeby rzeczywiście stracił cierpliwość. Kto wie, co by się wtedy stało? Ale Calvin uznał, że się nie boi. I biorąc głęboki oddech, siłę czerpał z istniejącej sytuacji. Pod przykrywką służalczości to on, Calvin Harper, stał u steru. A szaleniec udawał pana Culpa, choć nie nadawał się nawet na pomocnika.

O żywność było trudno, lecz koło drugiej po południu zapasy ryżu, melasy i wędzonego mięsa zaczęły przychodzić ze wsi, gdzie armia nie brała furaju. I gdy Calvin czekał na ulicy, Arly, z dziesięcioma federalnymi dolarami Josiaha Culpa w kieszeni, stanął w kolejce na targu, który rozłożył się na placu defiladowym, zrytym, zdeptanym i poczerniałym od pozostałości obozowych ognisk. Ale była to jedna z mniej zniszczonych części miasta. Bezlistne drzewa były brązowe z natury, nie z pożaru. Z wyjątkiem paru staruszków w kolejce stały prawie same kobiety, zerkające niecierpliwie do przodu, by zobaczyć, czy dla nich jeszcze wystarczy. Arly, jak prawdziwy dżentelmen, z uśmiechem znosił popychanki i poszturchiwania pań, choć w głębi duszy uważał, że brakuje im szlachetności wrodzonej mężczyznom, walczącym w ich imieniu.

Popołudnie było chłodne, choć świeciło słońce. Arly miał straszliwą ochotę na coś innego poza suszonymi

220

słodkimi ziemniakami, a tylko to zostało w wozie. Gdyby był w mundurze, mógłby pomaszerować od razu do przodu i wziąć wszystko, co chciał, bez płacenia. Zamierzał zdobyć zapasy żywności i ruszyć w drogę. Była to sprawa pilna, bo w głowie miał wyraźny plan, a skoro Bóg go nim natchnął, zostanie niezwłocznie zrealizowany. - Czeka nas wieczna chwala - pomyślał, dotykając kieszeni, w której trzymał zdjęcie Willa.

Tymczasem zastanawiał się nad zaciągnięciem do łóżka tej czy innej niewiasty, lecz rozważania te przeważnie kończyły się smutną konkluzją, iż wdzięki wszystkich tych przedstawiolek płci niby pięknej są bardzo wątpliwe - panie wyglądały na wymęczone i wymizerowane, lica miały spuchnięte od łez, a ich spódnice czepiały się zasmarkane, pochlipujące bachory. Ale dalej się uśmiechał i obracał we wszystkie strony, by zobaczyć, kto jest przed nim, a kto za nim, by może wyłowić jakąś panienkę, która miałaby nieco więcej ponętnej ciała, bo to wszak żaden wstyd, albo burzę kasztanowych włosów, jak ta Ruby w Savannah.

To w trakcie tych rozmyślań zobaczył Emily Thompson. - Hej, Will, mruknął do siebie. Popatrz tylko. Czy to twoja siostra Thompson, czy mam jakieś zwidy?

Jeśli rzeczywiście zobaczył ją, nie była już pielęgniarką w niebieskim stroju, lecz damą w czerni, bez palta, włosy miała rozdzielone pośrodku głowy i mocno ściągnięte na uszach. Szła w jego stronę, ciągnąc za sznurek dziecinny wózek i aż przechylała się przy tym do tyłu, gdyż, na ile Arly zdołał się zorientować, wózek załadowany był wiktuałami - znajdowało się tam parę worków mąki, drób jeszcze nie oskubany, żywność w wekach. Gdy zobaczył dwóch chłopaczków, pomagających pchać wózek wyciągniętymi rękami, uznał, że to jednak nie może być siostra

221

Thompson. Ale, na wszelki wypadek, mocniej wcisnął melonik na głowę, by nie rozpoznała go po rudych kędziarach, i podniósł kołnierz płaszcza, skrywając zarost.

Przeszła obok, w ogóle na niego nie spojrzawszy, a gdy słońce padło na jej twarz, zobaczył, jak jest wymęczona - wokół oczu miała kurze łapki, na policzkach smugi od zaschniętych łez, zaciśnięte usta tworzyły ciekłą kreskę.

Arly'emu w tym momencie przyszły do głowy dwie myśli. Po pierwsze, że to absolutnie nie jest siostra Thompson. Po drugie, że nigdy nie uważał jej za ślicznotkę.

Popatrzył na długą kolejkę, ciągnącą się przed nim, a potem znowu na Emily Thompson, która wyszła z rynku i przechodziła przez ulicę, po czym zaczął kombinować. Po chwili siedział obok Calvina na wozie.

- Nie widzę żadnej wałówki - stwierdził Calvin.

- Jeszcze szanowny pan zobaczy. Popędź no tego głupiego muła, a ja ci powiem, jak masz jechać.

Arly postanowił za jednym zamachem zaspokoić podwójny apetyt. Na głos powiedział: - Ponieważ cielesne żądze nie mają już do ciebie przystępu, nie będziesz miał nic przeciwko temu, że ją wypróbuję, co trzeba ci było zrobić, jak miałeś okazję.

- Co takiego?

- Nie do ciebie mówię, Calvin. Tu jest, za rogiem. Weszła na przestronny dziedziniec przed plebanią, która

wyraźnie ucierpiała od ognia. Frontowa ściana była wypalona, połowa dachówek wyrwana, dzikie wino zwisało, czarne i oklapnięte jak zdechłe węże.

Calvin zatrzymał wóz przed frontową bramą. Emily stała u stóp schodów prowadzących na ganek, Arly zaś już miał zeskoczyć i podejść do niej, nie dbając o to, czy go rozpozna, gdyż nie był teraz w wojsku i nic mu nie mogła zrobić, gdy w drzwiach ukazała się zażywna Murzynka,

222

a potem wyskoczyło z nich kilkoro dzieci. Potem drzwi znowu się otworzyły i wybiegła z nich następna gromadka dwadzieściora czy trzydzieściora szkrabów, które stłoczyły się na dziedzińcu, by zobaczyć, co też Emily Thompson przywiozła z targu.

- Ale tłum bachorów - rzekł Arly. - A niech to szlag. Co mam zrobić z takim tłumem dzieci?

Patrzył, jak kilkoro zeszło ze schodów, by coś zabrać - kurczaka, gęś, wek, garniec sorga - i wnieść do domu. Worki ryżu targała Murzynka.

Były to jakieś straszliwie poważne, dziwne dzieci. Nie robiły najmniejszego hałasu.

Emily przyłożyła jedną rękę do czoła, drugą oparła na biodrze. Ta poza wydała się Arly'emu niezmiernie powabna, świadczyła bowiem o rezygnacji, rozpacz czy poddaniu się przeszłym i

przyszłym wyrokom losu, co Arly ewentualnie mógłby wykorzystać. Ale gdy tak siedział, pogrążony w myślach, Calvin wyskoczył z wozu i wyciągnął wielgachny aparat oraz trójnóg. Co ten cholerny czarnuch wyczynia?

Arly patrzył, jak Calvin podchodzi do kobiety, chwilę z nią rozmawia, a potem cofa się i ustawia aparat jakieś dwadzieścia stóp od niej. Arly uznał, że pora wkroczyć i objąć komendę. Wszedł na dziedziniec pewnym krokiem zawołanego fotografa, powiewając połami płaszcza Josia-ha Culpa.

- Co ty do diabła wyprawiasz, Calvin? - wyszeptał. Jednocześnie uśmiechnął się do Emily Thompson i uniósł kapelusz, choć nie na tyle, by zdołała mu się dobrze przyjrzeć.

- Robię, co się należy, to znaczy dobrze patrzę - odparł Calvin. - Patrzę na tę kobietę i te sieroty.

- Tak powiedziała, że to cholerny sierociniec?

223

- A co by to mogło być, jeśli ma pan oczy do patrzenia?

- Stawiasz się, Calvinie? Nie będę tak uprzejmy, jak wobec twojego pana Culpa, i nawet cię nie pochowam.

- Niech pan robi, co pan uważa - odparł Calvin. - Tak na oko, przy tym świetle wychodzi dwadzieścia sekund. -1 wcisnął kliszę do aparatu.

Podczas gdy Calvin ustawiał dzieci do zbiorowego zdjęcia, Arly, by zachować twarz, wsadził głowę pod czarne sukno i udawał, że nastawia obiektyw. Ale tu, w ciemni, bez spojrzeń obcych oczu mógł przypatrywać się Emily Thompson. Była sylwetką na szkle. Patrzyła wprost na niego, otoczywszy ramionami dzieci, stojące po jej obu bokach. Za nią, na stopniach werandy, ustawiły się kolejne rzędy sierot, wyprostowanych zgodnie z zaleceniami Calvina. - Stójcie absolutnie nieruchomo - poinstruował głośno Calvin. - Jak żołnierze, na baczność. - A z tyłu stała czarna kobieta z workiem mąki na plecach. To również był pomysł Calvina.

Ale uwagę Arly'ego przykuł widok Emily. Wezbrało w nim niepojęte uczucie, które, gdyby zdolny był je zrozumieć, określiłby jako współczucie. Niepokoiła go pomniejszona na szkle postać kobiety, patrzącej mu prosto w oczy, co wykluczało wszelkie jego interesowne machinacje. Sprawiała wrażenie roztargnionej i przez chwilę, nim wymazał ten obraz z pamięci, jej postać przywołała mu wizję jego samego, gdy jak ostatni idiota łytał na nią lubieżnie spod czarnej płachty.

- Gotowe, panie Culp - krzyknął Calvin. - Można naświetlać!

I Arly poczuł, że wpatrywała się weń, jakby wiedziała dokładnie, kim jest. Zrób zdjęcie, zdawała się mówić Emily. Zdejmij nas takimi, jakimi jesteśmy. Patrzymy na ciebie. No, rób to zdjęcie.

224

- Gdyby powiedział coś innego, cokolwiek, byle nie to, co powiedział, gdybym miała sposobność do zmiany zdania, gdyby zaczął mi wmawiać, że bardzo mnie potrzebuje, próbował mnie przekonać, że w tym wszystkim kryje się jakiś ludzki pierwiastek, zostałabym. Ciągnęłabym to z nim. Druga w nocy? O tej godzinie nie podejmuje się spokojnych, racjonalnych decyzji, powiedział. Zegarek w jego ręce i

Emily w drzwiach, ubrana w czarny, żałobny strój, który miała na sobie tej nocy, gdy wyjechała z domu, z walizą u stóp - to, jak wszystko inne, da się zdiagnozować. Byłam przemęczona, być może ogarnęła mnie histeria i działałam pochopnie. Co należało zrobić? Środek uspokajający? Brandy? Pieszczota? Bolesny, zadziwiony wyraz tych rozszerzonych, nieprawdopodobnie lodowato niebieskich oczu. Czy mnie zlekceważył? Chciałam dotknąć swoich włosów, poprawić suknię. Czułam się stara i brzydka. Na kurtce jego munduru widziałam ciemniejsze plamy unijnej krwi. Robił notatki. - Nie sprowadzaj życia do czułości, Emily. Przed chwilą widziałem człowieka, któremu z czaszki wystawał kolec. Wyobraź sobie! Nagły pożar czy jakiś wybuch rzucił nim z taką siłą, że wbił się w mózg. A jednak pacjent uśmiecha się, rozmawia, zachował wszystkie władze umysłowe z wyjątkiem jednej. Niczego nie pamięta, nawet jak się nazywa. Powiedz mi, co to znaczy. - To znaczy, że ma szczęście - powiedziałam. Uśmiech. Nie, jest dość nieszczęśliwy. To znaczy, że czegoś się dowiedzieliśmy. Doktor nadal naucza. Po co? Boże drogi, po co? Niezależnie od nastroju, moja zdolność obserwacji wysoko oceniła świeżo wyrosłą brodę - to bujna, czarna, męska broda, bardzo twarzowa. A jednak, gdy się do mnie zbliżył i położył mi ręce na ramionach, poczułam wstręt. - Niech mi pan da spokój - powiedziałam, uwalniając się z jego uścisku. Wiedziałam

225

naturalnie, że coś tracę. Wiedziałam, co rodzi się z uczucia z zasadami. Zimne, mroczne życie, oparte na uczuciu z zasadami. To życie mojego brata Foster'a w grobie. Ale chciałam wrócić do domu, jeżeli on nadal tam stoi, chodzić po pokojach, przypomnieć sobie, kim byli Thomp-sonowie, przeczytać jeszcze raz wszystkie książki, wziąć do ręki wszystkie rzeczy, które są mi drogie i żyć sama w oczekiwaniu na armię, dla której to maszerujące wojsko jest zaledwie fanfarą. Nie widziałam wtedy jeszcze sierocińca. Nie widziałam dzieci, pozostawionych samym sobie, pod opieką tylko jednej Murzynki. Chciałam wrócić do domu, usiąść i czekać. Pożegnaj się z kochaną Pearl. Po raz ostatni przyznam Mattie Jameson, że rzeczywiście jestem córką sędziego Thompsona z Milledgeville. Nie sprowadzam życia do czułości, doktorze Sartorius. Wzbogacam życie o sentymenty. Nie wytrzymam już dłużej tego marszu. Nie wybaczę tego, co tu się wyprawiało, zaślaniając się wojną. Nie wiem, jak pan może to wytrzymać, jak pan może się z tym pogodzić. - Nie godzę się z tym - powiedział. - A jednak stanowi pan część tego wszystkiego, trybik w tej maszynie, więc jest pan współwinny. Przywołując pana, wmawiają sobie, że są cywilizowani. - Twarz zapłonęła mu gniewem. Wiedziałam, że jestem strasznie niesprawiedliwa. Chciałam zniszczyć w sobie wszelkie dla niego uczucia. Chciałam zniszczyć najmniejszą czułość czy wzgląd, jakie mógł dla mnie żywić, by mnie nie zatrzymywał. A jednak chciałam, by mnie zatrzymał.

Dobry Boże, proszę, pomóż mi. Nawet teraz, gdyby wrócił i szukał mnie, pobiegłabym do niego. Na skrzydłach.

Cześć trzecia

PÓŁNOCNA KAROLINA

Tdy Hugh Pryce, z londyńskiego „Timesa”, wystąpił o akredytację jako korespondent wojenny przy Armii Zachodu, na rozmowę wezwał go sam generał William Tecumseh Sherman. Sherman nienawidził dziennikarzy

- mieli paskudny zwyczaj opisywania wszystkiego, co robi wojsko, tak że każdy, nawet generał secesjonistów, mógł przeczytać o tym w gazecie. Ale nade wszystko nienawidził angielskich dziennikarzy. - Wasze przekłute rynki bawełniane finansują Południe - powiedział do Pryce'a.

- Gdybym nie wziął wtedy Atlanty, parlament by się do tego wtrącił. Nic mnie nie obchodzi pańskie listy uwierzytelniające, jak dla mnie jest pan cholernym szpiegiem. Gdy wojsko odbywa marsz, nie wolno panu wysyłać żadnych depeesz.

Nieufność generała pochlebiała Pryce'owi. Ten młodzieniec kochał przygodę, toteż od razu ruszył na teren działań wojennych, wmieszał się w szeregi wojska i często udawało mu się dotrzeć do miejsca walk. W polu czuł się dobrze, trudy kampanii nie doskwierały mu. Jasne, że nie był szpiegiem. Posłusznie trzymał dla siebie swoje notatki, póki nie zdobyto Savannah. Wówczas, gdy czasowo zawieszono zakaz wysyłania depeesz, druty aż iskrzyły od jego korespondencji.

Teraz, gdy wojsko maszerowało na Pomoc, Pryce mógł tylko robić notatki i upychać je po kieszeniach. Choć niecierpliwie wyglądał chwili, gdy wolno mu będzie wysłać

230

sprawozdania, więcej rozmyślał o książce, którą napisze po powrocie do domu. Bo było faktem, że fascynowała go ta amerykańska wojna. Ten wiejski ludek działał mu na wyobraźnię - sześćdziesiąt tysięcy kmotków, wymachujących pięćdziesięciokilometrową niszczycielską kosą po bujnej niegdys ziemi. Większość ludzi, z którymi rozmawiał, nawet młodszy oficerowie, nie była zbyt rozgarnięta - Południe musi spotkać kara, Murzynom trzeba dać wolność - taki był poziom ich refleksji. A „wujaszka Billy'ego" otaczali uwielbieniem wręcz dziecięcym (straszny byłby los kmiecia, który o Cromwellu powiedziałby „wujaszek 01-lie"). Ale byli nieustraszeni. Widział, jak budują mosty, rozbierają tory kolejowe, zdobywają szczyty i przebywają piętnaście, dwadzieścia pięć kilometrów dziennie, niezależnie od warunków terenowych czy pogody. Byli straszliwymi prostakami i niezrównanymi żołnierzami.

Czyż jest wojna potworniejsza, bardziej zażarta i obmierzła od wojny domowej? Żadna wojna między narodami nie może się z nią równać. Generałowie z Pomocy i Południa znali się nawzajem - studiowali razem w West Point albo walczyli ramię w ramię w wojnie z Meksykiem. W Anglii, naturalnie, toczyły się wielkie i krwawe wojny domowe, lecz działo się to w zamierzonych czasach, o których uczą się uczniowie elitarnych szkół. Amerykańską można było oglądać na własne oczy. A choć konflikt Yorków z Lancasterami miał równie krwawy i brutalny charakter, były to walki wręcz - na topory, piki i maczugi. A ci faceci byli zabójcami z ery przemysłowej, mieli karabiny reperujące, które zabijały z odległości tysiąca metrów, kartacze, które mogą zdziesiątkować nacierającą formację liniową, armaty, działa polowe, pociski, które potrafią zburzyć całe miasta. Ich wojna jest tak bezosobowo mordercza, że wszystkie poprzednie wydają się przy niej zabawnym dziwactwem.

M

231

A jednak coś ze starodawnej kultury wojskowej przetrwało. Brutalna romantyka wojny nadal objawia się w braniu łupów. Każde zdobyte miasto jest dla wojska nagrodą. W tej wiosce znajdują zadziwiające zapasy wina, w tamtej spichlerz, wyładowany po krokwie, tu stado krów, ówdzie

zbrojownię, domy, które można splądrować i niewolników, których wciela się do wojska. Jest w tym coś bezsprzecznie klasycznego, czyż bowiem inaczej zaopatrywały się armie Grecji i Rzymu? Czy nie tym sposobem żołnierze Aleksandra utworzyli imperium? Gdy wojska najeźdźców rozkładały się obozem, zajęte ziemie traktowały jak swoją własność, rządziły się jak u siebie w domu i brały też dla siebie miejscowe kobiety, wychodząc poza strukturę czysto wojskową.

Gdy brygady czołowe Dwudziestego Korpusu miały wkroczyć do Pomocnej Karoliny, Pryce uznał, że bezwzględnie musi dołączyć do „maruderów”, jak mało chwalebnie przezywali samych siebie żołnierze oddziałów furazowych. Bez trudu znalazł towarzyszy, chętnych przyjąć go do swojego grona - oddział kawalerii generała Kilpatricka. Był jasnowłosym, wysokim, grubokościstym Anglikiem, o czerstwym, szczerym obliczu, na którym często gościł uśmiech, toteż gdy przedstawił się jako reporter, wymachując notatnikiem, jakby było to niezmiernie tajemnicze narzędzie pracy, jakiś żołnierz z radością podał mu i przeliterował swoje nazwisko, a Pryce skrupulatnie je zapisał, choć na nic mu się ono nie zdało.

Umiał jeździć konno, ale wierzchowiec, którego mu przydzielono wśród wybuchów śmiechu, okazał się mułem o grzbiecie tak siodłowo wygiętym, że Pryce stopami ocierał się o ziemię. Przyjął to z humorem. Jego oddział składał się z dwudziestu kilku kawalerzystów, umundurowanych w co tam mieli pod ręką, co tworzyło osobliwą

232

mieszankę stylów. Dowodził nimi sierżant, mężczyzna w średnim wieku, z siwą, szpeciniastą brodą i kłapką na oku. Ciągnęły z nimi dwa wszechobecne wojskowe wozy, pokryte białym brezentem.

Nie zaczęło jeszcze świtać, gdy reszta obozu rozpałała poranne ognie, by uwarzyć przy nich śniadanie, a sierżant poprowadził oddział Pryce'a głównym traktem, potem zaś przez sosnowy las szlakiem, którym drwale ciągnęli drewno. Tu poszycie z brązowych sosnowych igieł było tak grube, że prawie nie słyszało się tętentu zwierzęcych kopyt. Pryce ubrany był w długie kalessony, spodnie z samodzielnego sukna i grubą flanelową koszulę. Kubrak miał podbity baranicą, a szyję owinął klubowym szalikiem. Mimo to zauważył, że rozciera sobie ręce. W lesie panował chłód, gdyż wysokie drzewa tworzyły coś na kształt krypty. A ostra woń sosen, zda się, wbijała jeszcze zimno w oczodoły.

O ile Pryce zdążył się zorientować, oddział wyprzedzał główne siły, kierując się na północny wschód. Jechali w tempie patrolu przepatrującego okolicę, z wyraźnym celem, lecz bez ustalonego kierunku. Po jakimś czasie droga przed nimi zaczęła się przejaśniać i Pryce pogratulował sobie zmysłu orientacyjnego, w istocie bowiem zmierzali na wschód, gdyż wierzchołki wysokich sosen zapłonęły na złoto. Po paru minutach poczuł ciepło na udach, kiedy przejeżdżał przez snopy światła. Potem, nagle, rozpostarł się przed nimi promienny poranek.

Zatrzymali się na brzegu rzeki. Nieco dalej znajdowała się drewniana kładka, po której przejechali, jeden za drugim, do następnego sosnowego lasu. Tu drzewa były jeszcze wyższe i tak gęste, że nie wpuszczały słonecznego światła. Zwierzęta musiały przeciskać się między pniami. W mroku tego boru zaczęło Pryce'a dławić w gardle na

233

myśl o niebezpieczeństwach, na jakie naraża się oddział furazowy. Byli wszak małą grupką wypadową na terytorium rebeliantów, o których zamiarach nie mieli pojęcia.

Dwadzieścia minut później znajdowali się na drodze biegnącej wzdłuż leżących odłogiem pól, odgradzonych niskim kamiennym murkiem. Po jakichś trzech kilometrach stał się on nieznośną zawadą. Na znak, dany przez sierżanta, jego ludzie zeszli z koni i rozebrali stos kamieni na taką szerokość, by mógł przedostać się wóz, i niebawem galopowali przez pole, a za nimi truchtem podążał Pryce, którego wyprzedziły nawet wozy. Teraz zobaczył cel ich wyprawy - okazały biały dwór, którego wejście zdobyły greckie kolumny. Przejechawszy przez drogę, zobaczyli przed sobą wielką połąć murawy, którą przecinał kręty, wysypywany żwirem podjazd, wijący się wśród wypielęgowanych gazonów azalii, różanych krzewów i starannie przyciętych żywopłotów. Pryce miał wrażenie, że znalazł się w którymś z hrabstw środkowej Anglii.

Gdy dogonił resztę, zdążyli się już ustawić w dwa rzędy przed rezydencją. Na werandzie stał starszy mężczyzna. Był w szlafroku i rannych pantoflach, a siwe włosy miał nieuczesane. - Cassius! - krzyknął starzec, głosem głębokim i ochrypłym. Pojawił się Murzyn. - Cassius - powiedział starszy pan, nie zniżając głosu ani nie patrząc na służącego, który stał obok niego w pokornej postawie. - Pokaż tym unijnym żebrakom to, czego tu szukają.

Żołnierze, których obdarzono tym mianem, nie poruszyli się. Nadszedł służący, taszcząc fotel. Stary pan zasiadł w nim. Pojawiły się dwie białe kobiety, jedna z szalem, by okryć ramiona starca, druga z kocem, który położyła mu na kolanach. Patriarcha z królewskim spokojem wpa-

234

trywał się w unijnymi żołnierzy. Powiedział coś do jednej z kobiet, która z powrotem pospieszyła do środka. Powiedział coś do służącego, który, przez cały czas wpatrując się w żołnierzy, zszedł z ganku bocznymi schodkami i pobiegł za dom.

Hugh Pryce zdawał sobie sprawę, że maruderom zrobiło się nieswojo i znacznie bardziej woleliby walczyć w walnej bitwie. Stary plantator siedział z rękoma na oparciu fotela, a pod jego spojrzeniem spod siwych, krzaczastych brwi czuli się jak motłoch, banda rabusiów i złodziei. Pryce wiedział, kim jest ten starzec. Może miał inny akcent, prostackie maniery, ale był tu panem, kolejnym potomkiem bogatego rodu, od dnia narodzin przywykłym do szacunku i względów. Takim wielmożą był ojciec Pryce'a. Pryce obrał karierę dziennikarską i uciekł do Londynu, by nie stać się takim pozłacanym bożkiem. Iluż z nich w ogóle nie miało pojęcia, jakimi żałosnymi głupcami okazaliby się, gdyby ściągnąć z nich blichtr ich sfery.

Niebawem cała procesja niewiast z tej rodziny ustawiła się za fotelem starego plantatora. Były one w różnym wieku, w tym również trzy małe dziewczynki - być może znajdowała się wśród nich jego żona, ale musiały to być siostry, córki i siostrzenice, kuzynki i wnuczki, gdyż wszystkie wykazywały rodzinne podobieństwo, miały bowiem wymizerowane twarze, wystające kości policzkowe i wąskie oczy.

Właśnie gdy Pryce zaczął się zastanawiać, gdzie też mogą być niewolnicy, gdyż jeszcze nie widział zdobytej plantacji czy podbitego miasta, gdzie dziesiątki Murzynów nie wybiegłyby witać swych

wyzwolicielei, paru wyłoniło się zza węgła domu, a potem jeszcze następni. Sunęli sznurem, apatyczni, w ubraniach zbyt cienkich jak

235

na takie zimno, niektórzy bosj; kobiety miały włosy owiązane chustami, mężczyźni przeważnie byli przygarbieni, nieogoleni, starszawi, a dzieci również zachowywały się cicho i szły ze spuszczoneymi głowami, jak dorośli, aż wreszcie przed gankiem naprzeciwko starca zebrało się z pięćdziesięciu czarnych. Pryce trącił muła i wmieszał się między żołnierzy. Przez podarte kurtki dostrzegł blizny na plecach Murzynów. Jeden z nich, o kulach, nie miał lewej stopy.

- No proszę - rzekł stary plantator głosem głębokim i ochrypłym. - Ci jankesi przyszli was uwolnić. Odwróćcie się i popatrzcie na nich. Tu ich macie.

I rzeczywiście, niektórzy niewolnicy obrócili się i posłusznie spojrzeli na żołnierzy, którzy poczuli się zbici z tropu sposobem, w jaki stary plantator skwitował ich przybycie. Jakby wszystkich, niewolników i żołnierzy, uznał za jedno lichy. Konie poruszyły się. Jeden z żołnierzy strzyknął strużką tytoniowego soku. Inny uniósł karabin, wymierzył w okno na piętrze i krzyknął: - Łubudu!

Pryce zmarszczył brwi. Czy to wszystko? Gdzież owo niepohamowanie, którego spodziewał się po maruderach?

- To wam mieli zafundować ci jankesi, co? - rzekł starzec. Myślicie, że nie wiem? Myślicie, że nie wiem dokładnie, co się dzieje w tych waszych mózgowicach? Wiem! Wiem, co myślicie, Amosie i ty, Sally i ty, Marcusie, i Josephie, i Silasie i Ślepy Henry i każdy, do najmniejszego dzieciaka - tak, widzę wszystko, co tylko załęgnie się w waszych przeklętych łbach. Bo, wolni czy niewolni, nigdy nie będziecie mądrzejsi od waszego pana.

W tym momencie sierżant obudził się z transu i wysłał wóz oraz paru ludzi, by okrążyli dom z obu stron i zajrzeli do oficyn. Reszta została z nim, na jego znak wyciągnęła strzelby i trzymała je, gotowe do strzału.

-B3O5[

'avo

'Avo;sjo:isxd ytre d 'uuB5[zsnpod i tui

BU AVO5[JOAV cAVOZBjqO TD[lp[

:oubxs bu nuoAijs bu H^tP0

'MOdtlf BIU3IZ91AV3Zjd Op ZOAV AAVO{O5[nMp OU -BAVOJIAV5[3JBZ A

-uazsd

BAVp :B3fefnuoduix 'aizpzsfpod bu -axu bu O5[osXav znf

[\ \ Xzoav

zoAqopz \p\ -trioJMod op imojoS m. 5xs ijbayo^Azsii 3zj3ixqoz 'sxq foiuzod

•xxxxu bz B^Aztepod uisprzosjnuzs Buizpoj bjbo b 'niuop op {BMmazsBuiod i 5xs jpoaqo uiAzo od 'ub|O>[z

005(OBfBOnZJZ '^SOIlijpod 3IS 09ZJB1S I^OBMOJS \pA} OJ

pBU 3XUBAVO{IXUZ BXII fozSBAV fo; Z 3I0fBfsAzj0>['BUjOAV p ^

op xdso>i nxxx "Bxqoxzpi(AV Xd5s i x?itix>['3xmoj a\ uiadiu; saxzp§ srpBd Ap9i5{ b 'oxuop[S Amo^S sizpS bui 3iu Xjop['zoB^nj Xuzo3ia\ pAz U3i 5(Bf spaizpSg -ara 01 'o; 03

•SBZO ZSBAV SIZpfopBU Ap9D['nq3ZJ§Od 0§3I5[SUBfIDS3ZJlIO UIBM IAVBjdAAV 31{s["tAzOZSOJJ SBM O Ztlf 3XS 3XZp3q 3IU UBd ZSB^ 3X0Z0I| 3XU 3IIIUI BU Oq '903xdO fofOMS M SBM BIU §OQ qO3XU X 3iq3IS BU O5UAj XUBpZ 3X03XZp3Q 5§Ojp BU 5r/zAzj}{ I fo^Bp OU 'IUIXU Z Spzpsf 03XAV y -AdB^ AV UIX 3XUpBdM O5J

-√q oo '0>psAzsA\ OBjqBZ Aqsz 'ipsAzjj •Ajnuj x 3iuo5['o{ -pAq sfoui od 'AsBdBz 'osouavAz "efom od xjBqo9[Xzid 'sxu oj '01 00 'o '9pB>j3zo qoxu bu 3z 'oSsiB^p i|Bq33pCzid •Mosd opBis 5{Bf ^bzsSm tti ^bC 'apizpi^ -n5iBjq3z bu -32 'nfsizpop bu pizpo^z "biuilib bjbo xpx xojs - lua

- UIBX "B§Ojp BU |OAV OJ 'IXUBS35[UBf Z OSX 3p JOIBJUBjd p[3ZJ - UIBAV UIBpBXAVOd ZBJ9J V ~

237

O długiej lufie i skrzyń ze starą porcelaną, zdobną rodowym herbem plantatora. Szereg dorodnych mułów stał cierpliwie, przywiązany do jednego z wozów. Dwa czarne rumaki starego zaprzężono do jego powozu, w którym niespokojnie wierciła się piątka Murzynów - trzy kobiety

1 dwóch mężczyzn - wszyscy, którzy wybrali wolność.

Sierżant wszakże nie dał rozkazu do wymarszu, lecz obrócił konia i wpatrywał się w dom. Mocniej nacisnął kapelusz na głowę. Poprawił klapkę na oku. Miał tu coś jeszcze do zrobienia, sprawa nie została zakończona.

Pryce zastanawiał się, czy plantacja ma zostać podpalona. Obowiązywał rozkaz Shermana, żeby nie palić domów, których mieszkańcy nie stawiają oporu. Tu nie napotkali śladu sprzeciwu. Stary plantator wręcz kazał niewolnikom, by zaprowadzili napastników do budynków gospodarskich. Ale zachowywał się wyzywająco. Czy o to chodziło? Nie zwracał się do żołnierzy bezpośrednio, nazywał ich żebrakami i złodziejami.

To najwyraźniej nie dawało sierżantowi spokoju. By łatwiej się z tym problemem uporać, kazał otworzyć skrzynkę whisky.

Pryce nie wziął udziału w naradzie, która się potem odbyła, choć pociągnął łyk, gdy butelka do niego doszła. Panowało ogólne przekonanie, że żołnierz Armii Zachodu Shermana nie powinien puścić płazem zniewagi. A dodatkowym policzkiem była dla nich nieliczna garstka niewolników, którzy zdecydowali się na wyjazd. Nie żeby wojsko tak strasznie chciało ciągnąć za sobą gromadę czarnych. Ale bezwzględność władzy starego plantatora nad umysłami niewolników unijni wyzwoliciele odebrali

jako de facto wymierzony im policzek. Czyż nie jest to forma oporu? A jeśli tak, czyż nie mają pełnego prawa spalić tej cholernej plantacji?

238

Pryce był pod wrażeniem. Gorączkowo zapełniał notatnik. To, że ci zwykli żołnierze, w stopniu nie wyższym niż sierżant, w trakcie pełnienia niebezpiecznych obowiązków zagłębiają się w dyskusję o ważkich kwestiach moralnych, zdało mu się przebłyskiem samej istoty amerykańskiego geniuszu. Nie wyobrażał sobie, by szeregowi żołnierze Jej Królewskiej Mości mogli pogрузić się w takich rozważaniach.

Tymczasem żołnierze zsiadli z koni, przechadzali się i wymieniali uwagi, niczym perypatetyczna szkoła ary-stotelesowskich filozofów. Niektórzy byli w samych koszulach, jakby to poranne słońce w późny lutowy poranek naprawdę przygrzewało. Powstało pytanie, co stanie się z niewolnikami, jeśli plantacja pójdzie z dymem? Czyż to nie na nich wszystko się skrupi? Choć ich los był pożałowania godny, plantacja dostarczała im środków do życia i, rzecz jasna, będą cierpieć jeszcze bardziej, gdy gniew plantatora zwróci się przeciwko nim, jako że przez nich został zrujnowany.

Żołnierze gawędzili i popijali, wcale nie śpiesząc się z powrotem do głównych sił. Murzyni w powozie niespokojnie wymieniali uwagi. Z drżeniem oglądali się na dom. Panowała tam zupełna cisza, nic nie zdradzało, że w środku są żywi ludzie. Teraz również Pryce zaczął się czuć nieswojo. Wsiadł na swego siodłowego muła i czekał.

Drzwi domu otworzyły się i czarny chłopczyk zbiegł ze schodów. Zobaczywszy Pryce'a, małe podbiegł do niego po zwirowanym podjeździe, uniósł ręce i gestami pokazał, że ma posadzić go na siodle, co też Pryce zrobił.

W tym momencie żołnierz, który wszedł na dwukołowy wózek, wziął talerz z porcelanowego dworskiego serwisu i, krzyknąwszy, by zwrócić na siebie uwagę, powoli unosił go, a następnie rzucił w powietrze. Pozostałym podsunęło

239

to ten sam pomysł, gdy bowiem talerz zatoczył łuk i upadł na ziemię, rozbijając się na kawałki, chwycili karabiny i wezwali kolegę, by czynność tę powtórzył. Niebawem ćwiczyli strzelanie do celu, którym była porcelana, choć nie dawało się ustalić, kto trafiał, a kto chybił, gdyż strzelano jednocześnie z kilku karabinów.

Chłopiec, roztrzęsiony, chwycił wodze od Pryce'a i usiłował je ściągnąć, by ruszyć muła. Muł, już wystraszony strzelaniną, stanął okoniem i zaczął kręcić się w kółko, a tymczasem Pryce zobaczył kobietę, która wyszła z domu i podążała w ich kierunku z batem w dłoni. Spośród grona niewiast, które widział wcześniej, zapamiętał ją jako młodszą kobietę w szarej sukni. Zapewne była jedną z córek plantatora albo siostrzenicą, bladą, o wąskich wargach, włosach ciasno ściągniętych do tyłu, wystających kościach policzkowych i podłużnych oczach, jak wszystkie kobiety z tego rodu. Teraz jej spojrzenie nie wróżyło nic dobrego. Z ganku rozległo się wołanie innej kobiety: Martha, Martha, wracaj do domu, Martha! Bicz, który kobieta trzymała w dłoni, to nie był bat na konia, lecz krótszy rzemień, zamocowany na końcu kija, do chłostania niewolników i zamierzała się nim na chłopca. Ale drogę zastąpił jej żołnierz, który poszedł po talerz, cudem nienaruszony po upadku i nagle kobieta,

milcząca i blada z wściekłości, uniosła bicz i cięta mężczyznę po twarzy. A w tym momencie żołnierzom, którzy w ten lutowy ranek usiłowali zachowywać się w sposób dość cywilizowany, resztki opanowania puściły jak od wybuchu bomby.

Żołnierz, z krwawą raną na twarzy, schwycił bat, przyciągnął ku sobie i zwałił kobietę na ziemię. A potem zaczął ją bić, krzycząc i smagając batem zamasyście, raz po raz, podczas gdy ona wrzeszczała, usiłując się odczołgać. - Ty do mnie z batem? - krzyczał. - Do mnie z batem!

239

to ten sam pomysł, gdy bowiem talerz zatoczył łuk i upadł na ziemię, rozbijając się na kawałki, chwycili karabiny i wezwali kolegę, by czynność tę powtórzył. Niebawem ćwiczyli strzelanie do celu, którym była porcelana, choć nie dawało się ustalić, kto trafiał, a kto chybił, gdyż strzelano jednocześnie z kilku karabinów.

Chłopiec, roztrzęsiony, chwycił wodze od Pryce'a i usiłował je ściągnąć, by ruszyć muła. Muł, już wystraszony strzelaniną, stanął okoniem i zaczął kręcić się w kółko, a tymczasem Pryce zobaczył kobietę, która wyszła z domu i podążała w ich kierunku z batem w dłoni. Spośród grona niewiast, które widział wcześniej, zapamiętał ją jako młodszą kobietę w szarej sukni. Zapewne była jedną z córek plantatora albo siostrzenicą, bladą, o wąskich wargach, włosach ciasno ściągniętych do tyłu, wystających kościach policzkowych i podłużnych oczach, jak wszystkie kobiety z tego rodu. Teraz jej spojrzenie nie wróżyło nic dobrego. Z ganku rozległo się wołanie innej kobiety: Martha, Martha, wracaj do domu, Martha! Bicz, który kobieta trzymała w dłoni, to nie był bat na konia, lecz krótszy rzemień, zamocowany na końcu kija, do chłostania niewolników i zamierzała się nim na chłopca. Ale drogę zastąpił jej żołnierz, który poszedł po talerz, cudem nienaruszony po upadku i nagle kobieta, milcząca i blada z wściekłości, uniosła bicz i cięta mężczyznę po twarzy. A w tym momencie żołnierzom, którzy w ten lutowy ranek usiłowali zachowywać się w sposób dość cywilizowany, resztki opanowania puściły jak od wybuchu bomby.

Żołnierz, z krwawą raną na twarzy, schwycił bat, przyciągnął ku sobie i zwałił kobietę na ziemię. A potem zaczął ją bić, krzycząc i smagając batem zamasyście, raz po raz, podczas gdy ona wrzeszczała, usiłując się odczołgać. - Ty do mnie z batem? - krzyczał. - Do mnie z batem!

240

Lecz im dalej starała się odpęznąć, tym mocniej walił, gdyż jej krzyki rozpały go. Żołnierzom dostarczało to nawet lepszej rozrywki niż strzelanie do talerzy, toteż w ciągu paru chwil wokół tej pary zgromadziło się grono gapiów, zasłaniając widok Pryce'owi. Chciał wkroczyć i przerwać to widowisko, ale wiedział, że tego nie zrobi. - To nie twój kraj - powiedział sobie. - Nie twoja wojna.

Przybiegł z krzykiem sierżant. - Ona jest biała, ty durniu, to biała kobieta!

Pryce uznał, że musi jak najprędzej zabrać stąd chłopca, dziecko nie powinno patrzeć na takie okropności. Kobieta już nie krzyczała, lecz zawodziła. Zdzierali z niej ubranie i nad plecami tłoczących się żołnierzy fruwały kłębki i strzępy odzieży.

Sierżant, którego wcześniej zignorowano, doszedł do wniosku, że ta scenka przeradza się w wydarzenie o charakterze wojskowym. Paru ludzi z konwoju ustawił na straży przed domem. Pryce, wyjeżdżający z plantacji, zobaczył, że pan na tych włościach wyszedł na ganek i stał nieruchomo, z kamienną twarzą, jakby nie chciał ujawniać swego cierpienia, by nie dać satysfakcji wrogowi. A zatem w oczach Pryce'a, mijającego ogrody różane i azaliowe wśród krzyków i zawrota głowy, również ten stary człowiek dawał zgodę na wojnę, która takie wydarzenia sprowadzała do incydentu o charakterze wojskowym.

Hugh Pryce prowadził zwierzę po rozległej murawie, po czym przeciął trakt i pojechał przez pola do wyrwy w murze. Od czasu, gdy opuścił obóz z maruderami, minęły jakieś trzy godziny. Ponieważ kolumna marszowa głównych sił ciągnęła się przez całe mile, założył, że jeśli wróci tą samą drogą, odnajdzie korpus, nawet jeżeli wyruszył o świcie. Z tym przekonaniem wjechał w lasy, zdając się na swój zmysł orientacyjny.

241

Chłopiec uspokoił się i, siedząc przed Prycem, pochylony wpatrywał się w las. Ubrany był w liberię - brązowe spodnie zapinane pod kolanami i pończochy, czarne pantofle z klamrą i brązowy żakiet z żółtą lamówką. Pryce pozwolił chłopcu trzymać wodze, co sprawiało mu wyraźną radość. W ciemnym lesie było teraz ciepło i pośród panującej tam ciszy muł posuwał się niespiesznie. Chłopiec miał na imię David. Powiedział, że nie wie, ile ma lat. Nie pamiętał matki ani ojca. We dworze stał za krzesłem dziedzica i machał wielkim wachlarzem z piór. To był jego główny obowiązek. Powiedział, że czasami siadał w powozie obok Cassiusa.

Gdy tak jechali, muł z własnej woli zwolnił. Pryce usiadł wygodnie i rozejrzał się wokół. Promienie słońca przebijały się przez wysokie drzewa, na moment wypełniając mu oczy, które zaraz pogrążyły się w ciemności. Ten dzień zapamięta i bez notatek. Poczł nagle niezwykle znużenie. To nie twój kraj i nie twoja wojna, napomniał się. Więc dlaczego wzięłeś sobie na głowę tego murzyńskiego chłopca?

Ile lat może mieć David - osiem, dziewięć? Chłopiec powziął decyzję, która przerastała możliwości większości niewolników na tej plantacji. To prawda, że dzieci w jego wieku nie myślą o przyszłości ani nie lękają się odmian fortuny, nie przychodzą im do głowy wizje niebezpieczeństw, które powstrzymałyby dorosłego i sprawiły, że przedłożyłby znane utrapienia nad nieprzewidywalne zagrożenia. Dzieci żyją tu i teraz. A jednak, jak wszyscy, słyssał wyniosłą przemowę starca. I jakoś te przerażające widoki, które roztoczył plantator, nie zrobiły na chłopcu wrażenia. Dzieciak wybiegł z domu i zdecydował, że sam będzie kierował swoim życiem. Był to tylko chwilowy impuls, ale wystarczył, by wyrwać się na wolność.

241

Chłopiec uspokoił się i, siedząc przed Prycem, pochylony wpatrywał się w las. Ubrany był w liberię - brązowe spodnie zapinane pod kolanami i pończochy, czarne pantofle z klamrą i brązowy żakiet z żółtą lamówką. Pryce pozwolił chłopcu trzymać wodze, co sprawiało mu wyraźną radość. W ciemnym lesie było teraz ciepło i pośród panującej tam ciszy muł posuwał się niespiesznie. Chłopiec miał na imię David. Powiedział, że nie wie, ile ma lat. Nie pamiętał matki ani ojca. We dworze stał za krzesłem dziedzica i machał wielkim wachlarzem z piór. To był jego główny obowiązek. Powiedział, że czasami siadał w powozie obok Cassiusa.

Gdy tak jechali, muł z własnej woli zwolnił. Pryce usiadł wygodnie i rozejrzał się wokół. Promienie słońca przebijały się przez wysokie drzewa, na moment wypełniając mu oczy, które zaraz pogrążyły się w ciemności. Ten dzień zapamięta i bez notatek. Poczuł nagle niezwykle znużenie. To nie twój kraj i nie twoja wojna, napomniał się. Więc dlaczego wzięłeś sobie na głowę tego murzyńskiego chłopca?

Ile lat może mieć David - osiem, dziewięć? Chłopiec powziął decyzję, która przerastała możliwości większości niewolników na tej plantacji. To prawda, że dzieci w jego wieku nie myślą o przyszłości ani nie lękają się odmian fortuny, nie przychodzą im do głowy wizje niebezpieczeństw, które powstrzymałyby dorosłego i sprawiły, że przedłożył znane utrapienia nad nieprzewidywalne zagrożenia. Dzieci żyją tu i teraz. A jednak, jak wszyscy, słyszał wyniosłą przemowę starca. I jakoś te przerażające widoki, które roztoczył plantator, nie zrobiły na chłopcu wrażenia. Dzieciak wybiegł z domu i zdecydował, że sam będzie kierował swoim życiem. Był to tylko chwilowy impuls, ale wystarczył, by wyrwać się na wolność.

242

- Co mam z tobą zrobić, Davidzie?

- Nie wiem, psze pana.

Pryce czuł, że chłopiec jest szczęśliwy, mogąc kierować tym zwierzęciem, które naturalnie kroczyło własnym rytmem, nie bacząc na rozkazy. Davidowi to nie przeszkadzało, leniwie pociągał za wodze i chichotał, gdy nic się nie działo. I tak posuwali się, krok za krokiem, przez las, a Pryce opierał ręce na chudych ramionkach chłopca.

II

Idy Kilpatrick przekraczał rzekę Pee Dee i wjeżdżał do Północnej Karoliny, powóz generała eskortowali jego sztabowcy. Pędzili, pełni animuszu. Chociaż byli nieogoleni, a mundury mieli obszarpane i zniszczone po wojennych przeprawach, każdy jednak żywił nadzieję, że zwróci na siebie wejrzenie najświeższej zdobyczy generała, słynnej osiemnastoletniej piękności z Południa, Marie Boozer. A jej matka, Amelia Treaster, siedząca u drugiego boku Kilpatricka, również była grzechu warta. Córka miała jasną cerę, niebieskie oczy i pulchne usteczka. Burzę złotych loków, upiętych do góry, przykrywał uroczy czepeczek, wielkości spodeczka. Matka była brunetką, w jej ciemnych oczach igrał diablak. Paliła cygaretkę. Dla Kilpatricka powab Marie krył się w tajemnicy, którą dopiero trzeba zgłębić, podczas gdy Amelia Treaster była wyzwaniem, jako wytrawna znawczyni miłosnej sztuki. Ich sute spódnice wypełniały powóz niczym wielki pióropusz chmury, zasnuwającej tęczę. Te dwie piękności naraz doprowadzały Judsona Kilpatricka do szaleństwa.

Trafił na nie w Columbii, obie przedstawiły się jako zaprzysięgłe zwolenniczki unii. A zatem musiały dołączyć do maszerujących wojsk. Nie były też bez środków do życia. Wykwintny, dwuosobowy powóz, w którym rozpierał się teraz Kilpatrick, należał do nich, a z tyłu ciągnął wóz, załadowany łupami, którymi obdarował je hojny generał, jak również ich dobytkiem - ubraniami, kosztownościami, srebrem, porcelaną i kryształami - jakby wojnę, toczącą się nie tak znowu daleko, uważały za szalony, trwający miesiącami piknik.

Usiłując prowadzić konwersację, by zabawić damy -a nie omieszkał przy tym napomykać złowieszczo o planach generała Shermana wobec stanu Północnej Karoliny - Kilpatrick przez cały czas układał własną strategię na nadchodzącą noc. Marzył mu się bowiem podbój całkowity - chciał mieć je obie. - Zdobędę cię błyskawicznym atakiem, pani - myślał, uśmiechając się do matki. -A z tobą, drogie dziewczę - kombinował, rzucając jej spojrzenie, pełne miłosnej tęsknoty - pójdę, jak to my wojskowi nazywamy, na wojnę pozycyjną.

- Co zrobić - zastanawiał się Kilpatrick - by zawojować te kobiety? Naturalnie, należyte wrażenie robiła na nich jego ranga, władza, eskorta jeźdźców, ale wątpił w ich szczerość, zwłaszcza Marie, która co rusz rzucała spojrzenie ku któremuś z eskortujących ich młodych oficerów. A obie były mile połączane głupawą, cielecą walką o ich względy, jaką toczyli między sobą ci kawalerowie. Każdy starał się galopować obok powozu, by móc się zaprezentować w najkorzystniejszej pozycji: plecy wyprostowane, jedna ręka swobodnie przytrzymująca wodze, druga wsparta na rękojeści szabli.

Uwagę Kilpatricka pochłaniał też siostrzeniec, Buster, jadący w następnym wozie. Wstrętny smarkacz znalazł worek suszonego grochu i stojąc obok woźnicy wydmuchiwał ziarenka przez słomkę, usiłując trafić wuja. Kilpatrick podniósł się i gestem nakazał furmanowi, by usadził chłopaka z tyłu. Szczeniak podziękował mu za to, godząc go boleśnie w wydatny, a przez to tym bardziej bezbronny nos.

Gdy Kilpatrick z powrotem zajął swoje miejsce, obie panie zaśmiewały się. - Generale, ma pan tu strzelca wyborowego - rzekła Amelia Treaster. A więc on również się roześmiał. Ale chętnie zamordowałby małego łobuziaka.

Cały powóz obsypany był ziarnkami grochu, niektóre zaplątały się w fałdy sukien pań. Zaofiarował się je strzepnąć. - To jak ryż na ślubie - powiedział.

Kawaleria jadąca w straży przedniej Piętnastego Korpusu miała zdobyć Fayetteville, jakieś czterdzieści mil na pomocny wschód. Nadchodziły doniesienia, że siły rebelianckie pod dowództwem generała Hardee zmierzały w tamtym kierunku. Fayetteville stanowiło odskocznnię do Goldsboro i Raleigh, ostatecznych celów strategii Shermana.

Co jakiś czas zwiadowcy podjeżdżali do powozu Kilpatricka i ściszym głosem meldowali mu, że kawaleria Hardeego, pod dowództwem generała Wade'a Hamptona, znajduje się na tyłach oddziałów Kilpatricka, podążając za nim jak cień i czekając tylko na okazję do ataku. Hampton urządził na niego zasadzkę pod Aiken i zamierzał zrobić to ponownie. - Po moim trupie - pomyślał Kilpatrick. Ale trudno mu było myśleć o zbrojnych zmaganiach, skoro spowijał go wonny obłok, unoszący się wokół Marie Boozer. Raz po raz, gdy gawędziła wesoło, rzucając Kilpatrickowi spojrzenia spod rzęs, wyobrażał sobie jej zdumione westchnienie, gdy ta dama, dotąd trzymana pod kloszem, pośród dwornych południowych zalotników, obsypywana wyszukаныmi komplementami, po raz pierwszy w życiu, leżąc na plecach, od pierwszego potężnego pchnięcia dozna objawienia, poznawszy wreszcie prawdziwego mężczyznę.

Kilpatrick zatrzymał swoją kolumnę na porębie, nakazał podać paniom posiłek, a sam, przeprosiwszy je, zasiadł pod sosnami w otoczeniu swego sztabu i, obłożony mapami, obmyślał strategię. Zaczai się na Hamptona i przechwyci go. Jeśli generał Hardee w Fayetteville ze-

246

chce stawić opór, znajdzie się bez kawalerii. Kilpatrick nakazał rozwinąć po jednej brygadzie na każdej z obu dróg, po których miał się posuwać Hampton, a trzecią na drodze znajdującej się dalej na zachód, na wypadek gdyby Hampton wybrał bardziej okrężną trasę.

Na swój obóz Kilpatrick wybrał Solomon's Grove, otoczoną bagnami wioskę o parę mil od drogi, którą najprawdopodobniej obierze Hampton. Gdy wydał rozkazy co do rozlokowania żołnierzy, z prawdziwą przykrością kazał wyprawić tam panie, pod eskortą, którą dowodzić miał jego dostojny, siwowłosy adiutant, pułkownik dyplomowany Melrose Mortimer, jak wieść niesie, najstarszy czynny oficer w Armii Zachodu.

Kilpatrick zawołał, by przyprowadzono mu konia. - Melrose - powiedział, dosiadając wierzchowca, gdyż chciał osobiście dopilnować rozwinięcia oddziałów i lepiej poznać teren - powiedz Jean-Pierrowi, że na dziś wieczór zamawiam kolację na trzy osoby. To ma być prawdziwa uczta. Z najlepszym winem. Uczta, słyszysz? Salomon's Grove to pewnie jakaś żalosna dziura, ale wybierz naj-możliwszy dom i postaraj się, żeby paniom niczego nie brakowało. Ja niedługo dojadę. I przypilnuj, żeby mój siostrzeniec siedział cicho. Połóż go spać. I, Melrose, teraz uważaj. Jeżeli po wojnie przez resztę życia chcesz pobierać pełną pułkownikowską emeryturę, nie spuszczaaj oka z tych kobiet.

Kilpatrick podjechał do powozu. - Marie, droga pani Treaster - proszę mi wybaczyć, że przez chwilę będę musiał zająć się tą uprzykrzoną wojną. Zadbam o bezpieczeństwo pań i zobaczymy się ponownie na kolacji.

Uniósł zdobny kokardą kapelusz, trącił konia ostrogami i pogalopował przez las, a za nim z tętentem gnało paru-dziesięciu jeźdźców z jego eskorty.

247

Oddział wyruszył na ten rekonesans późnym popołudniem, lecz pod sklepieniem wysokich sosen, tak charakterystycznych dla Północnej Karoliny, panował wieczorny mrok. Ponura ciemność denerwowała Kilpatricka. Był początek marca i generał uznał, że ludzie z Południa mają właśnie takie cholerne szczęście - pędzą w ciemność akurat, gdy dni robią się dłuższe. W New Jersey, gdzie się urodził, parę mil od oceanu, zawsze świeciło promienne słońce i wszystkie parszywe wyziewy, jakie wyrzucała z siebie ziemia, rozpędzała morska bryza. To na plażach Jersey jako chłopiec po raz pierwszy zobaczył wyraziście zarysowane kształty kobiet, gdy wynurzały się z morskich kąpeli, a spódnice przywierały im do ciał.

Pachniało żywicą i stęchłymi muchomorami i mchami. Jeszcze jeden powód, by tu nie umierać. Podłoże z sosnowych igieł było skompostowane na taką grubość, że gdyby odwalić je łopatą, wydobyłoby się na wierzch krety, żuki i wijące się robale, które nawet nie mają nazwy. Gdzie się podziały ptaki z tego lasu? Gdzieś zniknęły. Ta cholerna cisza była aż podejrzana.

Las stawał się coraz gęstszy i korowód ludzi wił się teraz między drzewami w kierunku zachodnim, póki zgodnie z tym, co pokazują mapy, nie wyłoni się jakieś cztery, pięć kilometrów od pierwszej blokady drogi, którą Kilpatrick kazał założyć. Podążali szlakiem przetartym przez drwali. Na las opadła mgła, jej przejrzyste kłęby otulały drzewa i po chwili Kilpatrick miał twarz tak mokłą, jakby przed chwilą ją obmył. Kropelki wody plaskały mu na rondo kapelusza. Słyszał pomruk burzy, który po chwili stał się głośniejszy. Potem, jakby dając Kilpatrickowi do zrozumienia, że jego wspaniałe plany na ten wieczór postanowiła zrewidować wyższa władza, las rozjaśniło ośle-

as.

'3xs9j od A/Lą oi9xxmsM. xsi9xd bu xu9zs9pj op

ZOOld AVODtUl tIJSBU9p9f 9XS T

•BAVszap op

oiAVB5[SyC{q 9TJ9XAYS M. 3Z '

-os fiM.o{sAuizn 3pu9tuoui iuXj av 1 orąd op ui9iojAvod z gjSmi Sis niu

Z '9

-po f9I5[pZSAV Z 9IS 0^fBZS9ZJ\$Zoj 'O5(SOJJZ9q

USBjAY 0§9f •lfZ9UXUE iC{BUZO p Aq>JBf '9TUfO5[OdS

9iuo>j -tD[pBdn oSgf ijSgzjsop 9tu 9? 'i^BMBpn oą\u

9IU OS OqiV '3ZSnpdB5[IJBUIAzAaY I TUO5[Z I|p9ISZ

uBAU9qo ojjsszid znf Xpo -Xoip>[o od 5xs i|Xzs -oidzoz gizpnj o§9f isj9xd fouopgiuSAzjd z 9is o§9ofefeAV -Aqop 'Biu9zozBqo o§9uozsnpz creuiAzJiSMod oteSoni siu dcjs n {ez

9IUAVOJ

OJ

|nzoZsgp

9is nui

3IU9ZJO5[

O

'TUI9IZ

9is

BIU9ZJ I

-|t>j z9zj<j U9id o

[OAVS

od oS

'IU90ZpZ9f UIXzsd9IfBU \Aq 9tU

AV OBUIAzJin 9TS IJB1S 9U90 fo[J9ZSAV BZ 9IZptl| II

Z9Zid I 5IS /q&ZSO\ds SIUO^J -9ZJJ9IAVod AV 9ftt>B|XM

Xjci5['iuojq uiapBpjs u\Aq biui9iz u\eo Aq5[Bf '5[nq Aofefezs

-tl{S0 UI9J0d B 'BAS.9Zip o

9XS

249

krwi i deszczu. Większość miała ręce związane na plecach i poderżnięte gardła. Byli to kawalerzyści. Na kawałku papieru napisano: TO GWAŁCICIELE.

Kilpatrick wysłał jeźdźca do obozu. Pół godziny później zjawiała się grupa żołnierzy, którzy zsiadli z koni i zaczęli kopać w świetle łuczyw. Kilpatrick ruszył dalej ze swą eskortą i, gdy wyjechali z lasu, na skraju drogi znaleźli jeszcze dziewięć ciał. Tych ludzi również zamordowano, a ich zwłoki rozwleczono pośród innych śladów jatki - rozciętych worków mąki, pszennej i kukurydzianej, części srebrnej zastawy, roztraskanych butelek whisky, a także martwego muła. Kilpatrick kazał zanieść ciała do lasu, po czym przebył parę mil do skrzyżowania z Monroe Road, po której najprawdopodobniej będzie przejeżdżać kawaleria Hamptona. Gdy wraz z dowodzącym pułkownikiem sprawdził rozwinięcie brygady i upewnił się, że zajęli dobrą pozycję, wrócił do lasu, by powiedzieć parę słów nad mogiłami zabitych. Przeszukano i opróżniono im kieszenie, pozbierano listy i zdjęcia, i teraz dwadzieścia grobów, wykopanych w miękkim, leśnym poszyciu, gotowych było na ich przyjęcie. Kilpatrick spojrział na zegarek, z niezadowoleniem stwierdzając, że godzina jest już bardzo późna. Odchrząknął. Żołnierze zdjęli kapelusze. Kilpatrick, którego twarz, oświetlona płomieniem łuczycywa, jaśniała w mroku, rzekł: - Naszych furazowych zamordowano, choć się poddali. Poinformuję o tym generała Whee-lera i zażądam wszczęcia śledztwa. A jeśli się nie zgodzi, stracę jednego rebelianta za każdego zabitego tu żołnierza. Tak mi dopomóż Bóg. Amen.

Kilpatrick, pociągając z lekka nogą, posiniaczony i poobijany po upadku, dotarł do domu, który na jego użytek zarekwirowano w Solomon's Grove, gdzie z lubością

250

wciągnął w nozdrza smakowite aromaty francuskiej kuchni. Nieco popsuł mu się humor na wieść, że pani Treaster, której chciał zakosztować w charakterze pierwszego dania, odjechała z oficerami sztabowymi generała Ridleya, jednego z dowódców brygady piechoty generała Slocuma. Ridley zaprosił panie na kolację w swoim obozie. - Piechocie nie można ufać - mruknął pod nosem Kilpatrick. Zastanawiał się, jaką mówkę palnąc Melrose'owi Mortimerowi, ale gdy zorientował się, że co prawda pani Treaster wyjechała, ale została Marie, serce zabiło mu mocniej, znaczyło to bowiem, że przekłada jego towarzystwo nad wszelkie inne. A matka też zapewne wyjechała, by mnie zostawić na

placu boju? Bardzo możliwe. Subtelne przekazanie władzy, czego należało się spodziewać po mądrej i troskliwej matce.

Kilpatrick stał w saloniku małego domku, odwrócony plecami do kominka, popijając porto. Marie była na górze, szykując się do kolacji. Jean-Pierre wyłożył ulubioną porcelanę Kilpatricka, którą generał przywłaszczył sobie w Savannah, a małą jadalnię o niskim suficie oświetlały świece, ustawione na stole i zamocowane w lichtarzach. - Kiedyż podbój miłosny smakuje słodziej niż w czasie wojny? - rozmyślał. Zauważył na mundurze zaschłe błoto. Błotem oblepione miał też buty. Może powinienem doprowadzić się do porządku. Uśmiechnął się. Na Boga, nie, to właśnie je podnieca. Nie jakiś goguś z Południa z chustką w rękawie. Chcą mieć bohatera. Zabijamy i sami jesteśmy gotowi na śmierć - to je podnieca.

Pomacał się po kroczu i zaczął rozmyślać o czekającym go wieczorze. Przygotował się na walkę, błagania, ale w końcu ta mała nie zdołała mu się oprzeć, zwycięży ją przemożna ciekawość, nawet jeżeli sama nie będzie chciała się do tego przyznać. Znał kobiety. Same przed sobą nie

A

251

przyznają się, czego naprawdę pragną, ale zawsze przychodzi taka chwila, gdy emocje przenoszą je przez próg, jeśli można się tak wyrazić. Panna Boozer pozna wreszcie konsekwencje swych dziewczęcych flirtów. Generał odpowie na nie w imieniu wszystkich południowych samców, którzy umierają z pragnienia, by ją dopaść.

Kilpatrick niecierpliwił się. Spojrzał na sufit, nasłuchując kroków. Pogładził swe sztywne, rude włosy. Nalał sobie następną szklankę porto. Musi napisać do żony.

Na górze Marie poprawiała dekolt. Szklanym patyczkiem musnęła się między piersiami i za uszami. Cudeńka znajdujące się w kosmetyczce dawały jej pociechę, podobnie jak i samo wyścietane puderko z mosiężnymi zamkami i przegródkami, wyłożonymi różowym jedwabiem. Ta chałupa w jakiejś leśnej dziurze nie była tak kompletnie beznadziejna. Marie zdołała zachować swoje TT&zy. Aż dziw bierze, jak to ich życie, prowadzone z rozmachem, na szerokiej stopie, dało się spakować w kufry, skrzynie i puderka takie jak to. Ale przynajmniej mają je przy sobie.

Słyszała, jak generał przemierza salonik. Cała ta cholerna buda trzęsła się od jego butów. - Ten człowiek to idiota - powiedziała mama. - Idiota i prostak. Ale jego ranga ułatwi nam podróż na pomoc. Nie ma już linii kolejowych. On jest naszą koleją. Myśl o nim jako o szynach, po których pojedziemy - dodała i obie się roześmiały.

Obie kobiety dobrze się rozumiały, były bardziej jak siostry niż jak matka i córka. I miały plany. - Jedziemy do Europy, moja droga. Takiego życia jak dotąd, do którego mamy prawo, nie da się już prowadzić na tym kontynencie. Gdy ogłoszą koniec wojny, ona wcale się nie skończy. Znam tych ludzi - ich wojna nigdy się nie kończy.

252

Matka jest mądrą kobietą. Przed rokiem przedsięwzięła odpowiednie środki. Przełała kapitały do banku w Nowym Jorku. Sprzedała ziemię i za uzyskane pieniądze kupiła obligacje federalne - w

tajemnicy, naturalnie, przy pomocy tego starego prawnika Silasa Fentona, któremu z nosa wyrastają kępki włosów i który kiedyś obmacywał jej pierś, gdy mama nie patrzyła. - Och, mamu, jak możesz go znieść - powiedziała. - Marie - odparła matka, jeśli zachowasz swoje zdanie dla siebie, jeśli zawsze będziesz pamiętać, po co to robisz, to wtedy tak naprawdę nic się nie stanie, choć ludzie będą myśleli, że się stało. Pamiętaj o tym. Miałam czterech mężów, a za każdego wyszłam z innego powodu. Kochałam tylko twojego ojca. I to był jedyny mąż, który mnie posiadał. Ten ostatni, pan Treaster, szwenda się gdzieś, udając żołnierza konfederacji. Prędzej przeżyje rozwód niż podejrzenie o brak entuzjazmu dla secesji.

Już wszystko gotowe. Zejdzie po wąskich schodach, jakby wkraczała na bal debutantek w rezydencji gubernatora.

Gdy ten brzydal skierował ku niej wzrok, wyraźnie wyczytała w nim lubieżne łypnięcie. Ciekawe. I cóż to za zabawna mina. A jaki jest dumny z tego idiotycznego rudego zarostu.

Co to za zapach? O Boże, to nasza kolacja, nasza żołnierska kolacja.

Następnego ranka Jean-Pierre wstał przed świtem, by zająć się śniadaniem. Nie odtrąbiono jeszcze pobudki, a choć tu i tam w pobliskim obozie rozpalono ogień, by przygotować posiłek, ludzie przeważnie byli jeszcze w namiotach, a on musiał uważnie patrzeć pod nogi, by nie nastąpić na coś w mroku.

-|| |--| |

253

Wszedłszy do małego domu, poczuł się niemile zaskoczony, widząc, że obiad, na którego przygotowanie poświęcił tyle godzin, praktycznie pozostał nietknięty. Knoty świec jeszcze dymiły. Warstewka skrzepłego tłuszczu leżała niczym przykrywką na wazie z zupą. Francuz był dotknięty do żywego. Ale i wina w karafce prawie nie ubyło. Rozsiadł się i w obłudnym rozgoryczeniu wypił szklaneczkę, liznął też tłuszczu, który zgarnął palcem wskazującym. Nie po raz pierwszy był wściekły na tego zwariowanego generała, który go porwał, nie po raz pierwszy pomyślał o ucieczce.

Jego obecność obudziła pułkownika dyplomowanego Melrose'a Mortimera, który zasnął w holu z głową opartą o biurko. Mortimer spędził wieczór, usiłując nie słuchać dźwięków dochodzących z góry i pisząc listy do niezamężnych sióstr. Mortimerowie byli spokojną rodziną, nie-skłoną do używania życia, a po śmierci rodziców żaden Mortimer z następnego pokolenia - nikt z pięciu braci ani sześciu sióstr - nie uznał za stosowne wstąpić w związek małżeński. Pułkownik Mortimer, żołnierz pozbawiony temperamentu i wyobraźni, uważany był za rodzinnego awanturnika jedynie z racji długoletniej służby wojskowej, choć w istocie znał armię tak, jak posłuszne dziecko zna rodzica.

To wtedy, gdy Jean-Pierre zaczął sprzątać ze stołu, a Mortimer wyszedł za potrzebą, kawaleria rebeliantów wyłoniła się jak duchy z porannych mgieł i z wrzaskiem wpadła do obozu.

Straże zmieciono w mgnieniu oka i już po paru minutach żołnierze stali się bezbronnym celem napastników, Namioty frunęły w powietrze na szablach, konie stawały dęba. Żołnierze odrzucali koce, biegli po karabiny i padali

od kul, inni podnosili ręce w geście poddania. Ale pośród zamieszania, w kłębach białej porannej mgły organizowano opór. Młodszy oficerowie przekrzykiwali ogień karabinowy. Ludzie kryli się za drzewami, inni, przyklękawszy, strzelali ze Spencerów do pędzących koni. Ogniska, na których gotowano posiłki, strzeliły w powietrze, gdy napastnicy trawili kawaleryjskie wierzchowce.

Sygnal pobudki bojowej obudził Judsona Kilpatricka z najgłębszego, najcięższego snu w życiu. Generał zbiegł po schodach w bieliźnie i wypadł na ganek, gdzie potknął się o stopę umierającego Melrose'a Mortimera, który leżał głową w dół na stopniach werandy, a z potężnej dziury w jego kurtce buchała krew.

Skoro obóz Kilpatricka zamienił się w pole bitwy, przede wszystkim uderzyła go myśl, że oto traci wszelkie szansę na awans. Trzej rebełianccy oficerowie wypadli z mgły i ściągnęli konie. - Gdzie jest generał Kilpatrick? - krzyknęli. Kilpatrick wskazał im kierunek, z którego przybyli.

- Tam - powiedział, garbiąc się i pochylając głowę, by okazać im należny szacunek, gdyż tak, w jego mniemaniu, zachowałby się wystraszony młodszy oficer. Gdy tylko jeźdźcy odjechali, generał, nadal w bieliźnie, rozwiązał pęta swemu koniowi, na oklep przejechał przez obozowisko, gdzie walczone wręcz, aż dotarł do lasu, zatrzymując się dopiero wtedy, gdy huk wystrzałów dobiegał do niego z oddali.

Co ma robić? Siedział okrakiem na koniu, nasłuchując własnego oddechu. - A niech to szlag, muszę dorwać się do munduru, jest zimno jak diabli. - Czuł szorstki zad konia między kolanami. Wyczuwał uderzenia jego serca.

- Nie mogą schwytać generała - myślał. - Stracę trochę ludzi i parę koni, ale nie dostaną generała, i to się liczy. Chryste, co za szarża. Odczekam tu chwilę, a potem po

cichu wrócę i obejmę dowodzenie. Tymczasem na pewno przejdziemy do kontrataku. A, słyszę swoje baterie, więc już się zaczęło. Zepchniemy ich na bagna.

Gniadosz Kilpatricka, niemal jakby nasłuchując, z wolna zaczął wracać do obozu. - To upokorzenie, ale cóż, stało się. Zaraz zjawi się piechota, by ratować moje tyły, tak jak to było pod Waynesboro. W porządku, mam przecież zwabiać rebeliantów, wyciągnąć ich z ukrycia, odstąpić ich siły. To właśnie tu zrobiłem.

- Piechota mnie nie lubi, ani Howard, ani Slocum, ani żaden z dowódców korpusów. - Nikt mnie nie lubi, choć nie mogą mi zarzucić, że ich kolumny choć raz zostały zaatakowane, gdy Kilpatrick osłaniał ich skrzydła. Ale Billy Sherman mnie lubi, a on jest główną figurą. Coś wymyślę, nie ma obawy - powiedział głośno do konia i poczochnął mu grzywę.

A co do Marie Boozer, którą, jak sobie teraz przypominał, zostawił w tym domu... Rebelianci muszą być strasznie głupi, skoro się nie zorientowali, że człowiek w bieliźnie na ganku miał najlepszą kwaterę, a zatem musi być najwyższy rangą... to i może nikomu z tego domu nic się nie stanie, jeżeli będą siedzieć cicho. Buster nie będzie i w razie czego dostanie za swoje. Ale ona sobie poradzi.

Niemniej, uciekł bez niej. Będzie musiał się z tego tłumaczyć. - Niezłe ziółko z tej dziewczyny, wystrychnęła mnie na dudka. - Już mam dość, odprowadzi mnie pan do pokoju, generale? - powiedziała Marie Boozer i ledwie tknąwszy najlepszego ragout, jakie Jean-Pierre przygotował w życiu, poprowadziła Kilpatricka na górę, trzymając go za rękę, tak że przy każdym kroku czuł, jak kotysze się jej spódnica.

W sypialni zamknęła drzwi, zrzuciła wierzchnie odzienie tak szybko, że aż świsnęło, potem ściągnęła halki,

256

a na koniec krynolinę, która z brzękiem opadła na podłogę. Jego drżące, łopatkowate paluchy miały rozwiązać jej gorset. Potem, bujna i różowa w koszulce i pończoszkach, przycisnęła się do niego, rozgniatając mu usta, po czym rozpięła mu rozporek i wyciągnęła oręż Kilpatricka, by szybko oszacować jego wielkość. Praktycznie rzuciła mężczyznę na łóżko i gdy go ujeżdżała, widział jej białą, łabędzią szyję.

Nienasycona - pomyślał. - Grzmoci biodrami jak lokomotywa.

A jednak, gdy potem leżała koło niego, śpiąc słodko, jej twarzyczka pod burzą wilgotnych loków wyglądała jak buzia niewinnego dziewczątka. - W nic już nie można wierzyć - pomyślał generał Kilpatrick. - Kompletny upadek moralności. I niech to szlag, zakochałem się w tej przeklętej małej dziwce.

III

N«

I a Cape Fear River rebelianci stawili słaby opór, trochę postrzelali, cofnęli się i niemal natychmiast podali tyły, wynosząc się z miasta; toteż połączone korpusy Armii Zachodu niebawem przekroczyły rzekę, a miasto Fayette-ville spowiło się ciemnoniebieską barwą, jakby abstrakcyjny kolor znalazł sobie organiczną powłokę. Na ulicach kłębiły się tłumy. A jednak dla widza, obserwującego ten potok ludzi, wozów, lawet, powozów, kabrioletów i bryczek, jasne było, że oto wyrusza nie tylko armia, lecz i wysadzona z posad cywilizacja, jakby cała ludzkość puściła się w drogę: czarne kobiety pchały wózki, obok których dreptały dzieci, albo ciągnęły, jak woły, dwukołowe fury, biali zaś mieszkańcy Południa podróżowali w wytwornych karetach, wyładowanych po brzegi i trzeszczących pod ciężarem tobołków i wrzuconych na chybił trafił mebli. Ludność Południa, ciągnąca za Shermanem, to uchodźcy, którzy dołączyli do jego armii, bo nie mieli innego wyjścia. A wszyscy, żołnierze i cywile, byli przygnębieni i przemoczeni po ostatnich deszczach. Włosy oklapły im na głowach, ubrania przywierały do pleców. Piechurzy mieli oczy wbite w ziemię, jak wszyscy wędrowcy od pokoleń, a z ich ciał unosiła się para od palącego słońca, które jedną udrękę zastępowało inną.

A jednak Pearl czuła wiosnę. Gdy wóz medyczny Sarto-riusa toczył się szeroką główną ulicą, stała obok woźnicy, by chłonać wiatr, by zobaczyć, co ze sobą niesie: powiew świeżo zaoranej roli, roślin, butwiejących na zimowych polach i - czy to możliwe? - zapach bzu. Przy krawęż-

258

nikach widziała kępki żółtych krokusów, ledwo wystających z ziemi i gałązki winorośli. Na pewnym ładnie utrzymanym podwórku dostrzegła zielonożółte pączki forsycji. Chciała je pokazać Stephenowi, ale jechał z doktorem Sar-toriusem. Krzyknęła do Mattie Jameson, która wychyliła głowę zza brezentu, mrugając niczym świstak, budzący się z zimowego snu.

- Czuje pani wiosnę, macoszko, czuje pani? - spytała Pearl.

Mattie uśmiechnęła się swym nieobecny uśmiechem. Lecz jakby pytanie Pearl stanowiło zachętę do wystrojenia się, wyjęła grzebień z włosów, rozpuściła je, przeczesła palcami, a potem znowu spięła grzebieniami.

Pearl zastanawiała się, czy kobieta ją rozumiała. O jakiej wiosnie może mówić Pearl z wyjątkiem tej wiosny w Georgii, na plantacji, gdzie przeżyła całe życie, póki nie nadeszła ta wolność? Każdej wiosny, którą dziewczynie dane jeszcze będzie spędzić na ziemi, powrócą jej na pamięć te pierwsze wiosny świadomego życia, gdy przez parę chwil czuła przychylność losu i widziała, że jest coś jeszcze ponad tym codziennym życiem, coś jeszcze ponad jej strachem i batami papy na plecach ludzi tak starych, że mogliby być jej dziadkami, i cierpieniem matki, i przejmującym śpiewem w białej bawełnie, której białość grzebała pracujących na polu robotników, zatapiała ich, jakby bawełna była wodą, a oni nie mogli się z niej wydostać - coś ponad tym wszystkim, nad czym codzienność nie miała władzy. I gdy Pearl była małym dzieckiem, zdawało się jej, że prawdziwy, rzeczywisty Pan powiada: jestem tu, dziecię, byś wiedziała, że jest coś jeszcze ponad tym wszystkim i ukazuję ci to coś w tych małych kwiatach, które wyrastają wszędzie, byś na nie patrzyła, wahała je i widziała, że twój papa nie ma nad rym władzy.

~*

259

Ale może Mattie Jameson rozumiała, bo gdy Pearl na nią patrzyła, uśmiechała się i pewnie myślała o Georgii, i przypominała sobie, że miały wtedy ze sobą coś wspólnego, choć nawet o tym nie wiedziały.

Dobra pogoda była prawdziwym błogosławieństwem dla Shermana, który z największą radością opuszczał Południową Karolinę, ziemię, jak uważał, bagnistą, poprzecinaną rozlewnymi rzekami i zamieszkaną przez ludzi nieszczęśliwych i zbuntowanych. Wszechobecna, zatęchła wilgoć nasilała jego astmę. W piersiach mu grało - bywało, że przez całe dni był chodzącą harmonią. W momentach kryzysowych oddychanie stanowiło akt woli. Zmorą jego życia był wieczny brak powietrza. Dlatego nienawidził wody, dlatego nie mógł spać w zamkniętych pomieszczeniach, lecz tylko na dworze, pod ogromnym czarnym niebem, gdzie gwiazdy dawały mu pewność, że ma dość przestrzeni i powietrza, by móc swobodnie oddychać.

Nie chciał, by Fayetteville stało się drugą Columbią. Wysłał do brygad rozkaz, że mieszkańcy tego stanu mają być traktowani z szacunkiem. To, co tolerował na Południu, nie może się powtórzyć. Ogólnie biorąc, obywatele Północnej Karoliny niechętnie wystąpili z unii, toteż uważał, że nie zasługują na karę, którą wymierzał do tej pory. Ale rozkaz rozkazem, a zważywszy, że w armii służy sześćdziesiąt tysięcy mężczyzn, trzeba będzie przedsięwziąć też inne środki. Wybrał regimenty

Czternastego Korpusu, by strzegły miasta - służyli w nich najbardziej zdyscyplinowani spośród jego ludzi, najmniej niesforni, wywodzący się przeważnie z północnych stanów środkowego zachodu, pobożni i posłuszni.

Fayetteville było sporym miastem i nie tak wiele musieli w nim zburzyć. Odkryli, że w starym arsenale armii

260

amerykańskiej, na wzgórzu naprzeciw miasta, mieści się skład broni konfederatów - karabiny, działa polowe, tysiące beczek prochu. W odlewniach wytwarzano tam pociski armatnie. Warsztaty mechaniczne zastawione były półkami toczonych łoż karabinowych. Sherman rozkazał przygotować cały ten zespół budynków do wysadzenia, gdy wojsko będzie opuszczać miasto. - Wielka szkoda - powiedział do pułkownika Teacka. Ale nie możemy zostawić tu na straży całego oddziału. Objężdżając miasto, pokazywał to fabryczkę, to zakład włókienniczy, a Teack skrupulatnie zapisywał je na liście obiektów przeznaczonych do zniszczenia.

Pozostała jeszcze sprawa zamordowanych żołnierzy. Sherman powściągnął Kilpatricka, który poprzysiągł stracić jednego rebelianta za każdego swojego żołnierza. Ale teraz doniesiono o następnym incydencie - uchodzący re-belianci schwytali żołnierza z oddziału straży przedniej, który wkroczył do Fayetteville, zastrzelili go, a ciało powiesili na latarni. Generałowie Hardee i Wheeler wysłali ostrzeżenia, informujące, co się stanie, jeśli takie ohydne mordy będą kontynuowane. Sherman rozkazał wykonanie publicznej egzekucji na jeńcu konfederacji, wybranym przez losowanie.

Z armią maszerowało pod strażą jakichś trzystu secesjonistów, gdyż wymiany jeńców dokonywano nieregularnie i w dużych odstępach czasu. Obozowali na polu, na wschód od Fayetteville i właśnie siedzieli w rzędach na ziemi, gdy podjechał sierżant kawalerii, zatoczył lassem kręgi nad głowami i cisnął je, najdalej jak potrafił. Jeden z jeńców, chudy, przyszczaty chłopak, o długiej szyi i wystającym jabłku Adama, popularny kompanijny wesołek, podniósł się z uśmiechem i chwycił linę, uznając, że nastąpił jeden z tych okresów, gdy wzajemna wrogość słabnie

261

nieco i obie strony mogą zabawić się w rozgrywki sportowe. Chwilę później lassem omotano go w pasie, mocno przywiązano ręce do boków i wyprowadzono z szeregu. Niektórzy jeńcy zerwali się, zaczęli krzyczeć i wymachiwać pięściami. Ale dziesiątki kawalerzystów stało na straży z karabinami gotowymi do strzału.

Egzekucję wykonano z wszelkimi szykanami: skazańca uroczyście zaprowadzono na główny plac miasta. Przy dźwięku bębnow przeszedł przez dwuszereg ustawionych na baczność żołnierzy, w asyście konnych oficerów. Taka publiczna ceremonia, w obecności przygaszonego, zasmuczonego tłumu, zdaniem Shermana, najlepiej zademonstruje południowym generałom, czego mogą się spodziewać, jeżeli nie zaprzestaną mordów na jeńcach Federacji.

Stwierdzenie zgonu rozstrzelanego jeńca spadło na Wrede'a Sartoriusa. Zdjął zakrwawioną przepaskę z oczu denata. Jedna kula przeszła przez lewy policzek. Pierś była podziurawiona kulami jak rzeszoto,

jedna przebiła też czoło. Wrede skinął głową i oddział pogrzebowy położył ciało na drewnianym wózku, po czym z nim odjechał.

Następnego dnia była niedziela i ukarani mieszkańcy Fayetteville pomaszrowali skwapliwie do kościoła, gdzie ku pewnej konsternacji zjawili się też ludzie w niebieskich mundurach. Ale ranek był pogodny, niebo bezchmurne, a choć nie nadeszły jeszcze ciepłe dni, przynajmniej nie wiało. W wojskowych obozowiskach panował porządek, a żołnierze, którzy po długich marszach pierwszy raz od tygodni mieli wolne, przypominali wielkie stado leniwie pasących się przeżuwaczy.

Nawet grupy maruderów, które rozpiezchły się po okolicy, zachowywały się spokojnie i uprzejmie, gdy gromadnie wchodziły do domów, by zgarnąć koce i puchowe

262

poduszki, dywaniki na derki pod siodła i do namiotów, a także wszelki prowiant, jaki udało im się znaleźć.

Wielu żołnierzy szło nad rzekę, by uprać ubrania, albo wynajmowali do tego czarne kobiety i ta właśnie społeczność czyściochów pierwsza dostrzegła smugę dymu, unoszącą się z komina parowego holownika, ciągnącego od wybrzeża w górę rzeki. Zaczęli krzyczeć i machać, jeszcze zanim okręt wyłonił się zza zakrętu i parę chwil później, gdy świst pary dał się słyszeć w całym mieście; zabrzmiał on w uszach wojska jak radosny komunikat: oddziały, długo odcięte na terytorium wroga, wreszcie nawiązały kontakt z innymi siłami unii.

Sherman był nie mniej podekscytowany od reszty. Tydzień wcześniej z miasteczka Laurel Hill wyprawił kuriera w cywilnym przebraniu rzeką Cape Fear do Wilmingtona, zawiadamiając unijnego generała o swym rychłym przybyciu do Fayetteville. Gwizd pary dał Shermanowi znać, że jego kurier się przedostał. Powiedział mu też, że rzeka jest bezpieczna i że będzie mógł korzystać z dostaw, transportowanych drogą morską.

Na przystani żołnierze zgromadzili się wokół statku, komentując niezbyt przychylnie stan czystości marynarskich mundurów.

Gdy kapitan holownika czekał w przedsiönku budynku arsenału, Sherman, krążąc tam i z powrotem po pokoju, dyktował listy, adiutant zaś pisał jak szalony, usiłując dotrzymać mu kroku. Teack zatrudnił w sekretariacie jeszcze dwóch młodszych oficerów, w tak gorączkowym tempie pracował umysł Shermana. Grantowi opisywał swój zamiar połączenia się w Goldsboro z Armią Ohio generała Schofieldda, dzięki czemu ich siły wyniosą razem dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi. Spodziewał się walnej bitwy

263

z przegrupowanymi wojskami rebeliantów pod wodzą generała Joe Johnstona, jedyne go generała, który się do czegoś nadawał. Nie chciał, by Johnston stanął między nim i Schofielddem, który nadchodził z New Bern wzdłuż Neuse River, toteż czas miał największe znaczenie.

Przed Stantonem w Waszyngtonie chełpił się osiągnięciami swojej armii od wymarszu z Savannah - poniszczone tory kolejowe, zdobyte miasta, przechwycone uzbrojenie. Niech Lee nie wychyla nosa z Richmond, my tymczasem zniszczymy całą okolicę, a wtedy na co mu Richmond?

W worku na pocztę znalazły się listy do szefa sztabu, generała Hallecka w Waszyntonie, generała Terry'ego, dowódcy wojsk w Wilmington i, w sumie, do każdego generała unii, który miał choćby odległy związek z kampanią na południowym wschodzie. Wracam do świata, zdawał się mówić Sherman. „Może moja długa hidżra od czasu Sziloh skończy się przed latem - napisał do żony. - Twoje ramiona, najdroższa Ellen, są moją Medyną”. Maszerował tam i z powrotem, drapiąc się w głowę, pocierając dłonie, a pióra unosiły się, zapisując jego słowa. Wedle pułkownika Tea-cka, ten korespondencyjny szaf mógł oznaczać tylko jedno: generał czuł, że zwycięstwo jest na wyciągnięcie ręki.

Ale nie można było niczego zaniedbać. Gdy Sherman skończył dyktować listy, odwołał Teacka na stronę. - Statek wraca dziś o szóstej do Wilmington - powiedział. - Ta apetyczna uciekinierka, którą Kilpatrick wyłowił z Columbii, jak ona się, do diabła, nazywa? - Marie Boozer

- odparł Teack. - Tak, Marie Boozer - rzekł Sherman.

- Chcę, żeby odpłynęła tym statkiem. Razem z matką. I dopilnuj, żeby Kilpatrick nie popłynął za nią.

Generał Kilpatrick nie widział panny Boozer od czasu utarczki z kawalerią rebeliantów w Solomon Grove, gdzie,

264

w samej bieliźnie, poprowadził zwycięski kontratak. Potem jeden z jego ludzi powiedział mu, że widziano, jak odjeżdżała, okryta jedynie jego osobistym sztandarem bojowym. Utrata sztandaru jest największym upokorzeniem dla generała, ale dla Kilpatricka utrata zarazem Marie i flagi była ciosem druzgoczącym. Dokąd odjechała i z kim? Bo trudno uwierzyć, żeby opuściła pole bitwy w pojedynkę. Jej sakwy i bagaże również zniknęły. W Fayetteville szukał jej wszędzie. Miotał się jak opętany. Umyślił sobie, że jeśli ją odnajdzie, zabierze ją na morza południowe, gdzie zamieszkają na plaży. Będzie łapał ryby i strząsał orzechy kokosowe na obiad. A jeśli zapragnie zostać żoną słynnego generała, skończy wojnę w blasku chwały i będzie kandydował na urząd prezydenta. Jeżeli zaś zależy jej na pieniądzach, dostanie je - w czasie tej kampanii zdołał zgromadzić niezłą fortunę. W Południowej Karolinie jego ludzie natrafili na karawanę, przemykającą się przez las - skarbiec całego banku handlowego w dwóch furgonach. Sejfy wypełnione były sztabami srebra, złotymi monetami, bilonem, obligacjami. Naturalnie, większość tego przekazano kwatermistrzowi Shermana. - Ale moi ludzie zasłużyli na nagrodę, a i ja też. Nagroda za uratowanie mienia przysługuje nie tylko na morzu.

Sztab Kilpatricka martwił się o niego, gdy tak błędził po obozie, jak nigdy zatopiony w myślach, z opuszczoną głową, rękami splecionymi z tyłu, a surowe rysy, tak odpowiednie dla wojownika w polu, przybrały teraz maskę konającego lubieżnika. Wysłał paru ludzi do miasta na zwiady. Teraz otrzymał raport: widziano ją wraz z matką nad brzegiem rzeki.

Był wczesny wieczór, słońce stało nisko na niebie, rzucając zimne promienie, rozsnuwające blade światło na domy i ulice. Kilpatrick wpadł galopem do miasta,

265

rozpędzając pieszych, aż jego wierzchowiec stukający kopytami po deskach nabrzeża zatrzymał się w miejscu, gdzie stał holownik z Wilmington. Tłum zebrał się tam, by odprowadzić statek. Właśnie

wciągnięto trap na pokład, a marynarze przy dziobie i rufie gotowi byli do rzucenia lin. Stała tam, przy barierce, ta cudowna mała dziwka, trzymając rękę na ramieniu obrzydliwie przystojnego młodego oficera. Patrzyli na niego. Kilpatrick, na koniu, uniósł się w strzemionach, jakby miał skoczyć z siodła na pokład. Koń niespokojnie kręcił się w kółko, toteż strzępy rozmowy bieły w koło niczym wskazówki zegara. Co Marie takiego powiedziała? Ten major - Kilpatrick nie rozpoznał go - udający się z rozkazami do Waszyngtonu łaskawie zaoferował się odprowadzić dziewczynę wraz z matką na statek, pływający tu na trasie z Wilmington. Ten przeklęty brykający koń nie chciał stać spokojnie. - Marie

- zawołał - posłuchaj...

Ale w tym momencie ogłuszyły go dwa przenikliwe gwizdy dochodzące ze statku. Wierzchowiec stanął dęba. Marie roześmiała się, a szarmancki oficer przykrył jej uszka dłońmi w białych rękawiczkach. Nie byli jedynymi pasażerami - na pokładzie znajdowali się też inni cywile z Południa. Machali do ludzi na nabrzeżu, a odprowadzający wiwatowali i machali do nich. Z wolna statek wypłynął z doku. Kilwater poszerzył się. U boku Marie pojawił się marynarz i wręczył jej coś - jakby paczkę. - Generale!

- usłyszał jej wołanie, a koń jeszcze raz obrócił się w kółko i gdy Kilpatrick stanął przodem do statku, coś ku niemu przeleciało, rozerwało się, zatrzepotało w powietrzu i uderzyło go w twarz i pierś. Usłyszał śmiech, jej i oficera, a gdy ściągnął to coś z twarzy, statek płynął już z prądem, biały i wyraźny na tle zieloności odległego brzegu. A Kilpatrick został ze swym sztandarem bojowym, spie-

266

nioną niebieską wodą, po której przed chwilą płynął statek, i śmiechem tej bezdusznej dziewczyny, unoszącym się na wietrze.

Następnego dnia przybyły kanonierki i okręty z dostawami kawy i cukru dla wojska. Miały zabrać do Wilming-ton kolejnych białych uciekinierów, którzy ciągnęli za wojskiem. Sherman zainicjował kolejne odbieranie własności. Nic nie mogło utrudniać zbliżającej się kampanii. Liczba wyzwolonych niewolników, którzy zbiegali się do niego od Savannah, przekroczyła teraz dwadzieścia pięć tysięcy bezużytecznych gąb. Sherman postanowił utworzyć z nich odrębną kolumnę marszową, wykorzystując wszelkie dostępne wozy i zapasy, a następnie wysłać ją na wybrzeże pod dowództwem paru oficerów. - Niech kontynuują swój exodus - mruknął pod nosem, byle nie w tym kierunku, w którym podążam ja.

Gdy w trakcie marszu wzrosła liczba chorych i rannych, na mocy specjalnych rozkazów w górę rzeki przyplłynęły statki, by ich zabrać. I tak powolna, żałobna procesja ambulansów sunęła ulicami Fayetteville w ślad za orkiestrą wojskową. Muzyka miała uhonorować bohaterską ofiarę ludzi w wozach, a tak naprawdę zagłuszyć ich jęki i krzyki. Niemniej mieszczuchom, którzy przystawali i wpatrywali się niemo w ciągnący pochód, nasuwały się smutne refleksje nad kosztami wojny.

Na przystani pułkowi chirurdzy, ich asystenci i wojskowi sanitariusze nadzorowali przenosiny pacjentów na noszach przez kładkę do koi na statku. Pearl szła obok chorych, zagadywała jęczących,

przykładała kompresy do ich rozgorączkowanych czoł, trzymała ich za rękę, uśmiechała się i zapewniała, że szpitale na Północy, do których teraz się udają, wyleczą ich rany i zdrowi wrócą do do-

267

mów. Pracującego obok Pearl Stephena Walsha zadziwiało opanowanie dziewczyny. Była silna jak na tak młodą osobkę; on zaś, który dość się napatrzył potworności w czasie walk, odwracał oczy od zabiegów chirurgicznych i miał słuch skażony dźwiękami, jakimi wyraża się ból w swej masie, a wzrok widokiem niezliczonych chorób, których ofiarą pada armia mężczyzn, czyniąc z nich żałosne i dziwaczne ludzkie strzępy, z odrażającymi zmianami skorymi, obłędem, opuchlizną, wstrętnymi wydzielinami - tym bezsprzecznym, bezbożnym szyderstwem z idei ludzkiej godności. Pearl tymczasem sięgała ponad przypadłość ku osobie, którą chory niegdyś był i, jeśli się uda, będzie znowu.

- Dzielna z ciebie dziewczuszka, panno Pearl Jameson -powiedział pewnego dnia, gdy sprząтали po którejś z operacji pułkownika Sartoriusa, przeprowadzonej w warunkach polowych. - Żeby z własnej woli oglądać takie rzeczy.

- A ty, Stephenie Walsh, jesteś mieszczuchem z Północy, który nie zna życia. Bo inaczej wiedziałbyś, że to, co widzę podczas tego marszu, każde dziecko niewolnika ogląda od urodzenia.

Gdy oparzenia Stephena zagoiły się, poprosił o przeniesienie do oddziału medycznego, by mógł być z Pearl. Wrede Sartorius, który zawsze potrzebował pomocników, podpisał niezbędne papiery. Choć służba medyczna zazwyczaj nie przyciąga ochotników, a prawdę mówiąc, przeniesienia do tego oddziału niekiedy traktowano jako karę, Wrede o nic Stephena nie pytał, nie zainteresował się, jakie pobudki nim kierowały ani też w ogóle się nad nimi nie zastanawiał. Natomiast gdy wojsko opuszczało Columbię, kazał Stephenowi usiąść w wozie obok siebie i wykonać szkic: miała to być spora pionowa rama o kształcie skrzynkowym, z siedzeniem, pasami do krepo-

268

wania i ruchomą poręczą. Do konstrukcji tej należało zbić podłogę, a całość przymocować do nadwozia furgonu. Stephenowi nie trzeba było tłumaczyć, do czego ma służyć to urządzenie. Błądząc po szpitalu tej pierwszej nocy w Columbii, zobaczył żołnierza, w którego skroń wbity był kolec. Żołnierz, siedzący na stole, uśmiechnął się do Stephena i pomachał mu, poruszając palcami. Później w nocy pułkownik Sartorius kazał przytroczyć pacjenta plecami do siennika, żeby nie mógł się obrócić w czasie snu. Stephen był zdumiony, że Sartorius bez pytania uznał, iż nowy sanitariusz zna się na ciesielce. A rzeczywiście się znał, umiał się też obchodzić z narzędziami mechanicznymi. Lubił pracować rękami.

W mieście Cheraw, nieopodal granicy z Pomocną Karoliną, w miejscowej zbrojowni znajdował się warsztat mechaniczny i skład drzewny. Zaglądając do wyrysowanego projektu, Stephen zabrał się do dzieła. Na zewnątrz miasto przechodziło zwykłą udrękę. Dochodziły do niego odgłosy płądrowania. Potem żołnierze uczestniczyli w paradzie, bo tego akurat dnia przypadała druga rocznica objęcia urzędu przez prezydenta Lincolna. Ustawiono armaty i ziemia zatrzęsła się od salwy z dwudziestu trzech dział. Stephen wymierzał, piłował i heblował. Przykładał się do swego dzieła, jakby trudził się

nad wyrobem najpiękniejszego mebla. Cieszyło go, że w zbitej przez niego konstrukcji zasiądzie człowiek. Obramowanie obit deskami tylko do pasa. Starannie dobierał kawałki ciężkiego drewna. Umocnił sworzniami rogi. Pasy krępujące zrobił z uprzęży i przyciął żelazny pręt, by pacjent miał się czego uchwycić, gdy wagon będzie się kołysał, wjeżdżał w koleiny oraz na drogi ułożone z pni drzewnych.

Jakim spokojem napełniało go skupienie się na tej robocie. Miał pewność, że to zrobi. Wyrób znajdzie swoją

269

formę i zaistnieje. W chirurgii polowej rozstrzygająca jest tylko śmierć. W czasie marszu nie było jednego miejsca, z którego mierzy się wszystkie inne. Tak jakby ziemia zwijała się maszerującym pod nogami, jakby wojska wyłaniały się z przepływających chmur.

Gdy skończył robić pudło, usiadł w nim i zamknął oczy. Pułkownik powierzył mu wykonanie tego zadania, a on się z niego wywiązał. Poczł przyptływ nagłej lojalności wobec przełożonego. A gdy Wrede przyszedł potem, by obejrzeć pudło, i uznał, że się nada, Stephen Walsh roześmiał się i duma rozparła mu pierś, jakby odznaczono go Medalem Honoru.

Sartorius i jego personel medyczny zostali zakwaterowani w domu na wschodnim krańcu Fayetteville. Wojsko obozowało w mieście przez cztery dni i nazajutrz

O świcie miało na nowo podjąć marsz. O pomocy wszyscy już spali z wyjątkiem Pearl i Stephena. Zeszli ze strychu, gdzie przydzielono im kwaterę, do kuchni, ponieważ Pearl chciała się wykąpać. Zapalili kilka świec, a Stephen wrzucił do piecyka połupane drwa i patyki, by podsycić ogień. Naniósł wody ze studni. Jedno wiadro czekało, a drugie postawił na piecu, by zagrzać wodę. Razem przynieśli cynową wannę ze składziku.

Pearl zdjęła ubranie, gdy Stephen tymczasem napełnił wannę gorącą wodą, a potem postawił drugie wiadro na piecu. - Najchętniej kąpałabym się we wrzątku - oświadczyła Pearl. - Nie ma to jak gorąca kąpiel.

Starł się nie patrzeć, ale jej obecność mężczyzny nie przeszkadzała, choć sprawdziła, czy drzwi są zamknięte,

1 zaciągnęła zasłony. Włosy jej urosły i teraz stała, związując je do tyłu wstążką. Stephen wlał drugie wiadro, a ona, zanurzając palec nogi w wodzie, położyła mu rękę

270

na ramieniu i uśmiechnęła się. Przy nikim nie czuł się tak głupio, nie mogąc sklecić słowa, jak przy tej szczupłej białej Murzynce, która stała przed nim nago.

Usiadła w wodzie po turecku, jak dziecko, opryskała sobie twarz wodą, zanurzyła się aż po ramiona i po chwili znowu usiadła z kawałkiem brązowego mydła w dłoni, którym potarła szyję i piersi, patrząc na Stephena z wyrazem takiej rozkoszy w oczach, że czuł się podle z powodu uczuć, które go ogarniały. A jednak widział, że Pearl doskonale wie, jak na niego działa.

- Umyj mi plecy, proszę - powiedziała. Przyciągnął stołek, usiadł za nią i namydlił jej ramiona

i plecy, posępnie masując każdy krąg.

- No dobrze, Stephenie Walsh - rzekła - wiem, co mężczyźni mają w głowie. Tak, swoje wiem. Ile masz lat?

- Dziewiętnaście.

-A ja nie wiem, ile mam lat. Chyba trzynaście, na pewno nie więcej niż czternaście. Wiem, bo synowie mojej macochy, bracia jeden i drugi, są na świecie, odkąd pamiętam, a brat drugi zeszłego lata miał piętnaste urodziny. A obaj są wyżsi. Więc stąd wiem.

-Nic się nie bój.

-Noo... wiem. Wcale bym tu nie siedziała, jakbym miała się czego bać.

Potem omal nie upuścił mydła, bo powiedziała:

- A kiedy przyjdzie moja pora, wybiorę ciebie, Stephenie Walsh.

Znalazł ręcznik i owinął go wokół Pearl, gdy podniosła się z wanny. Stała nieruchomo, a on przez ręcznik wycierał jej ramiona, plecy, pośladki i uda.

- Przypłynęła łódź pocztowa - powiedziała Pearl -i wszyscy żołnierze napisali listy, a ty?

271

- Nie. Nie mam do kogo.

- Nie masz rodziny?

- Nawet jakbym napisał, i tak by nie przeczytali. Odwróciła się twarzą do niego, trzymając ręcznik przy szyi. - To smutne - powiedziała. - Smutne, smutne, smutne. A ty z samego Nowego Jorku, gdzie wszyscy są za unię. Jadę tam, wiesz?

- Nie. Odkąd to?

- Tak, jak wojna się skończy. List tego biednego porucznika Clarke'a, pamiętasz, mówiłam ci?

-Tak?

- Po co mam go oddawać na łódź pocztową, jak mogę teraz przeczytać adres na kopercie? Zawiozę list jego staruszkom do Nowego Jorku, żeby im opowiedzieć.

- Co im opowiesz?

- Jak zajął się Pearl, ukrył ją i zrobił z niej dobosza, żeby nic się jej nie stało. Muszę ich pocieszyć.

- Jaki to adres?

- Plac Waszyngtona 12, jak przeczytałam.

- W tej okolicy mieszkają bogacze.

- Chyba niektórzy bogacze są dobrzy, jeśli ich syn wstąpił do armii, żeby wyzwolić czarnych ludzi.

Uśmiechała się, twarz nadal miała zroszoną wodą, piwne oczy szeroko otwarte, z włosów wypadła jej wstążka. Pierś Stephena Walsha wezbrała uczuciem tak boleśnie wspinałym, że to jedyne, co mógł zrobić, by nie przycisnąć Pearl do siebie.

- Dwanaście - rzekł, odchrząkując.

- Taak, na placu Waszyngtona.

- Wiem, gdzie to jest. Zaprowadzę cię.

Pearl obudziło światło księżyca, wpadające przez okienko na strychu. Księżyc stał tak wysoko, że świecił

272

jej w oczy. Stephen spał wtulony w jej plecy. Rękę przerzucił przez jej ramiona. Leżeli na materacu z końskiego włosia, który ściągnęli ze stojącego tu łóżka i położyli na podłodze. Choć byli całkowicie ubrani, okrywał ich jedynie cienki koc, niechroniący przed chłodem tej srebrzystej nocy. Pearl leżała nieruchomo. Nagle to obejmujące dziewczynę ramię zaczęło ją irytować. Było ciężkie, toteż wysuwała się spod niego, aż opadło na dzielącą ich przestrzeń.

Zamknęła oczy i usiłowała znowu zasnąć. Wcześniej tego wieczoru ich wóz przejeżdżał przez pola, gdzie koczowali Murzyni. Oczyma duszy widziała teraz ich obozowiska. Widziała swych pobratymców, siedzących wokół ognisk, tu i tam biegające dzieci, namioty, w których spali, wózki na ich rzeczy, czuła zapach gotujących się potraw. I śpiew, smętne zawrodo jak cichy poszept wiatru, jak dźwięk dochodzący z wnętrza ziemi. Towarzyszył jej od urodzenia, modlitewny smutek ich losu na tym padole łez. Teraz o tym śpiewali, ci ludzie tacy jak ona, tyle że nie była tam z nimi, przejeżdżała obok w wojskowym furgonie, w mundurze na grzbiecie i z żołądkiem pełnym dobrego wojskowego jedzenia, a obok siedział biały chłopak, przywiązany do niej, jakby go przykuli łańcuchem. Ale ci Murzyni słyszeli, że zdążają w innym kierunku niż armia generała Shermana, lecz nie wiedzieli dokąd ani co ich tam czeka i czy kiedyś będą wolnymi ludźmi, niepotrzebującymi ochrony wojska.

Nie mogła znowu zasnąć. Dlaczego okłamała Stephen-a Walsh-a? Wiedziała dokładnie, ile ma lat - piętnaście - mama jej powiedziała. Urodziła się dziesiątego dnia czerwca, gdy powietrze miało słodki smak, drzewa były jeszcze świeżutkie i miękkie, i czuło się na nich słońce. Ale opowiedziała mu tę historyjkę tak dobrze, z takimi

273

szczegółami o braciach Jamesonach jednym i drugim, że niemal sama w to uwierzyła. Dlaczego? Stephen jej się podobał, zrobił na niej wrażenie i była mile potechtana tym wyraźnym uwielbieniem okazywanym jej przez dorosłego przecież mężczyznę. Poczowała się pewniejsza siebie, jakby była inną osobą, która da sobie radę w świecie. Bo skoro Stephen się nią zainteresował, Pearl musi dowieść, że miał rację.

Więc dlaczego kłamała? Tak po prostu wypsnęło się to jej, zanim zastanowiła się, co mówi. Jaki miała w tym cel, skoro naprawdę coś do niego czuje? Podobał jej się głos Stephena i sposób bycia, i to, że

jego słowa zawsze zawierały jakąś myśl. Nie głądził o niczym. Była w nim cisza, dająca poznać, że nie jest głupcem, lecz człowiekiem roztroptnym, który nie mówi wszystkiego, co wie. I gniewało go coś w jego życiu, podobnie jak ją w jej. Ten biały mężczyzna miał własne kłopoty i to ją zainteresowało, ale trzymał fason i nie żalił się wszystkim dookoła. Z chwilą, gdy ujęła jego poparzone ręce, poczuła się inna. I miał słodkie usta - czasami musiała się całą siłą powstrzymać, by się nie schylić i nie pocałować ich.

Lecz teraz uderzyła ją myśl, od której poderwała się z materaca i omal nie krzyknęła. Od wyjazdu z plantacji nic tylko łączy się z białymi mężczyznami. Od dnia, gdy porucznik Clarke posadził ją za sobą na siodle, potem nawet gdy była przy samym generale Shermanie, który poczuł do niej słabość, myśląc, że jest dobozem, później, kiedy dzięki pannie Thompson została pielęgniarką u doktora pułkownika i teraz przy Stephenie, zachowuje się jak biała i trzyma z białymi, z białą macochą i kryje swą czarność pod mundurem, który przysługuje białej unijnej armii. O Boże, ogarnął ją taki wstyd, że poczuła się chora. Czyż Jake Early nie postąpił proroczco, gdy wraz

njsoid od oqjB uoBuoiurai m. psizp i{BsLfO5['ipB5[snišo iureoc»[pod Sis innr>[:!Fds 3IU psozs>{5TA\ m. Aoubjj

-ZS3IUI O§3JOP['B^SIJpSIS O§3UBA\OZIUB§JOZ 30p3idBU OS9J

zgps od bjzs piuzod jnuim d5is3izq uoBjod bu Ap xs so^zjbz '>{siuSo A|oidod sz^bj b "bąos pazid

I D9IupSO§

od

'axzpg '

Zjd

osoq

9IU

Z3q 'i

sau

5IS I U9J

UI3U

OUIBS 5JBJ BJAq 3IUIBUI B

dJS 3Z AOOU AV Sizp BUO

z bjbzsj biubui pf ^o

I OJ BU B|BAVZOd 'B5[uAzjnp\['BUO O§9Z0B|Q OMBJd BUI 3Z 'JBUZTI

BU

•"bpsou

BI O^

t?fonx

5IS BXIt?S 'xfOBIAo^ BU 3XXIUI JBp

3xu a>[iu 'Szsoid i b^biu uiB^Xq Apax?['{Bpazjds axuxii Xqaz 'B^Bpąo aż 'xu3lav zspazid y 3iu3Z0Bq
"bxu bu uibui x

xuBd siusBf SfnStifsn pavbu i iuisn i iuiiC{Biq pazjd 5is 5zozsB{d 'oiu -ojq 5is Aqaz 'mo>[iu|oav3iu
uiaqosods 'i{i 'ijoiu OfOJj 5zoB5[s '\pm z "Bupsf oq 'bzsjoS azozssf tuajssf 3|b 'iSojpp szog '9iu \\oq -
•'feoiu

-ZOBpBJ JS3J" 3TU BUO 'BOIUZOZBpBj OJ pq9Z3f Z09q ^pq9Z3f

"fef jbmzbu i OObjqBZ 'fef Aq '^AqAzjd uisspnuiBS ui3|Bqnf z

fłZ

275

przy swoich wózkach i wozach, gapiąc się na nią, gdy ich mijąca. W ich oczach była białą kobietą, markietanką i nawet jeśli ciekawiło ich, co wśród nich robi, nie znizyli się do tego, by ją zagadnąć. Kazano im wyruszyć na własną rękę, w kierunku wyznaczonym przez ich bohatera i wybawcę, generała Shermana. Chcieli go tylko wychwalać i czcić, a teraz ich odprawia, zostawia własnemu losowi, a jaki jest cel ich wędrówki i co ich czeka, gdy już tam dotrą, nie wiedział nikt. Dla tych ludzi, mierzących ją wzrokiem, była reprezentantką generała, jakby ciążyła na niej odpowiedzialność za ich straszliwe rozczarowanie tylko z powodu koloru jej skóry oraz faktu noszenia munduru. Pearl potrząsała głową, jakby z nimi dyskutowała, bo choć się nie odzywali, znała ich myśli. A właściwie co ona tu robi? Sama nie wiedziała. Szukała kogoś, kto ją zna. Może Jake'a Early'ego i jednookiego Jubala Samuela, choć oni na pewno już dawno temu odpadli gdzieś po drodze. Albo Roscoe'a, jeszcze z plantacji - dobrego, prostego, serdecznego jak nikt, który upuścił jej pod stopy dwa złote orły, owinięte w chusteczkę. Pomacała w kieszeni, by się upewnić, że rzeczywiście je ma, co robiła codziennie z dziesięć razy. I przez chwilę, gdy mijąca pewnego człowieka, łysiego chudzielca o wielkich, ciemnych oczach, który się do niej miło uśmiechnął, odsłaniając bezzębne dziąsła, omal nie zawołała „Roscoe!”, myśląc, że to on.

A teraz, widząc to ogromne obozowisko, które wcale nie kończyło się na polach, bo za drogą ciągnęło się dalej, aż do skraju lasu, Pearl ogarnęło poczucie bezradności, które zawsze towarzyszyło jej na plantacji, a całe zadowolenie i radość z pracy w unijnej armii wydały jej się teraz straszliwym skandalem, gdyż troszczyła się tylko o siebie, za nic mając innych, a więc wcale nie była lepsza od takiego właściciela niewolników jak jej tato. Wychodzi na to, że

276

wraz z białą skórą wzięła po nim wszystko co najgorsze, a tych wszystkich nieszczęśliwych ludzi dookoła miała w nosie, zostawiła ich samych sobie, tak jak zostawił ich generał Sherman; ledwo ich wyzwolił, kazał im iść samym po ziemi, która nadal do nich nie należała. I co ona z tego ma prócz najwyższej schronienia przed burzą, jakby była niewolnicą domową, wyglądającą z okna na Murzynów pracujących w polu i zapominającą, że ona również jest cudzą własnością.

Wcześniej tej nocy Hugh Pryce powiedział Davidowi, że umieści go wśród swoich, a z chwilą, gdy wyrzekł te słowa, chłopiec, który trzymał go za rękę, uznał ten uścisk za niewystarczający i przyłgnął do jego nogi, tak że Anglik kuśtykał po obozowisku czarnych, jakby włókł za sobą żelazną kulę z łańcuchem. Jakież to niezręczne, jakie żenujące.

Pryce'owi, który przyjechał z Davidem do Fayettevil-le na małym mule, opieka nad dzieckiem bardzo ciążyła. Chłopiec był zbyt lekko ubrany jak na tę pogodę, więc Pryce zdjął swój pulower i otulił go nim jak płaszczem, obwiązując sweter paskiem. Mały był ciągle głodny. Pryce'owi, dzięki brytyjskiej pogodzie ducha, zazwyczaj udawało się wyzebrać jakieś racje żywnościowe. Ale z murzyńskim chłopcem u boku jakby stracił ten dar - ma-ruderzy żądali pieniędzy za wszystko.

Teraz bardziej był zaniepokojony stanem swego ducha niż zrywem chłopaka do wolności. Nie do niego wszak należało wyzwalamie niewolników, a jednak podniósł chłopca i posadził na siodle. Porywczy czyn, gwałcący nakaz zachowania neutralności obserwatora. Nie zastanawiając się zbyt, założył, że uwolni się od tego ciężaru, że władze Fayetteville zajmą się Davidem. Ale jakie władze?

276

wraz z białą skórą wzięła po nim wszystko co najgorsze, a tych wszystkich nieszczęśliwych ludzi dookoła miała w nosie, zostawiła ich samych sobie, tak jak zostawił ich generał Sherman; ledwo ich wyzwolił, kazał im iść samym po ziemi, która nadal do nich nie należała. I co ona z tego ma prócz najwyższej schronienia przed burzą, jakby była niewolnicą domową, wyglądającą z okna na Murzynów pracujących w polu i zapominającą, że ona również jest cudzą własnością.

Wcześniej tej nocy Hugh Pryce powiedział Davidowi, że umieści go wśród swoich, a z chwilą, gdy wyrzekł te słowa, chłopiec, który trzymał go za rękę, uznał ten uścisk za niewystarczający i przyłgnął do jego nogi, tak że Anglik kuśtykał po obozowisku czarnych, jakby włókł za sobą żelazną kulę z łańcuchem. Jakież to niezręczne, jakie żenujące.

Pryce'owi, który przyjechał z Davidem do Fayettevil-le na małym mule, opieka nad dzieckiem bardzo ciążyła. Chłopiec był zbyt lekko ubrany jak na tę pogodę, więc Pryce zdjął swój pulower i otulił go nim jak płaszczem, obwiązując sweter paskiem. Mały był ciągle głodny. Pryce'owi, dzięki brytyjskiej pogodzie ducha, zazwyczaj udawało się wyzebrać jakieś racje żywnościowe. Ale z murzyńskim chłopcem u boku jakby stracił ten dar - ma-ruderzy żądali pieniędzy za wszystko.

Teraz bardziej był zaniepokojony stanem swego ducha niż zrywem chłopaka do wolności. Nie do niego wszak należało wyzwalamie niewolników, a jednak podniósł chłopca i posadził na siodle. Porywczy czyn, gwałcący nakaz zachowania neutralności obserwatora. Nie zastanawiając się zbyt, założył, że uwolni się od tego ciężaru, że władze Fayetteville zajmą się Davidem. Ale jakie władze?

277

W mieście panował chaos. Wojsko było wszędzie, a dla cywilów życie stało się nieznośne. Nikt nic nie wiedział. W Londynie istniały ochronki dla sierot, z których korzystały niższe klasy, ze spokojnym sumieniem zostawiając na ich progu swe nowo narodzone dzieci, by społeczeństwo zajęło się ich wychowaniem. Naturalnie, były to białe podrzutki, ale niezależnie od wojny, można chyba zakładać, że w każdym cywilizowanym społeczeństwie znajdują się domy dla niechcianych dzieci, nawet jeśli są czarne?

A co najgorsze, nikt nie będzie go traktował poważnie jako dziennikarza z takim przywierającym doń dodatkiem. Coraz gorzej szło mu zdobywanie materiałów. Usłyszał pogłoski, że secesjoniści tworzą wreszcie armię, która liczebnością ma dorównać wojskom Shermana. Gdzie się ona zbiera, jak jest wielka i w którym miejscu stawi opór? - chciał uzyskać odpowiedź na te pytania. Udał się do kwatery głównej Shermana, gdzie kręciło się mnóstwo ludzi, lecz władczy mars na czole dowódcy skrzydła Shermana, generała Howarda, który rzucił okiem na mężczyznę i chłopca, wystarczył, by adiutant poderwał się i zakomunikował Pryce'owi, że nie ma tu czego szukać. A jednak krążyli tam jego konkurenci - korespondenci „Herald Tribune”, londyńskiego „Telegraph”, „Baltimore Sun”. Tu rozgrywają się sprawy o kluczowym znaczeniu dla tej kampanii, a Pryce czuł, że sensacyjny materiał mu umyka.

Ale niektóre tematy same pchały mu się w ręce. Tego popołudnia zapędził Davida na szczyt wzgórza, na którym mieścił się arsenał Fayetteville, gdzie żołnierze burzyli i podpalali budynki. Scena ta miała charakter dziwnie uroczysty - oddziały wojska waliły młotami ciesielskimi w mury, a zaprzęgi dwunastu i czternastu mułów i koni

278

wyciągały fundamenty. Przyglądały się temu tłumy gapiów, którzy od czasu do czasu musieli się uchylać przed płomieniami i padającymi zewsząd płonącymi polanami. David ciągnął Pryce'a za rękaw. - To mi się nie podoba - powtarzał - nie podoba mi się.

A potem jeden z budynków wyleciał w powietrze z potwornym hukiem, rozpętując piekło dymu i ognia, być może w umyśle dziecka na zawsze umacniając ich wzajemną więź, od tej chwili bowiem David, który dotąd był dzielnym chłopaczkiem, stał się płacziwy, marudny i nie odstępował Pryce'a ani na krok. Jego samopoczucie nie poprawiło się tej nocy, gdy Pryce przyprowadził go do obozowiska wyzwolonych niewolników i powiedział, że czas, by zadomowił się wśród swoich.

Zgromadziła się ich tam cała rzesza, a biedniejszej ani bardziej wynędzniałej masy ludzi Pryce dotąd nie widział. Większość ich stanowiły kobiety, raczej stare niż młode, było też wielu starców, a mężczyzn w kwiecie wieku jak na lekarstwo. Pryce, przyzwyczajony do życia na powietrzu, nie widział nic żałostnego w tym obozowisku pod gołym niebem, gdzie jedynym kawałkiem domu było miejsce przy ognisku. Ludzie żyli tak od niepamiętnych czasów. Ale tu wielu było kalekich, przygiętych do ziemi, a ze wszystkimi obchodzono się jak z końmi czy mułami, toteż stan tych istot momentami rozbudzał w nim szalony gniew. Teraz wszakże potrzebował jednej z nich, by oddała mu konkretną usługę - musiał znaleźć kobietę o silnym instynkcie macierzyńskim, która miałaby jeszcze dość siły, by zając się dzieckiem albo jeszcze jednym dzieckiem, i zdecydowała się na to bez namysłu. Potrzebował niewiasty zdrowej, przepasanej fartuchem, z głową owiązaną chustką i o krzepkich, muskularnych ramionach. Pryce uśmiechnął się. - Szukam mamuśki.

- Trzymaj Hugh'a za rękę, Davidzie. Nic się nie martw, będę cię pilnował.

Był dopiero wczesny wieczór i Pryce nie mógł zrozumieć, na jakiej zasadzie działa to obozowisko - czy ludzi rozmieszczono tu według plantacji, z których przybyli, czy też każdy rozkładał się, gdzie popadnie, jak plażowicze nad brzegiem morza. Znalazł się na skraju dużej grupy, przysłuchującej się słowom starszego mężczyzny, który stał na skrzynce. Mężczyzna miał potarganą siwą brodę i wyglądał jak czcigodny patriarcha biblijny, choć okrywały go łachmany i opierał się na kiju. - Jesteśmy czarnymi braćmi - powiedział miękko, głębokim głosem - o doskonalszej naturze i godniejszej postawie niż ci europejscy Amerykanie, którzy zakuli nas w kajdany, chłostali i wysyłali do pracy w polu. Bo znamy naszego Boga, który sprawił, że w żyłach wszystkich ludzi, rozproszonych po całej ziemi, płynie jedna krew. A choć ten generał nas wyzwolił, czyż nie jest jednym z nich? Bluźnicie, oddając cześć Sherma-nowi, bo nie on jest waszym Bogiem. Sherman ma własne cele, własne powody działania. Gdy Hebrajczycy wychodzili z domu niewoli, nie prosili egipskiego generała, by ich poprowadził. Ci Hebrajczycy wyruszyli sami z siebie, co i my musimy teraz zrobić, gdyż sami jesteśmy armią; Nie mamy broni - armat ani muszkietów - ale jesteśmy armią wolnych i prawych, którzy wytyczą własne ścieżki i z łaski Boga znajdą własną drogę.

A kimże ty jesteś, starcze-zawołała jakaś kobieta-jesteś Mojżeszem?

Rozległ się śmiech, ale mężczyzna odparł: - Nie, siostrze, jestem biednym, starym niewolnikiem, który harował w polu, ale teraz jestem wolny, bym umarł jak człowiek. Ale Bóg, nasz Pan, wie, że mówię prawdę. Jeżeli pragniecie, by generał nad wami czuwał, dalej nie jesteście wolni.

Wolność powinna wypełniać wasze serca i podnosić was na duchu. Nie wyglądajcie od białych śmiertelników jedzenia, dachu nad głową ani ratunku. Liczcie na siebie, a Bóg wam da, Bóg wskaże nam drogę. Byliśmy na pustyni dużo dłużej niż czterdzieści lat. Teraz mamy przed sobą ziemię obiecaną. Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, i czyńcie sobie ziemię poddaną.

-Amen - rozległo się kilka głosów, ale też i lekceważących gwizdów. Hugh Pryce już widział, jak nadaje sprawozdanie o buntowniczych nastrojach wśród Murzynów. Ale najpierw musi pozbyć się kłopotu. Jak dotąd, nie zauważył żadnej odpowiedniej kandydatki. Z Davidem, którego co rusz musiał odrywać sobie od nogi, krążył między czarnymi, aż wreszcie zobaczył kogoś, kto ewentualnie mógłby się nadać - kobietę z dwojgiem dzieci, jedzących kolację przy ognisku. Kobieta upiekła parę placków z mąki kukurydzianej. Przenosiła wzrok z Davida na Pryce'a, a potem znowu na Davida.

- Zgubiłeś się, synu? - spytała.

- Nie, psze pani - odparł David ze wzrokiem utkwionym w patelni.

- Jak ci na imię?

- Ma na imię David - rzekł Pryce. Jest sierotą. Ktoś się musi nim opiekować.

-Ach tak. Jeśli się nie zgubiłeś, to kto to jest? - zwróciła się kobieta do Davida. - To twój tata?

- Tak, psze pani - powiedziała David.

- Nie jestem ojcem tego dziecka. Nazywam się Hugh Pryce. Pracuję dla londyńskiego „Timesa”.

- Nie jest pan ojcem?

- Nie. To chyba oczywiste.

Kobieta roześmiała się. - Dla mnie nie - powiedziała. - Teraz trudno powiedzieć, jaki kolor wyjdzie u dziecka.

r

281

- Moja dobra kobieto...

- Do mnie należy pomsta, czyż nie tak rzekł Pan? - znowu się zaśmiała.

- Naprawdę pani myśli...

Oszacowała go wzrokiem. - Lgnie do pana. Skórę ma po mamie, ale oczy po tacie. I niech pan spojrz na jego ręce i stopy. Będzie wysoki jak pan.

- Bzdura. Dam pani pieniądze.

- Jakie pieniądze? - zmarszczyła brwi.

- Federalne zielone.

- No, no. - Owinęła rękę ścierką, podniosła patelnię z ognia i zsunęła placek na złożoną gazetę. - Jeszcze gorące - powiedziała do Davida. - Poczekaj chwilę, niech ostygną.

-No to jak?

Kobieta ciężko podniosła się z ziemi, z jękiem opierając rękę na kolanie. Strzepnęła spódnicę, po czym przysłoniła oczy i rozejrzała się we wszystkie strony. - Szukam żołnierza unii. Trzeba pana aresztować.

- Aresztować?

- Handel niewolnikami jest zabroniony. Nie może pan już sobie sprzedawać ani kupować ludzi.

- Nikogo nie sprzedaję. Daję pieniądze, żeby zajęła się pani tym chłopcem.

- No pewnie. Jakby był starszy, chciałby pan, żebym ja za niego zapłaciła. Jest za mały, żeby się do czego nadał, więc pan płaci. Tak czy tak, jest to wbrew ustawie o zniesieniu niewolnictwa, jeżeli w ogóle pan o tym słyszał.

- Chciałem po prostu przekazać pani środki na jego utrzymanie. Widzę, że ma już pani dwóch własnych chłopaków i wiem, z jaką to się wiąże odpowiedzialnością.

- Proszę, Davidzie - powiedziała. Pochyliła się, zrobiła stożek z papieru, włożyła do niego placek i podała chłop-

cu. Weź to sobie i zabieraj się razem z twoim tatą, zanim go wsadzę do więzienia. I szkoda słów na człowieka, który chce sprzedać własne dziecko - dodała. Założyła ręce i spojrzała w wieczorne niebo. - Panie

- rzekła - napełnij serce tego człowieka wstydem. Napełnij je swoją chwałą. Niech się pokaja i złoży ci dzięki, Boże, za takiego pięknego syna. Proszę o to w imię Jezusa. Amen.

- Dlaczego kłamałeś? - spytał Pryce parę minut później.

- Nie wiesz, że kłamstwo to grzech? Nie wiesz? - prawie krzyczał. Ale David, skończywszy placek, trzymał Pryce'a za rękę, uznając, że lepiej nie odpowiadać. Kroczył powoli, w spokoju czekając, co przyniesie los. Tak jakby Pryce był dzieckiem, a David dorosłym, który cierpliwie znosi jego niewczesne wybuchy. - Dobry Boże - myślał Pryce

- jeśli do kogoś podejść, smarkacz znowu zrobi to samo. Powie, że jestem jego ojcem, i to będzie koniec zabawy.

Gdy Pryce uzmysłowił sobie, że mały wystrychnął go na dudka, twarz mu zapłonęła. Chłopak załatwił go z przebiegłością niewolnika. - Instynktowny bieg ku wolności, akurat. Ależ ze mnie głupiec. Raczej nieznośny szczeniak uciekał przed batem. W moich ramionach był bezpieczny. Jasne, o to chodziło. I zapewne zasłużył na lanie.

Piąstka dziecka tkwiła w dłoni Pryce'a jak przyklejona. Miał już serdecznie dość tego kręcenia. - Jestem starszy, silniejszy i sprytniejszy od ciebie, drogie dziecię. Twój tatuś elekt dwa razy nie popełnił tego samego błędu. - Opiekę znajdzie dziecko samotne - pomyślał.

I tak później tej nocy, gdy Pearl, pełna rozterek, wędrowała po obozowisku, trafiła na tłumek ludzi zgromadzonych wokół chłopca, który zdarł z siebie ubranie. Nikt

nie mógł go dotknąć. Siedział po turecku w błocie, walił się pięściami po udach i szlochał. Gdy ktoś się do niego zbliżał, szloch przechodził w skrzeczenie. Ludzie, widząc Pearl w stroju pielęgniarskim, rozstępowali się. Uklękła przed małym. W świetle księżycy niknęły ciepłe odcienie jego skóry, która teraz przybrała piękną, granatowoczną barwę. A gdy na chwilę przestał płakać, by przyjrzeć się Pearl, zobaczyła, że to śliczny chłopaczek. Uznała, że może mieć z sześć, siedem lat. Skinęła głową, jakby chciała mu przekazać, że ma wszelkie prawo płakać, i uśmiechnęła się ze współczuciem. Wyciągnęła rękę, a choć szarpnęła głowę w tył, pozwolił jej dotknąć swego czoła. Miała wrażenie, że jest gorące. W jego oczach, zapuchniętych od płaczu, kryła się choroba. Jak długo tu siedział? Jej bosa nogi już dawno zdrętwiały z zimna i pomyślała, że od samego siedzenia na tej mokrej ziemi można się rozchorować. Wzięła do ręki jego ubranie - było mokre i zabłocone.

- Czyje to dziecko? - zawołała. - Nikt się do niego nie przyznaje?

Kilka głosów zapewniło ją, że nie jest to dziecko żadnej znanej im osoby.

- Co tu tak stoicie, to nie przedstawienie - stwierdziła Pearl. - Przynieście mi coś do przykrycia.

- Zgubiłeś się, chłopcze? - spytała. Potrząsnął przecząco głową.

- Twoja mama cię nie szuka? Znów potrząsnął głową.

Pearl wzięła koc i gdy z powrotem odwróciła się do Da-vida, chłopiec wpatrywał się w nią. Nie płakał już, tylko spazmatycznie pociągał nosem, który wreszcie otarł wierzchem dłoni.

Parę minut później niosła go, owiniętego w koc po czubek głowy, przez całe obozowisko, drogą, którą przyszła.

284

Był cięższy, niż mogło się wydawać na pierwszy rzut oka, a teraz drżał i szczekał zębami. Pearl nastawiona była wojowniczo. Wezmę go ze sobą na ten marsz - powiedziała do siebie. - A jeśli Stephen Walsh chce się ze mną ożenić, zrozumie, że choć Pearl jest biała, kiedyś może mu urodzić w nagrodę dzieciaka czarnego jak smoła.

IV

Znajdowali się na płaskowyżu wśród ruin arsenału, przed jedynym budynkiem, który się ostał. Wykorzystywano go jako tymczasową kwaterę główną. Część z pozostałych żołnierzy ładowała skrzynki i akta na wozy. Inni toczyli baryłki prochu po rampie, którą ułożyli na schodach od frontu.

- Jakbyś się nie ruszał jak mucha w smole - rzekł Arly - jechalibyśmy tuż za generałem Shermanem, a teraz gdzieś nam się zawieruszył. I skąd mam wiedzieć, gdzie się po-dziewa, skoro kolumny rozdzielają się na rzece? Widzisz, jak z tego niebieskiego węża wychodzi drugi?

- Potrzebowałem chemikaliów - odparł Calvin. - A pan Culp ma listę salonów fotograficznych w każdym mieście. A poza tym mam zdjęcie generała Shermana z Georgii, na którym stoi ze wszystkimi pomniejszych generałami.

- Mniejsza z tym, zrobimy mu lepsze, jeżeli go w ogóle odnajdziemy.

- Dlaczego?

- Dlaczego? Dlaczego? Zadajesz zbyt wiele pytań, Całym. Ale odpowiem ci na to, że już się trochę postarzał. Tak jak ja od tego ciągłego popędzania ciebie.

Calvin pociągnął za lejce i Bert ruszył krętą drogą do centrum miasta.

- Rozmawialiśmy o sprawach zawodowych - rzekł Calvin. W tym fachu ludzie rozmawiają ze sobą, nawet jeśli któryś jest Murzynem. Ten fotograf, Swank z Fayetteville, robi zdjęcia głównie kobiet, dzieci i młodych panien, wybierających się na pierwszy bal.

286

- Debiutantek? To on nie wie, że jest wojna?

- Wojna dotarła tu dopiero przed czterema dniami. Dzięki temu ma zapas materiałów - kolodium i kąpieli chemicznej, a nawet klisz, już w oprawkach, gotowych do użytku, choć pan Culp woli sam przygotowywać klisze. Mówił, że nie wszyscy robią to jak należy. Najlepiej samemu się tym zająć.

W mieście uderzał w nos odrażający smród. Przechodnie na ulicach owiażywali sobie twarze chusteczkami. Żołnierze maszerowali, zdwajając tempo, by jak najprędzej dotrzeć do mostu i przejść przez rzekę.

- Fuuu! - rzekł Arly.

Udało im się wpasować w lukę między maszerującymi oddziałami i nawet Bert tupał kopytami nieco szybciej. Im bliżej rzeki, tym gorzej cuchnęło. Aż w końcu musieli przystanąć, by się rozpatrzeć, bo wszędzie, na porośniętych trawą brzegach rzeki leżały trupy koni i mułów. Niektóre unosiły się na wodzie. W szerokim korycie Cape Fear nurt rzeki był powolny i ścierwa przekręcały się, wystawiały nogi w powietrze, znowu się przewracały, wirowały i wpadały na siebie w żalonym pomieszaniu, choć bez wątplenia były martwe.

Calvin potrząsnął głową.

- Dlaczego tak się obeszlisi ze zwierzętami?

- Od razu widać, że nie wyznajesz się w wojennej materii, bo inaczej wiedziałbyś, że to armijne nieczystości. Armia eksploatuje zwierzęta do ostatka, po czym regularnie pozbywa się tych już kompletnie wykończonych i bierze sobie nowe, choć mogę się założyć, że sporo z tych, które tu się pławia, było w lepszym stanie niż twój Bert. Gdybyśmy lepiej pilnowali interesu, moglibyśmy dokonać wymiany i teraz on by tam wypuszczał trupy

287

bździny w niebo Fayetteville zamiast tu stać z taką zadowoloną z siebie miną.

- Lepiej żeby nie usłyszał, co pan mówi. Widzi pan, jak obraca łeb i strzyże uszami?

- No więc, jeżeli mnie słuchasz, Bert - rzekł Arly - rusz no się trochę, bo inaczej będziesz się turlał po rzece razem z nimi wszystkimi.

Gdy Bert się nie poruszył, Arly spojrzał na Calvina. Jesteś taki głupi jak ten zwierzak, jeśli myślisz, że on mnie rozumie. Coś do niego dochodzi tylko jak dostanie po zadzie. Kłopot z wami, czarnymi, polega na tym, że zmyślacie sobie jakieś opowiadki. Macie historyjki o mułach, historyjki o świstaku, historyjki o jankesach.

- Historyjki o jankesach przynoszą nam wolność.

- Przynoszą wam smród, w którym nie można oddychać. Fuu! W tej sytuacji przejawem Bożej łaski byłby porządny podmuch rzeńskiego wiatru. Rzecz jasna, żaden południowy dżentelmen w stopniu generała nie porzuciłby tysiąca padłych zwierząt, żeby doszczętnie zasmrodziły miasto. Nigdy w życiu. Zgromadziłby to wszystko na jakimś pustkowiu, żeby nikomu nie przeszkadzało. Stary Sherman zostawił tutaj mieszkańcom niezłą pamiątkę. To właśnie przez takie maniery zbuntowaliśmy się. Ta jankeska wolność to takie same opowieści jak ta, że muł rozumie po angielsku.

- Zobaczymy, zobaczymy - rzekł Calvin. Pociągnął za lejce i Bert wpasował się w sznur wozów i ludzi, przekraczających rzekę. - Zauważyłem, że to nie za południowym dżentelmenem w stopniu generała gonimy, żeby zrobić mu zdjęcie - dodał Calvin.

Gdy pułk Wrede'a Sartoriusa przekroczył Cape Fear i ruszył na wschód, doktor przywiązał swego wierzchowca

288

do wozu, w którym znajdował się jego pacjent, i wsiadł do środka, by jechać wraz z nim. Pacjentem był kapral Albion Simms z Osiemdziesiątego Pierwszego Ohio, człowiek ze szpikulcem w czaszce.

To w czasie tego niesamowitego wypadku, gdy proch wrzucony do rzeki Saluda w Columbii jakimś cudem eksplodował, zabijając wielu żołnierzy, Albion Simms stwierdził, że siedzi na ziemi, nieco zadyszany, po czym dotknął głowy, bo czuł, jakby coś go ukuło.

W wyniku tego wydarzenia, jego przejęci zgrozą koledzy zabrali go do szpitala w College'u Południowej Karoliny, gdzie dostał się pod opiekę Wrede'a, który natychmiast kazał go skrupować, by nie wyrządził sobie większej krzywdy. Wrede, goląc pacjentowi głowę, zadawał mu pytania. Albion Simms stracił pamięć. Miał prawidłowe odruchy, normalnie widział i słyszał, ale nie pamiętał nic, co poprzedzało ułucie. Powiedziano mu, jak się nazywa i w którym pułku służy, lecz te dane z niczym mu się nie kojarzyły.

Naturalnie na widok tego człowieka, który nie doznał żadnych obrażeń prócz żelaznego szpikulca w mózgu, zbiegli się pułkowi chirurdzy. Ten przypadek ożywił zawodowego ducha medyków, znudzonych taśmowymi amputacjami i bezskutecznym przeważnie leczeniem chorób miazmatycznych. Zgodzono się, że należy przeprowadzić operację, ale Wrede, któremu z zazdrością przyznawali mistrzostwo w tym względzie, oświadczył, że nie podjąłby takiego ryzyka.

Szpikulec, zwyczajny, taki, jakiego używa się do budowy furgonów wojskowych, przeszył czaszkę nad uchem pod kątem 180 stopni. Był mocno wbity. - Mogą zajść komplikacje, gdy utworzy się tkanka bliznowata albo jeśli wywiąże się zapalenie - rzekł Wrede, ale operacja bez

289

wątpienia zwiększy uraz. Przy bliższym przyjrzeniu się nie widać złamania z powodu zderzenia. To czyste czworo-boczne wniknięcie. Wystające na jakieś sześć milimetrów, co znaczy, że siedem milimetrów żelaza przeszło przez pole ciemieniowo-potyliczne. A z przodu jest kość. Trepanacja nie jest możliwa, nie da się też wyciągnąć szpikulca jak drzazgi. Niewątpliwie doszło do uszkodzenia, ale sądząc z obecnego stanu, rana nie jest śmiertelna.

Podczas tej konsultacji oczy nieszczęsnego Albiona, przytroczonego do stołu, przebiegały po obliczach lekarzy. Brodaci, chłonący te nauki oficerowie swymi głowami odgradzali go od świata. Chory, podenerwowany, chciał się wyrwać z przytrzymujących go pasów. Wrede Sartorius spojrzał mu w oczy, uśmiechnął się i położył mu rękę na piersi. - Kapralu Albionie Simmsie - powiedział - nie zrobimy ci operacji. To cud, że przeżyłeś. I właśnie ten cud będziemy badać.

Wrede Sartorius musiał przyznać sam przed sobą, że jego decyzji - by ciągnąć pacjenta z kolumną marszową zamiast odesłać go do szpitala na Pomoc - ze ściśle medycznego punktu widzenia nie da się usprawiedliwić. Pierwszym przykazaniem etyki lekarskiej jest nie szkodzić. Bez wątpienia, ciężka droga po zniszczonych, wyboistych traktach nie jest najlepszym wskazaniem medycznym. A jednak nie mógł przepuścić sposobności do nauczenia się z urazu pacjenta czegoś o mózgu. Los tego

człowieka i tak jest przesądzony. To tylko kwestia czasu - coraz większe obszary mózgu zaczną reagować na uszkodzenie, a umysł będzie się cofał, na podobieństwo odpływu. Ale potrwa to jakiś czas. Pogarszający się stan Albiona Simm-sa stanie się przedmiotem badań.

Wrede zarekwirował resorowany ambulans do wyłącznego użytku Albiona Simmsa i kazał go przypiąć na czas

290

podróży. W ten sposób wraz z wojskiem opuścili Columbię.

Pod koniec każdego dnia marszu, niezależnie od tego, jakie zabiegi trzeba było jeszcze przeprowadzić - a potyczki z siłami wroga były codziennością- Wrede zawsze znajdował czas, by zadać pacjentowi pytania i zanotować odpowiedzi. Po paru dniach pamięć funkcjonalna Albiona nie obejmowała już momentu, w którym odniósł ranę. Kolory dostrzegał wtedy, gdy słyszał dźwięki. Nie rozpoznawał napisanych liczb. Czasami skarżył się na ból i zawroty głowy. Przez cały czas dopisywał mu apetyt. Choć nie pamiętał nic z przeszłego życia, nagle przypomniał sobie słowa piosenki, którą zaśpiewał swemu lekarzowi:

Kukułeczka w boru gniazdka sobie szuka, ale do czwartego lipca nie zakuka.

Śpiewał wysokim, piskliwym głosem, z oczyma wzniesionymi w górę, jakby patrzył na tego ptaszka. Wrede wykorzystywał piosenkę jako miarę stabilności, prosząc Albiona Simmsa, by śpiewał ją przy każdym kolejnym wywiadzie. W ciągu tygodnia Albion zapomniał słów, nie pamiętał, że kiedyś je śpiewał, a zapytany, co oznacza czwarty lipca, nie odpowiedział. Potem pewnego dnia znowu zaśpiewał piosenkę, a nazajutrz ponownie wyszła mu z pamięci.

Tymczasem jeden z kolegów Wrede'a - nie wiedział ani nie chciał wiedzieć, który - wysłał wiadomość do naczelnego lekarza w stolicy, a ten z kolei zatelegrafował do kwatery głównej Shermana. W rezultacie do lazaretu przy-galopował kurier z rozkazem, by pułkownik Sartorius nie-

291

zwłocznie odesłał kaprala Simmsa do szpitala federalnego w Waszyngtonie, gdy tylko armia dotrze do Fayetteville. Rozkaz ten Sartorius otrzymał w miasteczku Cheraw.

W odpowiedzi Wrede kazał Stephenowi Walshowi zbić ramę przytrzymującą Simmsa i dziwaczny wystający fragment, który był teraz nieodłączną jego częścią. - W ciągu dnia nie będziesz leżał, Albionie - rzekł Wrede. Będziesz oglądał, co się dzieje na świecie.

Sartorius, który zawsze czuł pogardę dla wojskowej umysłowości, wiedział, że po opuszczeniu Fayetteville żadne czynniki oficjalne nie poświęcą już tej sprawie dalszej uwagi, zwłaszcza że, wedle jego przekonania, w ciągu najbliższych dni walki przybiorą na sile. Lecz w tym momencie ostatecznie zerwał też wszelką emocjonalną więź z medyczną społecznością Armii Zachodu. Nie przyjęto żadnych, wynalezionych przez niego procedur, żadnych sposobów leczenia, które miały zastąpić dotychczasowe terapie. Nad niektórymi nadal przeprowadzano badania. Sprawdzano je jeszcze długo po zakończeniu wojny. Sartorius nie domagał się uznania swych osobistych zasług. Ale stał się przeciwnikiem, i to zagorzałym, tradycyjnych sposobów medycznego myślenia. Nie ulegało ono zmianie, nie szło naprzód; jego zwolennicy patrzyli tylko tępo na tragiczne skutki metod leczenia,

stosowanych wobec tych nieszczęsnych, złamanych i okaleczonych chłopców, których powierzono opiece skostniałych medyków.

Sartorius był czuły na kwestię niewolnictwa, w przeciwnym razie nie wstąpiłby do unijnego wojska. Ale jako Europejczyk, który dyplom lekarza otrzymał na uniwersytecie w Getyndze, od początku znajdował się na uboczu. Jedynym zadośćuczynieniem za barbarzyństwa wojny była bogata praktyka. Na rzeszy rannych pogłębiał swą wiedzę. Najwyraźniej był odosobniony w mniemaniu, że amerykańska wojna domowa jest polem badań klinicznych.

292

Choć Sartorius uważał się za wrażliwego humanistę, dostrzegł, że bliźni nie zawsze ten pogląd dzielą. Wrodzone różnice między nim i Amerykanami objawiały się w sposobie bycia. Ponieważ Sartorius był nieco sztywny, a już na pewno nie wylewny, uznano go za impertynenta. Rzadko się uśmiechał, więc uważne spojrzenie jego jasnych oczu odczytywano jako badawczy wzrok przyrodnika, przyglądającego się robakowi. Był statecznym, pewnym siebie człowiekiem, który porzucił cywilizację europejską, nie chcąc podlegać jej ograniczeniom. Przybył do Ameryki tak jak wszyscy, by być wolnym. Ale Amerykanom czegoś nie dostawało - być może postrzegania ludzkiej świadomości jako tragedii. A właśnie to poczucie popychało go do nauki od czasów szkolnych. Bo albo nauka, albo rozpacz. Lecz tutaj, tego ranka, gdy padający deszcz uderzał o brezent wozu, patrząc na Albiona Simmsa, zastanawiał się, czy między ich dwoma umysłami nie zachodzi jakaś równowaga, jakby w mózgu Sartoriusa również coś się przerwało, co teraz każe mu przeprowadzać badania, nie oglądając się na konsekwencje.

A co jeszcze się przerwało? W tych dniach rzadziej myślał o Emily Thompson. Stwierdził, że wspomnienie ich rozmów, walory jej umysłu, jej żywa inteligencja, dzielność, z jaką wykonywała swą pracę, miękki, południowy zaśpiew w głosie, jej sposób poruszania się i uczucie, jakie go przepełniało, gdy trzymał ją w ramionach - to wszystko zacierało się w jego pamięci. I nie palił go już taki gniew. Przypuszczał, że stopniowo obraz Emily całkiem zaniknie, a przynajmniej nie będzie mu sprawiać bólu.

- Strzelają do mnie - rzekł Albion Simms. W szeroko otwartych oczach ciał się niepokój.

- Nie, Albion, to tylko deszcz pada.

293

- Deszcz?

- Tak, deszcz leje jak z cebra na daszek naszego wozu. I brezent łopocze na wietrze. Ale zgadzam się, że to przeraźliwy dźwięk.

- Jak pan na mnie powiedział?

- Albion. Tak masz na imię.

- Tak mam na imię? -Tak.

- Jak się nazywam?

- Albion Simms. Nie pamiętasz?
- Nie. Nie pamiętam. Czego nie pamiętam?
- Wczoraj pamiętałeś, jak masz na imię.
- Teraz jest wczoraj? -Nie.
- Zapomniałem wczoraj. Głowa mnie boli. Co mnie boli?
- Głowa. Powiedziałaś, że cię boli głowa.
- Boli. Nic nie pamiętam. Mówię jakieś słowo i nie mogę go zapamiętać. Czego nie mogę zapamiętać?
- Słowa.
- Tak. Dlatego boli mnie głowa. Teraz ciągle mnie boli. Właśnie to mnie boli. To jak ja się nazywam?
- Albion Simms.
- Nie, nie pamiętam. Nie ma co pamiętać. Zawsze jest teraz.
- Płaczesz?
- Tak. Bo zawsze jest teraz. Co powiedziałem? -Zawsze jest teraz.
- Tak.

Albion, we łzach, uchwycił się barierki i skinął głową. Potem zaczął się kołysać, w przód i w tył, w przód i w tył. - Zawsze jest teraz - powiedział. Zawsze jest teraz.

- Ty biedaku, zawsze jest teraz, dla nas wszystkich -pomyślał Wrede. - No, dla ciebie trochę bardziej.

294

Zdało mu się, że deszcz przybrał na sile. Ale potem zrozumiał, że słyszy tętent koni kawaleryjskich.

Kilpatrick, jadący ze swymi ludźmi drogą do Averagesboro, przekroczył Cape Fear River i ściągnął na siebie ogień. Był gotów do boju. Ostatnimi czasy wrzał w nim gniew. Jego ludzie wiedzieli, że kocha walkę, ale teraz gotowała się w nim mroczna, dzika wściekłość, która, czuli to, z lada powodu może zwrócić się przeciwko nim. Zdawało się, że wiatr i deszcz wciągają go w wir, gdyż wydając komendy, obracał się w kółko. Rozkazy wzbijały się w górę, gnane pędem powietrza.

Pułkowa czujka wysunęła się naprzód, by stawić opór. Żołnierze zsiadli z koni i rozpierzchli się na znaczną odległość, brnąc przez pola po obu stronach drogi. Teren był zdradliwy, miękki i piaszczysty. Ogień dochodził z lasu. Porucznik Oakey, z kompanii czołowej, położył się na ziemi i ustawił lornetkę. Zobaczył solidny szaniec z belek i piachu. Zgrany trzask salw z enfieldów powiedział mu, że nie jest to zwykły oddział kawalerii.

Ludzie biegli skuleni pod wiatr, walcząc z grząską ziemią, która oblepiała im nogi i wciągała w głąb. Zimny deszcz siekł po ich twarzach. Błyski strzałów nieprzyjaciela w oczach Oakleya migotały jak diamenty, oświetlając drogę. Teraz wszyscy rozciągnęli się na ziemi, strzelając w las na chybił trafił. W

następnej chwili ogień otworzyła artyleria, świszczały pociski z dwunastofuntowych dział. Oakley chwycił się za głowę i wciskał ciałem w błoto. Z tyłu za nim rozległy się wybuchy i wrzaski. Pułkownik galopujący wzdłuż linii strzału krzyknął, gdy jego wierzchowiec zaczął opadać na ziemię. W samą porę zdążył zsunąć się z siodła, gdy koń zwał się w leśne bagienko. Patrzył bezradnie, jak nieszczęsne zwierzę zapada

295

się, rozpaczliwie wymachując nogami, wsysane z wolna, z oczyma rozszerzonymi strachem, a potylicą drga mu jak uszy królika. A potem z nagłym straszliwym kląsknięciem zamknęło się nad nim błoto.

Gdy po dwudziestu minutach przyszedł rozkaz, by się cofnąć, ludzie potykali się o pospiesznie wzniesione szańce, które kazał usypać Kilpatrick. Teraz mieli bronić pozycji, co było formalnym uznaniem siły nieprzyjacielskich wojsk. Kawaleria wycofała się na bardziej sprzyjający teren, gdzie dano rozkaz okopania się i niebawem setki ludzi ryły łopatami w ziemi, wzmacniając nasypy pniakami i gałęziami. Pracowali gorączkowo, bo niebawem nieprzyjaciel zaczął wysuwać się ze swych pozycji i postępować naprzód. Ogień był morderczy. Siły Kilpatricka, natchnione ich zawziętością, stały murem na swych pozycjach. Rebelianci cofnęli się, wysłano pikiety i zaczęły się potyczki.

Kilpatrick wysłał kurierów do generałów Shermana i Slocuma. Przypuszczał, że natknął się na dywizję, albo dwie, rebelianckiej piechoty. Uważał, że to siły Hardeego. Kilpatrick prosił o dwie, a może nawet trzy dywizje piechoty dla wzmocnienia swoich sił liniowych oraz wsparcia manewru oskrzydającego. Potrzebował też ciężkiej artylerii, dział o większym zasięgu od armat nieprzyjaciela.

Podczas ostatniej szarży rebeliantów przed zapadnięciem zmroku obłąconą kawalerię uratowało przybycie brygady piechoty Dwudziestego Korpusu Slocuma. Wraz z nadejściem nocy ogień ustał. Wojska przypadły teraz do ziemi, nieszczęśnicy po obu stronach rozłożyli się obozem w tę zimną, mokrą, marcową noc. Unioniści nie rozpalili ognisk. Ludzie zjedli suchary, skłękali rebeliantów, pogodę wojnę, po czym skulili się pod mokrymi kocami, nasuwając kapelusze na twarze, by deszcz nie lał im się do ust,

296

gdy będą próbowali zasnąć. Powysyłano oddziały, które pozbierały zabitych i rannych, a parę mil za linią walk stanęły wozy medyczne i zorganizowano szpitale polowe w wiejskich budynkach, zarekwirowanych do tego celu.

Następnego ranka przed świtem rebelianci przystąpili do natarcia, wysyłając kolejne fale strzelców, tak że wszystko, co działo się poprzedniego dnia, zdało się ledwie lekkim poszturchiwaniem. Gdy wzeszło słońce, blade i szare od bagiennych oparów, brygada kawalerii Slocuma przygotowała się na atak i niebawem znalazła się w obliczu przeważających sił nieprzyjaciela. Rebelianci wrzeszczeli z furją. Odkomenderowano tam inną dywizję, wzmocniono skrzydła i żołnierze utrzymali się na pozycjach. Bitwa ustabilizowała się, ogień trwał nieprzerwanie, po czym artyleria unii, której zasięg wynosił czterysta metrów, zaczęła walić w linie rebeliantów i inicjatywa przeszła na jej stronę. Sherman znajdował się w znacznej odległości od pola walki, w namiocie ustawionym w sosnowym lasku, gdzie tylko od czasu do czasu dolatywały kartacze i szrapnele. Generał rozważał kolejne posunięcia taktyczne, a sztab stał w gotowości, by niezwłocznie przekazać je dalej. Sherman wydawał się dziwnie daleki od tego wiru i niemal ospale założył, że cała linia ataku unii powinna nacierać przy

wsparciu manewru oskrzydającego, który ma wykonać jedna z brygad piechoty Slocuma. Pułkownik Teack niezwłocznie sformułował na tej podstawie pilny rozkaz i kurier pogalopował pomiędzy drzewami.

Gdy szeregowy Bobby Brasil wyszedł na wolność po odbyciu krótkiej kary w więzieniu wojskowym w Columbii, dowiedział się, że nowojorski Sto Drugi ruszył bez niego. Uznał to za bezduszne, zważywszy że przekraczał

297

najwyższe pułkowe normy w picu i hulankach oraz że jego osiągnięcia uznawał nawet drugi papista w oddziale, stateczny Stephen Walsh, tak pełen jezuickich cnót. Przeniesienie do nowojorskiego pułku hrabstwa Dutchess, na którego stan osobowy składali się tępi kmiotkowie, wydało mu się szczególnie niewłaściwe teraz, gdy leżał wśród nich w błotach Averbosboro, czekając na rozkaz ataku, który najprawdopodobniej podrzuci go do nieba, gdzie Bóg palnie mu mówkę, nim nastąpi kolejne przeniesienie - tym razem do wieczności.

A potem zabrzmiał okrzyk, rozległ się strzał z pistoletu i Brasil poderwał się i puścił pędem, wrzeszcząc jak wszyscy, przeskakując przez ciała i wystrzegając się żółtych złóż piasku, gotowych połknąć go jak kasek, którym w istocie był. A czyż to śliczne irlandzkie dziewczę w Columbii nie powiedziało mu, że jest słodki, aż chciałoby się go schrupać. -A jak bym smakował? - zapytał ją. - Jak orzechowe ciasteczko - rzekła - z kremowym nadzieniem.

Słodki Jezu, to już koniec, bo nawet jeśli nie trafi go rebeliancka kula, pierś mu się rozpęknie z tego pędu. Wciągał powietrze do płuc wielkimi haustami, czuł krople deszczu, wpadające mu do ust, a potem, Bogu niech będą dzięki, wleciał w górę, gdy chłopak przed nim padł trupem. Potknął się o ciało, przekoziółkował nad nim i rąbnął z piaskiem w błoto, spazmatycznie łapiąc powietrze, a deszcz siekł go w twarz, gdy wpatrywał się w ciemność dnia. Czuł, jak błoto przesącza mu się na plecy, wchodzi w nogawkę i zsuwa za kołnierzyk, czuł, jak prześlizguje się za uszami jak żywa, pełzająca istota. Mógłby tak leżeć i łapać oddech, gdyby nie to błocko i buty, tupiące mu nad głową, namaszczające go bryzgami rozmięklej ziemi i wody. O święty Judo! Być zdeptanym na śmierć przez tych ćwoków z hrabstw Dutchess! I zataczając się,

298

wstał, obrócony we właściwą stronę przez przebiegających obok ludzi, a przed nim były szzańce. Ale ci za szaniami zrobili w tył zwrot i nagle to on znalazł się na czele, ścigając uciekających rebeliantów; niektórzy klękali z rękami w górę, a on szturchał ich bagnetem, udając, że chce ich zabić i tylko raz, przypadkiem, jednego przebił, nie napotykając oporu, jakby ten człowiek w ogóle nie miał kości. Do końca życia będzie pamiętał wyraz twarzy tego chłopaka, ale teraz zepchnął nogą biednego frajera z ostrza i pobiegł dalej, goniąc rebelianckich artylerzystów, którzy porzucili działa i czmychnęli z powrotem, pojawiając się i znikając między drzewami, gdy on ciężko sunął za nimi - wrzeszczący upiór z zamokłym karabinem. A potem jego bagnet jakimś sposobem wbił się w miękką sosnę i gdy usiłował go wyciągnąć, zapach żywicy nagle wypełnił mu nozdrza, a w powietrze wzbił się wielki okrzyk radości, bo zdobyli przedpiersie.

Ale za nim była druga linia i dalsze walki, gdy rebelian-ci przegrupowali się, a kiedy zaczęto zmierzchać i zdobyto drugi okop, oparli się o trzecią linię. Była solidnie umocniona belkami i ciągnęła

się przez drogę przecinającą ten mały półwysep do Averasboro, z Cape Fear na jednym skrzydle i Black Creek na drugim. Ta wreszcie pozycja była nie do przebycia, skrzydła rebeliantów osłaniała woda, a kawaleria Hamptona bezustannie patrolowała teren.

- Ci ludzie przechodzą samych siebie - rzekł Sherman tego wieczora. Przystudiował mapy i, zapoznawszy się, wraz z generałem Slocumem i upokorzonym Kilpatrickiem, z doniesieniami wywiadowców, stwierdził, że mają przed sobą jakieś dziesięć tysięcy żołnierzy Hardeego. Sherman brał pod uwagę, że może Hardee wcale nie dał się nabrać

* W

1

299

na lipny marsz do Raleigh - manewr przeprowadzany przez skrzydło Slocuma na drodze do Averasboro - lecz po prostu przytrzymuje swoje skrzydło na miejscu, póki generał Joe Johnston nie przybędzie z głównymi siłami swej armii. - Jeżeli Johnston maszeruje z Raleigh, wie, że tak naprawdę zmierzam do Goldsboro. Wszystko przez te cholerne gazety - wymamrotał Sherman. - Joe Johnston je czyta, wszyscy je czytają, chociażby zrobić, wystarczy, że obsikam drzewo, a cały świat się o tym dowiaduje.

Pułkownik Teack zrozumiał, że jego generał, nie doceniwszy siły oporu pod Averasboro, jest kompletnie wytrącony z równowagi.

Wieczorem Sherman w otoczeniu swego sztabu podjechał na front. Deszcz wreszcie ustał, w ochładzającym się, wilgotnym powietrzu słyszeli krzyki rannych na polach. Noszowi wynosili ich z ciemności, a ambulanse przewoziły na farmy, zarekwirowane na lazarety. Żołnierzy re-belianckich również wynoszono, a Sherman zauważył, że byli młodzi i marnie ubrani w byle jakie przyodziewek zamiast mundurów; wielu nie miało butów. Objechał wiejskie domostwa, gdzie pocieszał rannych, czekających na operację i obiecał napisać do rodzin chłopców, którzy wiedzieli, że umierają. Teack zapisywał ich nazwiska. Było to bardzo smutne i Sherman wracał do swego obozu w ponurym nastroju. Bilans dzisiejszych akcji to prawie osiemdziesięciu zabitych i czterystu siedemdziesięciu siedmiu rannych. Trzeba jeszcze zdobyć trzecią linię rebeliantów. Będzie to wymagało frontalnego natarcia, co pociągnie za sobą jeszcze więcej ofiar. W tym momencie Shermana przeszył dreszcz wątpliwości co do własnej taktyki. W następnej chwili sam dodał sobie ducha: - No, wujku Billy, na wojnie różnie bywa. Joe Johnston na pewno ma dość rozumu, żeby nie atakować cię tutaj, mając rzekę Neuse

300

za plecami. A sądząc po tych chłopakach, których dzisiaj widziałeś, jego sztandar bojowy zszyty jest z worków na resztki krawieckie. Ruszaj do Goldsboro, a jeśli się tam pokaże, czeka go smutny koniec.

A jednak Sherman nie mógł zasnąć. Wyszedł z namiotu, stanął na pagórku i spojrzał na drogę do Averasboro, gdzie między drzewami pobłyskiwały ognie rebeliantów.

Ale secesjoniści zapalili ogień i wymknęli się i dopiero rano, gdy pierwsze wysłane oddziały stwierdziły, że obrońcy opuścili przedpiersie, generał pozwolił sobie na lekki uśmieszek.

Mattie, która nosiła teraz długie włosy, luźno opadające jej na plecy, zostawiła rannych, oczekujących swojej kolejki na siennikach, rozłożonych przed drzwiami stodoły, i odeszła w chłodną, przesyconą wilgocią noc, by spojrzeć na zmarłych. Na tej farmie spoczywali oni na podwórzu przed domem, po drugiej stronie drogi kopano dla nich groby. Pearl nie towarzyszyła już swej macosze w dopełnianiu tego rytuału; wszyscy już przywykli, że przy każdej sposobności Mattie Jameson będzie chodzić pomiędzy zwłokami, oczekującymi pochówku, sprawdzając, czy nie leży tam któryś jej syn. A choć żadnego dotąd nie znalazła, i tak płakała, gryzła rękę i potrząsała głową, może dlatego, że przy tych chłopcach nie było matek, by ich optały.

Pearl nie przypuszczała, że Mattie znajdzie któregoś z jej braci między trupami, bo to przecież wielka wojna i jeżeli nawet zostaną zabici, szansę, że akurat na nich trafi, były bardzo nikłe. Nie rozpaczałyby po swoich braciach, nie chciała tylko, by macocha ich znalazła, bo nieszczęsna kobieta i tak była roztrzęsiona, a umysł miała zmacony. A teraz, gdy jechał z nimi mały David, przekonała się, że matczyzna miłość budzi się, gdy małe dziecko jej potrzebuje.

301

Pearl wiedziała, że brat jeden i brat dwa to wredne chłopczyśka, które bez powodu dokuczały niewolnikom. John junior był brutalem, a mały Jamie lizusem i obtudnikiem. Wiedziała, że obaj podglądają kobiety kąpiące się w zatoczce; robili też inne złe rzeczy, na przykład podkradali jedzenie z kuchni, zrzucając winę na czarnych. A raz, gdy tato wychłostał jednego z robotników rolnych - Ernesta Hawkinsa, najsilniejszego i najbardziej dumnego ze wszystkich - i gdy po wybatożeniu Ernest leżał na ziemi, z rękami przywiązanymi do płotu, a całe plecy miał posiekane, to ci chłopcy przybiegli, by wetrzeć w nie sól. Nienawidziła ich cała plantacja. Nawet Roscoe, tak łagodny i wyrozumiały, który nigdy nie powiedział nikomu złego słowa, nawet on mamrotał pod nosem, że pewnego dnia weźmie sprawy w swoje ręce. Pearl bez trudu udawało się trzymać braciszków na dystans, ale teraz przypomniała sobie myśl, która przeszła jej przez głowę: że gdy dorośnie, a i oni też, nie wie, co pocznie, zwłaszcza jeśli tato umrze, a ona stanie się własnością braci. To ją tak przeraziło, że rozplakała się, a Roscoe rzekł: - Perełko, nie zaprzataj sobie tym głowy. Jeśli do tego dojdzie, Roscoe ich zabije, zanim zdążą podnieść na ciebie rękę, i umrze szczęśliwy, bo na pewno pójdzie do nieba.

A teraz i tak było dość roboty. W stodole pracowało trzech chirurgów, aż nie wiadomo, w co najpierw ręce włożyć. Wraz ze Stephenem zgrabiła zakrwawione siano w kąty i rozwijała świeże bele, by rozłożyć je wokół stołów operacyjnych. Wrzaski i jęki unosiły się pod dach. Raz sanitariusz zawołał ją, by przytrzymała serwetę nasyconą chloroformem na twarzy żołnierza - nigdy dotąd nie powierzono jej takiego zadania. Co parę minut, gdy tylko mogła, biegła do drzwi stodoły, by zerknąć na dom, w którym umieściła Davida pod opieką białych gospoda-

302

rzy. Mały wypatrzył okienko, przez które mógł zobaczyć sceny, jakich absolutnie nie powinien oglądać, bo nie zapomni ich do końca życia, nawet gdyby dożył setki albo i więcej. Ambulanse ciągle zwoziły nowych, ranni żołnierze byli wszędzie, leżeli na ziemi, siedzieli oparci

O drzewa, jedni się modlili, inni spoczywali w milczeniu, wszystkie siły skupiając na tym, by przeżyć. Chłopiec musiałby też oglądać szczątki ludzkie, które wynoszą ze stodoły i wrzucają do wielkiego dołu. To również należało do jej obowiązków. Kiedyś amputowano nogę jakiegoś olbrzyma aż do

biodra i była tak ciężka, że Pearl nie dała rady unieść jej sama, więc Stephen musiał chwycić za górną część, a ona trzymała za dolną wielką bosą stopę, która była jeszcze ciepła.

Ale teraz Pearl, tak jak wszyscy inni, usłyszała wydobywający się z nocy cienki skowyt, który stłumił chór jęków rannych, odgłosy krzątający sanitariuszy, burkliwe polecenia chirurgów. Wszyscy, wstrząśnięci, zamilkli przez szacunek dla tego zawodzenia, tak przenikliwego

1 przerażającego, rozbrzmiewającego jak rozpacz wojny, pośród której żyli. Od żadnej salwy muszkietów, żadnego grzmiącego działa żołnierskie serce nie zadrżałoby tak jak od tego dźwięku. Nawet Wrede Sartorius na chwilę podniósł wzrok znad swego krwawego zajęcia, a gdy do niego wrócił, jego wiedza nagle zdała mu się jałowa w zetknięciu z ogromem ludzkiego nieszczęścia.

Pearl wiedziała, naturalnie, o kogo chodzi i gdy przybiegła przed dom, zobaczyła macochę klęczącą przed ciałem, leżącym spokojnie na trawie, tyle że z odstrzeloną twarzą. Nie miała szczęki, włosy były spalone, a resztę oblepiała czarna, wyschła krew. Krzyki Mattie załamywały się, szybowały w powietrze, opadały i znowu się wznosiły, aż dziw, że dźwięki, które wydawała, pochodziły z ludz-

302

rzy. Mały wypatrzył okienko, przez które mógł zobaczyć sceny, jakich absolutnie nie powinien oglądać, bo nie zapomni ich do końca życia, nawet gdyby dożył setki albo i więcej. Ambulanse ciągle zwoziły nowych, ranni żołnierze byli wszędzie, leżeli na ziemi, siedzieli oparci

O drzewa, jedni się modlili, inni spoczywali w milczeniu, wszystkie siły skupiając na tym, by przeżyć. Chłopiec musiałby też oglądać szczątki ludzkie, które wynoszą ze stodoły i wrzucają do wielkiego dołu. To również należało do jej obowiązków. Kiedyś amputowano nogę jakiegoś olbrzyma aż do biodra i była tak ciężka, że Pearl nie dała rady unieść jej sama, więc Stephen musiał chwycić za górną część, a ona trzymała za dolną wielką bosą stopę, która była jeszcze ciepła.

Ale teraz Pearl, tak jak wszyscy inni, usłyszała wydobywający się z nocy cienki skowyt, który stłumił chór jęków rannych, odgłosy krzątający sanitariuszy, burkliwe polecenia chirurgów. Wszyscy, wstrząśnięci, zamilkli przez szacunek dla tego zawodzenia, tak przenikliwego

1 przerażającego, rozbrzmiewającego jak rozpacz wojny, pośród której żyli. Od żadnej salwy muszkietów, żadnego grzmiącego działa żołnierskie serce nie zadrżałoby tak jak od tego dźwięku. Nawet Wrede Sartorius na chwilę podniósł wzrok znad swego krwawego zajęcia, a gdy do niego wrócił, jego wiedza nagle zdała mu się jałowa w zetknięciu z ogromem ludzkiego nieszczęścia.

Pearl wiedziała, naturalnie, o kogo chodzi i gdy przybiegła przed dom, zobaczyła macochę klęczącą przed ciałem, leżącym spokojnie na trawie, tyle że z odstrzeloną twarzą. Nie miała szczęki, włosy były spalone, a resztę oblepiała czarna, wyschła krew. Krzyki Mattie załamywały się, szybowały w powietrze, opadały i znowu się wznosiły, aż dziw, że dźwięki, które wydawała, pochodziły z ludz-

303

kiego gardła. A teraz zaczęła rwać sobie włosy z głowy. Pearl uklękła przy niej i obejmując ją, rzekła: - To nie twój chłopiec, macocho, nie wiadomo, kto to jest, bo twarz ma straszliwie poharataną. Chodź stąd, no chodź.

Dwóch grabarzy, którzy przeszli przez drogę, by zobaczyć, co się dzieje, potrząsało głowami. Nieważne, że zabity chłopak był rebeliantem - dla tych młodych żołnierzy na wojnie najgorszy do zniesienia był smutek matek.

Pearl zobaczyła teraz to, czego nie widziała przedtem. Mattie poznała swego syna, aby to udowodnić, rozpięła zakrwawioną bluzę, ściągnęła ją z białej piersi, a tam, tuż pod obojczykiem po prawej stronie znajdowało się znamię przypominające miedzianą monetę - jeden z powabów Johna juniora, który pokochała z chwilą, gdy ujrzała go po narodzeniu.

Pearl wzięła sprawy w swoje ręce. Cicho poleciła żołnierzom, by położyli ciało na dwukołowy wózek, który służył jako maryl. Przewieźli go naprzeciwko i usypali trochę ziemi w rogu masowego grobu, by wyglądało to jak osobna mogiła, po czym Pearl przytuliła Mattie Jameson do siebie, kryjąc jej twarz na swojej piersi, gdy spuszczone ciało do grobu, przysypano je ziemią, a sierżant, odpowiedzialny za ten odcinek, z należytą wprawą wypowiedział parę stosownych słów.

- Dzięki - rzekła do nich Pearl, po czym wsadziła macochę do wozu i uspiła ją, podając laudanum, które Stephen przyniósł z apteczki pułkownika Sartoriusa, za jego pozwoleniem.

Zostało jeszcze mnóstwo pracy, tak że Pearl i Stephen mogli pogadać dopiero po paru godzinach. Na dziedzińcu, nadal jasno oświetlonym latarniami i pochodniami, ruch już ustał. Oddział Medyczny zorganizował konwój z cięż-

304

ko rannymi, który rankiem miał wyruszyć ze skrzydłem generała Slocuma. Wielu rannych rebeliantów pozostawiono tu, pod dowództwem ich własnych schwytanych oficerów; przyznano im też racje żywnościowe, które miały wystarczyć, póki oficerowie nie załatwią jakiegoś zaopatrzenia.

- Stephen - powiedziała Pearl - tych chłopców zawsze widziało się razem.

- Jakich chłopców?

- Braci, numer jeden i dwa. Najprawdziwszych dzieci macochy. John junior był starszy. A ten drugi, mikrus, wszędzie za nim łąził. Głowę dam, że gdzieś tu musi być, ten Jamie.

- Niby dlaczego?

- Bo służyli razem, a skoro junior nie żyje, to gdzie jest Jamie? Może w niewoli.

- Martwisz się o nią?

- Boję się, że macocha już nie będzie chciała żyć.

- Mówiłaś, że niespecjalnie dbała o niewolników.

- Wcale. Nic ją nie obchodzili, nigdy za nikim nie wstawiła się u papy, gdy rozdzielał rodziny albo kazał kogoś wychłostać. Nie była taka wredna jak on, nie pomstowała ani nie wrzeszczała, po prostu miała wszystko gdzieś. Ciepłe kluchy. Niechby się waliło i paliło, aby tylko mogła grać na pianinie.

- No i właśnie się zawaliło.

- Stephenie Walshu, nie poszukasz ze mną obozu jeńców?

Potrząsnął głową. - Rany boskie. A co zrobisz, jeśli go znajdziesz?

- Nie mam pojęcia.

- Nie jesteś zmęczona? Ja padam z nóg. Chodźmy spać. Porozmawiamy o tym rano.

304

ko rannymi, który rankiem miał wyruszyć ze skrzydłem generała Slocuma. Wielu rannych rebeliantów pozostawiono tu, pod dowództwem ich własnych schwytanych oficerów; przyznano im też racje żywnościowe, które miały wystarczyć, póki oficerowie nie załatwią jakiegoś zaopatrzenia.

- Stephen - powiedziała Pearl - tych chłopców zawsze widziało się razem.

- Jakich chłopców?

- Braci, numer jeden i dwa. Najprawdziwszych dzieci macochy. John junior był starszy. A ten drugi, mikrus, wszędzie za nim łąził. Głowę dam, że gdzieś tu musi być, ten Jamie.

- Niby dlaczego?

- Bo służyli razem, a skoro junior nie żyje, to gdzie jest Jamie? Może w niewoli.

- Martwisz się o nią?

- Boję się, że macocha już nie będzie chciała żyć.

- Mówiłaś, że niespecjalnie dbała o niewolników.

- Wcale. Nic ją nie obchodzili, nigdy za nikim nie wstawiła się u papy, gdy rozdzielał rodziny albo kazał kogoś wychłostać. Nie była taka wredna jak on, nie pomstowała ani nie wrzeszczała, po prostu miała wszystko gdzieś. Ciepłe kluchy. Niechby się waliło i paliło, aby tylko mogła grać na pianinie.

- No i właśnie się zawaliło.

- Stephenie Walshu, nie poszukasz ze mną obozu jeńców?

Potrząsnął głową. - Rany boskie. A co zrobisz, jeśli go znajdziesz?

- Nie mam pojęcia.

- Nie jesteś zmęczona? Ja padam z nóg. Chodźmy spać. Porozmawiamy o tym rano.

305

Trzymając się za ręce, poszli do domu. Pearl obejrzała się na drogę. - To niesamowite, że przez całą drogę nie dawała spokoju zmarłym, żeby znaleźć syna i wreszcie go znalazła - powiedziała.

Pearl obudziła go przed świtem i razem pojechali na mule na oklep po mokrej drodze. Obejmowała Stephena Walsha w pasie. Zdążyły się przebudzić tylko ptaki, śpiewające na moczarach, lecz przelatywały nad drogą tak szybko, że nie widać było barwy ich upierzenia, lecz jedynie śmigające cienie. Pearl знаła ptaki śpiewające w Georgii, ale te słyszała po raz pierwszy. Nie wywodziły tak dźwięcznych treli, lecz świergotały ciszej, jakby doskonale wiedziały, jak straszliwa wojna toczy się wokół nich.

Kolumna ciągnęła się za nimi w nieskończoność, sznury furgonów sunęły rzędem, po obu stronach pułki obozowały wśród sosen. Na flankach rozstawione były pikiety, tu i ówdzie błyskały ognie, na których gotowano jedzenie.

Stephen uznał, że Pearl, obejmując go ramionami w pasie, daje tym dowód swej ufności. Czuł na ciele napierające na niego piersi dziewczyny, słyszał bicie jej serca. A może swojego? Na całe godziny zapadł w tę bliskość, nie myśląc o nim, lecz po prostu w nim żyjąc, jakby Pearl wprowadziła go tam za rękę. Nabrał przekonania, że najgorsze, co może zrobić, to wyjawic jej swoje uczucia - takie wyznanie zaniepokoiłoby ją, wystraszyło. Nie musi nic mówić, by mieć pewność, że to uczucie przenika go i ona o nim wie. Wie o nim, póki trwa niewypowiedziane.

Stał się innym człowiekiem, odkąd przestał zagłębiać się w melancholijne rozmyślenia. Nigdy tak bardzo nie otworzył się na życie, po prostu żyjąc, bez zadawania pytań, choć zagarnęła go ta nomadyczna wojna wraz z dziwaczną

306

banalnością śmierci. Przepętniała go teraz nowa, silna wiara, że przeżyje i zwiąże się z Pearl Jameson. Niezwykłym zrządzeniem losu wokół tej dziewczyny ogniskowało się teraz jego życie. A jednak byli tylko towarzyszami drogi. Uśmiechnął się. Gdy druga osoba staje się ośrodkiem twego istnienia, spełniasz jej zachcianki, niezależnie od tego, co sam o nich sądzisz.

Muł truchtał, ciemność zaczęła blednąć i poprzez drzewa przesączały się głosy ludzi i zwierząt, budzących się ze snu, a same drzewa, w miarę jak ich sylwetki stawały się coraz wyraźniejsze, zda się, wchłaniały nocny mrok, przywołując go do siebie. A potem, gdy pierwsze promienie słońca rozświetliły korony drzew, muł wyszedł zza zakrętu i Stephen wskazał na otwarte pole. Bez wątplenia był to obóz rebelianckich jeńców. Ci żołnierze nie mieli namiotów, nie widać było broni ustawionej w kozły, ludzie leżeli beładnie na ziemi albo siedzieli, otaczając rękami kolana. Zbiorowiska mężczyzn w stanie takiego przygnębienia Stephen jeszcze nie widział. W istocie, nie byli to nawet mężczyźni - te łachmany i byle jakie mundury okrywały przeważnie chłopców. Patrząc na nich, poczuł się stary. Nieliczni strażnicy na obrzeżach zaświadczały dowodnie, że nikt z tej żalosnej zbieraniny nie będzie podejmował prób ucieczki.

Stephen i Pearl zsiadli z muła, przywiązali go do dyszla i bez ceregieli ani żadnych wyjaśnień ruszyli w pole, pomiędzy jeńców. Strażnicy przyglądali się im leniwie, ziewając i pozdrawiając ich kiwnięciem głowy. Oficer dowodzący zapewne spał jeszcze w namiocie, na samym końcu pola, przy murze, wokół którego rosła kępa sosen.

Młody wiek licznych jeńców wskazał Pearl, że jest na właściwym tropie. Chłopcy opowiedzieli jej o generale Hardee, który staczał potyczki z wojskami Shermana

307

jeszcze w Georgii. Byli niezmiennie uprzejmi, na pytania Pearl odpowiadając grzecznie „Tak, psze pani” i „Nie, psze pani”. - Biedne, roztrzęsione nieboraki - rzekła cicho Pearl do Stephena - boją się własnego cienia. Dostali dobrą szkołę na przyszłość, kiedy czarni robotnicy uprawiający ich pola będą dostawać zapłatę albo ich sąsiadami zostaną czarni farmerzy.

A potem, naturalnie, odnalazła go, Jamiego, brata numer dwa. Siedział sam, skulony, przyciskając ręce do piersi i trząsł się, choć akurat padało na niego poranne słońce, a jego promienie uwydatniały chude, zapadnięte policzki chłopaka, strupy na twarzy, smarki pod nosem, mętne oczy, okolone różowymi obwódkami, niemożliwie długie włosy, tak oblepione brudem i błotem, że ginął pod nimi ich naturalny blond. - Bracie dwa - powiedziała Pearl.

- Wyglądasz jak świntuch. Nie mogę na ciebie patrzeć. Podniósł wzrok, lecz jej nie poznał.

- Jedziesz z nami. No, wstawaj.

Nic do niego nie docierało. Inni jeńcy przyglądali się leniwie, jak Stephen z trudem podnosi chłopaka na nogi, bierze go pod ramię i wyprowadza na drogę. Ale w tym momencie zatrzymał ich strażnik i kazał zaczekać na oficera na koniu, który zbliżał się klusem, roztrącając jeńców na prawo i lewo. Podjechał, zeskoczył z konia i zapytał, co się dzieje.

Stephen Walsh zaszalutował. Spostrzegł, że oficer, porucznik, jest bez kapelusza, ma porozpinany mundur, a spod kurtki zwisają mu szelki. Pilnowanie jeńców to nie jest wymarzona służba dla oficera.

- Panie poruczniku

- rzekł Stephen, mamy rozkaz od pułkownika Sartoriusa z Oddziału Medycznego, by usunąć chorych jeńców z pańskiego obozu.

Oficer przyjrzał się odznace na wyłogach Stephena - ka-duceuszowi, będącemu symbolem Oddziału Medycznego

308

oraz zmierzył wzrokiem Pearl od stóp do głów. Pearl miała na sobie pelerynę pielęgniarki wojskowej, którą dała jej Emily Thompson, i żołnierski kapelusz, mający jeszcze bardziej uprawdopodobnić jej przynależność do oddziałowej służby medycznej. - Dlaczego pułkownik wydał taki rozkaz?

- Ten człowiek jest chory - oświadczyła Pearl. - Widzi pan, jakie ma oczy, jaką skórę? To choroba zakaźna.

- Jaka choroba?

- Nie jestem chory - oświadczył Jamie Jameson.

- Panie poruczniku - wtrącił pospiesznie Stephen, ten człowiek jest chory na zakaźną różę, która może spowodować śmierć. W takich przypadkach pacjenta izoluje się, żeby nie zaraził gorączką wszystkich dookoła. Padały na to całe pułki.

-A co mnie obchodzi, że rebelianci zachorują? Im więcej, tym lepiej.

- Panie poruczniku, niebieski mundur przed tym nie chroni.

Oficer odskoczył, rzuciwszy jeńcowi niespokojne spojrzenie.

- Ani stopień oficerski - dodała Pearl.

- Nie jestem chory - powtórzył Jamie Jameson. Porucznik spojrział na niego ze wzgardą. - Zabierzcie go stąd - powiedział, jakby to on wydał rozkaz, a nie Oddział Medyczny.

- Gdyby kazał nam pokazać rozkaz na piśmie, bylibyśmy skończeni.

- Ale świetnie się wykręcicieś, Stephen - rzekła Pearl. Objęła go.

- Nie jestem chory - krzyknął Jamie Jameson. Prowadzili go za mułem, ręce miał związane w przegubach liną, której koniec owinięty był wokół dłoni Stephena.

309

Pearl odwróciła się i spojrzała na niego. - Zamknij się, głupi bracie - powiedziała. - Sam nie wiesz, co dla ciebie dobre.

Teraz poznał Pearl. - Nie będę słuchał żadnej murzyńskiej dziewczuchy.

Nie przygotowali go na spotkanie z matką, lecz gdy wrócili z lekarstwami, znaleźli Mattie, która była w domu, rozwiązali chłopaka i posłali go do niej. - Nie chcę tego słuchać ani oglądać - oświadczyła Pearl.

Wszyscy przygotowywali się do marszu. Wszędzie, w lasach i na polach, dawano sygnały trąbką. Sartorius, który wyszedł z domu na farmie, spojrział w niebo i naciągnął rękawiczki. Z drogi dochodziły pokrzykiwania furmanów, trzask i turkot wozów. Ambulanse pułkowe jeden po drugim opuszczały dziedziniec, by dołączyć do procesji wozów i ludzi. Pearl wpakowała nieliczne rzeczy osobiste Mattie do worka i pobiegła do domu, w którym matka i syn siedzieli obok siebie na sofie; Mattie płakała i trzymała syna za rękę, wpatrując się weń, a on miał bardzo niewyraźną minę.

Pearl wzięła chłopaka na stronę. - Kiedy wyjedziemy, nie pokazuj się na oczy maszerującym jeńcom. Rannych rebeliantów umieszczono tu w stodole, a teraz są wolni, zajmują się nimi ich oficerowie, mają nawet trochę jedzenia. Ty i mama zostańcie z nimi, ale trzymajcie się osobno, a potem jakoś dostaniecie się do Georgii.

- A niby jakim sposobem?

- Dotrzyjcie do Columbii. Tam jest panna Emily Thompson, którą mama zna. Ona wam pomoże.

Z kieszeni spódnicy Pearl wyjęła chusteczkę, zawiązaną w węzełek, rozwiązała go i dała chłopakowi jeden z cennych złotych orłów. Przyjrzał się monecie, spoczywającej na jego dłoni. - To dwadzieścia dolarów federalnych.

310

- Zgadza się, bracie dwa. Wystarczy wam na jakiś czas. I na całe życie zapamiętaj, że to ja, Pearl, wyciągnęłam cię na wolność, żebyś mógł wrócić do domu.

Chłopak obracał orła w dłoniach. - Dałam ci monetę od Roscoe'a, zarobioną niewolniczą pracą - rzekła Pearl. - Żeby nie wiem co, nigdy się nam nie odpłacisz. Zapamiętaj to sobie.

Pearl odwróciła się do Mattie i wzięła ją za rękę. - Do widzenia, macoch. Dzięki, że uczyłaś mnie czytać. Syn zabierze cię do domu, do Fieldstone. Na razie będziecie mogli zamieszkać w chatach niewolników, jeżeli jeszcze tam stoją.

Idąc do drzwi, Pearl zwróciła się do brata dwa: - Twoja mama ma trochę nie po kolei w głowie. Masz się nią zająć, słyszysz? Bo jak nie, to będziesz miał ze mną do czynienia.

I wybiegła.

V

w

niedzielę wczesnym rankiem Hugh Pryce, który jechał z dywizją generała Carlina na czele lewego skrzydła Slocuma, poczuł, że coś jest nie tak. Był taki przykry, zimny i mokry wiosenny dzień, gdy odrodzona energia nastraja złowieszczo, a krew nerwowo krąży w żyłach. Niebo mieniło się promiennym błękitem, a cała ziemia w zasięgu wzroku miała nadnaturalną barwę: lasy i niziny, skały i trawa, a nawet błoto na drodze - wszystko idealnie pasowało do wizji świata, któremu wedle wyobrażenia Pryce'a groził rychły wybuch. Miał oczywiście bardzo realne uzasadnienie swych przeczuć. Poprzedniej nocy przyszły doniesienia o ruchach wojsk rebelianckich w okolicy. Choć generałowie Sherman i Slocum zlekceważyli je - Sherman nie przejął się nimi do tego stopnia, że odjechał kilkanaście mil na wschód, by połączyć się ze skrzydłem generała Howarda - rozkaz wymarszu generała brygady Carlina był zapowiedzią bitwy. A sam Carlin z niepokojem spoglądał przed siebie, nawet gdy jego strzelcy ruszali przeciw kawalerii rebeliantów, by sprawdzić ich pozycje.

Brygady czołowe zbliżały się do skrzyżowania dróg, jednej, prowadzącej na wschód, do Cox's Bridge i Golds-boro, drugiej odchodzącej do Bentomdle. W rozwidleniu znajdowała się plantacja, którą oficerowie określali jako majątek Cole'a. Około dwóch kilometrów dalej na północny wschód rósł gęsty las czarnych sosen. Kimkolwiek był Cole, o jego pola, bagna i lasy stoczy się walka, nie ze względu na ich wartość, nie po to, by je zdobyć, lecz po

312

prostu z tego powodu, że tu zetną się dwie armie. Artyleryjski ogień zaporowy z prawej flanki Carlina zatrzymał jego brygady czołowe - i zaczęło się.

Dopiero gdy rozwinięto oddziały dywizji Carlina, wspartej brygadami generała brygady Morgana, i pospiesznie połączono szarże w jeden ciąg, unijni dowódcy zaczęli zdawać sobie sprawę z prawdziwej siły bojowej konfederatów. Generał Slocum dokonał przeglądu pozycji i wydał rozkaz natarcia. Żołnierze Carlina i Morgana poderwali się z okopów, ruszyli i znaleźli się pod rażącym ogniem piechoty, nie tylko z ich flanki, lecz i z długiej linii, ciągnącej się aż do sosnowego lasu, który zdawał się płonąć od wybuchów muszkietów. Federalni cofnęli się. Pryce stał przy obu generałach, którzy patrzyli, jak adiutant zaznacza na położonej na ziemi mapie pozycje rebeliantów, zlokalizowane na podstawie raportów oficerów polowych. Zarys tych linii przywodził Pryce'owi na myśl Wielką Niedźwiedzicę. Albo patelnię. I oni na niej byli.

Pryce pospiesznie bazgrał notatki, bezpieczny przynajmniej o tyle, że w takich kryzysowych momentach, mimo swego wzrostu, stawał się niemal niewidoczny dla oficerów. Slocum, którego wąsik i starannie przyszczyżone kasztanowe włosy okalały twarz urzędnika o cofniętym podbródku, wydał rozkaz, by oba korpusy, stanowiące jego skrzydło, uzupełniono do pełnego składu osobowego. Potem skinął na jednego z oficerów sztabowych, odszedł z nim kawałek na bok i mówił mu coś cicho, trzymając rękę na ramieniu młodego człowieka. Pryce patrzył, jak oficer, porucznik, skinął głową, zasalutował i wskoczył na konia. Po chwili ruszył, okrążając siły rebelianckie i dalej, aż za ich linię. Pryce śledził go wzrokiem, póki nie zniknął mu z oczu, ale kierunek jazdy nie ulegał wątpliwości

313

- zmierzał na wschód, przypuszczalnie do Cox's Bridge i Goldsboro, dokąd udał się generał Sherman na spotkanie z drugim skrzydłem swej armii.

Wczesnym popołudniem wieść przebiegła całe mile, aż do drogi, gdzie w błocie ugrzązł sznur wozów sanitarnych, a Sartorius, biorąc ze sobą tylko swego asystenta, sanitariusza i Stephena Walsh, puścił się przodem, by na polu bitwy ustawić namiot sanitarny. Kilku pułkowych chirurgów otrzymało takie rozkazy. Sartorius i inni jechali konno. Stephen prowadził czterokołowy wóz z zapasami środków medycznych. Jazda była trudna, gdyż większość drogi musiał przebywać poboczem. Słyszał pbrzękiwanie butelek ze specyfikami medycznymi na półkach. Muł wytężał wszystkie siły, koła klinowały się, potem staczały się po kamieniach albo przechylały niebezpiecznie w dołach wypełnionych błotem, a Stephen, gnając ze wszystkich sił, wylatywał ze swego siedziska. Odgłosy potyczki stały się teraz ostre i wyraźne. Słyszał krzyki, trzask karabinów i, zmierzając za pułkownikiem przez spadzisty teren plantacji ku dworowi, znowu otarł się o pole walki.

Ustanowili szpital polowy u podnóża czarnego dębu, jakieś dwieście metrów od szarża z kłód drewna i gałęzi, który żołnierze nadal wznosili. Gdy dojdzie do bitwy i zaczną zwozić rannych, teoretycznie powinny też zjawić się ambulanse, żeby ich odwieźć. Pielęgniarka i asystent chirurga ustawili płytę operacyjną na koźle do piłowania drewna, a Stephen wspiął się na najniższą gałąź dębu, by przywiązać do niej rogi namiotu z braku kołków. Potem wszedł nieco wyżej, by rozejrzeć się po okolicy. Kolejna linia unii rozciągnęła się na prawo, uszykowana wokół naprędce usypanych przedpiersi, które przedzielały drogę. Te pozycje wydały mu się niepewne, płytkie i niepołączono-

313

- zmierzał na wschód, przypuszczalnie do Cox's Bridge i Goldsboro, dokąd udał się generał Sherman na spotkanie z drugim skrzydłem swej armii.

Wczesnym popołudniem wieść przebiegła całe mile, aż do drogi, gdzie w błocie ugrzązł sznur wozów sanitarnych, a Sartorius, biorąc ze sobą tylko swego asystenta, sanitariusza i Stephena Walsha, puścił się przodem, by na polu bitwy ustawić namiot sanitarny. Kilku pułkowych chirurgów otrzymało takie rozkazy. Sartorius i inni jechali konno. Stephen prowadził czterokołowy wóz z zapasami środków medycznych. Jazda była trudna, gdyż większość drogi musiał przebywać poboczem. Słyszał pbrzękiwanie butelek ze specyfikami medycznymi na półkach. Muł wytężał wszystkie siły, koła klinowały się, potem staczały się po kamieniach albo przechylały niebezpiecznie w dołach wypełnionych błotem, a Stephen, gnając ze wszystkich sił, wylatywał ze swego siedziska. Odgłosy potyczki stały się teraz ostre i wyraźne. Słyszał krzyki, trzask karabinów i, zmierzając za pułkownikiem przez spadzisty teren plantacji ku dworowi, znowu otarł się o pole walki.

Ustanowili szpital polowy u podnóża czarnego dębu, jakieś dwieście metrów od szańca z kłód drewna i gałęzi, który żołnierze nadal wznosili. Gdy dojdzie do bitwy i zaczną zwozić rannych, teoretycznie powinny też zjawić się ambulanse, żeby ich odwieźć. Pielęgniarski i asystent chirurga ustawili płytę operacyjną na koźle do piłowania drewna, a Stephen wspiął się na najniższą gałąź dębu, by przywiązać do niej rogi namiotu z braku kołków. Potem wszedł nieco wyżej, by rozejrzeć się po okolicy. Kolejna linia unii rozciągnęła się na prawo, uszykowana wokół naprędce usypanych przedpiersi, które przedzielały drogę. Te pozycje wydały mu się niepewne, płytkie i niepołączono-

314

ne ze sobą. Nie ustawiono żadnych dział. Zastanawiał się, gdzie są rebelianci, dlaczego nie atakują wyraźnie nieprzygotowanych wojsk unii.

Ogień karabinowy stopniowo zamierał i po chwili, gdy zapadła cisza, usłyszał śpiew ptaków.

Późnym popołudniem oficerowie przy fortyfikacjach zauważyli, że ich oddziały czołowe odpadają, potem odwracają się, puszczają się biegiem i wspinają się na szanice, krzycząc i spadając na siebie. - Idą na nas, chłopaki - powiedział sierżant. Bobby Brasil oparł karabin o pniak. Zerknął w prześwit. Rzeczywiście nadchodzili i, biorąc pod uwagę ich zamiary, stanowili dziwnie piękny widok. Ich szeregi sunęły prosto, oficerowie na koniach machali szablami, chorążowie powiewali sztandarami, rozbrzmiewała też ich pogańska, przeraźliwa pieśń bojowa, od której Brasilowi włosy stanęły dęba. - Skąd ich tyłu wzięli, przecież to cała cholerna armia - wymamrotał Brasil. - Ognia! - krzyknął sierżant, więc Brasil wystrzelił, tak jak wszyscy, aż ogłuchł od huków. Pośród dymu i ognia dojrzał padających mężczyzn, ale szarża się nie zachwiała. Parli naprzód i teraz kątem oka dostrzegł, że nadchodzą też z flanki. Przypominało to długą, rozwiniętą chorągiew trzaskającego ognia. Kule uderzały o pniak, odłupując korę. Wtem w polu widzenia Brasila pojawił się oficer rebeliantów. Jego koń stanął dęba, a oficer obrócił go i machnięciem ręki kazał ludziom iść naprzód. Jego szerokie plecy weszły Brasilowi wprost do celownika, miał go jak na talerzu. Aż żał uziemić takiego wspaniałego kawalera lekkim ruchem palca. Ale przerwali barykadę, przechodzili, a Brasil nadział jednego na bagnet i nie mógł strząsnąć, więc zostawił go razem z karabinem, obrócił się i puścił biegiem, bynajmniej nie sam, niepowstrzymanym

pędem. Krzyk i ryk wydobywał się nie tylko z jego gardła. A on gnał na oślep przez lasy, aż dotarł do oddziałów rezerwy, gdzie padł, by złapać oddech, sapiąc i dysząc, za masą niebieskich mundurów, prących naprzód, gdyż przyszła ich kolej. - I daj im Boże zdrowie - pomyślał Bra-sil - bo ostatnim razem najadłem się takiego strachu, gdy w trzeciej klasie zatrzymała mnie siostra Agnes Angelica.

Dwie mile dalej, na drodze, Pearl słyszała odgłosy bitwy tak jak wszyscy: woźnice na poboczu gawędzący ze sobą, oficerowie, przechadzający się miarowym krokiem, konie, rżące i podnoszące łby przy każdym huknięciu dział. Milę za nią ryczało pędzone bydło, a w wozie, w drewnianej obudowie, Albion Simms uderzał w barierkę, bum bum bum, jakby mało mu było prawdziwego dudnienia. Pearl myślała o Stephenie Walshu. - Robił wszystko wyśmienicie, toteż doktor pułkownik poległ na nim tak jak prawie na nikim. Bo na pewno nie na mnie. - Właściwie nie bała się o Stephena, tylko czuła się nieswojo, gdy nie było go pod ręką. Oto siedziała w wozie zmierzającym do Północnej Karoliny, owiewały ją zimne podmuchy wiosennego wiatru, a ponieważ marsz zatrzymał się z powodu bitwy, czuła, że nie przynależy nigdzie ani do niczego, nie jest już nawet częścią nędznego życia, toczącego się w chatach niewolników. Po prostu wolna dziewczyna. A przed nią rozciąga się pusta przestrzeń życiowa, gdzie nie ma się czego ucześcić i skąd czerpać pociechy. Jej wizja sięgała tylko do numeru dwunastego na placu Waszyngtona w Nowym Jorku. A gdy pożegna się z zasmuconymi mieszkańcami tego domu i wyjdzie stamtąd, jakie będzie jej życie, w którą stronę się zwróci, którą pójdzie ulicą i z kim?

Pogrążona w tych niespokojnych rozmyślaniach nie usłyszała, że David się obudził. Wyszedł i usiadł jej na

kolanach, wciąż jeszcze ziewając i pocierając oczy. - No, chłopcze, ale sen to masz zdrowy. Słyszysz? To wojna.

- No, słyszę.

-1 nie boisz się?

- Nie, jeść mi się chce - rzekł.

Dała mu parę sucharów, wyciągniętych z pudełka na racje żywnościowe, a on odgryzał kawałek, wpatrywał się w trzymany w dłoni suchar, znowu odgryzał i znowu przyglądał się coraz to mniejszemu kawałkowi.

Pearl wyszła na drogę i stanęła, przyciskając ręce do karku, by rozprostować kości. Rozwiązała wstążkę, przy-trzymującą jej włosy, znowu je zebrała i związała na nowo, a mając wciąż ręce za głową, dojrzała, że dwóch oficerów przerwało rozmowę, by się jej przyjrzeć. Odwróciwszy się, żeby dokończyć poprawianie fryzury, pomyślała: -No, Stephenie, lepiej wróć do mnie, bo nie jesteś jedyny na świecie, a ja wyrosłam na piękną dziewczynę.

Gdy siły Carlina zmuszono do panicznej ucieczki, flanką Morgana została okrążona, a jego żołnierzy zaatakowano od tyłu, kiedy odpierali atak frontalny. Ludzie strzelali w jedną stronę, odwracali się i strzelali w drugą. Generał Davies z Czternastego Korpusu nakazał brygadzie rezerwowej dokonanie

wyłomu, rzucając kolejnych żołnierzy, a Hugh Pryce postanowił w tym właśnie momencie opuścić oficerów generała. Nie zważając na ich krzyki, ruszył na linię walk - najpierw wskoczył na toczący się jaszcz, potem zsunął się z niego i pobiegł naprzód, przeskakując kamienie, rozgarniając piersią splątane zarośla; w tym momencie przeżywał szaleńcze niemal uniesienie, długi szal zwisał mu z szyi jak osobisty proporzec. Zakasuje konkurencję relacjami z walk, które zobaczy na własne oczy.

317

Teren stał się bagnisty. Pryce zatrzymał się w gęstej kępie drzew. Słyszał kanonadę z dział, a gdy zobaczył duże drzewo, podciągnął się do rozwidlenia najniższej gałęzi, przerzucił nogi, usiadł okrakiem i próbował coś dojrzeć przez zasłonę dymu, słysząc odgłosy bitwy - krzyki i pojękiwania ludzi, świst kul uderzających w kłody i skały. I czuł fale żaru, wzbijające się z masy strzelającej broni. Wojna zmieniła pogodę, dzień zbieleł - gryzący dym przepływał obok niego niczym dusze zmarłych spieszące do nieba. Dopiero niespodziewanie powstała luka między chmurami zagęszczonego powietrza pozwoliła mu się zorientować, że źle ocenił swą pozycję, i to nie on zbliżył się, by zobaczyć walkę, jak mu się zdawało. To wojna przyszła do niego. Pod nim szeregi mężczyzn walczyły wręcz, mocowały się, ciskając pokonanych na ziemię, biły się na noże i bagnety, wymachiwały karabinami nad głową, w zacietrzewieniu wydając z głębi serca zgodne dźwięki, niczym akordy kościelnych organów. Nigdy nie był tak blisko wojny jak w tej chwili i cały swój reporterski zmysł obserwacji skupił na tej przerażającej wizji przedpotopowego wybuchu. Nie ruszono na tę wojnę w poszukiwaniu przygód, nie była to walka za wielką sprawę, miał przed oczyma wojnę w najczystszej postaci, bezmyślną masę wściekłego gniewu odciętą od wszelkiej sprawy, ideału czy zasady moralnej. Jakby ta bezładna plątanina bezmyślnych sił była Bożą odpowiedzią na ludzkie zarozumiałstwo. A potem nie mógł już o niczym myśleć, gdyż usłyszał ohydny świst kuli armatniej, a gdy przyłożył ręce do uszu, o ułamek sekundy za późno dojrzał wierzchołek drzewa, który się na niego zwałił.

Natarcie rebeliantów w jednym punkcie doszło do terenu szpitala. Chmara żołnierzy unii przebiegła obok, przy-

317

Teren stał się bagnisty. Pryce zatrzymał się w gęstej kępie drzew. Słyszał kanonadę z dział, a gdy zobaczył duże drzewo, podciągnął się do rozwidlenia najniższej gałęzi, przerzucił nogi, usiadł okrakiem i próbował coś dojrzeć przez zasłonę dymu, słysząc odgłosy bitwy - krzyki i pojękiwania ludzi, świst kul uderzających w kłody i skały. I czuł fale żaru, wzbijające się z masy strzelającej broni. Wojna zmieniła pogodę, dzień zbieleł - gryzący dym przepływał obok niego niczym dusze zmarłych spieszące do nieba. Dopiero niespodziewanie powstała luka między chmurami zagęszczonego powietrza pozwoliła mu się zorientować, że źle ocenił swą pozycję, i to nie on zbliżył się, by zobaczyć walkę, jak mu się zdawało. To wojna przyszła do niego. Pod nim szeregi mężczyzn walczyły wręcz, mocowały się, ciskając pokonanych na ziemię, biły się na noże i bagnety, wymachiwały karabinami nad głową, w zacietrzewieniu wydając z głębi serca zgodne dźwięki, niczym akordy kościelnych organów. Nigdy nie był tak blisko wojny jak w tej chwili i cały swój reporterski zmysł obserwacji skupił na tej przerażającej wizji przedpotopowego wybuchu. Nie ruszono na tę wojnę w poszukiwaniu przygód, nie była to walka za wielką sprawę, miał przed oczyma wojnę w najczystszej postaci, bezmyślną masę wściekłego gniewu odciętą od wszelkiej sprawy, ideału czy zasady moralnej. Jakby ta bezładna plątanina bezmyślnych sił była Bożą odpowiedzią na ludzkie zarozumiałstwo. A potem nie

mógł już o niczym myśleć, gdyż usłyszał ohydny świst kuli armatniej, a gdy przyłożył ręce do uszu, o ułamek sekundy za późno dojrzał wierzchołek drzewa, który się na niego zwałił.

Natarcie rebeliantów w jednym punkcie doszło do terenu szpitala. Chmara żołnierzy unii przebiegła obok, przy-

318

stając tylko na chwilę, by oddać strzał w kierunku ściganych, po czym ruszyła dalej w pogoń. Zaraz po przejściu mundurów niebieskich, pojawiły się szare. Przy galopował oficer konfederatów, za którym podążało kilku żołnierzy piechoty. - Kto tu dowodzi? - krzyknął.

Z namiotu wyszedł Sartorius - bez kapelusza, z pokrwawionymi rękami, w pobrudzonym krwią fartuchu. - Czego pan chce? - zapytał. Na ziemi przed namiotem leżało kilkunastu rannych i dwa trupy. - Biorę pana do niewoli - oznajmił oficer. - Proszę bardzo - odparł Sartorius, po czym wrócił do namiotu.

Oficer zmarszczył brwi, najwyraźniej nie wiedząc, jak się odnaleźć w tej sytuacji. Ranni jęczeli i krzyczeli. Obrócił konia, zostawił dwóch żołnierzy na straży i odjechał, a jego ludzie potruczali za nim.

Stephen popatrzył z namiotu na strażników, którym, jak się zdawało, głupio było tak stać. Jeden z nich schylił się, chcąc napić rannego ze swej manierki i Stephen musiał mu powiedzieć, by tego nie robił. Gdy trzeba było zanieść kolejnego rannego na stół operacyjny, Stephen rzekł do strażnika: - Pomóż mi - a ten wyraźnie był wdzięczny, że go o to poproszono.

Parę minut później rebelianccy śmiałkowie, którzy zapuścili się tak daleko, znaleźli się w odwrocie i gnali przez teren lazaretu na łeb na szyję, by dogonić własne wojska. Kompania wojsk unijnych przypędziła za nimi z krzykiem, a dwaj strażnicy, którzy pomagali Stephenowi, zostali postrzeleni. Jednego, który dostał kulę w żołądek, nie dało się uratować. Drugiemu pocisk rozharatał nogę. Leżał z rannymi unii, a gdy przyszła jego kolej, Stephen i sanitariusz wnieśli go do namiotu, gdzie Sartorius dokonał amputacji dwupłatowej tuż nad kolaniem.

319

Porucznik Oakley przybył do kwatery polowej generała Slocuma z wiadomością od Kilpatricka. Kawaleria, obozująca kilka mil na południowy zachód, była gotowa do udzielenia wsparcia.

Slocum, w tym momencie rozwijający Dwudziesty Korpus, by załatać wyrwy na liniach unii, rzekł: - Na miły Bóg, jeszcze by mi tego brakowało. Generał Kilpatrick ma zostać na swoich pozycjach do czasu otrzymania dalszych rozkazów.

Młody oficer chciał odjechać, lecz ruchy wojsk przy-szpiliły go do jednego miejsca. Oakley, który przed wojną był nauczycielem, a po powrocie z frontu zamierzał zostać duchownym, zagubił się na bagnach i niechcący wjechał w sam środek bitwy, gdzie ustawione w szyku bojowym oddziały generała Morgana odpierały silne natarcie rebeliantów. Oakley pospiesznie zsiadł z konia i włączył się do walki. Żołnierze ustawieni byli w dwóch szeregach za przedpiersiem - pierwszy rząd klęczał, drugi stał i na okrzyk dowódców oba oddawały salwy w nacierającą linię rebeliantów. Po kolejnych stratach od słabnącego ognia rebelianci cofnęli się, w wyniku czego ludzie zostali zaatakowani od

tytu, gdyż kolejna brygada generała Carli-na i wspierająca go brygada rezerwowa pod pułkownikiem Fearingiem ustąpiła pola. Teraz ludzie Morgana przeskoczyli przez przedpiersie i zajęli pozycje po drugiej stronie, by odeprzeć atak z flanki. Ale wśród atakujących zobaczyli niebieskie mundury. Wahali się przez kilka chwil, co zadecydowało o ich losie. Czy mają strzelać do swoich? Oakley przejrzał tę sztuczkę. To samo zdarzyło się Kil-patrickowi w Monroe's Corners - rebelianci ubrani byli w niebieskie mundury unii, by zrobić zamieszanie w jej szeregach i osłabić czujność. - To rebelianci, przekleć rebelianci! - krzyknął, wymachując pistoletem, i po chwili

320

udało się zrobić wyrwę w przedpiersiu, a na niego wskoczył napastnik w niebieskim mundurze i go powalił.

Oakley był wątłym młodzieńcem w okularach. Spadły mu teraz z nosa, gdy dwa ciężkie, mokre łapska raz po raz waliły jego głowę o ziemię. Rebeliant był potężnym chłopem. Przyciskał prawą rękę Oakleya, w której chłopak trzymał pistolet. Ale zamierzając się do ostatniego ciosu, który miał rozwalić ofierze czaszkę, rebeliant podniósł się tak wysoko, że Oakley zdołał użyć pistoletu: przekręcił lufę do góry i strzelił napastnikowi prosto w żołądek. Strzelał raz po raz, aż ositek opadł nań bezwładnie i przestał się ruszać. Z trudem odepchnął ciało, po czym wymacał okulary, przetarł je byle jak rękawem i z powrotem wcisnął na nos. Nadal nie widział wyraźnie, bo wciąż były pomazane błotem, ale nawet nie starał się dokładniej ich wyczyścić. Niewiele widząc, czuł się spokojniejszy.

Gdy wokół wrzała bitwa, Oakley siedział w rowie strzeleckim, łapiąc oddech. Bolała go głowa. Mundur miał przesiąknięty krwią. Patrzył na spoczywające obok ciało i modlił się do Boga o przebaczenie. Szamocząc się pod tym niezmiernym ciężarem, wyczuwał gwałtowność nieludzkiego zamysłu. Jakby zwał się na niego niedźwiedź, działający po prostu zgodnie z dyktatem swej zwierzęcej natury.

Oakley nie wiedział, ile minut później brygada Dwudziestego Korpusu wkroczyła, by powstrzymać atak, lecz rzucił wówczas w przestrzeń: - Gdzieś mi się zapodział koń.

VI

iy tak podążali za wojskiem, Calvin Harper doszedł do wniosku, że jego towarzysz podróży jest całkiem interesującym szaleńcem. Pozwolił sobie na tę myśl, gdyż dzięki równowadze interesów - potrzebowali siebie nawzajem - ich podróż przebiegała w miarę spokojnie. Robił takie zdjęcia, jakie chciał, i czuł, że będzie kontynuował to zajęcie, póki nie nadarzy się sposobność, by się z tej spółki wywikłać. Do tej pory będzie się starał zachować godność i przeprowadzać swoje bez narażania się na niebezpieczeństwo. Dotąd mu się to udawało. Bywało, że czuł się nieswojo, ale jak na razie nie miał wrażenia, że grozi mu jakieś bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Ciekawe, jak ten człowiek umie się maskować. Wkłada coś i udaje kogoś. Jak aktor w teatrze, gdzie kostium tworzy postać. W Barnwell zjawił się jako żołnierz unii, choć jest rebeliancką białą nędzą z Południa. Obaj to rebelian-ci, jego zmarły przyjaciel też, bo trzeba go było przebrać w mundur rebelianta, którym był naprawdę, nim pan Culp mógł zrobić zdjęcie. A potem, gdy wywołano zdjęcie, a pan Culp umarł, postanowił zostać nim, panem Culpem, w jego własnym garniturze, płaszczu i kapeluszu. Calvin, wbrew sobie, przyjmował to wszystko z pewnym zafascynowaniem. Czasami miał wrażenie, że ten udawany pan Culp, który nie miał pojęcia o fotografowaniu, przy publice lepiej

wchodzi w rolę fotografa niż prawdziwy pan Culp. A działa się tak dlatego, że on naprawdę uważa się za pana Culpa. Wszystko to było niezwykle interesujące i niezwykle wariackie. Bo tylko wariat rozmawiałby ze

322

zdjęciem, które trzyma w kieszeni, gdyż w tym pokręconym umyśle stało się ono jego zmarłym przyjacielem - nie jest ciałem w grobie, lecz zdjęciem w kieszeni. I rozmawia z nim prawie tak dużo jak z Calvinem. A więc nic nie jest takie, jakim się wydaje, a wszystko to wariactwo. Dzięki temu Calvin poczuł, że panuje nad sytuacją. Jest w tym człowieku jakiś niespokojny duch, dzięki czemu, być może, nie stanowi tak bezwzględnie zagrożenia, jak to się z początku wydawało.

Jadąc do Goldsboro, zatrzymali się na noc na opuszczonej farmie. Choć słońce już zaszło, w mroku nadal dochodziły do nich odgłosy bitwy - wschodni wiatr niósł huk dział armatnich nad polami i rzekami.

- Wiesz, Calvin, dlaczego wybrałem tę drogę? Gdybyśmy pojechali za tamtą kolumną, dostalibyśmy się w sam środek piekielnego ognia. Idzie walka jak cholera, wreszcie trafiła kosa na kamień.

- Znalazłem w stodole trochę spleśniałego obroku dla Berta - rzekł Calvin. - Ale dla nas w spiżarni nie ma nic. Tutejsi gospodarze musieli wyjechać już jakiś czas temu. Wyczyścili wszystko, co do okruszynki.

- Znam szanownego pana generała Shermana - powiedział Arly. - Z tym Raleigh, co je teraz słyhać, to zmyłka. Chyba trochę się przeliczył. Ale w każdym razie nie ma go tam. Ruszył dalej i dobrze się bawi, myśląc o Goldsboro, gdzie zamierza sięść jak orzeł na drzewcu.

- Został nam ostatni worek mąki i najwyżej łyżka smalcu, a nie wiem, czy uda mi się rozpalić ten piecyk - stwierdził Calvin. - Skąd pan wie, gdzie on jest?

- Mam z generałem Shermanem taki sam rodzaj umysłu - odparł Arly. Po prostu wyobrażam sobie, że jestem nim, i od razu wiem, co robi.

- A ma pan taką niską rangę - rzekł Calvin. - To niesprawiedliwe.

323

Arly pociągnął kolejny łyk z ostatniego słoika kwaśnego zacieru pana Culpa. - Gdybym nie był zadowolony z naszej wspólnej podróży, Calvin, obraziłbym się na twój niewyparzony język, ale lepiej nie wystawiaj mnie na próbę - rzekł.

- Co pan robi z fotografią generała? Na co panu ona?

- To będzie dowód mojego uznania dla niego i jego dla mnie. To będzie spotkanie umysłów. Nie jest to zwykłe zdjęcie, z rodzaju tych, które ty zbierasz. Uczynię z niego wydarzenie, które przejdzie do historii. Temu drugiemu panu Josiahowi Culpowi w ogóle do głowy by nie przyszło, że można zrobić takie zdjęcie. Mam natchnioną duszę, co znaczy, że będę robił fotografie wedle Bożych wskazówek.

- Pan i Bóg wiecie, jakiego użyć obiektywu? Znacie czas naświetlania? Umiecie powlekać klisze i wiecie, gdzie ustawić aparat?

- Te drobiazgi zostawię tobie, synu. Twoja rasa została stworzona właśnie do takich posług.

Tej nocy Arly postanowił umościć sobie poślanie na podłodze pustego piętra. Drewniane łaty wskazywały, w których miejscach mur skruszał, musiał też wypatrzyć taki kawałek podłogi, gdzie deski były całe, by bezpiecznie ułożyć na nich koce. W powietrzu unosił się odór starego, gnijącego drewna, było też zimniej niż na dole przy piecyku, gdzie nocował Calvin, ale wypadało zachować przyrodzony porządek rzeczy.

Leżał, otoczywszy ramieniem skrzynkę z obiektywami Calvina. To dodatkowy środek ostrożności, bo Calvin dobrze wiedział, że bez towarzystwa Arly'ego jako pana Culpa nie przeżyłby pięciu minut jako niezależny murzyński przedsiębiorca w tej Bożej krainie. Powstańcy nadal

323

Arly pociągnął kolejny łyk z ostatniego słoika kwaśnego zacieru pana Culpa. - Gdybym nie był zadowolony z naszej wspólnej podróży, Calvin, obraziłbym się na twój niewyparzony język, ale lepiej nie wystawiaj mnie na próbę - rzekł.

- Co pan zrobi z fotografią generała? Na co panu ona?

- To będzie dowód mojego uznania dla niego i jego dla mnie. To będzie spotkanie umysłów. Nie jest to zwykłe zdjęcie, z rodzaju tych, które ty zbierasz. Uczynię z niego wydarzenie, które przejdzie do historii. Temu drugiemu panu Josiahowi Culpowi w ogóle do głowy by nie przyszło, że można zrobić takie zdjęcie. Mam natchnioną duszę, co znaczy, że będę robił fotografie wedle Bożych wskazówek.

- Pan i Bóg wiecie, jakiego użyć obiektywu? Znacie czas naświetlania? Umiecie powlekać klisze i wiecie, gdzie ustawić aparat?

- Te drobiazgi zostawię tobie, synu. Twoja rasa została stworzona właśnie do takich posług.

Tej nocy Arly postanowił umościć sobie poślanie na podłodze pustego piętra. Drewniane łaty wskazywały, w których miejscach mur skruszał, musiał też wypatrzyć taki kawałek podłogi, gdzie deski były całe, by bezpiecznie ułożyć na nich koce. W powietrzu unosił się odór starego, gnijącego drewna, było też zimniej niż na dole przy piecyku, gdzie nocował Calvin, ale wypadało zachować przyrodzony porządek rzeczy.

Leżał, otoczywszy ramieniem skrzynkę z obiektywami Calvina. To dodatkowy środek ostrożności, bo Calvin dobrze wiedział, że bez towarzystwa Arly'ego jako pana Culpa nie przeżyłby pięciu minut jako niezależny murzyński przedsiębiorca w tej Bożej krainie. Powstańcy nadal

324

buszowali po terenach objętych wojną i łupili wszystko, jak się patrzy. Nawet gdyby Calvin zabrał Berta i dał nogę, nie zrobiłby już ani jednego zdjęcia, więc jakże miałby uchodzić za wybrańca pana Culpa? - Może tak będzie wyglądało niewolnictwo przyszłości? - narzucenie wolnym czarnym sposobu życia białych. I ja to wymyśliłem.

Arly, pogrążony w tych rozmyślaniach, nie wiedział nawet, kiedy zasnął. Lecz gdy się obudził, najwyraźniej minął jakiś czas. I nie chodziło tylko o to, że światło było inne, że księżyc rzucał mleczną poświatę na wszystko, również na niego. Nie, ale ten dźwięk. Dziwne szeleszczące posapywanie i pobrząkiwanie, lecz przede wszystkim odgłosy ludzkiej obecności, którą się wyczuwa, nawet jeśli nic nie słyhać. Podeszedł do okna i ledwo mógł uwierzyć własnym oczom - drogą w szybkim tempie maszerowała cała armia, armia widm, choć prawdziwe były zwarte kompanie, proporce i przejeżdżający galopem od czasu do czasu oficer. Nieszczęsne sukinsyny, uginające się pod ciężarem plecaków i wpatrzone w drogę. Nikt się nie odzywał, trud nocnego marszu był zbyt wielki, a jeśli następowała przerwa, zaraz przybywała truchtem kolejna kompania. - Co to ma znaczyć - pomyślał Arly - ci jan-kesi zmylili drogę! Naciągnął buty i zbiegł po schodach. Z okna z tyłu budynku widział, że idą też przez pola, płyną nieprzerwanie wokół domu jak rzeka, która wystąpiła z brzegów. Ogarnęła go rozpacz - jankeskie hordy, czując swą przewagę liczebną, tratuja te niziny. Ale potem zaświtała mu inna myśl: -jasne, generał Sherman wraca na pole walki, tam, gdzie nasi chłopcy dali do wiwatu jego drugiej kolumnie, a niech to! Tak, ani chybi o to chodzi. Cóż, generale, chyba popełnił pan błąd, skoro musi pan wracać, a na dobrą sprawę już pan wygrywał i szykował się na ucztę w Goldsboro. Och Will, jaka szkoda, że nie możesz

325

tego zobaczyć, nasza armia dalej trzyma się mocno pod Bentomdlle. Pokażemy wielkiemu Shermanowi, gdzie raki zimują, a nim to się wszystko skończy, wielu unioni-stów będzie gryźć ziemię.

Potem Arly'owi wydawało się, że widzi generała we własnej osobie, jak z oddziałem kawalerii jedzie przez pole - widział może pięćdziesięciu konnych, a jeden na czele szarpał wodzami na prawo i lewo, i to pewnie był Sherman jak nic, oszalały jeździec w świetle księżycy ruszający do boju. Arly widział tylko zdjęcie generała, a jego samego nigdy nie miał okazji, ale był pewien, gdy jeździec zniknął za wzgórzem, że to był Sherman, bez dwóch zdań. - Nic się nie martw, Will - powiedział, uśmiechając się w ciemności, wszystko gra, wszystko gra. Ty i ja, razem pojedziemy do Goldsboro, a on tymczasem załatwi sprawę tutaj i zaczekamy tam na niego, żeby mu zrobić zdjęcie portretowe, zakładając, naturalnie, że nikt go tymczasem nie zabije.

Calvin, który leżał za piecem owinięty w koc, słyszał całą rozmowę. Arly wrócił na górę i niebawem rozległo się jego chrapanie. A po jakichś dwudziestu, trzydziestu minutach przeszli ostatni żołnierze i znowu zapanowała cisza, ale Calvin nie mógł już zasnąć.

- Gdybym był rebelianckim żołnierzem, który lubi przebieranki, jaki bym sobie wymyślił plan? Wydostać się zza unijnych tyłów i przebić się do swoich, żeby znowu walczyć albo dać sobie spokój z wojną i wrócić do domu. Ale jemu nie o to idzie. Nie mógł sobie zaplanować, że przebierze się za pana Culpa. Gdyśmy się pojawili, wykorzystał tę sposobność - jakiś pomysł przyszedł mu do tej obłąkanej głowy. Ale jaki? Z jego bezustannej paplaniny wynika, że chce dogonić w marszu generała Shermana

326

i zrobić mu zdjęcie. Po co? By zdobyć pozycję w fotograficznym światku? Mało prawdopodobne, zważywszy że wcale nie chce się uczyć sztuki fotografowania. Na początku nie umiał nic i przez ten cały czas niczego się nie nauczył.

- W tej wojnie każdy człowiek jest po którejś stronie. Nawet wariat. Żebym był nie wiem jak szalony i tak jestem po stronie unii. On, wariat czy nie, dalej jest białą rebeliancką nędzą.

Calvina przejął zimny dreszcz na wspomnienie, jak kiedyś w Georgii, w obozie w sosnowym lesie, gdzie generał Sherman miał swoją kwaterę główną, pan Culp dosłownie w ciągu minuty przekonał go, by dał sobie zrobić zdjęcie, a generał wręcz wezwał cały sztab, żeby pozował wraz z nim. Pan Culp powiedział wówczas Calvinowi: - Jako fotograf musisz znać ludzką naturę i między innymi powinieneś wiedzieć, że na brak dostatecznego zainteresowania ze strony świata skarżą się przede wszystkim najślawniejsi. Chcą, by ich fotografowano i wystawiano ich zdjęcia, malowano ich portrety, pisano o nich książki i niezależnie od tego, ile uwagi im się poświęca, zawsze im mało, może prócz prezydenta Abrahama Lincolna, który jest wyjątkiem pod tym względem i pod każdym innym. - Bo przed wyjazdem z Waszyngtonu pan Culp zrobił zdjęcie również jemu i trudno mu było skłonić prezydenta do pozowania; pewnie nic by z tego nie wyszło, gdyby pani Lincoln go nie zmusiła.

A teraz Calvin, owinięty kocem, krążył tam i z powrotem po kuchni. Te rozmyślenia kompletnie wytrąciły go z równowagi. Był zbyt wyrozumiały. Ten szalenięć wpędził pana Culpa do grobu. Zabrał pistolet, wycelował w nich, przywłaszczył sobie ubranie i nazwisko pana Culpa. A teraz chce rozumem rywalizować z generałem unij-

327

nych wojsk, Williamem T. Shermanem, któremu zamierza zrobić zdjęcie.

- Ale jeśli nadarzy się taka sposobność, ja również z niej skorzystam. Opowiem im o tym pamiątkowym zdjęciu, które dowodzi, że jest rebeliantem, nim ten wariat spełni swoje zamiary, czy też, jak mu się wydaje, Bożą wolę. Cokolwiek by to było, nie można do tego dopuścić. Nawet jeśli jego intencje są czyste. Nawet jeśli chce zrobić zdjęcie generałowi Shermanowi tylko z powodu swego wariactwa, nie można mu na to pozwolić. Ja jestem fotografem, nie on. Fotografowanie to święta służba. To utrwalanie chwili, zawieszona w czasie i uwiecznianie jej dla przyszłości, jak oświadczył mi pan Culp. Dotąd nikt nie potrafił tego dokonać. Nie ma szlachetniejszego powołania nad robienie zdjęć, ukazujących prawdziwy świat.

Pan Culp zrobił mu zapis w testamencie i gdyby wrócił do Baltimore, na witrynie jego zakładu fotograficznego widniałby napis: „Culp i Harper, Fotografie”. Calvin był zły, że teraz jego aparat będzie służyć komuś, kto się na tym nie zna, jakiejś zwariowanej, wygadanej, rebelianckiej białej nędzy. - Gdybyśmy z panem Josiahem Culpem przejeżdżali przez Barnwell dzień wcześniej albo dzień później, nie trafilibyśmy na tego wariata. A pan Culp by żył i nadal chodzilibyśmy koło swoich spraw, jak zawsze. O Boże, a teraz wpadłem jak śliwka w kompot i nie widzę wyjścia.

Calvin czuł, jak narasta w nim żalony jęk, ale odchrząknął i wyprostował się. - Ja też nie jestem od macochy - pomyślał.

VII

JS^rwa

rawa bitwa pod Bentonville skończyła się po dwóch dniach. Nawróciwszy na drogę do Goldsboro, by wesprzeć kolumnę Slocuma, oba korpusy prawego skrzydła Howarda zostały metodycznie rozwinięte

i generałowi konfederatów, Josephowi Johnstonowi, pokazano dobitnie, że inicjatywa nie należy już do niego. Widząc liczebną przewagę sił nieprzyjaciela, walczył zaciekle, by utrzymać się na swych pozycjach, gotów w każdej chwili się wycofać. Skłonił go do tego zaczepny manewr oskrzydający generała Joe Mowera, który bez rozkazu poprowadził dywizję swoich wojsk przez bagniste lasy i zagroził odcięciem Johnstonowi drogi odwrotu, mostu na Mili Creek. Sherman dowiedział się o ataku w swojej kwaterze polowej, znajdującej się w pewnej odległości od pierwszej linii i, obawiając się, że Mower nazbyt wysunął się do przodu, nakazał śmiałemu generałowi powrót na pozycje unii. - Joe Mower ma słabość do bagien - rzekł Sherman. - Jak tylko zobaczy bagno, zaraz w nie lezie. Straszny z niego zabijaka, ale w końcu urodził się wśród krokodyli.

Ulewny deszcz lał tej nocy, gdy siły rebeliantów wycofały się i ruszyły na północ. Armia Shermana nie otrzymała rozkazu, by ich ścigać, więc rozłożyła się obozem tam, gdzie stała, żołnierze owinęli się w koce bądź brezentowe płachty namiotowe i legli w błocie.

Oddział Medyczny pracował nieprzerwanie mimo nieustającej ulewy. Wolontariusze przeczesywali lasy, zbierali jęczących i wzywających pomocy rannych, ładowali ich

329

do ambulansów i furgonów, po czym rozwozili do gospodarstw i plantacji, zarekwirowanych na lazarety na drodze do Averagesboro. Punkt szpitalny Wrede'a znajdował się w małym kościółku katolickim. Stół przy ołtarzu przykryto gumowaną płachtą. Ranni leżeli w nawach albo siedzieli skuleni w ławkach. Świece i dymiące pochodnie to rzucały blask na wnętrze świątyni, to pogrążały je w mroku. Niektórzy żołnierze leżeli tu bez pomocy od dwóch dni. Ich rany zaczynały ropieć. Pielęgniarki, by pracować w tym smrodzie, robili sobie maski z bandaży. Ludzie, którzy nie wytrzymywali bólu ran, błagali, by ich zastrzelono, a gdy Wrede uznawał przypadek za beznadziejny, pacjenta wynoszono w noc i spełniano jego prośbę. Proboszcz kościoła, starszy człowiek, wszedł, ukląkł w ostatniej ławce koło drzwi i modlił się. Później, gdy tylko zobaczył konającego, spieszył, by udzielić mu ostatniego namaszczenia, nie pytając o wyznanie, podobnie jak Wrede'a nie interesowało, czy pacjent jest unionistą czy konfederatem. Stary kapłan załamywał ręce i płakał, a po pomocy wykończona Pearl również nie mogła powstrzymać łez. Opadła w końcu na podłogę i siedziała obok żołnierza, trzymając go za rękę, gdy wydawał ostatnie tchnienie. Nie puściła jej nawet, gdy umarł, i dopiero Stephen Walsh delikatnie ją podniósł i zabrał na plebanię, gdzie ułożono do snu małego Davida i Albiona Simmsa, a księżka gospodyni zaprowadziła dziewczynę do jej pokoju i przykryła kocem, gdy Pearl zasnęła.

Albion Simms zafascynował Davida i rankiem, gdy wozy ruszyły, mały usiadł koło drewnianego rusztowania i słuchał piosenki:

Kukułeczka w boru gniazdka sobie szuka,

330

ale do czwartego... ale do czwartego...

- lipca nie zakuka - przypomniał mu David.

- lipca nie zakuka - powtórzył Albion. Jesteś grzecznym chłopcem?

- Tak, psze pana.
- Jesteś grzecznym chłopcem?
- Tak, psze pana. -Jesteś...?
- Już panu mówiłem, że tak.
- Co jest tam w oknie?
- To nie okno, to słońce wpada do wozu.
- Słońce?
- Tak, psze pana.
- Zawsze świeci.
- W nocy nie. Ani jak pada - rzekł David.
- Zawsze świeci. Widzisz? Świeci teraz, a zawsze jest teraz. Jesteś grzecznym chłopcem?
- Tak, psze pana.
- Co powiedziałeś?
- Jestem pana grzecznym chłopcem.
- Tak. I co odpowiadasz?
- Tak, psze pana. Dlaczego ma pan ręce przywiązane do tej barierki?
- Przywiązane? Rozwiąż je. -Ale są przywiązane.
- Tak, rozwiąż je. Przecież jesteś dużym chłopcem.
- Tak, psze pana.
- Niewygodnie mi. Jestem nieszczęśliwy. Co powiedziałem?
- Jest pan nieszczęśliwy.
- Jestem. Tak, Davidzie, jak masz na imię?

331

- Przecież pan powiedział - zachichotał chłopak. -Co?
- David.
- Tak masz na imię?
- Sam pan powiedział.

- Rozwiązałeś mi ręce?
- Nie. Tu są wielkie węzły, na górze, na dole i dookoła.
- Wszędzie dookoła?
- Tak, psze pana.
- Kukułeczka w boru... Pokażę ci sztuczkę. Co ci pokażę?
- Sztuczkę. Prawą rękę ma pan już wolną. Jaką sztuczkę?
- Patrz - rzekł Albion Simms, uśmiechając się. Uniósł rękę i palcem wskazującym dotknął szpikulca, który miał wbity w czaszkę. - Co to?
- Kawalek żelastwa siedzi panu w głowie. Boli?
- Nie. Patrz - rzekł Albion, postukując w szpikulec palcem wskazującym.
- To żadna sztuczka - powiedział David.
- Bijcie w bębny - rzekł Albion. Z wolna wyciągnął rękę. - Patrzysz?
- No.

Przegubem dłoni Albion wbił sobie szpikulec w mózg.

W trzy dni po bitwie pod Bentonville słońce świeciło, a żołnierze Shermana rozłożyli się obozem i nabierali sił wśród wzgórz i sosnowych lasków, otaczających Golds-boro. Zgodnie z planem jego wojska połączyły się z trzydziestotysięczną armią Schofielda; mundury, zapasy i poczta miały niezwłocznie przyjechać koleją z wybrzeża, a ponieważ wszystkie kampanie w Georgii i obu Karolinach przebiegły wedle taktycznych zamysłów Sher-

332

mana, generał powinien być w sumie dość zadowolony z sytuacji. Ale nie mógł przeboleć, że rebeliancki generał Joe Johnston zaskoczył go. Tak, w obliczu znacznej przewagi liczebnej rzuconych przeciw Johnstonowi wojsk generał w końcu wycofał się z pola bitwy i w książkach będą pisać o zwycięstwie unionistów pod Bentonville. Ale Sherman pozwolił swym kolumnom posuwać się w takiej odległości od siebie, że Johnston wszystkimi siłami uderzył w kolumnę Slocuma, otoczył ją i zmusił do ciężkiej bitwy. Shermana, który rozłożył się ze swym sztabem dwadzieścia kilometrów dalej, trzeba było budzić w środku nocy, by zdać mu sprawę z sytuacji. Skrzydło Howarda musiało ruszyć w ten morderczy nocny marsz, by wspomóc Slocuma i zmusić Johnstona do zaprzestania walk. Poległy wówczas setki unijnych żołnierzy, a tysiące zostało rannych.

Ze zmiennych nastrojów generała, który już to czuł gorączkowe podniecenie, już to pogrążał się w ponurych du-maniach, pułkownik Teack wywnioskował, że takie właśnie myśli go trapią.

Wczorajszego ranka Sherman wraz ze swym sztabem na rynku w Goldsboro przyjmował defiladę swych uszarganych żołnierzy, wracających z Bentonville. Tym razem nie wznoszono okrzyków na cześć wujaszka Billy'ego, a i salutowano, w najlepszym razie, bez entuzjazmu. Ludzie byli głodni i umordowani, tak wymęczeni miesiącami marszów, potyczek i bitew, że składali się z samych żył i

mięśni. Dławiła ich owa głucha wściekłość, jaka opada mężczyzn wykończonych do granic wytrzymałości. Tego, co okrywało ich grzbiety, nie można było określić nawet mianem łachmanów, a bosa stopy mieli okrwawione i spuchnięte. Nie było doboszów, by wybijać rytm marszu, ale też wcale nie maszerowali. - Spójrz no na nich - odezwał się Sherman do Teacka, gdy siedzieli

333

na koniach, patrząc na wlokących się ludzi. - Widziałeś kiedyś świetniejsze wojsko? Dali mi więcej, niż prosiłem. Jak ta przeklęta wojna się skończy, chcę, by przedelfowali w tym haniebnym stanie po Pennsylvania Avenue, żeby ludzie zobaczyli, jaką cenę płaci się za wojnę, jak odziera ona człowieka z wszelkich błahostek, czyniąc z niego zahartowanego wojownika, o stalowym charakterze i męznym sercu bohatera.

Teack uważał, że w ciągu minionego tygodnia Sherman popełnił niejedną błąd. Lojalny adiutant często żywi błogie przeświadczenie, że umiejętnościami taktycznymi przewyższa swego zwierzchnika. Choć pułkownik Teack darzył nabożną czcią swego generała i gotów był oddać za niego życie, to wiedział, że on, Teack, nie powstrzymałby generała Mowera przed przeprowadzeniem manewru oskrzydającego na bagnach. Johnston był praktycznie przygwożdżony i miał odciętą jedyną drogę odwrotu, most w Mili Creek. Zamiast kazać Mowerowi wycofać jego dywizję, Sherman powinien był silnie go wesprzeć. Johnston straciłby armię i to byłby koniec wszelkiego oporu w obu Karolinach.

To niesamowite, że niemal w tej samej chwili, gdy Teack snuł owe rozważania, Sherman zaczął mówić o tej sprawie. Siedzieli przy dobrym obiedzie w rezydencji uprzejmego handlarza tytoniem, który usunął się na swą farmę, zostawiając wszystko, co znajdowało się pod jego dachem - służbę, spiżarnię, piwnicę oraz zapas cygar - na użytek okupantów. - Co zrobiłbyś na moim miejscu, Teack? Nie miałem racji, kazać Mowerowi się cofnąć? Zrobiłem błąd? Wydawało mi się, że jego pozycja jest niepewna. Chyba powinienem był dać mu wsparcie. Ale tak czy tak, byłyby krwawe jatki. Johnston walczyłby do ostatniego człowieka. Joe Johnston jest z nich wszystkich najlepszy. Lepszy

334

niż Lee. Wycofali go z Atlanty i oddali dowództwo temu francuskiemu idiocie, Beauregardowi. Dla nas jak znalazł. Johnston, w przeciwieństwie do tego durnia, nie broniłby miast. Czysta głupota i nieudolność. Augusta, Charleston. Nigdy nie zdołali połączyć wojsk na tyle, by mnie powstrzymać. Johnston, jako dobry żołnierz, wykorzystałby warunki naturalne. Zasadzałby się na nas nad każdą rzeką, na każdym skrzyżowaniu, na każdym wzgórzu i bagnie, a każdą zdobytą piędź ziemi okupilibyśmy krwią. Dotarlibyśmy do tego samego miejsca, w którym jesteśmy teraz, ale ponieśliśmyby znacznie większe straty. Gdy Johnston z powrotem objął dowódzenie, zostały mu tylko niedobitki. Ale zrobił z nich wojsko, ustawił, gdzie trzeba i przez chwilę miał mnie w garści. Miałem posyłać Mowera? Nadal twierdzę, że nie. Oszczędziłem ludzi. Co Johnston zrobi, skoro naprzeciw stoi dziewięćdziesiąt tysięcy wojska? Oszczędziłem ludzi, i to nie tylko naszych. Ojciec Abraham chce, żeby zachować tych chłopców z Południa przy życiu, niech wracają do siebie na wieś i postawią na stole miskę stawy. A ja? Ja będę maszerował dalej, jak dotąd, z ludźmi tak zaprawionymi w bojach i trudach, że stali się niemal nadludźmi. Ta wojna już się skończyła, Teack, choć jakimś małym grupkom narwańców wydaje się, że mogą jeszcze odwrócić jej bieg. Zwyciężyliśmy i wszyscy o tym wiedzą. Południe jest moje i Joe Johnston wiedział o tym od dnia, w którym z Atlanty zesliśmy na niziny.

Teack był rad, że nie musiał ani razu się odezwać.

Sherman wyglądał źle - był zmęczony, cerę miał zielonkawą. Bez przerwy ćmił cygaro i więcej pił niż jadł. Gdy nie perorował, rozpamiętując ciągle te same kwestie, albo nie piał z zachwytu nad swymi wspaniałymi żołnierzami, zamęczał się drobiazgami, które normalnie zlecał podwładnym. Zbeształ głównego oficera zajmującego się pocztą,

335

gdy listy na czas nie przychodziły z wybrzeża. Oglądał egzemplarze nowych mundurów i butów, macając materiał i podnosząc buty, by sprawdzić, czy są ciężkie, niczym klient w sklepie z galanterią męską, w obecności zażenowanego głównego kwatermistrza, generała Meigsa. Zarządzał inspekcje i odwoływał je, nakazywał przeprowadzenie defilady i odwoływał rozkaz, choć ludzie już się zbierali. - To wojsko zasłużyło na urlop i otrzyma go - oznajmił Teackowi. Jednocześnie chciał dalej prowadzić kampanię, a z przemożną siłą owładnęło nim teraz poczucie, że jego cel się rozmywa, a armia traci bojowego ducha, co wyczuwał w każdym mieście, w którym obozowali żołnierze, włóczący się i pijący nad miarę. Pragnął kontynuować marsz, pragnął, by żołnierze znowu ustawili się w kolumny, nie znosił zarządzania miastem, co wiązało się z bezustannym wysłuchiwaniami jęczenia cywilów. By poczuć pod sobą porządną, twardą ziemię, jak w namiocie pod wysoką sosną, zrzucił koce na podłogę sypialni i spał przy kominku pod małym namiotem, który uszykował dla niego sierżant Moses Brown.

Teack naradzał się z Brownem. - Podtuczcie go trochę, sierżancie, i wsadźcie do gorącej kąpieli. Jest przemęczony i przepracowany.

Brown, jak zawsze zachowujący stoicki spokój, skinął głową. Dolewał też wody do karafek z winem generała. Nie trzeba mu mówić, czego potrzebuje jego generał.

Sherman poczuł się lepiej, gdy zajął się reorganizacją armii. Teraz, mając pod swoją komendą żołnierzy Schofiel-da, zaplanował marsz w trzech kolumnach, tak by każda w razie potrzeby mogła otrzymać natychmiastowe wsparcie. Korpusem środkowej kolumny dowodzić będzie Schofield. Na kolumny oskrzydlające miał oczywiście Slocuma i Howarda. I, jak zauważył Teack, generał Joe

336

Mower awansował na dowódcę Dwudziestego Korpusu pod Slocumem. - Trzy kolumny, Teack, w sile dziewięćdziesięciu tysięcy ludzi. Gdybym był na miejscu Johnsto-na, rzuciłbym broń i wiał. Zrobiłem tu trójzęb, trzy ostre kolce, by ciągnąć krew. - Trójzęb to broń Posejdona, generale, boga morza - odezwał się Teack. - Przez ostatnie miesiące tak lało, że zmieniłem się w Posejdona - zarepli-kował Sherman.

Tego ranka, gdy Sherman dowiedział się, że syn konfederackiego generała Hardeego zginął w bitwie pod Ben-tonville, zamknął się w swoich apartamentach i płakał. Najwyraźniej Willie Hardee usilnie nalegał, by ojciec pozwolił mu walczyć, choć oficjalnie nie został zmobilizowany. Sherman zasiadł do listu do Hardeego, którego dywizja, wedle ostatnich doniesień, obozowała w Smithfield, wraz z siłami Johnstona. „A więc, generale - pisał - obaj straciliśmy synów, o tym samym imieniu. Choć mój Willie był zbyt mały, by ruszyć na front, to wojna go zabiła, tak jak i Pańskiego. Cóż to za wynaturzona epoka, w której, wbrew wielkiemu boskiemu zamysłowi, dusze młodych zostają odarte z ciała wcześniej niż starych. Jak powiada Eklezjasta (jeśli dobrze pamiętam): Jedne liście spadają, a inne

rosną w ich miejsce, tak i pokolenie odchodzi i pokolenie przychodzi. Mniemam, że w swej boleści pragnął Pan, by Bóg oszczędził Williiego i w zamian zabrał Pana, bo takie było moje życzenie, gdy straciłem mego Williiego. Przeklinam odwrócony porządek naszego czasu, gdy tyle tysięcy z nas, ojców i matek, oddaje dzieci na tę przeklętą powstańczą wojnę. Wyglądam dnia, gdy ten naród znowu się zjednoczy, zostanie przywrócony przyrodzony porządek i nasze pokolenia będą umierać w takiej kolejności, jak Bóg przykazał. Mam nadzieję, że wtedy, drogi generale, spotkamy się i będziemy współczuć sobie nawzajem,

337

jak dwaj żołnierze, którzy uszli cało. Zechce Pan przyjąć moje najszczerze wyrazy współczucia. Pozostaję uniżonym sługą, generał major William Tecumseh Sherman".

Ciągle nie mogąc znaleźć sobie miejsca, Sherman doszedł do wniosku, że niezwłocznie musi wybrać się do Wirginii na spotkanie z generałem Grantem. Zebrał dowódców skrzydeł i korpusów, by ich o tym powiadomić i zaproponować porządek marszu po powrocie. Zgromadzili się wszyscy w dużej sali konferencyjnej na parterze budynku sądu stanowego. Na miejskim rynku drzewa zaczęły się już okrywać świeżymi liśćmi. Mapy Sherma-na rozłożono na orzechowym stole, wypolerowanym na błysk. Słońce przeświecało przez ogromne, sięgające od podłogi do sufitu okna, a generałowie, z wyjątkiem Kilpa-tricka, przybyli w starannie wyczyszczonych, ciemnoniebieskich mundurach, z błyszczącymi guzikami. Wyglądało to dość imponująco. Sherman westchnął. Dobrze wiedział, że jego strój nie stanowi wzoru elegancji, ale Kilpa-trick jest doprawdy straszliwym flejtuchem - kurtkę ma poplamioną, nie ogolił się dokładnie, do butów przywarł mu zaschnięty nawóz i, do diabła, fakt, że ma niewielki garb, ale czyż nie mógłby się bardziej wyprostować, jak przystoi jego szarzy?

Sherman pokazywał strzałką, na czym polega jego rozumowanie, a generałowie pochyłali się nad stołem. - Do tej pory wkraczaliśmy do ich miast i miasteczek. Zrywaliśmy tory kolejowe, niszczyliśmy zbrojownie i manufaktury, pozbawialiśmy ich środków płatniczych, braliśmy ich bawełnę. Teraz sytuacja się zmieniła. Chcemy tylko zniszczyć armię Joe Johnstona. W zeszłym tygodniu spotkaliśmy się na jego warunkach, w tym spotkamy się na naszych. Przypuszczalnie Lee wycofa się z Wirginii i po-

338

łączy z Johnstonem tutaj. Tak, choć ciężko to przeżyje, może mu się udać, jeżeli będzie podróżował bez obciążeń, zrezygnuje z furgonów i skieruje się tu i tu - rzekł Sherman, przesuając strzałkę na południowy zachód od Richmond. - Powinien się na to zdecydować. Dowodzi skrajnie wyczerpaną armią, liczba dezertorów co dzień wzrasta. Grant odetnie ostatnie połączenie do Danville i wtedy Lee będzie musiał walczyć do ostatecznego wyniszczenia. A więc nawet z Grantem, depczącym mu po piętach, najlepszym manewrem jest marsz do Pomocnej Karoliny i mam nadzieję, że go podejmie, bo z moimi dziewięćdziesięcioma tysiącami nie potrzebuję nawet Armii Potomaku. Możemy skończyć wojnę tutaj i cały zaszczyt przypadnie nam.

Na te słowa generałowie spojrzeli po sobie z uśmiechem i minami pełnymi aprobaty. Na niektórych obliczach pojawił się radosny rumieniec.

- Ale przypuszczam - ciągnął Sherman, że Lee zrobi głupstwo - zachowa się mężnie i zostanie na swoich pozycjach. Co to oznacza dla nas? Johnston ma najwyżej trzydzieści pięć tysięcy żołnierzy. Skoro daliśmy radę połączonym siłom jego i Lee, to nie uporamy się z samym Joe Johnstonem? Ale powiem wam, w czym rzecz. Ten człowiek jest mistrzem odwrotu. Pamiętajcie, jakim spryciarzem okazał się w Atlancie. Wie, że odwrót jest potężnym manewrem militarnym. Mamy nadzieję, że będzie bronił Raleigh, lecz jeśli nie, jeśli się wycofa, będziemy mieli ciężki orzech do zgryzienia. Ucieknie, będzie się mścił, rozproszy swych żołnierzy po zachodniej Pomocnej Karolinie, po Tennessee i zacznie wojnę partyzancką, która może ciągnąć się latami. Latami, panowie. Posiadł sztukę furazowania w równym stopniu co my, a skoro ludność cywilna gotowa jest go zaopatrywać, nawet skrycie - nie,

339

do tego nie dopuścimy. Musimy go okrążyć, zamknąć w kotle, a jeśli się nie podda, zetrzeć go na proszek.

W tym momencie uwagę generała Kilpatricka odwróciły dwie młode Murzynki, które przyniosły kawę na srebrnych tacach oraz karafki brandy. Były ładniutkie i uśmiechały się jak wolne kobiety - bo wolno im było się uśmiechać i robić, co im się podoba.

- Generale? - rzekł Sherman.

- Tak jest - powiedział Kilpatrick ochryplym głosem. Omal nie stanął na baczność.

- Pytałem, jak idzie podkuwanie koni.

- Zgodnie z planem. Wierzchowce będą podkute i gotowe do jazdy.

- Bo pańskim zadaniem będzie odciąć drogi na zachód i utrzymać się tam, póki nie nadejdą moje kolumny - rzekł Sherman.

Po skończonej naradzie generałowie odetchnęli swobodniej, radując się swoim towarzystwem i sącząc kawę z maleńkich filiżanek z całą elegancją, na jaką się mogli zdobyć. Słońce wpadało do sali niczym obietnica ostatecznego zwycięstwa. Rywalizowali ze sobą, co jest nieuchronne między oficerami w systemie wojskowej biurokracji, ale wspólnie przebyli długą kampanię i wszystkich jej trudów zaznali na własnej skórze - przemierzali ciężki teren, przeszli rzeki, przewyciężyli przeszkody; rządząc samodzielnie w podległych jednostkach, znakomicie współdziałali ze sobą na rzecz szlachetnej sprawy - dzięki czemu wytworzył się między nimi duch koleżeństwa i nawzajem doceniali swoje zalety. Śmiało brnący przez bagna Mower, gdy nie znajduje się w ogniu walki, jest cichy i nieśmiały. Slocum, twardą ręką dzierżący lewe skrzydło, ma opadające powieki i pedantyczny, ścisły umysł rzecz-

340

znawcy ubezpieczeniowego. Howard, dowódca prawego skrzydła, wszystkich traktuje po ojcowsku - to potężny, rozważny człowiek, chętnie rozprawiający o swojej rodzinie i wykazujący szczerze zainteresowanie rodzinami innych. A między nimi krąży Sherman, w wyjątkowo dobrym humorze, śmiejąc się i żartując. Czuje ich podziw i sam rzuca mimochodem uwagi, pochrząkuje i kiwa głową, wyrażając im tym sposobem swoje uznanie.

- Na tym między innymi polega przywództwo - odnotował sobie w pamięci pułkownik Teack, który towarzyszył generałowi i stał przy jednym z okien. - Wiedzieć, kiedy podejść do swoich ludzi jak do człowieka, kiedy nie wywołując zażenowania u nich ani u siebie, wyrazić im swoje zaufanie. Tak, by gdy nadejdzie pora, oddali za ciebie życie.

Snując te rozmyślenia, pułkownik Teack zerknął za okno. Na ulicy rozstawiono jeden z tych amerykańskich aparatów do robienia zdjęć i mężczyzna, w długim płaszczu i meloniku, oparłszy ręce na biodrach, wpatrywał się wprost w pułkownika. Sherman, który zapalając cygaro, akurat przechodził obok, natychmiast zauważył nadarzącą się okazję i odwrócił się ku zgromadzonym. - Panowie - powiedział - świat nas wzywa. Zróbmy sobie zdjęcie. Siądźmy tam w słońcu, na tle flagi Stanów Zjednoczonych powiewającej nad Goldsboro, by społeczeństwo na wieki zapamiętało wspaiałe braterstwo Armii Zachodu.

Gdy zbliżyli się do budynku sądu, którego pilnowali wartownicy, Arly odezwał się do Calvina: - No dobra, jest tam, synu, i teraz uwiecznimy kawałek historii. Zrobię zdjęcie generałowi Shermanowi. Ale jeśli spróbujesz rzucać mi kłody pod nogi...

341

- Niby dlaczego? - zapytał Calvin.

- Bo jesteś podstępny wolny Murzynem. Zawsze byłeś wolny?

-Tak.

- Tym gorzej dla ciebie. Bo nie wiesz, co się może przytrafić takim jak ty, kiedy coś schrzanią.

- Chyba wiem.

- Mam taką nadzieję. Bóg patrzy na tę wojnę i na swój zwykły, tajemniczy sposób poddaje nas próbie. Sprawdza, ile wytrzymamy, i w tym celu wykurza nas ogniem z domostw, strzela do nas jak do kaczek i podbija bębena czarnym, którzy zaczynają zadierać nosa. Ale to jeszcze nie oznacza, że wasz prezydent Lincoln wygra tę wojnę. To znaczy jedynie, że pochłania nas ogień, byśmy powstałi z popiołów, nowi i odrodzeni. O to chodzi! Mam rację, Will? Wszak Bóg wsadził cię do więzienia za dezercję, a mnie za przyśnięcie na służbie, abyśmy z hańby i wstydu wznieśli się ku wielkim rzeczom, które są nam przeznaczone.

W sumie było tam jedenastu generałów. Wyniesiono krzesła i rozstawiono je na placu przed schodami do budynku sądu. Jeden ogromny fotel dla Shermana, cztery krzesła z wysokimi oparciami dla generałów, usadowionych po dwóch po bokach Shermana. Reszta stanęła rzędem za krzesłami. Sherman, naturalnie, decydował, kto będzie siedział, a kto stał i gdzie.

Podczas tych przygotowań zebrał się tłum gapiów. Pułkownik Teack wzmocnił strażę i teraz między generałami i ulicą stanęli żołnierze z bronią gotową do strzału.

Ranek był rześki, wiał lekki wietrzyk. Rozmawiać należało z pułkownikiem. Ale jak? Calvin się guzdrał. Krzątał się, zaaferowany, przy sprzęcie, ciągle coś nowego przy-

342

nosił z wozu. Raz po raz zmieniał ustawienie obiektywu, to go wysuwając, to cofając, bardziej w prawo lub w lewo. Wiedział, że generałowie w końcu stracą cierpliwość. Sherman siedział, założywszy nogę na nogę, z rękami splecionymi na piersi, w pozie, w której chciał zostać uwieczniony, i czekał, aż fotografowie uwiną się z robotą.

- Nie spiesz się, Calvin - powiedział Arly półgłosem - wszyscy generałowie Stanów Zjednoczonych zaczekają, aż się wygrzebieesz.

W odpowiedzi Calvin upuścił płytkę, którą trzymał w rękach. Rozprysnęła się na kawałki. Musiał więc je pozierać i przynieść z wozu następną. Wprawiło to Arly'ego w nie mniejsze zażenowanie, niż ogarnęłoby pana Culpa. Uznał, że najlepiej wybrnie z tego, ustawiając generałów w najodpowiedniejszych pozach. Wskazał, kto wśród stojących powinien ustawić się z profilu, a kto patrzeć wprost w obiektyw. Opuścił kąciki ust na znak, że nie powinni się uśmiechać. - Skąd on to wszystko wie? - zastanawiał się Calvin.

- W każdym razie - myślał Calvin - gdyby Arly chciał zrobić coś złego, to już by zrobił. Bo sposobność miał dobrą, gdy znalazł się tak blisko Shermana. Calvin spojrzał na generałów, zastygłych w uroczystych pozach, na wznoszące się za nimi białe kolumny gmachu sądu, i pomyślał, że wyszłoby z tego dobre historyczne zdjęcie, gdyby rzeczywiście wyszło. Ale już się tym zajął. Płytkę, którą wsunął w obiektyw, nie była powlekana - nie utrwali obrazu. By mieć absolutną pewność, przykręcił obiektyw nieodpowiedni do odległości między aparatem i fotografowaną grupą. Miał dziwne uczucie, działając wbrew zasadom sztuki swego zawodu, odmawiając historii jej praw. Ale się zawziął. Niezależnie od tego, co się stanie ani co ten zwariowany rebeliant zamierza, nie zrobi żadnego zdjęcia.

343

Gdy generałowie postusznie szli za jego wskazówkami, Arly zaczął się dobrze bawić. Z powiewającymi połami palta kroczył tam i z powrotem, energicznie wciskając sobie melonik pana Culpa na uszy i chwyląc roztaczający się przed nim widok. - To historyczna chwila - oznajmił, a Joseph Culp, właściciel salonu fotograficznego Stanów Zjednoczonych czuje się zaszczycony, mogąc ją uwiecznić.

Sherman zaczynał się niecierpliwić, odwracał głowę, mamrotał coś pod nosem, drapał się po brodzie, zakładał to lewą nogę na prawą, to prawą na lewą. - Panowie - rzekł Arly - wiecie, że gdy klisza się naświetla, nie wolno nawet drgnąć, bo zdjęcie nie wyjdzie.

Udał, że dopiero teraz zauważył, iż generał coś nie tak pozuje. - Panie generale - rzekł - czy zgodziłby się pan, bym na chwilę założył mu kłamrę na głowę? Ponieważ przygotowania zajmują trochę czasu, może się pan poruszyć w fotelu, a jeśli nie będzie pan siedział absolutnie nieruchomo, pańska postać może wyjść niewyraźnie.

Sherman niechętnie zmarszczył brwi, ale skinieniem głowy wyraził zgodę i Arly posłał Calvina do wozu po obejmę, przymocowaną do stojaka. Calvin wiedział, że w porannym słońcu wystarczy dziesięć sekund naświetlania i żadna kłamra nie jest potrzebna. Ale to dawało mu szansę. Stanął za Shermanem i przymocował ją. - Panie generale, to nie jest żaden amerykański fotograf, tylko zwariowany rebeliant - wyszeptał bez tchu i odbiegł. Sherman nie mógł odwrócić głowy. - Co? - odezwał się. - Co ten Murzyn powiedział?

Widząc, że Arly majstruje przy aparacie, Calvin szybko podszedł do pułkownika Teacka, który stał w cieniu, z boku tarasu. - Panie pułkowniku - powiedział - pan Josiah Culp nie żyje. Ten człowiek w jego przebraniu to zwariowany rebeliancki żołnierz.

344

- O czym ty mówisz? - zapytał Teack. Jaki rebeliancki żołnierz?

Pułkownik chwycił go za ramię, lecz w tym momencie Calvin z osłupieniem zobaczył, że Arly odkręca obiektyw od aparatu. Czy Arly wiedział, że to zły obiektyw? Ale skąd? Wyrrywając się z uchwytu pułkownika, Calvin podbiegł do aparatu w poczuciu, że ulega on jakiemuś straszliwemu uszkodzeniu. Arly wsadził głowę pod czarne sukno, spod którego rozległ się jego stłumiony głos: - Proszę się nie ruszać, generale, nadszedł kluczowy moment!

Potem ukazała się twarz Arly'ego, wykrzywiona tak ekstatycznym paroksyzmem, że Calvinowi wryła się w pamięć do końca życia. Z oprawki, gdzie powinien znajdować się obiektyw i czego Calvin w porę nie zauważył, wystawała lufa pistoletu pana Culpa. Pierwszy strzał, niczym rozżarzony piorun, przemknął przed oczami Cal-vina, oślepiając go. Ale Murzyn rzucił się do obiektywu, przekrzywił go i drugi strzał trafił pułkownika Teacka w pierś, obalając go na ziemię, choć Calvin nie mógł tego wiedzieć. Opadł na kolana, przez głowę przelatowały mu błyskawice jaskrawego światła, a gdy przyłożył ręce do oczu, stwierdził, że są mokre. Nie wiedział, co to za wilgoć, póki nie zaczął jej potykać. Wokół niego wybuchły krzyki. Słyszał pospieszne kroki, słyszał rzenie muła Berta. Na czworakach, dławiąc się własną krwią, poczuł na plecach ostrze bagnetu.

Gdy Arly po raz drugi nacisnął spust, odskakując na bok, by nie oberwać przewracającym się aparatem, sklął Calvina, cofnął się i gdy ruszyło na niego kilku żołnierzy, zrzucił płaszcz i kapelusz pana Culpa. Stał, czekając, aż go pojماją, w starannie pozapinanym szarym mundurze, który wzięt z zapasu pana Culpa. Padł na ziemię, obalony

345

kolbą karabinu. Na plecach poczuł ciężki ucisk czyjegoś buta, a gdy szarpiąc i poszturchując, podniesiono go na nogi, zaczął się skarżyć na złe traktowanie: - Do diabła, tak nie wolno, o mało co nie złamaliście mi ramienia!

I kiedy go zabierali, domagał się, by uwięziono go razem z innymi żołnierzami Konfederacji Stanów Zjednoczonych. - To honorowe działanie wojenne! - wykrzykiwał. - Jestem żołnierzem!

W tym podnieceniu i zamieszaniu wokół jedenastu generałów niezwłocznie uformował się oddział strażniczy. Sherman, nieco wytrącony z równowagi, kazał zanieść Tea-cka do sali konferencyjnej. Generałowie, przekonawszy się, że Sherman wyszedł z tego zajścia bez szwanku, wypytawali się teraz nawzajem, czy nikomu nic się nie stało. Okazało się, że wszyscy wyszli z tego cało. Ale zgodzono się, że najlepiej będzie wrócić do gmachu sądu i pokrzepić się kawą i brandy. - Obejdzie się bez kawy - rzekł Kilpatrick, wbiegając susami na schody. Inni wchodzili statecznie, starannie unikając niestosownego pośpiechu, choć paru obejrzało się na tłum, stojący za placzykiem, by zobaczyć, czy ktoś przypadkiem do nich nie mierzy. - Czy to nie dziwne - zauważył jeden z nich - że choć jesteśmy tak przyzwyczajeni do ostrzału, ta sytuacja wydaje się nam nienaturalna.

Sherman stał przez chwilę na schodach, patrząc na ludzką ciżbę, która wyległa na ulicę. - Jak to się stało, że ten dureń przedostał się tak blisko? - rzucił w przestrzeń.

Zebrano filizanki po kawie i ułożono pułkownika na stole, zamiast poduszki wsuwając mu zwiniętą kurtkę mundurową Shermana. Choć Teack był biały z bólu, bardziej troszczył się o to, by jego mundur się nie zniszczył. I uznał, że nie wypada mu tak leżeć w obecności genera-

346

łów. Próbował się podnieść. - Bzdura, Teack - rzekł Sherman, przyciskając go do stołu.

Wśród trzech przybyłych chirurgów znajdował się Wrede Sartorius. Pozostali wyraźnie uznawali jego wyższość. Zaproponował pułkownikowi znieczulenie. Spotkał się z odmową. Kula strzaskała żebro, ale wbiła się na tyle płytko, że można ją było wyjąć bez komplikacji. Usunięto odłamki kości. Dwie małe, krwawiące tętnice podwiązano. Wrede opukał klatkę piersiową i z zadowoleniem stwierdził, że płuco było w porządku. Zszył ranę i położył na nią szarpie, ale jej nie zabandażował. Zawołał sanitariuszy, kazał przynieść nosze i oznajmił pułkownikowi Teackowi, że będzie musiał poleżeć w szpitalnym namiocie pułkowym.

Przez cały czas generałowie przyglądali się zabiegowi, niczym studenci w akademii medycznej. Generał Sherman uporczywie zadawał pytania - do czego to? Po co pan to robi? - A Wrede uporczywie milczał, co na Shermanie wywarło wielkie wrażenie.

Wrede zostawił swym asystentom wskazówki co do opieki pooperacyjnej i poszedł zająć się Murzynem, który nadal leżał na placu przed gmachem sądu. Sherman zwrócił się do jednego ze swych sztabowców: - Kim jest ten pułkownik? Jak się nazywa? Ma żołnierską postawę, w przeciwieństwie do większości personelu medycznego.

Następnego ranka o świcie Arly Wilcox został rozstrzelany przez pluton egzekucyjny, z całym ceremoniałem: oficerami na koniach, orkiestrą wojskową, sosnową trumną i oddziałem jeńców konfederackich, wziętych do niewoli pod Bentonville, których przygnano tu ku nauce. Arly'ego, który dowodził, że jest prawdziwym jeńcem, rozbawieni strażnicy zapewnili, iż właśnie dlatego zosta-

347

nie rozstrzelany, a nie powieszony. - No cóż, Will - powiedział do zdjęcia w kieszeni - wróciliśmy do miejsca, w którym byliśmy w Milledgeville. Ale przynajmniej egzekucję wykonają ci przekłeci unioniści, a nie moja własna armia, co świadczy o nieustającej łasce boskiej, która na mnie spływa, dając nadzieję na męczeńską śmierć.

Arly, któremu kazano wykopać własny grób, ostrzem łopaty pieczętowanie wyrównał kąty proste. - Skoro to ma być mój nowy dom, chcę, by elegancko się prezentował - rzekł.

Calvin nie został stracony wraz z Arlym Wilcoxem z powodu odniesionej rany, a także dlatego, że nie było jasne, jak daleko sięgał jego współudział. Powstało też pytanie, dlaczego Murzyn miałby pomagać przy takim przedsięwzięciu. Do Wrede'a Sartoriusa należała decyzja, kiedy Calvin może zostać poddany przesłuchaniu, które przesądzi o jego dalszym losie.

Ale teraz Wrede otrzymał rozkaz czasowego przeniesienia do sztabu generała Shermana. Miał towarzyszyć Shermanowi do kwatery głównej Armii Potomaku w City Point w Wirginii. Zachodził w głowę, w jakim celu, i zastanawiał się, gdzie mógłby być wojsku bardziej przydatny, niż pełniąc funkcję pułkowego chirurga.

Nie wiedząc, na jak długo został odkomenderowany, sądził, że zdąży wrócić, by postawić ostateczną diagnozę stanu zdrowia Murzyna. Ranny miał złamany grzbiet nosa i osmalone obie rogówki. Ślepotą może być całkowita bądź częściowa - było jeszcze zbyt wcześnie, by to stwierdzić. Zostawił wskazówki, dotyczące dalszej opieki nad pacjentem, spakował parę rzeczy osobistych, wziął torbę z niezbędnymi narzędziami i wyjechał, nie informując personelu, dokąd się udaje.

348

Wrede wciąż jeszcze był zły z powodu utraty Albiona Simmsa. Brązowego dzieciaka nie wolno było zostawiać z nim sam na sam. - Oczywiście, to moja wina, że przyjąłem ludzi bez przygotowania medycznego - myślał. - Stephen Walsh i jego panna Jameson sami są jeszcze dziećmi. Mają dobre chęci, ale na jaką stratę mnie narazili. Po powrocie odeślę Walsha do jego pułku. Dzieczyna będzie musiała sama sobie radzić.

VIII

L,

/okomotywa podwiozła ich do Morehead City, gdzie wsiedli na parowiec żeglugi przybrzeżnej, który przez noc miał dotrzeć do City Point. Morze było jak szkło, ale Sherman zapytał: - Co pan zaleca na chorobę morską?

Wrede zaordynował laudanum i Sherman wypił je łapczywie.

- Będę musiał porozmawiać z Grantem między innymi

O sprawie egzekucji tego Murzyna - rzekł Sherman. - Dla gazet z Południa byłaby to prawdziwa gratka. A gdy już tam zajedziemy, chciałbym, żeby przyjrzał się pan Gran-towi. Niech mi pan powie, czy z jego wątrobą wszystko jest w porządku. Mam nadzieję, że tak. Wolałbym, żeby nadał pił. Lepiej mu się myśli po kielichu. Wiem, które listy dyktuje pod jego wpływem... są związane, konkretne, klarowne i pisane pięknym językiem.

Gdy Sherman zasnął, Wrede stanął na pokładzie dziobowym i patrzył na morze. Służba wojskowa wymagała wyrobienia w sobie poczucia wewnętrznej podległości, która niełatwo mu przychodziła. Tkwił tu oto, na pokładzie parowca, ze swą lekarską torbą za cały bagaż, zobowiązany troszczyć się o zdrowie generała jak jakiś totumfacki.

Tej pochmurnej nocy zatarta się różnica między niebem

1 morzem. Wrede Sartorius zobaczył w nich odbicie swego ponurego stanu ducha. Uśmiechnął się, samotnik, który za jedyne go towarzysza miał własny umysł. W Ameryce mieszkał już od niemal dwudziestu lat, lecz nie czuł się tu bardziej zadowolony niż w Europie. Pogardzał wojskowym Departamentem Zdrowia i nie widział już powodów,

350

by dzielić się z nim swymi odkryciami. Wojna miała się ku końcowi. Postanowił wystąpić z wojska.

Rezydencja generała Granta nie była okazała, lecz miała doskonałe położenie, na brzegu James River, z widokiem na wybrzeże. To był prawdziwy dom. Napawał spokojem. Sartorius usadowił się na wygodnym krześle. Oparłszy ręce na złączonych kolanach, wpatrywał się w panią Grant, która dzielnie próbowała przełamać jego milkliwość. Gdzieś w trakcie marszu stracił talent do prowadzenia towarzyskich pogawędek. Pani Grant była uroczo bezpośrednią kobietą, troskliwą gospodynią i Wrede doceniał jej wysiłki, by go zabawić, podczas gdy jej mąż i generał Sherman konferowali na osobności. Ale zasięgnęła jego porady w sprawie Ulyssesa, który uskarżał się na ból w plecach. Potem przyznała, że brakuje jej tchu, gdy wchodzi po schodach.

Grant, który pojawił się w towarzystwie Shermana, prezentował się zadziwiająco nieefektywnie - był dość niski, przysadzisty, o bujnej, brązowej brodzie - wyglądał na spokojnego człowieka, lekceważącego sobie wrażenie, jakie wywrze na otoczeniu. Sherman przeciwnie, najwyraźniej nie mógł przestać mówić. Grant miał dobrą cerę, a oczy tylko trochę przekrwione.

Wrede'a zaproszono na podobiadek, podany koło dwunastej, w którym uczestniczyli głównie sztabowcy armii Potomaku. Pani Grant zasiadła na jednym końcu stołu, generał na drugim. Grant, w rozpiętym mundurze, siedział zgarbiony, jadł niewiele i pił tylko wodę. - Uley - zawołała do męża pani Grant - doktor Sartorius ma maść na plecy, która by ci dobrze zrobiła. To bardzo miło z jego strony, nie uważasz?

Po poczęstunku wszyscy podnieśli się od stołu, a Wrede nie wiedział, co ma robić, gdy Grant i Sherman opuścili

351

pokój i skierowali się ku drzwiom wyjściowym. Sherman jednak wrócił i skinął na Wrede'a, by dołączył do obu generałów, po czym we trzech poszli na przystań, gdzie wsiedli na „River Queen”, duży biały parowiec z amerykańską flagą powiewającą u steru. Wrede miał oczy jeszcze pełne blasku słonecznego dnia i musiał przez chwilę przyzwyczajać wzrok do przyćmionego światła kabiny rufowej, gdzie z krzesła poniósł się wysoki mężczyzna, by ich powitać. Miał słaby, pełen nadziei uśmiech ludzi chorych, grzywę niesfornych włosów, ramiona okrywał mu szal, był w rannych pantoflach. Wrede Sartorius uświadomił sobie, wstrząśnięty, że wcale nie stoi przed nim wizjoner, dzięki stanowczej woli realizujący swe zamysły, przywódca kraju, którego fotograficzne portrety widniały w całej unii. Widział oto człowieka steranego życiem,

O oczach pełnych bólu i fizjonomii niemal grobowej, niemniej był to bez wątpienia prezydent Stanów Zjednoczonych.

Po wielu miesiącach koczowniczego życia na nizinach Południa Wrede, znalazłszy się tak blisko Abrahama Lincolna, poczuł się trochę nieswojo. Rzeczywista obecność

1 mityczny urząd nie współgrały ze sobą. Ta pierwsza zawierała się na małej przestrzeni, ten drugi miał siedzibę wyłącznie w umyśle. Lincoln rozmawiał w sposób niezwykle ugrzeczniony, co stawało się wręcz krępujące. Żaden europejski przywódca nie wyrażałby tak krytycznych opinii o sobie w obecności podwładnych. Prezydent momentami sprawiał wrażenie starej kobiety, przerażonej wojną i wątpiącej, czy kiedykolwiek się ona skończy.

- Generale Sherman - rzekł - czy na pewno pod pana nieobecność armia jest w dobrych rękach?

Ależ panie prezydencie, przekazałem dowództwo generałowi Schofieldowi, który jest niezwykle kompetentnym oficerem.

352

- Tak - odparł Lincoln - bez wątpienia. Ale po naszej rozmowie zaraz pana puszcę.

Sherman gotów był mówić o wojnie, jakby już dobiegła końca. Uważał, że na potrzeby regularnej armii w czasie pokoju nie należy formować nowych pułków, lecz raczej uzupełnić istniejące oddziały szeregowymi żołnierzami. -Ach, generale Sherman - rzekł Lincoln ze słabym uśmiechem - więc sądzi pan, że mamy przed sobą przyszłość? Sherman, któremu nie było do żartów na ten temat, odparł:

- Generał Grant zgodzi się ze mną, że jeszcze jedna porządna bitwa i wojna jest wygrana. - Jeszcze jedna bitwa

- rzekł Lincoln. - Która to już będzie? Straciłem rachubę

- dodał, pochylając głowę i przyrykając oczy. Generał Grant zapytał o panią Lincoln i prezydent wyszedł na chwilę, by ją przyprowadzić. Grant, wykorzystując ten moment, podszedł do Sartoriusa. - Na moje oko, prezydent postarzał się o dziesięć lat. Ma pan jakiś eliksir życia, który dodałby mu ducha? Ma pan coś takiego? Wszystkim nam jest ciężko, ale my przynajmniej jesteśmy w polu. On nie może się wyładować w bitwie, tak jak my, siedzi tylko i czeka na wieści w Waszyngtonie.

Zanim Wrede zdążył odpowiedzieć, wrócił prezydent, oznajmiając, że pani Lincoln nie czuje się dobrze i prosi o wybaczenie. Oczy prezydenta, przykryte ciężkimi powiekami, rozbliły nagle, kierując niepokojąco wymowne spojrzenie na Sartoriusa. Zapadło kłopotliwe milczenie.

W tym momencie prezydent wraz z generałami przeszli do innej kabiny. Sartorius przechadzał się nerwowo, starając się nie wysnuwać żadnych wniosków z dochodzących do niego dźwięków. Nie słyszał słów, lecz głosy - barytonowe pomruki prezydenta, burkliwe wypowiedzi Granta, wznoszące się nad nie okrzyki Shermana, z zadufaniem twierdzącego, że wszystko trzyma w garści.

353

Nareszcie drzwi kabiny otworzyły się i Sartorius, powstając z miejsca, mógł ocenić, jak wysoki jest prezydent. Głowę niemal sięgał sufitu. Miał olbrzymie dłonie i wielkie, niezgrabne stopy, a spod podwiniętych rękawów koszuli wyglądały przeguby, porośnięte czarnym, kręconym włosem. Długa głowa była proporcjonalna do wzrostu, lecz rysy wydawały się przez to jeszcze wyrazistsze, nadając swoisty urok brzydkiej twarzy, szerokim ustom, głębokim zmarszczkom, wyżłobionym w ich kącikach, wydatnemu nosowi, długim uszom i oczom, które w każdej chwili mogły zniknąć pod opadającymi powiekami. Sartorius zastanawiał się, czy fizjonomia prezydenta nie jest uwarunkowana dziedzicznie, czy nie ma zespołu nadmiernie rozwiniętych kończyn i surowego wyglądu twarzy. Innym symptomem jest przedwczesne starzenie się. To tłumaczyłoby malujący się na jego obliczu straszliwie zgnębiony wyraz, wycisnęły się na nim bowiem trudy sprawowania urzędu, pogłęzione chorobą.

- Co najważniejsze - rzekł prezydent, podsumowując naradę - nie stawiajmy im zbyt surowych warunków, by wojna nie trwała nadal w ich sercach. Chcemy, by powstańcy ponownie poczuli się Amerykanami.

W tym momencie pojawiła się jednak pani Lincoln, korpulentna niewiasta, o włosach przylegających do okrągłej twarzy i oczach wpatrujących się we wszystkich z jednaką podejrzliwością. Ledwie zdawała się zauważać przybyłych generałów, nie wspominając o Wredem, lecz podeszła prosto do męża i opowiedziała mu o planach na dalszą część dnia, jakby w pokoju nikogo nie było. Potem, marszcząc z niezadowoleniem brwi z powodu jakiejś niewidzialnej przeszkody, wyszła równie nagle jak się pojawiła, zostawiając otwarte drzwi. Lincoln poniósł się, by je zamknąć.

354

Generałowie, którzy powstali na powitanie żony prezydenta, milcząco uznali, że najlepiej będzie wrócić do przerwanej rozmowy.

Wrede był zaskoczony, że prezydent tak onieśmiał. Gdy Lincoln zwracał się do kogoś, wyróżniony czuł tak niezwykle uniesienie, że nie docierały do niego słowa prezydenta. Aby usłyszeć, co mówi przywódca, wręcz nie należało na niego patrzeć. - Generał Sherman twierdzi, że jest pan najlepszy - powiedział prezydent. - Wie pan, pułkowniku, ta wojna odbiła się na zdrowiu pani Lincoln nie mniej niż na starych wiarusach, którzy przeszli wszystkie bitwy. Niepokoi mnie stan jej nerwów. Czasami aż mi szkoda, że nie leczy się jej zgodnie z ostatnimi osiągnięciami medycznymi, jakie ma do dyspozycji każdy ranny szeregowiec w lazarecie.

Dopiero parę minut później, gdy Wrede Sartorius wracał z generałem Shermanem na parowiec, który miał go zabrać w drogę powrotną, uświadomiono mu, z czym wiąże się życzenie prezydenta. - Niestety, pułkowniku - rzekł Sherman - nie będzie już pan brał udziału w kampanii. Zostaje pan odkomenderowany do Ministerstwa Zdrowia w Waszyngtonie. Zabierze się pan z ekipą prezydenta.

Sherman już miał wejść na pokład, lecz jeszcze się odwrócił. - Niezgodność charakterów miewa czasem tragiczne skutki - rzekł. - Wielkiemu przywódcy narodowemu zatruwa życie niezdolna neurasteniczka. Prawda, stracili syna. Ale mnie też to spotkało, a także generała Hardee. Jego i mój Willy odeszli. A jednak moja żona, El-len, jest twarda jak skała. Nie zadręcza mnie swoimi obawami i podejrzeniami, gdy borykam się ze sprawami wagi państwowej. Każę przestać pańskie rzeczy. Powodzenia - rzekł Sherman i wbiegł po trapie.

355

W najbliższym sklepie Sartorius kupił parę sztuk z ubrania, torbę, do której je zapakował i wsiadł na statek „River Queen”, by popłynąć do Waszyngtonu. Nie miał wyjścia - musiał się pogodzić z sytuacją. - Lincoln zbyt różowo ocenia poziom opieki medycznej w szpitalach wojskowych - myślał. - Ale przynajmniej jest pozbawiony innych złudzeń.

- Nie znam żadnych cudownych eliksirów - ani jednego. Mam kilka ziół i nalewek oraz piłę do odcinania członków.

Nie mógł przestać myśleć o prezydencie. Zaczynał odczuwać w stosunku do niego rodzaj czci. Po namyśle, pokora Lincoln, w której Wrede dopatrywał się słabości, teraz zdała mu się uprzejmością

wobec gości, by nie dostrzegli mrocznej równiny, na której stale przebywał. Może jego cierpienie rodziło się na styku sfery publicznej i prywatnej. Wrede ociągał się z wejściem na pokład. Ze względu na moralne brzemie dźwigane przez prezydenta, trudno było przebywać w jego towarzystwie. Wyglądał źle, troska o sprawy państwa chmurzyła mu czoło, lecz kryło się za tym coś więcej nad obciążenie dziedziczne. Postawienie właściwej diagnozy wykraczało poza zasięg wiedzy medycznej. Może jego choroba brała się stąd, że zebrał na swojej piersi wszystkie wojenne rany, stał się ucieleśnieniem nieszczęść rozdartego kraju.

Wrede, który widział wszystkie rodzaje śmiertelnych ran, jakie można odnieść na wojnie, nigdy nie czuł takiego żalu nad drugim człowiekiem. Dalej tkwił na przystani, nie chcąc wchodzić na pokład. Życie zdało mu się w tym momencie niezwykle złowieszcze.

IX

G

Idy lokomotywy ze zgrzytem wjeżdżały na węzeł kolejowy Goldsboro, te ogłuszające dźwięki w żołnierskich uszach brzmiały jak fanfary. Ustawiano się w szeregi, jeszcze zanim rozbrzmiały komendy. Wojsko pysniło się nowymi, pachnącymi świeżością kurtkami i spodniami. Z podziwem patrzono na karbiny reperujące, które wypakowywano ze skrzyń jeszcze nasmarowane i błyszczące. Radośnie przytupywano nowymi butami o grubej podeszwie. Łachmany i rozdeptane łapcie uroczystie płonęły w rozlicznych ogniskach. Bębny obciążnięto nową skórą, klarneckiści otrzymali nowe stroiki, a głównego kwatermistrza powszechnie wychwalano jako najsprawniejszego oficera w całej armii. Przywieziono pocztę, a także żołąd dla wszystkich dziewięćdziesięciu tysięcy ludzi i żołnierze, którzy dokładnie 10 kwietnia wyruszyli z Goldsboro po paru tygodniach odpoczynku, teraz, na nowo wyposażeni, otrzymawszy listy z domu, z pieniędzmi w kieszeniach, pokrzepieni i wyekwipowani jak należy, gotowi byli doprowadzić wojnę do końca.

Szeregi wojska wychodzące z obozowisk z wolna rozciągały się na szerokość sześćdziesięciu kilometrów wzdłuż Neuse River i traktów przecinających pola, porośnięte bujnym młodym zbożem. Od oddziału do oddziału, aż do ciężkich furgonów, biegła wieść, że generał Lee jechał od Petersburga i Richmond. To tłumaczyłoby radosne okrzyki, które do Stephena i Pearl dobiegły znad wzgórz. Cel marszu był teraz jasny. Wielka machina wojenna nie ruszy na pomocny wschód ani do Richmond. Natrze na Raleigh i rebeliancką armię generała Johnstona.

357

Stephen i Pearl byli zbyt niespokojni, by poddać się ogólnemu nastrojowi. Ponieważ dr Sartorius nie wracał, jego oddział medyczny przeszedł pod komendę innego pułkownika. Stephen nie miał żadnego przygotowania medycznego, toteż kazano mu wracać do jego pułku. Pearl, jako cywilnej ochotniczce, powiedziano, że nie jest już potrzebna i może jechać do domu, gdziekolwiek by on był. Pearl przeraziła się, lecz Stephen powiedział jej, by siedziała cicho, i oboje zignorowali rozkazy. Stephen dobrze znał zasady działania maszyny wojskowej. Wiedział, że zamęt, powstały przy ekwipowaniu wojska i reorganizacji zarządzania, którą przeprowadził generał Sherman, najlepiej przeczekać, podczas marszu szukając dla siebie cichego kąca. Była to jedyna rozsądna strategia, zważywszy że mieli pod opieką Calvina Harpera. Gdy oddział medyczny zabrał dwa ambulanse i wóz z zapasami, pierwotnie przyporządkowane Sartoriusowi, Stephen zapytał dowodzącego porucznika, co ma zrobić

z Murzynem z obandażowanymi oczyma, który się tam znajduje. - Oddaję go w twoje ręce, synu - oświadczył porucznik. Ale musieli bezustannie mieć się na baczności. Inny porucznik, kapitan albo generał mógłby wpaść na całkiem odmienny pomysł. Naturalnie Calvin opowiedział im o całej sprawie. Pearlomal nie rozpląkała się na wieść, że ten człowiek, który tak uwielbiał fotografować, mógłby stracić wzrok. Doktor Sartorius powiedział, że trzeba się z tym liczyć. Mniej więcej co godzinę Calvin Harper unosił brzeg bandaża, by sprawdzić, czy z jego oczami nie jest lepiej. Widzę światło, i tyle. Tylko światło. Ale mały Da-vid pilnie mu się przyglądał i postanowił trzymać Calvina za rękę, by ten mógł bezpiecznie się poruszać.

Choć Calvin Harper ostrzegł generała Shermana, a jeszcze wyraźniej, pułkownika Teacka, że aparat obstu-

358

guje żołnierz rebeliancki, wiedział, że główny dowódca wojsk ma mnóstwo spraw na głowie i raczej nie złoży zeznań oraz że pułkownik również odniósł ranę i nie będzie współczującym świadkiem. Mogę liczyć tylko na to, że jestem Murzynem, a ponadto, dzieje się tyle rzeczy, że może zapomną o takiej płotce jak ja. To moja jedyna nadzieja.

Stephen uznał, że Calvin najprawdopodobniej ma rację. Żołnierzy była ogromna rzesza, wojna szybko zbliżała się ku końcowi, co wpływało na rozluźnienie się dyscypliny wojskowej. Generałowie zapobiegliwie stworzyli nową biurokrację, w nadziei, że dalej będą nad wszystkim panować. Prawe skrzydło tworzyła teraz Armia Tennessee, lewe Armia Georgii, a nowa kolumna, przybywająca z wybrzeża, to Armia Ohio. Co to wszystko oznaczało? Korpusy, dywizje, brygady, oddziały miały teraz odrębne flagi bojowe i odróżniały się od siebie dla celów administracyjnych, które umykały zwyktemu piechurowi, ciężkim krokiem przemierzającemu tę ziemię. Stephen nawet nie wiedział, czyjego dawny pułk nadal jest 102. nowojorskim. Całymi kilometrami ciągnął się sznur żołnierzy, koni i furgonów. Orzeł unoszący się nad okolicą w kwietniowych wiatrach dostrzegłby tylko coś migotliwie błękitnego i falującego, co przypominało zbiornik retencyjny. Stephen zaproponował, by umieścić na tej płaszczyźnie przenośny zakład fotograficzny Josiaha Culpa, w nadziei, że gdy Calvin zasiądzie na miejscu woźnicy, świeżo wyfasowany niebieski mundur starczy mu za wszelkie dyplomy.

Kłopot był tylko z Bertem.

Uplasowali się z tyłu sznura furgonów, tyle mil za korpusem czołowym, że nie dochodziły do nich odgłosy potyczek z kawalerią rebeliantów, która atakowała, cofała się i znowu atakowała. Do nich dochodził tylko podmuch

359

kwietniowego wietrzyka, skrzypienie furgonów i równomierny stukot kopyt o ubitą ziemię. Ale muł Bert nie lubił kroczyć w szeregu. Wierzgał, zatrzymując ruch. Raz po raz próbował wyrwać się z pochodu i wjechać w pole. Gdy kawaleria galopowała wzdłuż drogi zbyt blisko niego, Bert unosił łeb, odślaniał zęby i rżał.

- Ten twój muł - zawołał Stephen w kierunku brezentowej budy - nie jest zachwycony naszą wycieczką.

- To cały Bert - rzekł Calvin. - Zawsze był niezależny. Dla mnie jest jak stary przyjaciel. Pogadam z nim chwilę, może uda mi się go przekonać.

- To nie jest dobry pomysł - powiedział Stephen. Lepiej nie wyłaż, żeby cię nikt nie zobaczył.

Jakiś czas potem dojechali do strumienia, na którym most został wysadzony i saperzy musieli położyć pontony. Prąd był silny i nieco je znosił, a Bert, któremu nie spodobał się głuchy dźwięk własnych kopyt, omal nie wjechał do wody, wraz z całą aparaturą Fotografa Stanów Zjednoczonych Josiaha Culpa.

Stephen przeprowadził go, ale natychmiast wycofał wóz z szeregu i stanął z Bertem pod sosną.

Pearl wyskoczyła z wozu. - Co zrobimy?

- Zaczekamy. Będą tędy przeprawiali konie prowadzące i muły. Zamienimy to stworzenie na muła wojskowego.

- A kto by je chciał?

-No to spróbuję jakiegoś wyzebrać.

- Będziesz musiał go kupić - rzekła Pearl. - Nikt ci nie podaruje dobrego muła wojskowego.

Popatrzyli na siebie. Stephen nie odebrał żołdu, bo wtedy jak nic odesłaliby go z powrotem do jego pułku.

Pearl wyjęła z kieszeni zawiązaną na węzeł chusteczkę z podwójnym orłem.

- Nie, daj spokój - powiedział Stephen. - Jedną już oddałaś.

360

- Mniejsza z tym. Calvin - zawołała - mówięś, że gdzie mieszkasz?

- W Baltimore - padła odpowiedź.

- Kupujemy nowego muła, Calvin. Ten twój w życiu nie doczłapie się do Baltimore.

Zapadło długie milczenie. - No dobra - powiedział Calvin.

Bobby Brasil, który wraz z oddziałem czołowym wszedł do Smithfield, znalazł się po ogniem rebeliantów. Błyski wystrzałów dochodziły ze składów i okien na piętrach. Jeden rebeliant miotał pociski z dzwonnicy kościoła. Brasil, skręciwszy za róg, na końcu ulicy zobaczył barykadę i zdążył cofnąć się w ostatniej chwili. Pocisk rozerwał się akurat w miejscu, w którym przedtem stał, a gdy dym się rozwiął, ulica zryta była lejami. Brasil właśnie awansował na sierżanta z tej racji, że przeżył dwóch swoich poprzedników. Jego pluton składał się z wiejskich chłopaków z pomocy stanu. Kompletnie ogłupiali, przywarli do ziemi pod osłoną alei. -Wydaje się, że wojnę prowadzi się z jam wykopanych w ziemi, zza drzew, z drugiego brzegu rzeki, na bagnach. Nie na ulicach. Nie od domu do domu. Macie szczęście, wiejskie kpy - zapewnił ich. On sam, Bobby J. Brasil, zaprawiał się w walkach ulicznych, odkąd nauczył się chodzić. Był postrachem Five Points, czarną legendą Centre Street. Najwyższa pora ucywilizować tę wojnę.

Prowadząc swoich ludzi aleją, zawiódł ich w okolice wysypisk śmieci i szop. Przeskakiwali drewniane płoty, wdarli się przez drzwi od tyłu do pustego składu i wyszli od frontu, omijając barykadę. Padli na podłogę ganku i zaczęli strzelać. Nim rebelianci zorientowali się w sytuacji, wystrzelano ich, dobrych paru ludzi, w tym dwóch ar-

361

tylerzystów, obsługujących działą Parrotta*. Po zdobyciu barykady, Brasilowi i jego ludziom salutowali przejeżdżający kawalerzyści.

Gdy doszli do rynku, niebieskie mundury waliły tłumnie zewsząd. Smithfield zostało wzięte. Ludzie wydali radosne okrzyki, a po dwudziestu minutach bezładnej bieganiny ponownie uformowali się w kolumny i podjęli marsz.

Na zachodnim krańcu miasta rebelianci spalili most na rzece Neuse. Kolumny marszowe zatrzymały się, żołnierze usiedli na zboczu wzgórza. Wiejskie kmiotki paliły fajki, a Brasil leżał na ziemi z rękami pod głową, gapiąc się w niebo, podczas gdy saperzy przytransportowali pontony. Brasilowi zaczęło się podobać dowodzenie, choć pechowo trafiło mu się dziewięciu Holendrów. To jeszcze miesiąc temu wprowadziłoby go w zakłopotanie, ale musiał przyznać, że zrobił się z niego dobry żołnierz. Nie wiadomo, skąd rozwinęło się w nim poczucie odpowiedzialności. Wojskowe życie przestało być dla niego sprawą wyłącznie osobistą, nie dbał już, jak kiedyś, w każdej sytuacji tylko

o siebie. Zachichotał na myśl, co powiedzieliby o tym jego wujkowie czy tata, Brasilowie bowiem nie odznaczali się wojowniczym duchem. Ale armia to ciekawa sprawa

1 Brasil zaczynał być z niej dumny, jakby w jakimś sensie do niego należała albo on do niej. Uważał, że doskonale by sobie poradził jako dowódca kompanii czy nawet pułku. Wiedział, że generałami zostają tylko absolwenci West Point, ale przecież armia nie składa się wyłącznie z generałów.

‡ Robert Parott (1804-1877), amerykański wynalazca, twórca najpotężniejszej armaty w owym czasie.

362

Gdy most był gotowy, wojsko pomaszowało do Ra-leigh. Mijali spalone gospodarstwa, stratowane plony. Dzieci, bosa i na pół goła, ssąc kciuki, wpatrywały się w żołnierzy z niedbale skleconych szop. W oddali od czasu do czasu widać było plantację, pozamykaną, bez śladu życia. I wszędzie na trasie przemarszu na drogę wychodzili Murzyni, szli wraz z żołnierzami, tańczyli, wznosili okrzyki i chwalili Pana.

Brasil uzmysłowił sobie, że jest szczęśliwy. Czuł się na swoim miejscu - nigdy dotąd jego buntownicza natura nie pozwoliła mu delektować się tym uczuciem.

Wcześniej rozłożono obóz na łąkach jakieś piętnaście kilometrów na wschód od Raleigh. Broń ustawiono w kozły, rozbito namioty, rozpalono ogniska, by nagotować stawy. Część żołnierzy zeszła do rzeki, by ochłodzić stopy. Brasil, siedzący przed swym dwuosobowym namiocikiem, uznał, że też to może zrobić, gdy usłyszał hałas, którego nie potrafił zidentyfikować. Stanowczo nie były to strzały, lecz dźwięk nieprzyjemny, ale przyciszony, jakby wiatr wionął przez lekko uchylone okno. Ale potem

usłyszał salwę z muszkietów, więc chwycił karabin i zerwał się na nogi, bo poszum stawał się coraz głośniejszy. Rozpoznał krzyki, a potem całkiem wyraźne piski, coraz bliższe, napływające ze wschodu ku Smithfield, gdzie nadal stacjonowała większość wojska. Cała jego kompania zerwała się na nogi. Przybiegli żołnierze znad rzeki i wszyscy wypytywali się nawzajem, co się do diabła dzieje. Apotem usłyszeli dźwięk rogów, buczenie tub pułkowej orkiestry, grzmot trąb, lecz wcale nie brzmiało to jak muzyka, wszystko oszalało, jakby walono cynowymi kubkami o cynowe talerze. I najwyraźniej całe wojsko wiedziało, skąd ten harmider, z wyjątkiem Bobby'ego Brasila, aż przyjechał oficer kawalerii, powiewając kapeluszem, ściągnając konia, jeżdżąc w kółko

363

i rycząc juhuhu! jak wariat. A potem nadjechało jeszcze paru takich, za nic mających godność swej szarży, jak uznał Brasil, póki nie usłyszał właściwych słów, a przynajmniej wydawało mu się, że je usłyszał albo sam złożył ze skowytów i frunących w górę kapeluszy i zwariowanych żołnierzy, tańczących ze sobą. I teraz olbrzymi, ochryply chór męskich głosów odbijał się echem nad wzgórzami, przy akompaniamencie muszkietów, strzelających jak sztuczne ognie; cała Armia Zachodu zagrzmiała, aż zadrżała ziemia, jakby rozbrzmiały głębokie basy organów katedralnych, i zdało się, że sam Bóg włączył się do wiwatów z okazji kapitulacji. Bo właśnie to się zdarzyło - Lee skapitulował i skończyło się, ta przekłeta wojna skończyła się! Podniósł się ryk tak straszliwy, że wystraszył ptaki z drzew, króliki wpędził do nor, lisy do jam, a rebeliantów w pijaństwo. Brasil opadł na ziemię ze skrzyżowanymi nogami na indiańską modłę i zastonił uszy rękami, by usłyszeć, jak dziękuje Bogu za przeżycie. - Dzięki Ci, Boże, że pozwoliłeś przeżyć temu ulicznikowi - modlił się i, owszem, jasne, że się cieszył, i ktoś przyszedł, i podniósł go z ziemi, i niebawem wrzeszczał i tańcował dookoła ze wszystkimi, i poszedł do namiotu swego dowódcy kompanii, który częstował gorzałką, i wznosił toast za ojca Abrahama i wuja Billy'ego Shermana, i jeszcze jeden za Wspaniałą Armię Republiki, i myślał z uśmiechem, że ma szczęście, bo wojna skończyła się akurat wtedy, gdy wreszcie znalazł coś, w co może wierzyć.

Specjalny rozkaz polowy Shermana, w którym podawał do wiadomości, że generał Lee poddał całą swoją armię generałowi Grantowi 9 bieżącego miesiąca w gmachu sądowym w Appomatox w Wirginii nie oznaczał, iż nie zostało już nic do roboty. Joe Johnston może rozproszyć

364

swe siły i rozpocząć długą kampanię - jakiś niekończący się marsz, przy którym pochód przez Georgię i obie Karoliny będzie wydawał się zaledwie preludium, a coraz większe obszary kraju zostaną spustoszone i wyludnione. „Chwała Panu i naszemu krajowi - napisał Sherman w odezwie do żołnierzy - oddajemy też cześć naszym towarzyszom broni”. Ale kazał kawalerii Kilpatricka ruszyć na Raleigh i zamierzał skierować korpusy piechoty na południe, by Johnston nie mógł pospieszyć w tym kierunku. Jeszcze w Smithfield przyjął delegację wystraszonych cywilów, którzy przyjechali pociągiem z Raleigh, by prosić

O obronę ich miasta. Byli to czterej roztrzęsieni rajcowie, którzy musieli znieść brutalny obstrukcjonizm Kilpatricka, nim ich przepuścił. Na Shermana spadł obowiązek uspokojenia ich i zapewnienia, że skoro wojna już prawie dobiegła końca, okupacja miasta przebiegnie spokojnie, a władze cywilne nadal będą mogły pełnić swoje obowiązki. - Co jest, do diabła, z tym Kilpatrickiem - rzekł potem Sherman do swego adiutanta, majora Dayton. - Można by pomyśleć, że Kil wcale nie

chce, by wojna się skończyła. A skoro - zaśmiał się i zatarł ręce - ojcowie miasta wychodzą z białą flagą, Joe Johnston pewnie jest gdzieś niedaleko.

Dnia 13 kwietnia Sherman wkroczył do Raleigh i, wprowadziwszy się do rezydencji gubernatora, wydał rozkazy co do ruchu kolumn w kierunku Asheville przez Salisbury

1 Charlotte. Potem rozsiadł się wygodnie i czekał. Jak się spodziewał, następnego dnia, za pośrednictwem Kilpatricka, który rozbił się obozem czterdzieści kilometrów dalej na zachód, otrzymał list od generała Johnstona, dostarczony pod białą flagą. Johnston chciał omówić warunki zaprzestania działań wojennych. Sherman poprosił Mosesa Browna o szklanicę brandy, zapalił cygaro i podyktował

365

majorowi Daytonowi odpowiedź. Jak później stwierdził, nigdy ułożenie żadnego listu nie sprawiło mu większej przyjemności.

Uzgodniono, że wszelkie ruchy wojsk zostają zawieszane, armie mają pozostać na dotychczasowych pozycjach, podczas gdy dwaj generałowie spotkają się na drodze pomiędzy czołwką unii w Durham i tyłami konfederatów w Hillsboro. Sherman postanowił doprowadzić się z tej okazji do porządku - wyszczotkował mundur i pozwolił, by Moses Brown wyczyścił mu buty i dostarczył świeżą koszulę. Dnia 17 kwietnia, o ósmej rano, gdy właśnie wsiadał do swego prywatnego pociągu, który miał zawieźć go do Durham, telegrafista wybiegł ze swego biura nad stacją z telegramem od ministra Stanton'a z Waszyngtonu. Widniały na nim tylko kropki i kreski, lecz generał zatrzymał pociąg na parę minut, by napisali mu to po angielsku.

Sherman chodził tam i z powrotem po poczekalni, ale jego uniesienie gaśło z każdą chwilą. Nie podobała mu się mina telegrafisty. Gdy wręczono mu telegram, był już pełen najgorszych przeczuć. „Skądś wiedziałem - napisał później do żony. - Stanton zawsze był zwiastunem złych wieści”.

Prezydent Lincoln został zamordowany. Zamachowiec zaszedł go od tyłu, gdy siedział w łożu teatralnej i wystrzelił mu kulę prosto w głowę. Minister spraw zagranicznych Seward został ciężko ranny podczas innego zamachu. Liczba spiskowców była nieznana, najprawdopodobniej generał Grant i on sam również mieli paść ofiarą morderców. „Zaklinam pana - pisał Stanton - by bardziej niż prezydent Lincoln liczył się pan z taką ewentualnością”.

Sherman złożył kartki i schował je do kieszeni. - Za późno, Stanton - pomyślał. - Do mnie już próbowali się dobrać. Spudłowali. Wielka szkoda. Lepiej by było, żeby spudłowali do prezydenta, a trafili w Shermana.

366

- Telegrafista ciągle tam stał.

- Czy widział to ktoś prócz ciebie? - zapytał Sherman.

- Nie, panie generale.

- Pod żadnym pozorem - rzekł Sherman - nie wolno ci

O tym nikomu mówić, napomykać ani nawet sprawiać wrażenia, że wiesz, co było w tym telegramie - nikomu, rozumiesz?

- O tak, rozumiem - odparł telegrafista.

- Jesteś mieszkańcem tego miasta, co? Jeśli przed moim powrotem rozniesie się wieść o tym, co się stało, jeżeli wojsko się o tym dowie, miasto poniesie niewyobrażalne konsekwencje.

- Rozumiem, panie generale - rzekł telegrafista. - Nie musi pan wdawać się w szczegóły.

Na dworcu w Durham Shermana powitał Kilpatrick, który przywiódł mu konia oraz pluton kawalerii jako eskortę, po czym, w ślad za jeźdźcem z białą flagą, generał ruszył do Hillsboro. Poprzedniej nocy padało, znad pól unosił się świeży zapach, a trawa przy drodze, pocętkowana kroplami deszczu, błyszczała i migotała w słońcu. Kwitły bzy, woń sosen nasuwała na myśl wizję krainy oczyszczonej z krwi i wojny. Na przeciwległym krańcu drogi Sherman dojrzał bliźniaczy oddział i dwie białe flagi skłoniły się sobie. - Był tam Joe Johnston, a skoro on uchylił kapelusza, mnie też tak wypada.

Dwaj generałowie zasiedli w wiejskim domku, podczas gdy ich oficerowie czekali na zewnątrz, a właściciel, który schronił się w stodole, zapewniał swą niespokojną żonę, że kiedyś ich dom zostanie zamieniony w muzeum, do którego będą napływać turyści, ciekawi miejsca, gdzie omawiano warunki zakończenia wojny.

Johnston, starszy mężczyzna o srebrzystosiwym wąsie

1 koziej bródce, ubrany w znakomicie leżący na nim ele-

367

gancki szary mundur, był wyraźnie wstrząśnięty, gdy Sherman wręczył mu telegram. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu. - Ale chyba nie oskarża pan rządu konfederacji o tę ohydłą zbrodnię - wymamrotał. - Pana na pewno nie - oświadczył Sherman - ani generała Lee. Ale za Jeffersona Davisa i ludzi jego pokroju głowy bym nie dał. - To hańba dla naszych czasów - rzekł Johnston. - Zawsze uważałem prezydenta Lincolna za człowieka współczującego i wyrozumiałego. Takiego, że gdyby wojna źle się dla nas skończyła, przystałby na warunki sprawiedliwe i miłosierne.

Dwaj generałowie przez chwilę siedzieli w milczeniu. - To stawia pana w bardzo trudnym położeniu - rzekł Johnston. - Nas obu - odparł Sherman. W tym momencie dostrzegł w Joe Johnstonie owego ducha West Point, którym sam był przepojony, choć przez te wszystkie lata w wojsku ani razu się nad tym nie zastanawiał. Sposób, w jaki jego rozmówca siedział w fotelu, styl jego wystawiania się, powaga, z jaką się nosił, zaszczerpiona tylko tym, którzy mieli zostać generałami - to wszystko kazało mu powrócić myślą do wykładów, marszów na orientację, kursów taktyki, studiowania obcych wojen, wkuwania na pamięć wierszy Homera. Nagle Sherman poczuł wielką sympatię dla swego wroga, tego szczwanego starego lisa, o małych, bystrych oczkach i orlim nosie. Obaj wojacy czuli do siebie szacunek, co wytwarzało wzajemną więź, wywodzili się z tej samej szkoły i obaj byli cholernie dobrymi żołnierzami. Sherman miał większe zaufanie do tego generała, do tego wroga, niż do swych przełożonych w Waszyngtonie - Stantona, Johnstona, prawdopodobnie nowego prezydenta, całej kliki waszyngtońskich polityków która, w najlepszym razie, do ich zamierzeń kazała mu podchodzić z najwyższą czujnością.

- A skoro Lee się poddał - rzekł Sherman z największą delikatnością, na jaką mógł się zdobyć - może pan zrobić

368

to samo, nie uchybiając honorowi ani przyzwoitości. Inna droga wszak nie jest możliwa. Nie ma pan dość wojska, by stawić mi opór.

Johnston przysłonił ręką oczy. - Tak - rzekł - to już nie byłaby wojna, lecz mord.

Teraz musieli przystąpić do rzeczy. Ale Sherman nie posiadał się z radości, jako zwycięzca czuł się niezwykle wspaniałomyślny. Przejął miłosierdzie i wyrozumiałość zmarłego prezydenta, jakby zostały mu one przekazane w testamencie. Zawsze powtarzał, że choć na wojnie jest bezwzględny, będzie równie niezawodnym przyjacielem, gdy Południe złoży broń. I tak, po trochu, podczas tej rozmowy i następnych, w swym uniesieniu nie bardzo zdawał sobie sprawę, że więcej daje Johnstonowi niż Grant przyznał Lee. Tak spartaczone porozumienie zostało z irytacją odrzucone w Waszyngtonie i Grant musiał osobiście udać się do Pomocnej Karoliny, by sprawę odkręcić. Teraz jednakże Shermana całkowicie pochłonęły negocjacje. Trudnych kwestii było wiele. Jakie inne armie Południa, operujące w Alabamie, Luizjanie i Teksasie, obejmie kapitulacja Johnstona? Jaką broń oficerowie i żołnierze będą mogli zatrzymać? Na jakiej podstawie będzie się przywracać obywatelstwo? Do jakiej własności będą mieli prawo poddający się powstańcy? Jakie racje żywnościowe zostaną przyznane weteranom konfederacji, by nie splądrowali kraju podczas powrotu do domu? A Jefferson Davis i jego gabinet? Czy skorzystają z amnestii?

I tak wojna zeszała do poziomu słów. Walczono teraz przy stole w obrębie terminologii. Ścierano się na zdania. Okopy i wypadki, rytm bębnow i sygnały trąbek, marsze, zasadzki, podpalenia i walne bitwy przemieniono w rzeczowniki i czasowniki. - Zrobiło się bardzo cicho - rzekł Sherman do Johnstona, który, nie całkiem rozumiejąc, uniósł głowę i nasłuchiwał.

369

- Kule armatnie czy kartacze przeszły w wypowiedziane tu zadania, zapisywane słowa - myślał Sherman. Język to wojna toczona innymi środkami.

Dopiero potem, późną nocą, gdy Sherman siedział przy kominku w swojej kwaterze, odczuł szczególny rodzaj zawiści wobec Joego Johnstona i całego Południa, które Joe reprezentantował. - Jakież to denerwujące. - W jednej ręce Sherman trzymał cygaro, w drugiej szklanicę brandy. Wpatrywał się w ogień. - Koniec wojny ma to do siebie, że gdy umilkną wiwaty, człowiek jest rozdarty. Tak, walczyło się za słuszną sprawę. Tak, można wychylić swój dzban dumy. Ale zwycięstwo to niejasna, dwuznaczna sprawa. Będę się dalej zastanawiał nad swoimi działaniami. Tymczasem generał Johnston i jego towarzysze, walczący za niesłuszną sprawę, zgorzkniali teraz i rozpamiętujący klęskę, uwzniośli się w swej szlachetnej żalości, która obdarzy ich mocą na całe stulecie.

Sherman poinformował swych generałów o śmierci prezydenta, przedsięwziął pewne środki ostrożności, po czym wydał specjalny rozkaz połowy do żołnierzy: „Generał głównodowodzący z niezmiernym żalem i bólem zawiadamia, że wieczorem 14 b.m., w teatrze w Waszyngtonie, jego ekscelencja prezydent Stanów Zjednoczonych, Abraham Lincoln, został zamordowany przez zamachowca, który dokonując swego czynu, wypowiedział motto stanu Wirginia”.

Jak się spodziewał, w obozach dano wyraz wielkiemu żalowi i gniewowi. Niebawem tysiące żołnierzy, bez rozkazu, szalejąc z wściekłości, już nie armia, lecz bezład-

ie Semper Tyrannis - Tak zawsze tyranom.

370

ne rzesze powstańców, ruszyły na Raleigh, zamierzając spalić miasto na popiół. Lecz wtedy ten motłoch zobaczył naprzeciw siebie Piętnasty Korpus pod dowództwem generała Johna Logana, ulice zablokowane przez artylerię, własnych towarzyszy broni z wymierzonymi w nich bagnetami. Sam Logan, na ogromnym wierzchołku, jeździł tam i z powrotem przed rozciągniętymi szeregami. Raz po raz nakazywał żołnierzom powrót do obozów. - Nie zabito go w Raleigh - krzyczał Logan. Naszego prezydenta nie zamordował żaden z mieszkańców tego miasta. Nikt tutejszy tego nie zrobił, wracajcie do obozów! W tył zwrot, w tył zwrot, powiadam!

Tak jak wcześniej masy przeszły od radosnego uniesienia z powodu kapitulacji Lee do smutku i wściekłego gniewu, tak teraz, równie szybko, uspokoiły się z poczuciem wstydu, a ludzie z wolna rozproszyli się i zawrócili. Sytuacja ciągle była napięta, toteż Sherman kazał rozstawić strażę po obozach i wysłać patrole na ulice miasta.

Gdy Wrede Sartorius dotarł do Waszyngtonu, zameldował się w Ministerstwie Zdrowia, gdzie otrzymał przydział do Głównego Szpitala Armii Stanów Zjednoczonych. Tu, choć dano mu do dyspozycji własną salę operacyjną, oddział szpitalny, asystenta oraz sztab pielęgniarzy wojskowych, wykonywał tę samą pracę co i przedtem jako pułkowy chirurg polowy. Miał jednak częściej do czynienia z kryzysami pooperacyjnymi, kiedy trzeba było przeprowadzić dodatkowe zabiegi chirurgiczne, polegające na odcięciu tkanki zgorzelinowej bądź usunięciu członków, których resekcja nie dała rezultatu. I proporcjonalnie więcej pacjentów, weteranów Armii Potomaku Granta, cierpiał na zaburzenia miazmatyczne, gorączkę kleszczową albo zwyrodnieniowe choroby społeczne, niż widział w armii Shermana.

371

Przez niemal dwa tygodnie nikt z Białego Domu nie kontaktował się z Sartoriusem, co chirurg konstatawał z pewną ulgą. Potem, wczesnym wieczorem 14 kwietnia, przybył do niego adiutant z Białego Domu, który zapytał, czy pułkownik Sartorius zechciałby obejrzeć dziś przedstawienie teatralne wraz z prezydentem i jego małżonką? Akurat tego popołudnia przybył nadspodziewanie liczny transport pacjentów z jednego ze szpitali polowych Granta. Żołnierze ci zostali ranni, aż żał powiedzieć, w ostatnich potyczkach z armią Lee. Wielu z nich było źle leczonych w szpitalach polowych i Sartorius, który nie wiedział, w co najpierw ręce włożyć, stojąc przed adiutantem w gumowym fartuchu uwalanym krwią, odrzucił zaproszenie. Adiutant, młody porucznik, zwierzył mu się, że już parę osób odmówiło prezydentowi, między innymi Grantowie, minister Stanton z żoną oraz kilka innych par. - Przykro mi - rzekł Sartorius. - Może dlatego, że to Wielki Piątek - rzekł adiutant, wychodząc.

Późnym wieczorem, gdy Sartorius wciąż jeszcze był w pracy, rozeszła się wieść, że prezydent został zastrzelony. Sartorius, wraz z drugim lekarzem, który miał dyżur, szybko znaleźli powóz i pospieszili na miejsce zdarzenia. Prezydenta przeniesiono do domu naprzeciwko teatru. Leżał po przekątnej łóżka, które było dla niego zbyt krótkie, w małej sypialni, w otoczeniu wianuszka lekarzy, w tym

naczelnego lekarza kraju. Pokój oświetlała tylko mrugająca lampa gazowa. Sartorius przepchnął się nieco bezceremonialnie i ukląkł, by zbadać ranę, małą dziurkę za lewym uchem. Pani Lincoln siedziała na skraju łóżka, zapłakana, trzymając prezydenta za rękę. Jakaś dłoń sięgnęła obok Sartoriusa i zdjęła skrzep, nie pierwszy, który utworzył się na ranie. Owi licznie zgromadzeni lekarze próbowali też podać prezydentowi brandy, którą mało co się nie

372

zakrzusił, położyli mu w nogach butelki z gorącą wodą i obserwowali funkcje życiowe - to wszystko, na co ich było stać.

Prezydentowi zdjęto koszulę. Gdy Wrede klęczał przy nim, zauważył konwulsyjne skurcze piersiowe, powodujące wygięcie przedramion, zanik oddechu i zaraz potem ciężki wydech. Jedna źrenica skurczyła się do rozmiarów główki szpilki, druga była silnie rozszerzona. Wrede wstał i nagle ogarnęła go wściekłość na widok tego tłumu lekarzy w maleńkim pokoiku. Prezydent oddychał z coraz większym trudem. Pani Lincoln, słysząc rżenie, krzyknęła: - Och, Abe, Abe - i padła na łóżko. Wrede powiedział głośno do oniemiałych zebranych: - To koniec, nie przeżyje następnej godziny. Medycyna nic tu nie pomoże. Wynieście się stąd wszyscy. Zostawcie go samego - przy śmierci nie potrzeba mu publiczności.

Nie słuchając głosów zaskoczonych kolegów, przepchnął się przez tłumek i ruszył dalej, do holu i frontowych drzwi, a stamtąd na ulicę. Sądził wielkie kroki, nie wiedząc, dokąd idzie. Nocne powietrze było wilgotne, a światła gazowych lamp tłumiła mgła.

Gdy pułkownik Teack dowiedział się o śmierci prezydenta, uznał, że musi to być spisek, skoro w tak krótkim czasie i Lincoln, i generał Sherman stali się celem zamachowców. Rebelianta nie przesłuchano przed rozstrzelaniem, co było kolejnym błędem generała. Gdy zdarza się coś podobnego, z takiego ptaszka należy wyciągnąć jak najwięcej. Trzeba się dowiedzieć, czy to jakiś rebeliancki szaleniec, czy działał na rozkaz. Podeszycie się pod dyplomowanego fotografa było sprytną sztuczką.

Teack podniósł się z łóżka i choć ciągle odczuwał bóle, a w ręce postępującą słabość, spotkał się z kapitanem żan-

373

darmerii i kazał przyprowadzić do siebie Murzyna, który pracował dla fotografa.

- Nie wiemy, gdzie jest ten Murzyn - rzekł kapitan. -W ogóle go nam nie przekazano. Zajął się nim oddział medyczny.

- Dlaczego?

- Postrzelił go jego kumpel. Żeby stanął przed komisją śledczą, doktor musi go wypuścić ze szpitala.

- No więc odnajdźcie doktora!

- To będzie trudne. Pułkownik Sartorius wyjechał. Jego szpital przejął ktoś inny.

- Nie podoba mi się to - rzekł Teack. - Wcale mi się to nie podoba. Ten czarny musi gdzieś być. I mieli ten cholerny wóz - gdzie on się podział?

- Panie pułkowniku, w tym zamieszaniu...

- Powiedział coś do mnie, wiedział, co się święci - rzekł pułkownik Teack. - Odnajdę go. Powiada pan, że został ranny. Nie mógł daleko odejść. Sam go odszukam, jeżeli nie będzie innego wyjścia.

W trakcie negocjacji generał Grant bez rozgłosu przybył do Raleigh, by zmienić zbyt wspaniałomyślne warunki kapitulacji, na jakie zgodził się Sherman. Żadne prawo, na przykład, nie nakazywało rebeliantom, by uznali równouprawnienie Murzynów i przestrzegali jego zasad, toteż zawieszenie broni mogło wygasnąć, zanim doszłoby do uzgodnienia traktatu pokojowego. Nic dziwnego zatem, że wojsko po obu stronach zaczęło zaprowadzać pokój na własną rękę. Nikt nie chciał maszerować z powrotem na Południe, a szeregowi żołnierze konfederacji już dawno zrozumieli, że ich sprawa jest przegrana. Dyscyplina rozluźniła się, a w niektórych obozach między Raleigh i Durham Station kombatanci zaczęli się bratać.

374

Obdarci żołnierze konfederacji napływali coraz większym strumieniem, bez broni, i siadali przy ogniskach ze swymi dawnymi wrogami. W armii Johnstona racje były skąpe, rebelianci nie dojadali i wielu żołnierzy unijnych dzieliło się posiłkiem z Południowcami. Wojacy w niebieskich i szarych mundurach rozmawiali o bitwach, w których ze sobą walczyli, jako o łączącym ich, wspólnym dziele.

Stephen Walsh uznał, że taka atmosfera może mu tylko pomóc w realizacji planu, który obmyślił z Pearl i Calvinem. Przygotowując się do podróży na Pomoc, stał się niezłym zaopatrzeniowcem; jeździł codziennie całe mile do obozu i fasował żywność, jakby miał do tego prawo, z najrozmaitszych namiotów, w których mieściła się intendentura. Nie zadawano mu żadnych pytań, gdyż żołnierze powoli przestawiali się z wojennych rygorów na bardziej cywilne tory. Sprzyjało im też przygrzewające słońce. Co rusz ktoś dezertował po stronie konfederatów, nie kryjąc się z tym wcale, bo i nie było im daleko do domu. Nieprzerwaną strużką sunęli po drogach. A i niektórzy uniońscy, wiedząc o wspaniałym, triumfalnym marszu w stolicy państwa, po cichu postanowili zawędrować tam na własną rękę, skoro już było wiadomo, które korpusy zostaną w ten sposób uhonorowane, a które mają stacjonować w tak zwanym departamencie Karoliny Północnej. Odbijało się to na codziennych musztrach i przeglądach, nawet oficerowie obowiązki swe wykonywali na pół gwizdka. Nastrój ogólnego znużenia z szeregów przenosił się wyżej - choć nie dotarł jeszcze do szczebla generałów ani ich sztabów. Tu nadal planowano kolejne posunięcia strategiczne, jakby wojna jeszcze trwała, a wzajemne przepychanki między niewdzięcznym Waszyngtonem i uczuciami lojalistów Shermana, których wystrychnięto na dudka, były źródłem napięć nie mniejszych niż podczas prawdziwych walk.

375

W ciągu kilku dni Stephenowi udało się przytargać do wozu worki mąki, ryżu, kawy, grochu, pudła sucharów, puszki sorga i paki suszonej wieprzowiny, ale także znalezione na drogach „skarby”, które,

jak sądził, mogą się jeszcze przydać: porzucone płachty namiotowe, łopaty, przeróżne przybory gospodarskie, koce, a nawet stary karabin - springfielda, na pół zakopanego w rowie.

Pearl któregoś wieczoru zobaczyła oficera, którego zapamiętała z czasów, gdy była doboszem przy generale Shermanie. To był ten wysoki pułkownik, galopujący wzdłuż rzędu furgonów, jakby czegoś szukał. A więc teraz zachowywali szczególną ostrożność. Poły namiotu spuszczone na boki wozu, by nie było widać tabliczki z nazwiskiem Josiaha Culpa. Stephen ustawił się na końcu kolumny furgonów, w pobliżu obozujących tam murzyńskich uchodźców. Nie była to tak wielka społeczność, jak ta, która kiedyś ciągnęła za wojskiem, lecz wystarczająco duża, by Calvin Harper mógł pośród niej zniknąć.

Co rano Pearl w pielęgniarskim stroju szła do Calvina, by przemyć i namaścić mu oczy maścią, którą przepisał doktor Sartorius. Calvin siedział w kucki w grupie kobiet i dzieci, bacznie śledzących każdy ruch Pearl. Przez parę pierwszych dni kobiety trzymały się z dala od białej pani, ale jej codzienne wizyty i troska, jaką otaczała Calvina Harpera, wywarły w końcu na nich wrażenie. Przynosiła im też racje żywieniowe, by się nimi między sobą podzieliły, za co uprzejmie jej dziękowały.

I jak się dziś macie? - pytała Pearl, a one nieodmiennie oświadczały, że dobrze. - Aty, Calvin, jak się czujesz?

Calvin, mrugając w świetle po zdjęciu bandażu, odpowiadał: - Chyba trochę lepiej, dziękuję, panno Pearl.

Pearl nie podobało się tylko to, że mały David postanowił zostać z Calvinem. Ci dwaj byli nierozłączni. Z po-

376

wodów, nad którymi się nie zastanawiała, przywiązanie chłopca do Calvina irytowało ją, choć właściwie dobrze się stało, bo miał tam innych chłopców do zabawy. - No, Davidzie - powiedziała któregoś ranka - widzę, że masz przyjaciół. - Tak, psze pani - odparł David. - Nie „tak, psze pani” - skarciła go Pearl - „nie tak, psze pani”, Davi-dzie. Wystarczy „tak”. Powtórz.

A gdy powtórzył, nieco zdziwiony, dodała: - Od tej pory tak będziesz odpowiadał na pytania. Nie „tak, psze pani” czy nie „psze pani”, ale „tak” albo „nie” - dwa wyraźne słowa, słyszysz? - Tak, psze pani - odparł David i wszyscy parsknęli śmiechem, nawet Pearl. Wstyd jej się zrobiło tego nagłego wybuchu.

Stephen przygotowywał się do drogi tak skrupulatnie, na swój sposób, że Pearl zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle kiedykolwiek wyruszą. Ale on naprawiał podpórki, podtrzymujące brezent nad budą wozu i naciągał płachtę, by w środku było więcej miejsca na wszystko i wszystkich, by wóz wyglądał jak dobrze utrzymany środek transportu. Calvin bowiem uznał, że po drodze mogą robić zdjęcia i zdobyć w ten sposób trochę pieniędzy.

- Za słabo widzi, by mógł robić zdjęcia - powiedziała Pearl, przypatrując się majsterkującemu Stephenowi.

- Może nas nauczyć, jak przyjdzie co do czego. Ma tu wszystko, co potrzeba. Wszystkie miseczki, płytki i chemikalia. Aparat jest trochę wyszczerbiony, i tyle.

- Calvin mówi, że to nasz doktor pułkownik wsadził aparat z powrotem do wozu, gdy opatrywał Calvina na schodach sądu. W sumie był przyzwoity, prawda? Choć niewiele się odzywał. Zrób to, potrzymaj tamto. Ale myśmy wszystko robili. A potem wyjeżdża bez słowa. Po prostu się zabiera.

377

- Przeniesienie, rzekł Stephen.

- Tak, przeniesienie, ale ja z tego rozumiem tylko tyle, że go nie ma. - Przy nim czułam się bezpiecznie, a ty?

- Ze mną jesteś bezpieczna - rzekł Stephen i na tym skończyła się ta rozmowa. Wiedziała, jakie miał poważanie dla doktora. Ale nie chciał o tym mówić.

Pearl milczała przez chwilę. Słuchała ptaków na polu. Patrzyła na kosy o czerwonych skrzydłach, ślizgające się po bruzdach, przysiadające na krzakach.

- Och, ten David - powiedziała. Już go nic a nic nie obchodzi. Lubi tylko Calvina. Wszędzie prowadzi go za rękę, nie odstępuje na krok. Czy dziecko nie potrzebuje matczynej opieki?

Stephen wyskoczył z głębi wozu.

- Calvin jest Murzynem.

- Ja też jestem Murzynką! Stephen potrząsnął głową.

- Nie, Pearl, skórę masz białą, David nie uważa cię za swoją.

Dotknął jej policzka i otarł łzy. - Nic nie jest ciągle takie samo - powiedział. - Ani David, ani Sartorius, ani maszerująca armia, ziemia, po której kroczy, ani żyjący, ani nawet zmarli. Zawsze jest teraz - stwierdził Stephen, uśmiechając się ze smutkiem na wspomnienie nieszczęsnego Albiona Simmsa.

A potem, parę dni później, przyszła pora odjazdu. Stephen wrócił z Raleigh. Oficjalnie ogłoszono koniec wojny, a generałowie Grant i Sherman przyjmowali defiladę. Nawet z tak daleka do Pearl dochodziły słabe dźwięki muzyki. - Zaprowadzenie pokoju zajmie im trochę czasu - powiedział Stephen. Zdjął mundur i czapkę i włożył zwykłą

378

marynarkę, którą znalazł w stosie kostiumów Josiaha Cul-pa.

Wyjechali na drogę, a Stephen skierował muła do obozowiska Murzynów, skąd zabrali Cahdna i chłopca, i pożegnali się. - Wyprzedzamy ich przynajmniej o dzień - powiedział Stephen do Pearl. - Jedziemy na wschód, przez Goldsboro i na wybrzeże. Oni pomaszerują prosto jak strzełi do Richmond i Waszyngtonu. Nie będziemy im wchodzić w drogę ani oni nam.

Sherman, stojący obok Granta na podwyższeniu, nad którym powiewała amerykańska flaga, czuł jego obecność. Grant był od niego niższy, ale może dzięki temu pewniej stał na nogach. W defilujących

żołnierzach Siedemnastego Korpusu dostrzegał coś, co kazało zwrócić na nich wzrok. A byli to ludzie Shermana!

- Ten Grant - myślał sobie w duchu - zawsze w nim było coś takiego. Skrywane uczucia o zapewne takiej głębi, o jakiej zwykły śmiertelnik może tylko marzyć.

Sherman żywił do Granta szacunek graniczący z czcią, a jednego był pewien - na dnie duszy nie kryje on żadnych złych zamiarów. Nikogo nie chciał wyprowadzić w pole ani przy okazji tej wojny załatwić niczego dla siebie, i to było takie denerwujące.

Ludzie najwyraźniej wiedzieli o tej jego dobroci,

O zrównoważonej naturze, toteż maszerowali z powagą

1 byli jakby nieco mniej dumni niż zazwyczaj z nędznego oporządzenia i zakurzonych mundurów. Z ich szeregów emanował głęboki respekt.

A warunki, które ostatecznie miał ustalić Grant, nie mogły być prostsze. Wszelkie wrogie działania żołnierzy pod dowództwem Johnstona mają natychmiast ustać. Wszelką broń należy zdać oficerom działu zaopatrzenia armii Sta-

379'

nów Zjednoczonych. Żołnierze i oficerowie zostaną wciągnięci na listę, przy czym każdy zobowiąże się na piśmie, że nigdy nie wystąpi zbrojnie przeciwko rządowi Stanów Zjednoczonych. Oficerowie zatrzymują broń osobistą, konie i dobytek. Po złożeniu pisemnych zobowiązań, żołnierze i oficerowie mogą powrócić do domów. Podpisali to on i Johnston, i tymi pociągnięciami pióra czteroletnia wojna została zakończona.

- Nie uspokoiło mnie to może dlatego, że w swoich negocjacjach wyszedłem poza te jasne, proste punkty, przez co wpadłem w tarapaty, narażając się temu politycznemu psu Stantonowi, który kąsa mnie po łydkach, wypisując, że byłem tak wspaniałomyślny wobec Południowców, bo za pomocą mojej armii zamierzam obalić rząd Stanów Zjednoczonych. Takie otrzymuję podziękowania za służbę tej republice, której poświęciłem całe życie. A teraz całe te cztery lata sprowadzają się do defilady, tu i w Waszyngtonie. Cały czas maszerujemy w politycznej defiladzie.

- Zanim się tam udam, jeszcze raz chcę poczuć chłód sosnowego lasu. Specjalny rozkaz polowy Shermana do samego siebie: masz iść do lasu, rozbić namiot, rozpalić ognisko, ugotować sobie kolację i przespać noc na ziemi, pod gwiazdami, i żeby pobudkę o świcie zrobiły ci głupiutkie ptaszki. Potem możesz jechać do Waszyngtonu i odebrać paradę.

- A choć ten marsz szczęśliwie dobiegł już chwalebego końca, myślę o nim teraz, Boże wybac, z tęsknotą - nie za krwią i śmiercią, ale dlatego, że obdarzał znaczeniem już samą tę ziemię, po której się przetaczał, nadawał sens moralny każdemu polu, bagnisku, rzece i drodze, podczas gdy teraz, rozpuszczając wojsko, rozpuszcza się też znaczenie; armia rozsypuje się na odrębne zamierzenia rozproszonego prywatnego życia, a przez to teren również

380

staje się pusty i rozproszony, a co za tym idzie, niewysto-wiony; znowu zmienia się w rzecz i jest zwycięsko bezro-zumny; i czy to oświetlony blaskiem dnia, czy pogrążony w mroku, uschły czy obsypany owocem, rozszalały czy spokojny, staje się kompletnie niewrażliwy i pozbawiony wszelkiego własnego celu.

- A Grant jest dziś tak uroczysty, świętując nasz wielki sukces, bo wie, że na tej pozbawionej znaczenia, nieludzkiej planecie musi odciskać się nasze wojowanie, by nadać jej wartość, i że nasza wojna domowa, ta niszczycielska manufaktura, przerabiająca kości naszych synów, jest tylko wojną po wojnie, wojną przed wojną.

Po drodze rozmawiali o wojskowym mule, któremu nie nadali jeszcze imienia. Na Berta Calvin za nic nie chciał się zgodzić. - Ten tutaj, który tak stuka kopytami, to nie Bert - rzekł Calvin. - Robi, co mu się każe. Nie ma charakteru. Bert był sprytny. Chciał wieść wygodne mule życie, co niekoniecznie zgadzało się z tym, czego my byśmy chcieli. Miał własny rozum i jeśli robił to, o co się go poprosiło, wiedziałem, że dzieje się tak za jego zgodą albo też ma w tym własne ukryte cele.

- Ale może imię stanie się dla tego młodego natchnieniem - powiedział Stephen - wzorem do naśladowania. Bert Drugi.

- Może dopiero w Baltimore - oświadczył Calvin.

Jechali w szybkim tempie, choć wcale się o to nie starali. Trakt był suchy, ubity tysiącami żołnierskich stóp. W południe skręcili z drogi i zjechali łagodnie opadającym zboczem na niezaorane pole, gdzie znaleźli czysty, wolno płynący strumień, którego wody rozdzielały się na skałach i głazach, po czym znowu się spotykały, jakby w celowo wytyczonym łożysku. Dąb rzucał głęboki cień

381

i Pearl nakryła na kocu do obiadu, składającego się z sucharów, solonej wieprzowiny i wody z manierek.

- Cieszę się, że wracam do domu - stwierdził Calvin. Uniósł bandaż z oczu i rzekł: - Naprawdę coś niecoś widzę - to jak fotografia, która zaczyna się wyłaniać przy wywoływaniu w kuwecie. Widzę panią, panno Pearl, chociaż obraz jest trochę ziarnisty. Widzę pana, kapralu Walsh. I ciebie, Davidzie - powiedział do chłopca, siedzącego mu na kolanach. - Ciebie najlepiej - dodał i roześmiał się.

Pearl zdjęła buty i wyciągnęła się na trawie. - Jeszcze nigdy nie czułam się tak wolna - powiedziała.

- Zakład Fotograficzny Armii Amerykańskiej Culpa i Harpera zgromadził w tym wozie stos cennych fotografii wojskowych - rzekł Calvin. - Z panem Josiahem Culpem wędrowaliśmy przez dobry rok. Te fotografie są niezastąpioną pamiątką przeszłości, ale prócz tego można na nich sporo zarobić. I na pewno będę robił zdjęcia i fotografie pamiątkowe powracających żołnierzy, którzy zapragną uwiecznić się w mundurze, zanim go zdejmą. Można z tego nieźle wyżyć. Będzie mi bardzo miło, jeśli do mnie dołączycie - dodał po chwili. - Starczy dla wszystkich.

Pearl usiadła. Stephen spojrzał na nią i odchrząknął, zamierzając coś powiedzieć, ale Calvin ciągnął dalej. - Uratowaliście mi życie - rzekł. - Wasz doktor tym wozem zabrał mnie do szpitala. Ocalił mój aparat i zbiór zdjęć pana Culpa, a ja powiedziałem mu tylko, jak się nazywam i że chciałem zapobiec strzelaniu. Wy wszyscy uratowaliście mi życie. Wiem, że wybieracie się do Nowego Jorku, ale to

daleko od Baltimore, a Baltimore jest daleko stąd, więc może jeszcze zmienicie zdanie. A może zostanieie jakiś czas z nami, zarobicie na podróż pociągiem do Nowego Jorku, to przynajmniej nie będziecie się musieli martwić o paszę na drogę.

382

- Z jakimi nami? - spytała Pearl.

- No, z Davidem, ze mną i z Jessie. Będzie szaleć za tym małym.

David podniósł się, podszedł do pasącego się muła i poklepał go po karku. Pearl przypatrywała mu się. Coś na ziemi przyciągnęło jego uwagę, toteż chłopak przykucnął, by się temu przyjrzeć, a potem postukał to coś patyczkiem.

- Jessie to twoja żona?

- Nie śpieszy mi się do żeniaczki. Jessie to moja siostra. Jest panną i nie ma dzieci. Utrzymuje się ze sprzedaży kołder, które sama szyje, i uczy w szkółce niedzielnej w naszym kościele. Dzieci uwielbiają Jessie.

Calvin i chłopiec zdrzemnęli się po obiedzie, a Pearl i Stephen powędrowali w dół strumienia, gdzie po kamieniach przeszli na dużą, szeroką skałę w środku, na której usiedli. Pearl podkasła spódnicę do kolan i zanurzyła stopy w wodzie.

- Prawda jest taka - rzekła do Stephena - że gdy zaniosę ten list rodzicom porucznika Clarke'a na plac Waszyngtona pod numerem dwunastym i wyjdę z ich domu, wszystko jedno, dokąd stamtąd pójde, w lewo czy w prawo, tą ulicą czy tamtą, to naprawdę nieważne, bo nie wiem, gdzie jestem ani co chcę zrobić z moim wolnym życiem.

- Pójdiesz ze mną, rzekł Stephen.

- I będę biała, póki nie urodzę czarnego dziecka? I co wtedy zrobisz?

- Wychowam je, jeśli będzie moje.

Spojrzała na niego, przestraszona, póki nie zobaczyła, że się uśmiecha. - Jasne, że będzie twoje, a kogo innego wzięłabym sobie za męża? - rzekła Pearl. - Nie wygłupiaj się, to poważna sprawa.

383

- Mam w banku trzysta dolarów za to, że się zaciągnąłem - powiedział Stephen. - Zastanawiałem się nad tym. Chcę studiować prawo.

- A co ja będę robić?

- Pójdiesz do szkoły i przy swoich zdolnościach błyskawicznie przerobisz cały materiał. A potem będziesz studiować medycynę.

- Tak to dla mnie wymyśliłeś?

- Widziałem cię w szpitalu. Jesteś urodzoną lekarką. Nie mów mi, że nigdy o tym nie myślałaś.

- Myślałam, póki sobie nie przypomniałam, że jestem Murzynką. Masz mnóstwo planów na te swoje trzysta dolarów.

- Jeżeli nie przyjmują dziewcząt na medycynę, będziesz pierwsza, bo wygram dla ciebie sprawę w sądzie. - Pearl spojrzała na niego i pokręciła głową. Nagle trysnęły jej z oczu łzy. Stephen nie mógł tego znieść. Wziął ją w ramiona i pocałował w usta, policzki i w oczy. Pearl oddawała mu pocałunki i płakała. Obejmowali się nawzajem.

- David może pojechać z nami, jeśli chcesz - wyszeptał Stephen. Pocałował Pearl w ucho.

- Czy tam w twoich stronach jest inaczej? -Nie.

- Jesteś szalony, Stephenie. Żołnierz frontowy, a nie wie, jakie życie jest straszne.

- Chyba wiem - rzekł - w końcu jestem Irlandczykiem. X

Siedzieli w milczeniu, patrząc na wodę. Obok nich nad strumieniem przeleciały ptaki.'

- Jako biała, jak będę wolna?

- Bardziej niż inni.

- Będę wolna wszędzie, tylko nie w sercu. Będę bardziej wolna niż moja mama, Nancy Wilkins?

383

- Mam w banku trzysta dolarów za to, że się zaciągnąłem - powiedział Stephen. - Zastanawiałem się nad tym. Chcę studiować prawo.

- A co ja będę robić?

- Pójdiesz do szkoły i przy swoich zdolnościach błyskawicznie przerobisz cały materiał. A potem będziesz studiować medycynę.

- Tak to dla mnie wymyśliłeś?

- Widziałem cię w szpitalu. Jesteś urodzoną lekarką. Nie mów mi, że nigdy o tym nie myślałaś.

- Myślałam, póki sobie nie przypomniałam, że jestem Murzynką. Masz mnóstwo planów na te swoje trzysta dolarów.

- Jeżeli nie przyjmują dziewcząt na medycynę, będziesz pierwsza, bo wygram dla ciebie sprawę w sądzie. - Pearl spojrzała na niego i pokręciła głową. Nagle trysnęły jej z oczu łzy. Stephen nie mógł tego znieść. Wziął ją w ramiona i pocałował w usta, policzki i w oczy. Pearl oddawała mu pocałunki i płakała. Obejmowali się nawzajem.

- David może pojechać z nami, jeśli chcesz - wyszeptał Stephen. Pocałował Pearl w ucho.

- Czy tam w twoich stronach jest inaczej? -Nie.

- Jesteś szalony, Stephenie. Żołnierz frontowy, a nie wie, jakie życie jest straszne.

- Chyba wiem - rzekł - w końcu jestem Irlandczy-
kiem.

Siedzieli w milczeniu, patryc na wodę. Obok nich nad strumieniem przeleciały ptaki.'

- Jako biała, jak będę wolna?

- Bardziej niż inni.

- Będę wolna wszędzie, tylko nie w sercu. Będę bardziej wolna niż moja mama, Nancy Wilkins?

384

- Musisz pozwolić, aby świat cię dogonił.

- A kiedy to się stanie?

- Pewnie minie jeszcze trochę czasu.

Podniosła się i wygładziła spódnicę. - Nie - stwierdziła. Powinien pojechać z Calvinem i Jessie. Calvin nie był łaskaw się zapytać, ale tak będzie najlepiej dla dziecka. A jak tylko nauczy się pisać i czytać, będziemy wysyłać do siebie listy.

Później, z powrotem na drodze, cienie zaczynały się wydłużać, w miarę jak popołudnie przechodziło w wieczór. Zieleń ziemi stawała się delikatniejsza, a droga łagodnie opadła w dolinę. A potem ciemność ogarnęła ich w gęstym lesie sosnowym, przez który przeszła wojna. Między sosnowymi igłami leżał but i strzępki wypłowiałego munduru, a za zwałoną kłodą stosik łusek po nabojach. Z drzew unosił się jeszcze zapach ognia karabinowego, toteż z radością wyszli z powrotem na słońce.

MBP Zabrze

nr inw.: K17 - 6452

F 17 AMER.